Tylko dla bogatych
Psychiatra będzie jak stomatolog?
▶4

Siembieda i Chmielarz
Czy autorzy kryminałów mają kompleksy
▶27

WYSOKIE OBCASY
Czy Ministerstwo Zdrowia wie, **czym zajmuje się położna**

FOT. GETTY IMAGES, PAP/ALBERT ZAWADA, DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Gra Zełenskiego
O co chodzi Ukraińcom z UPA
▶20

FOT. UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS OFFICE/ALAMY/BEW

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 24>

Niemcy czy Francuzi
Kto nas lepiej obroni
▶8

Staram się gotować sam
Biskup Artur Ważny zmienia Kościół
▶12

Rewolucja Trumpa
Estados Unidos de América
▶16

Kto kupuje kubek z Himmlerem
na bułgarskiej plaży
▶40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 13-18 czerwca 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 136.11235, 1 Nakład 70 tys. + **322 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 742b61cb94

Bartosz T. Wieliński

Posłuchajcie polskich biskupów

Prosiłoby się, by stosunki z Ukrainą rozwijać według maksymy ukutej przez polskich biskupów przed 61 laty. 18 listopada 1965 r., pod koniec Soboru Watykańskiego II, nasi hierarchowie podeszli do biskupów niemieckich i wręczyli im list z historyczną frazą: „wyciągamy do Was nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”.

List, który wywołał w komunistycznej Polsce furię, a w Zachodnich Niemczech początkowo chłód i niezrozumienie, uznaje się za początek polsko-niemieckiego pojednania.

Był to długi proces i nawet dziś trudno mówić, że zakończony. Gdy runął komunizm, Niemcy się zjednoczyły i unormowały relacje z Polską, odezwały się organizacje zrzeszające deportowanych po wojnie mieszkańców Śląska, Pomorza, Prus Wschodnich. Skoro hasło przyłączenia utraconych ziem do Niemiec straciło sens, zaczęli domagać się pieniędzy za pozostawione domy oraz prawa do pisania historii po swojemu – tak, by to Niemcy byli ofiarami wojny, a Polacy stali się sprawcami.

Radykałowie w Polsce i Ukrainie zaczynają proces, który lata temu z sukcesem przetestowała Erika Steinbach do spółki z polską prawicą

Najbardziej zagorzałych sojuszników znaleźli w... Polsce. Motyw Niemców wracających na Śląsk odebrać majątki albo odmawiających Polsce odszkodowań pasował prawicowym radykałom do straszenia Polaków i atakowania Unii Europejskiej. Doszło do tego, że szefowa Związku Wypędzonych Erika Steinbach była u nas bardziej znana niż w Niemczech. Gdy w Polsce palono jej podobizny, zacierała ręce, bo mogła opowiadać przed kamerami, że chce pojednania, a Polacy oszaleli z nienawiści. Wtedy w Polsce politycy ustawiali się przed kamerami, by dawać jej odpór. Między radykałami powstało sprzężenie zwrotne. Opinie publiczne i rządy stały się ich zakładnikami.

Podobny proces znowu się zaczyna. Wystarczy spojrzeć na intensywność ostatniej polsko-ukraińskiej awantury po nadaniu przez prezydenta Ukrainy jednemu z batalionów nazwy „bohaterów UPA” i zapowiedzi prezydenta Nawrockiego, że w odwecie odbierze Zełeńskiemu Order Orła Białego. Jeżeli tej sprawy szybko nie przetniemy, w Polsce i Ukrainie zacznie się licytacja prawdziwych patriotów i między radykałami obu krajów wytworzy się kolejne zwrotne sprzężenie.

Polska i Niemcy kłóciły się o Steinbach w komfortowej sytuacji, gdy wojny w Europie nikt sobie nie wyobrażał. Dziś, w piątym roku wojny w Ukrainie, poważnie zastanawiamy się, czy Rosja nie zaatakuje kolejnego kraju. W takich okolicznościach sytuacja, w której relacje między naszymi państwami kształtują radykałowie, byłoby katastrofą. Putin jeszcze przed pierwszą salwą mógłby odtrąbić zwycięstwo.

Słowa orędzia polskich biskupów w relacjach polsko-ukraińskich parafrazowano wielokrotnie. Trzeba to powtarzać, do skutku. ●

Izrael / Palestyna
Persowie trzymają się mocno

FOT. REUTERS/ AMMAR AWAD

Osadnik z nielegalnego osiedla Mewo'ot Jericho na Zachodnim Brzegu ogląda szczątki irańskiej rakiety. Mimo rozejmu Iran atakuje izraelskie bazy lotnicze, w odwecie Izrael ostrzelał Teheran. Iran uważa, że odpowiada na naruszenie rozejmu przez Izrael, który atakuje Hezbollah w Libanie. Co wścieka Trumpa, który ręczył za rozejm. **Więcej na Wyborcza/swiat**

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Dubaj na miarę naszych możliwości
Hotel Gołębiewski Pobierowo

Żaden obiekt turystyczny w Polsce nie wywoływał takich emocji. W środę otworzył się wyczekiwany – na dobre i na złe – hotelowy gigant nad Bałtykiem.

11 pięter, 1240 pokoi – i aż 2119 rezerwacji w dobę. Ceny? 3 tys. zł za weekend z dwoma posiłkami w 60-metrowym pokoju.

Tadeusz Gołębiewski, kontrowersyjny hotelowy wizjoner i potentat cukierniczy, planował otworzyć giga-hotel przypominający oceaniczny wycieczkowiec już w 2020 r., ale na przeszkodzie stanęła pandemia, potem wojna w Ukrainie i odpływ pracowników, następnie jego śmierć i zmiany w biznesowym imperium, a w końcu nieprawidłowości wykryte przez nadzór budowlany.

Od środka hotel też przypomina wycieczkowiec – kamień, marmur, drewno, kryształowe żyrandole, aquapark, baseny od 25 do 100 metrów, 2 kinoteatry, kilka restauracji, ścianka wspinaczkowa, korty... Ale – na razie – tylko jedno wąskie ne zejście na plażę

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / WYBORCZA

Budowa giganta od początku budziła kontrowersje. Mówiono o zaburzeniu krajobrazu, o zagrożeniu dla małych kwater, które stracą klientów z Niemiec, o ogromnym zużyciu wody, o wycince 1500 drzew (inwestor obiecuje, że posadzi ich dwa razy więcej).

Zwolennicy przekonują, że obliczony na 3 tysiące gości hotel kilkukrotnie napędzi ruch w innych turystycznych biznesach, od gastronomii po rozrywkę, i to nie tylko latem, ale przez cały rok. ●

Adam Zadworny, Piotr Szyliński

• **Więcej ▶ Wyborcza.pl/szczecin**

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

Jesteśmy za systemem zachęt i za tym, żeby użytkownicy i kierowcy w naturalny sposób wybierali pojazdy, których chcą używać

DARIUSZ KLIMCZAK
Minister infrastruktury o sprzeciwie Polski wobec unijnego obowiązku elektryfikacji firmowych flot
Więcej ▶ Wyborcza.biz

Liczba tygodnia

PRZEZ

34

MILIONY DNI

FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

Polacy byli w zeszłym roku nieobecni w pracy z uwagi na problemy z przeciążeniem mentalnym. Już 14,1 proc. zwolnień lekarskich na L4 było spowodowanych przez „zaburzenia psychiczne i zaburzenia zachowania” – podaje raport ZUS o absencjach chorobowych w 2025 r. To wzrost o 90 proc. przez dekadę – w 2015 roku L4 z powodów kłopotów psychicznych przekładało się na 18 mln dni.

To dobra wiadomość – analizuje Kamil Fejfer w tekście „Mamy w Polsce eksplozję zwolnień od psychiatry” ▶ Wyborcza.biz

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Kaczyński znowu zaskoczony

Sąd prawie ostateczny

Jest wskazówka, że Pałac Prezydencki i frakcja Mateusza Morawieckiego dążą do minimalnego uporządkowania w sądownictwie wbrew ziobrystom

Wielowieyska

Rozgrywka polityczna wokół Krajowej Rady Sądownictwa nie porusza masowej wyobraźni Polaków. Mało kto się połapał w tych korowodach prawniczych, ale jedno jest pewne: w obozie PiS doszło do poważnej bijatyki.

Neosędziowie podczas lutowego zgromadzenia sędziów Sądu Najwyższego wskazali kilku kandydatów na prezesa. Najwięcej głosów – 18 – zdobył Zbigniew Kapiński, faworyt ustępującej prezeski Małgorzaty Manowskiej. Związany z ziobrystami Paweł Czubik zyskał głosów dwa razy mniej. Ziobryści chcieli powołania Czubika, bo ich celem było zablokowanie pracy nowej KRS, powołanej przez Sejm. To instytucja, która wysyła do prezydenta wnioski o powołanie i awanse sędziów.

Kim jest Czubik? To związany z Ordo Iuris prawnik, który zasiada w nielegalnej Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN. Została powołana, by chronić interesy PiS i nominatów tej partii. I to robiła choćby w sprawie wygaśnięcia mandatów poselskich byłych szefów CBA Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika czy sprawozdania finansowego PiS.

Czubik zasłynął wnioskiem do Manowskiej, by uznać, że jeśli legalni sędziowie w SN nie chcą orzekać z neosędziami, to automatycznie zrzekają się miejsca w Sądzie Najwyższym. To byłoby pogwałcenie konstytucji, wyrzucenie sędziów z Sądu Najwyższego na życzenie Ziobry.

Czubik jest związany ze stowarzyszeniem Prawnicy dla Polski, którym kieruje sędzia Łukasz Piebiak, zastępca Ziobry w resorcie sprawiedliwości i kluczowa postać afery hejterskiej, czyli akcji dyskredytowania sędziów sprzeciwiających się zamachowi na niezależność sądownictwa. Czubik był recenzentem doktoratu Piebiaka.

Ziobryści byli zdeterminowani, aby zablokować nominację za mało radykalnego Kapińskiego. Doszło do wojny na haki i donosy na taką skalę, że nawet otoczenie Nawrockiego było zniesmaczone.

Przeciwnicy Kapińskiego sięgnęli po broń atomową: przypomnieli, że był w składzie orzekającym, który uznał, że Lech Wałęsa nie był kłamcą lustracyjnym w 2000 r. Chodziło o grę na emocjach, bo wyrok nie mógł być inny, dokumenty dotyczące Wałęsy znaleziono w domu gen. Kiszczaka 16 lat później, ale ziobryści wiedzieli, że elektorat PiS w takie szczegóły nie wnika. Były szef BBN Sławomir Cenckiewicz, mający na punkcie Wałęsy obsesję, umieszczał emocjonalne wpisy na platformie X, w których wzywał Nawrockiego do skreślenia Kapińskiego.

Kaczyński przyłączył się do tego chóru, namówiony przez Cenckiewicza. Czym naraził na szwank swój autorytet, bo Nawrocki Kapińskiego powołał.

Kaczyński wolałby ostrą polaryzację i awanturę, ponieważ uważa, że to PiS poniesie w sondażach. Ale to, co jest w interesie Kaczyńskiego, nie musi działać na korzyść Nawrockiego. Za paraliż sądownictwa Kaczyński by bezpośrednio nie odpowiadał, ale Nawrocki – owszem, bo to on powołuje sędziów.

Dlatego szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki porozumiał się z Manowską i przekonał Nawrockiego do nominacji jej człowieka na prezesa SN, nie bacząc na histerię w TV Republika.

Jednak Bogucki musi teraz połknąć język, ponieważ w lutym w RMF FM wygłosił frazę zgodną z planem ziobrystów.

Na początku roku minister sprawiedliwości Waldemar Żurek ogłosił, że skoro prezydent nie podpisał nowej ustawy o wyborze KRS i nadal obowiązują niekonstytucyjne przepisy o wyborze członków-sędziów Rady przez Sejm (a powinni wybierać sędziowie), to zostaną urządzone prawybory w sądach, tam zostanie wyłoniona grupa sędziów, którzy cieszą się największym szacunkiem środowiska i tych kandydatów powoła Sejm.

Bogucki twierdził, że ten plan nie wypali, że mało kto weźmie udział w prawyborach i że są nielegalne, więc i nowa KRS będzie nielegalna. Jednak mimo gróźb z otoczenia prezydenta w wielu sądach prawybory się odbyły. Wzięło w nich udział blisko 60 proc. sędziów. To sukces niezawisłych sędziów, ale i samego Żurka.

Prezydent woził się z decyzją o powołaniu prezesa SN, ale w końcu w maju wskazuje Kapińskiego. A on – wbrew planom ziobrystów i Nowogrodzkiej – zwołuje pierwsze posiedzenie nowej KRS. To oznacza, że Pałac Prezydencki uznaje legalność tej Rady. Teraz Nawrocki już nie może ignorować KRS, natomiast będzie się starał wymuszać na radzie wnioski personalne mu odpowiadające. Lecz Rada w takim składzie raczej ziobrystów do SN nie będzie zgłaszać.

Jeśli po przyszłorocznych wyborach Koalicja 15 Października w jakiejś formule utrzyma władzę, pojawi się przestrzeń do rozmowy z Nawrockim

Wybór Kapińskiego wskazuje, że Pałac i frakcja Morawieckiego dążą do minimalnego uporządkowania w sądownictwie wbrew ziobrystom. Ale najchętniej załatwiliby ten problem rękami nowego prezesa. Który jest neosędzią, więc będzie bronił statusu neosędziów, ale wydawał wyroki, które świadczą o jego niezależności, na przykład zmiażdżył prokuraturę Ziobry w sprawie Giertycha. Chodziło o zwrot mecenasowi jego rzeczy i nośników z danymi po tym, jak sąd niższej instancji odmówił zgody na jego areszt.

Kapiński wygłasza poglądy, które nie pasują i jednej i drugiej stronie. Stwierdził w jednej z uchwał, że Dariusz Barski, najbliższy współpracownik Ziobry, jest nadal prokuratorem krajowym. Uważa, że sądy nie miały prawa przeprowadzić prawyborów do KRS. Ale na drugą nóżkę stwierdza, że takie prawybory w sądach można zapisać w ustawie i wcale nie jest to zły pomysł. A to sprzeczne z przekonaniami PiS, że kreować KRS mają politycy.

Nie tylko środowa decyzja o zwołaniu posiedzenia KRS zirytowała Nowogrodzką. Chodzi także o to, że Kapiński 29 maja powierzył sędziemu Piotrowi Mirkowi pełnienie obowiązków szefa Izby Karnej. Statusu sędziego Mirka nikt nie kwestionuje.

Dlaczego PiS nie lubi tego sędziego? SN pod jego przewodnictwem uchylił w 2023 r. umorzenie sprawy Kamińskiego i Wąsika. Skazanych w pierwszej instancji za udział w tzw. aferze gruntowej i zaraz potem ułaskawionych przez prezydenta Dudę jeszcze przed prawomocnym wyrokiem.

Ale czy kompromis w sprawie sądownictwa jest możliwy? W pewnym sensie wymusił go Żurek. Wybrano sędziów do KRS według zasad uchwalonych przez PiS, ale po prawyborach w sądach.

Sędziowie trzymający się przekonań w sprawie praworządności moralnie mają rację. Jednak prezydenckie zwycięstwo Nawrockiego, którego poglądy w sprawie sądownictwa były jasne, pokazują, że wyborcy chcą jakiegoś zgniłego kompromisu. I ten fakt najbardziej radykalni krytycy PiS powinni przyjąć do wiadomości.

Z jednej strony mamy Kapińskiego w SN, z drugiej strony na czele KRS staje sędzia Dariusz Zawistowski, który też wypowiada się bardzo wstrzemięźliwie – a jest szanowany w środowisku sędziowskim, nie bez powodu w prawyborach zdobył największą liczbę głosów. On już zapowiedział, że liczy na współpracę z Pałacem Prezydenckim, tak, by wnioski KRS nie były odrzucane.

Przed wyborami w 2027 roku żadna zmiana ustawy nie będzie możliwa, bo polaryzacja jest zbyt silna, a Nawrocki będzie grał na zwycięstwo PiS i Konfederacji. Ale jeśli Koalicja 15 Października w jakiejś formule utrzyma władzę, to może pojawi się przestrzeń do rozmowy.

Dominika Wielowieyska

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

PORADNIK PSYCHOLOGICZNY
Poruszające historie kobiet

- Czy można odejść po latach?
- Czy można odzyskać siebie po trudnym związku?
- Czy można uratować przyjaźń wystawioną na próbę?

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

WAŻNY TEMAT

Stomatologizacja psychiatrii

Ten proces już się odbywa. A zamysły Ministerstwa Zdrowia go przyśpieszą

Z **PROF. DR HAB. JACKIEM WCIÓRKĄ,** PSYCHIATRĄ, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

O czym właściwie mówimy, kiedy mówimy o kryzysie psychicznym? Pytam, bo to pojęcie bywa nadużywane.
– To jest takie trudne doświadczenie, które dla innych zawsze pozostanie trochę zakryte, bo przeżywający je człowiek w swoich wypowiedziach czy działaniach ujawnia tylko jakąś jego część. Może ono nieść dotkliwe cierpienie, gdy narusza poczucie tożsamości, podstawowe wyobrażenie o sobie, czy też pamięć i ciągłość samego siebie, albo dojmujący kryzys, gdy zawiesza lub rujnuje materię własnego życia – jego plan, bieg lub owoce.

Osobiście jednak wolę określenie „niezdrowie psychiczne", bo wtedy można popatrzeć na nie z wielu perspektyw.

Jaka jest ta pierwsza?
– Osobista. To jest to, czego doświadczam.

Druga to perspektywa publiczna, czyli to, jak jestem wówczas odbierany. Osoby wokół niekoniecznie wiedzą, co się ze mną dzieje, ale już mogą mnie postrzegać jako tego „innego", „obcego".

Pomiędzy sferą osobistą a publiczną jest cała rzeczywistość skonstruowana przez różne dziedziny wiedzy.

Dla medycyny, psychiatrii zwłaszcza, niezdrowie psychiczne to zaburzenie. Unikamy słowa „choroba", bo ono się kojarzy z chorobą umysłową. Psycholodzy wolą mówić o dysfunkcji czy też dysfunkcyjnym zachowaniu. Socjolodzy o dewiacyjnej interakcji z otoczeniem. A neurofizjolodzy – o anormalności w układzie sieci neuronalnych.

Ale to są wszystko pewne konstrukty, które wymagają ciągłego doprecyzowywania. Dlatego każda z tych dziedzin wyspecjalizowała swój język i ma swoje elementarze. W psychiatrii są nimi w tej chwili amerykański DSM-5 i międzynarodowy ICD-11.

Czyli podręczniki klasyfikacji zaburzeń i chorób.
– Istnieje jeszcze czwarte podejście, które abstrahuje od tego, żeby coś nazywać, przyporządkowywać czy objaśniać, tylko stara się pomóc: nawiązać kontakt, spotkać się, rozmawiać. Stara się, jak to się mówi, dialogować.

I ono jest panu najbliższe?
– Żebym mógł cokolwiek zdziałać, muszę szukać tej nici porozumienia. Mówię do ciebie, ale ty też mówisz do mnie i gdzieś po drodze się spotykamy. Czasem wymaga to miesięcy, czasem nawet lat, choć ufam, że zawsze jest możliwe. Psychiatra Ronald Laing w jednej ze swoich książek pisze zresztą, że porozumienie między ludźmi jest zawsze tylko próbą porozumienia.

Rozumiem, że w spotkaniu z osobą w kryzysie ważniejsza jest ta osoba niż sam kryzys?
– Potrzebujemy jednak do tego jakiegoś języka. I najwyraźniej ten, który mówi o kryzysie, nie burzy i nie stygmatyzuje. Jest w miarę neutralny, bo każdy doświadcza jakichś kryzysów. Nie tylko zdrowotnych, ale też finansowych, zawodowych, egzystencjalnych.

Jednak kryzys kryzysowi nierówny. Dziś rzadko się o tym mówi, ale w psychiatrii istnieje podział na ciężkie zaburzenia psychiczne i te powszechne. Czym się różnią?
– Mówiąc prosto, z tymi pierwszymi mamy do czynienia wtedy, kiedy przestajemy rozumieć tego drugiego człowieka, a co za tym zwykle idzie – akceptować to, co się wiążę z naszym wspólnym przebywaniem. Rozmowa, jego zachowania stają się coraz trudniejsze do przyjęcia.

Kiedy tak może być?
– Granice nie są ostre, jeśli jednak mielibyśmy używać języka medycznego, w grę mogą wchodzić psychozy, które sprawiają, że postrzeganie rzeczywistości jest zmienione. Psychotyczność nie jest związana wyłącznie ze schizofrenią. Może też na przykład wystąpić w ciężkiej postaci dwubiegunowego zaburzenia afektywnego.

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

FOT. GETTY IMAGES

Jacek Wciórka

• Prof. dr hab., psychiatra z ponad 50-letnim doświadczeniem. Wieloletni kierownik jednej z klinik w IPiN – Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Przewodniczył Zarządowi Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i Radzie ds. Zdrowia Psychicznego. Zaangażowany w realizację pilotażu Centrów Zdrowia Psychicznego. Redaktor naukowy, wraz z prof. dr hab. Andrzejem Cechnickim, kompendium „Psychiatria środowiskowa", wydanego przez PZWL

Jeśli człowiek w epizodzie głębokiej depresji będzie uważał, że jedynym sposobem na rozwiązanie jego problemów jest usunięcie siebie oraz najbliższych ze świata, to będziemy temu z całą siłą przeciwdziałać. Tak samo będzie w epizodzie wzlotu, kiedy będzie unosił się nad ziemią i wyobrażał sobie, że jest obdarzony nadludzkimi mocami, co język profesjonalny nazywa manią. Ale też w przypadku wielu innych zaburzeń zdominowanych przez silny lęk czy zmiany nastroju. Niektóre natręctwa potrafią doprowadzić do takich stanów, że człowiek terroryzuje otoczenie w sposób, który jest dla innych kompletnie nieczytelny i nieakceptowalny. I to też zakwalifikujemy jako ciężkie zaburzenie.

A te powszechne?
– To właściwie cała reszta: inne rodzaje zaburzeń lękowych, jak na przykład lęk społeczny czy fobie, zaburzenia adaptacyjne czy różne odcienie nie tak ciężkiej depresji. Słowo „powszechne" nie jest wyrazem lekceważenia czy umniejszania cierpienia. Chodzi o częstotliwość występowania.

Podziałów jest więcej, systematyka złożona, ale to, czego człowiek doświadcza, jest tak naprawdę dostępne tylko jemu. Autobiograficzne relacje są jakąś próbą udostępnienia tych przeżyć, znalezienia odpowiednich słów. A świat zewnętrzny, ten naukowy, do rozeznania się w tej wewnętrznej rzeczywistości używa naukowego poznania – więc wciąż ją konstruuje i rekonstruuje. Również według swoich zmieniających się upodobań. Bo przecież gdy porównamy podręczniki psychiatrii z lat 20., 40., 60., 90. i współczesne, znajdziemy w nich bardzo różne treści. Inny język, inny sposób interpretacji objawów. A gdyby cofnąć się jeszcze dalej, na przykład 200 lat wstecz, to się okaże, że tego rodzaju problemów nie traktowano jako problemów zdrowia psychicznego, tylko moralności. To się więc stale zmienia.

Kategorie, definicje czy skale są przydatne, jednak w codziennej praktyce często zawodzą. Skupiając się wyłącznie na objawach, specjalista może nie dostrzec tego, co ważne i co może prowadzić do lepszego porozumienia: łez, jakiegoś grymasu, gestu niechęci czy znużenia. Jeśli więc zależy nam na podniesieniu człowieka z niezdrowia, trzeba szukać do niego różnorodnych ścieżek dojścia. Będę się upierał przy tym słowie, choć redaktorzy mnie za nie tępią.

Za „niezdrowie"?
– Twierdzą, że istnieje tylko „brak zdrowia". A dla mnie to pojęcie jest szersze, podkreśla cały obszar niezgody na to, czego obecnie doświadczamy. Zdrowie to wyspy na tym obszarze. Momenty, kiedy czujemy się zdrowi, co nie oznacza, że za chwilę nie przyjdzie jakiś wiatr i nie okaże się, że żyliśmy złudzeniem.

W badaniach EZOP [Epidemiologia zaburzeń psychiatrycznych i dostępność psychiatrycznej opieki zdrowotnej], które robiliśmy w Instytucie Psychiatrii i Neurologii dwukrotnie, pierwszy raz w 2012 roku, drugi tuż przed pandemią, wykryliśmy, że co czwarty Polak lub Polka przeżywa w trakcie życia coś, co spełnia medyczną definicję zaburzenia. A samych trudnych przeżyć, z którymi też można sobie nie poradzić, doświadcza już 60-70 procent populacji.

Kiedyś byli jacyś mentorzy, księża, mądrzy nauczyciele, bliscy z większym życiowym doświadczeniem, do których można się było zwrócić po poradę w trudnej sytuacji. Dziś te kanały pomocy są często pozamykane lub niedrożne. Bo ktoś wyjechał za granicę, ma inne sprawy na głowie, albo nie ma czasu.

Pomoc się profesjonalizuje, a jednocześnie oddala.

Przybywa samotnych.
– To jest skutek tego, że ludzie są coraz bardziej oddzielni. Wszyscy dziś mówią o relacjach, ale relacja to płytki sposób spotkania z drugim człowiekiem. Bez zobowiązań. Jesteśmy w relacji, za chwilę nie jesteśmy, przechodzimy do kolejnej. Więź więzi, ale też i wiąże. Chcąc więc uniknąć więzi, która pozbawia nas części swobody, tracimy to, co w niej bogate: serce drugiego człowieka, jakiś miły gest i wiele innych dowodów wzajemności.

Od lat praktykuje pan psychiatrię środowiskową. Czym się ona różni od takiej, nazwijmy to, standardowej psychiatrii?
– Psychiatria środowiskowa dokonuje się w środowisku lokalnym. Tak, żeby człowiek w niezdrowiu psychicznym mógł łatwo sięgnąć po pomoc. To taka psychiatria, która czeka na ludzi. Nie wyznacza barier, tylko stara się to wsparcie udostępnić przy pomocy różnych sił i środków. Każdemu, kto go potrzebuje.

Jej działanie jest różnie zorganizowane. W Polsce od 2018 roku opiera się na Centrach Zdrowia Psychicznego.

Z jakich tradycji się wywodzi?
– Jest ich kilka.

Według pewnej legendy ponad 1400 lat temu w belgijskiej miejscowości Geel schroniła się Dymfna – córka irlandzkiego króla, którą ten po śmierci małżonki chciał poślubić. Uciekła tam wraz duchownym, który ją wspierał. Niestety, król ich dopadł i zamordował. Tak powstał jej kult i wkrótce z całej Europy zaczęli do miasta ściągać pielgrzymi, w tym osoby w niezdrowiu psychicznym, które szukały u świętej ratunku. Miejscowi gościli tych ludzi i w ten sposób w Geel utarła się tradycja opieki domowej. Dzisiaj działa tam ośrodek opieki środowiskowej, który oczywiście korzysta ze współczesnych metod oddziaływania, ale jednocześnie jest osadzony w pewnym kontekście. Część pacjentów nadal mieszka z rodzinami, które ten rodzaj opieki sprawują od pokoleń.

Czyli nie jest to wielki szpital za murem.
– Nie. Zresztą jednym z symboli rodzącej się psychiatrii środowiskowej było właśnie burzenie murów. Nie tylko tych odgradzających szpitale psychiatryczne od reszty świata. Ale również tych w środku, oddzielających poszczególne oddziały, a wewnątrz tych oddziałów – profesjonalistów od pacjentów.

Bunt przeciwko murom, a tak naprawdę przeciwko wykluczaniu i opresji to kolejna tradycja, o którą pani pytała. Jej zalążki pojawiły się już pod koniec XIX wieku, choć cały proces rozpoczął się w połowie zeszłego wieku.

Jeszcze inna tradycja jest związana z niezgodą na różne praktyki prowadzące do ubezpłodnienia osób chorujących psychicznie, które przetoczyły się przez zachodnią cywilizację. Swego czasu takie eugeniczne metody były stosowane w Stanach Zjednoczonych, Szwecji, a szczególnie w Niemczech. Tam, od kiedy uznano przypadłości związane z niezdrowiem psychicznym za spełniające kryterium tak zwanego życia niegodnego, zaczęła się zagłada osób chorych psychicznie, która poprzedziła późniejszą zagładę etniczną w czasie drugiej wojny światowej.

Pierwsze komory gazowe naziści uruchomili w okupowanej Polsce już w 1939 roku. „Testowali" je właśnie na pacjentach psychiatrycznych.
– To były ogromne straty, o których rzadko się dziś pamięta.

Kolejnym nurtem poprzedzającym psychiatrię środowiskową była psychiatria społeczna, czyli odkrycie, że człowiek żyje w jakimś kontekście – społecznym, historycznym, kulturowym. I że zaburzenia mogą się rodzić dlatego, że kogoś spotyka jakieś nieszczęście czy właśnie kryzys, a nie dlatego, że jest wewnętrznie „popsuty". Takie myślenie było głównie spuścizną obu wojen.

No i jest jeszcze jeden nurt – uświadamiający, że wyobrażenie, iż przy pomocy samych leków jesteśmy w stanie trwale rozwiązać problemy niezdrowia psychicznego, jest fałszywe. Lekami potrafimy wiele zdziałać. Potrafimy uspokoić, złagodzić obniżony nastrój, utemperować nadmierną aktywność, ale to jeszcze nie oznacza powrotu zdrowia. No i nie da się nimi usunąć źródeł trudności.

Według psychiatrii środowiskowej o zdrowieniu świadczą w miarę dobre funkcjonowanie, relacje społeczne, jakaś aktywność zawodowa czy inna. Dopuszcza się jednak, że człowiek dalej może doświadczać pewnych objawów. Dla niektórych to może być zaskakujące.
– W psychiatrii środowiskowej jest kilka koncepcji zdrowienia. Jedną z nich opisuje akronim CHIME. Mówi ona o tym, że w wychodzeniu z kryzysu psychicznego ważną rolę odgrywają procesy odzyskiwania: więzi (*Conectedness*), nadziei i optymizmu (*Hope*), tożsamości (*Identity*), poczucia sensu (*Meaning*) oraz sprawczości (*Empowerment*).

Teraz, kiedy centrów zdrowia psychicznego jest już około stu, a od 2027 mają wejść na stałe do systemu i docelowo ma być ich około 300, NFZ chce przywrócić płacenie za konkretne usługi

eprasa.pl 742b61cb94

Moment kryzysu to moment, kiedy to wszystko przestaje istnieć. Znikają nadzieja, poczucie przynależności, poczucie, że coś się potrafi, ma się wpływ. Człowiek staje się bezradny. Czasem zatraca siebie do tego stopnia, że staje się już tylko pacjentem. Albo gorzej – chorobą. Czasem słyszę, jak osoby w kryzysie mówią: „ja jestem schizofrenia" i zawsze mnie wtedy ogarnia smutek i przerażenie.

Zdrowienie to skomplikowany proces.
– Nie prostoliniowy. Zdarzają się długie okresy przestoju, cofnięcia.

Metody pomocy mogą być różne i powinny takie być, bo każdy jest inny, jednak najważniejsze jest przywrócenie podmiotowości człowiekowi trawionemu przez niezdrowie. Tego, żeby czuł się osobą, a nie chorobą, jak pisze w jednym z esejów Pat Deegan, aktywistka i psycholożka działająca na rzecz osób wychodzących z kryzysu.

Ale, żeby to się mogło stać, potrzebny jest system, w którym taki rodzaj pomocy będzie łatwo i równo dostępny. A żeby powstał taki system, potrzebna jest wola polityczna i społeczna. Tło, które będzie rozumiało, co to jest, czemu ma służyć, i które będzie gotowe ponosić koszty.

Czy gdzieś na świecie udało się wprowadzić środowiskowy model ochrony zdrowia psychicznego?
– Udało, choć nigdy w pełni i nigdzie do końca.

Pierwsze rozwiązania organizacyjne takiego rodzaju pomocy powstały w Stanach Zjednoczonych we wczesnych latach 60. za prezydentury Johna F. Kennedy'ego. Pojawił się wówczas wielki pomysł stworzenia sieci lokalnych centrów zdrowia psychicznego dotowanych przez państwo. Niestety, na realizację tych planów nie starczyło ani zapału, ani sił, ani pieniędzy. A że następców Kennedy'ego interesowało głównie ich liczenie, dziś rezultat jest taki, że miejsc świadczących różnorodną pomoc jest dużo, ale po pierwsze – są bardzo rozdrobnione, nie ma spójnego systemu, a po drugie – są dostępne, jeśli się jest odpowiednio bogatym. Dla najuboższych jest ulica.

Albo więzienie.
– Jeśli skutkiem nieleczonego niezdrowia są jakieś akty przestępcze.

Udało się we Włoszech, choć tylko częściowo. Dzięki działalności charyzmatycznego lewicowego polityka i psychiatry Franco Basagli, który w latach 70. zorganizował w Trieście system pomocy oparty o centra zdrowia psychicznego. Jego dziełem było też wprowadzenie „Ustawy 180", która zabroniła otwierania nowych, dużych szpitali psychiatrycznych, czyli tak zwanych *manicomio*. Stare miały wymrzeć, a pacjenci mieli dostawać pomoc w centrach, które w tej czy w innej formie zaczęły powstawać w innych regionach. Niestety, w południowych Włoszech reforma napotkała na opory. I zawsze będzie na nie napotykać. Trwa dyskusja, co do przyczyn, ale prawdopodobnie dzieje się tak z powodu zachowawczej mentalności, siły lokalnych tradycji czy słabszej kondycji gospodarczej.

Natomiast większe szanse powodzenia taka zmiana ma z pewnością tam, gdzie system jest opłacany z podatków, a nie z ubezpieczeń. Podatki raczej demokratyzują dostępność pomocy, ubezpieczenia zaś sprzyjają jej limitowaniu.

Również w Wielkiej Brytanii ochrona zdrowia psychicznego reformowana jest w duchu środowiskowym od lat 60. i 70. Jednak i tam system nie jest pozbawiony raf, bo na odpowiednią formę pomocy trzeba czekać. Brytyjczycy rozpoczęli zresztą kolejną dużą reformę, która ma zwiększyć dostępność pomocy i lepiej dopasować ofertę do potrzeb.

Zwrot ku myśleniu środowiskowemu dokonuje się wszędzie, nie tylko w Europie. Również w Kanadzie, w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, w Australii, a nawet w krajach dalekowschodnich, ale jest to cały czas proces.

Zapraszając mnie do tej rozmowy, spytała pani o wartości, na jakich jest ufundowana psychiatria środowiskowa. Chciałbym do tego wrócić, bo one wydają mi się kluczowe. O dwóch już powiedziałem: to podmiotowość człowieka w niezdrowiu oraz wolność – zarówno ta od murów, jak i od innych, zbyt często nadużywanych przymusów. Ale są jeszcze dwie inne, równie ważne. To szacunek dla ludzkiego cierpienia i odpowiedzialność. O niej, wydaje mi się, zbyt często zapominamy.

Odpowiedzialność za kogo?
– Za innych, szczególnie tych słabszych. Nie można ich zostawiać samych. A to się teraz próbuje dokonywać. Masz pieniądze? Spełniasz kryteria? Dostajesz pomoc. A co z całą rzeszą ludzi, którzy nie mają pieniędzy i nie spełniają kryteriów?

Chodzi o solidarność. O to, żebyśmy potrafili nosić cudze brzemię. Dopóki jako społeczeństwo nie będziemy umiejętnie korzystać z tych wartości, dopóty nic z tego nie będzie.

Profesor Andrzej Cechnicki, psychiatra, na konferencji upamiętniającej zbrodnie w lasach piaśnickich, gdzie Niemcy w ramach akcji T4 wymordowali ponad 1200 chorych psychicznie, powiedział: „My – ludzie różnych zawodów, różnych narodowości mamy za zadanie tworzenie świata, w którym będzie miejsce dla osób, które są inne, słabsze, wrażliwsze. Tylko wtedy jesteśmy naprawdę ludźmi, kiedy troszczymy się i chronimy tych, którzy tej ochrony potrzebują". Ale tę odpowiedzialność powinno dźwigać chyba przede wszystkim państwo? To jest nawet zapisane jako jego obowiązek w ustawie o ochronie zdrowia psychicznego z 1994 roku.
– To wszystko prawda. Problem w tym, że państwo notorycznie abdykuje z tej roli.

W latach 2000 były różne próby doprecyzowania tej ustawy. Powstawały programy i towarzyszące im dokumenty, w których postulowano między innymi właśnie rozwój środowiskowego modelu ochrony zdrowia psychicznego, a także utworzenie centrów. Już wcześniej w niektórych miejscach istniały ich zalążki, ale były to nieformalne, oddolne inicjatywy. W latach 80. na warszawskim Ursynowie coś takiego próbował tworzyć psychiatra Kazimierz Jankowski. W Toruniu doktor Janiszewski usiłował zreformować szpital w tym duchu. Niestety to się nie powiodło. Wszystkie te próby łączyło jedno – starano się dbać o podmiotowość pacjentów oraz łączyć różne formy oddziaływania. Zwykle pomoc szpitalną z dzienną, ambulatoryjną i środowiskową – w postaci zespołów wychodzących do pacjentów.

Chodziło o współpracę tych różnych pomocowych odnóg.
– O przekazywanie sobie informacji, komunikację i łączenie pomocowego wysiłku.

Bo na czym polegała tragedia szpitala psychiatrycznego? Na tym, że człowiek, u którego udało się opanować burzliwy okres niezdrowia psychicznego, w pewnym momencie wracał do swojego środowiska, a tam piętrzyły się same trudności. Rodzina się zniechęciła, bo nie zawsze musi być heroiczna. Znajomi odchodzili, przyjaciele unikali. Pracy często już nie było, zwłaszcza jak ktoś przebywał w szpitalu 3, 4 czy 6 miesięcy. Taki człowiek po miesiącu, dwóch wracał z powrotem. I stopniowo stawał się tak zwanym chronikiem, czyli pacjentem chronicznym.

W pewnym momencie zorientowano się, że człowiek do życia i zdrowienia potrzebuje czegoś więcej niż uwolnienia od przykrych objawów. Potrzebuje odnaleźć sens i miejsce w życiu, a przede wszystkim więzi.

W końcu, po wielu latach, w 2018 roku udało się w Polsce uruchomić pilotaż reformy opieki psychiatrycznej w tym środowiskowym modelu. Od czego się zaczęło?
– Od powołania w wybranych dwudziestu kilku ośrodkach w różnych województwach centrów zdrowia psychicznego, które miały takie zmiany powoli wprowadzać. Chodziło o to, żeby nie robić tego na rympał, tylko żeby zajęli się tym ludzie, którzy mniej więcej wiedzą, o co chodzi. Te ośrodki na starcie musiały spełniać przynajmniej dwa, a najlepiej pięć kryteriów: dysponować oddziałem całodobowym, dziennym, pomocą ambulatoryjną, środowiskową oraz doraźną, zwykle w szpitalnej izbie przyjęć. Wszystko to miało się znajdować w jednym miejscu lub w bliskiej współpracy i obejmować jeden obszar odpowiedzialności wyznaczony administracyjnie. Kluczem tej zmiany miało być to, że takie centrum na działalność dostawało ryczałt uzależniony od liczby mieszkańców zamieszkujących dany obszar.

> Wszyscy dziś mówią o relacjach, ale relacja to płytki sposób spotkania z drugim człowiekiem. Bez zobowiązań. Jesteśmy w relacji, za chwilę nie jesteśmy, przechodzimy do kolejnej

Ryczałt to zupełnie inne rozwiązanie niż standardowe płacenie za świadczenie, tak zwane fee- for-service, zwykle stosowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia. Jaka jest różnica?
– Świadczenie czy usługa są ściśle zdefiniowane. Rozpoznanie według klasyfikacji psychiatrycznej – taki kod, pierwsza wizyta terapeutyczna – inny kod, kolejna wizyta – jeszcze inny i tak dalej. Do tego PESEL wpisywany w odpowiednią rubrykę. Kończy się to zwykle tym, że specjalista nie tyle udziela pomocy, co spisuje PESEL-e i za to dostaje pieniądze. Więc czy on poświęci temu człowiekowi 10 minut, czy dwie godziny, czy wykona przy tej okazji 10 telefonów do różnych instytucji, na przykład do miejskiego ośrodka pomocy społecznej, żeby sprawdzić jak można jeszcze tę osobę wesprzeć, czy ograniczy się do „smutno pani? Tu ma pani receptę. Do widzenia" – to już bez znaczenia.

Płacenie za usługę sprzyja powielaniu usług najtańszych i najprostszych. A jeśli państwo płaci ryczałtem, to płaci specjalistom nie za to, ile wykonają konkretnych świadczeń, tylko za to, jak w ogóle będzie wyglądało zdrowie psychiczne populacji w danej dzielnicy, powiecie czy mieście, które mają pod opieką.

Rozumiem, że ryczałt pozwala na stworzenie oferty pomocy pod konkretnych mieszkańców? Jeśli dany obszar zamieszkuje np. dużo starszych osób, powinna być ona inna niż tam, gdzie mieszkają głównie młodzi rodzice?
– Docelowo chcieliśmy, żeby powstał specjalny algorytm, który uwzględniałby wiek, płeć danej populacji oraz ciężkość zaburzeń. Bo są takie regiony, w których dominują zaburzenia powszechne, a są takie, gdzie jest więcej tych ciężkich. I na tej podstawie wyliczałoby się ryczałt. Ale kiedy pilotaż startował, żeby nie błądzić i nie projektować z fusów, założyliśmy, że będzie wszędzie wynosił tyle samo. Stawkę na osobę, która wtedy wynosiła chyba około 75 złotych na okres pół roku, mnożyło się przez liczbę mieszkańców danego obszaru i to w sumie dawało fundusz, którym dysponowało centrum na zapewnienie pomocy mieszkańcom, rozwój kompetencji, kadry i infrastruktury.

Dobrze funkcjonujące centrum mogło nawet zaoszczędzić.

W jakim sensie?
– Choćby w takim, że przez to, iż było w stałym kontakcie z ludźmi, udawało się wcześniej opanować kryzys i uniknąć zbędnej hospitalizacji. To jest chyba największa oszczędność. Choć należy tu dodać, że oszczędności powyżej 3 procent kwoty ryczałtu wracały z powrotem do NFZ.

Poza tym dyrektor centrum, dysponując ryczałtem, mógł zdecydować, że na przykład część pieniędzy zainwestuje w samochody, którymi zespoły leczenia środowiskowego będą jeździły do pacjentów w mniejszych miejscowościach w powiecie. I znam miejsca, gdzie takie decyzje podjęto z korzystnym skutkiem dla pacjentów i ich rodzin.

NFZ od początku nie podobał się ten sposób rozliczania, bo nie miał nad nim pełnej kontroli. Dlatego teraz, kiedy centrów jest już około stu, a od 2027 mają wejść na stałe do systemu i docelowo ma być ich około 300, NFZ chce przywrócić płacenie za konkretne usługi. Bo prawdopodobnie boi się, że centra przehulają te pieniądze.

Domyślam się, że w psychiatrii trudniej jest przełożyć leczenie na konkretne procedury, tak jak to jest np. w okulistyce, czy w laryngologii.
– Nie tylko w psychiatrii jest to trudne. Owszem, łatwo jest rozliczać operacje zaćmy. Ale ja mam na przykład tak zwane mokre zwyrodnienie plamki żółtej, co oznacza, że w pewnym momencie przestanę ostro widzieć. To, czy zachowam ostre widzenie, zależy od woli państwa. Od tego, czy ci, którzy mi pomagają, zechcą mnie odpowiednio często widzieć i robić mi zastrzyk dooczny, czy zechcą mnie wspierać, jeśli będę miał jakieś wątpliwości.

Tę nieprzekładalność opieki na konkretne procedury widać wszędzie w medycynie tylko nie wszędzie tak wyraziście, jak w psychiatrii.

Co się może stać, jeśli wprowadzając centra do systemu Ministerstwo Zdrowia wraz z NFZ-em odejdą od ryczałtu?
– Wtedy psychiatria środowiskowa zostanie nią tylko z nazwy.

Zmiana finansowania może oznaczać, że przestaną istnieć na przykład Kluby Pacjenta, niezwykle ważne miejsca, gdzie pacjenci nawiązują relacje, robią coś razem, wychodzą do innych ludzi.

Może „wypaść" współpraca z ośrodkami pomocy społecznej czy lekarzem pierwszego kontaktu. A ona jest niezbędna, bo często pacjenci najpierw tam kołaczą, skarżąc się na różne dolegliwości bólowe, kardiologiczne czy inne, po czym okazuje się, że mają na przykład

eprasa.pl 742b61cb94

depresję. Takie współprace wymagają wielu telefonów, konsultacji. Również z psychologami obeznanymi z tą czy inną formą terapii. Nie da się tego zamknąć w procedurach.

Ważną rolę w tym systemie pełnią też asystenci zdrowienia, czyli specjalnie przeszkolone osoby, które same przeszły przez kryzys i stanowią przykład, który czasem trafia do pacjentów bardziej niż moje uczone wywody.

Asystenci zdrowienia swoim doświadczeniem dzielą się też z bliskimi osób w kryzysie. I to jest kolejna ważna rzecz, którą chyba trudno zamknąć w procedurach, czyli pomoc rodzinom.
– Ta mikro-sieć społeczna otaczająca człowieka jest szalenie ważna. Może go uodparniać, zapobiegać wystąpieniu kryzysu, ale też jego narośnięciu do takich rozmiarów, że potrzebna już będzie radykalna interwencja. Dzięki psychoedukacji prowadzonej w takim centrum, różnym warsztatom, terapii, bliscy mogą uzyskać pomoc dla siebie, ale też nauczyć się wcześniej rozpoznać, że coś się złego dzieje. A człowiek doświadczający kryzysu jest bardziej chętny zwierzyć się im z tego, czego doświadcza.

Ważną ideą w Centrach Zdrowia Psychicznego jest stałość leczenia, żeby pacjent miał kontakt z tymi samymi lekarzami, personelem, żeby, jeśli trafi do szpitala, znał to miejsce.
– Chodzi o stałość, ale i o ciągłość. W projekcie standardu funkcjonowania centrów zapisaliśmy, że jeśli pacjent trafi do szpitala, to już w trakcie jego pobytu powinien go odwiedzić zespół środowiskowy z tej części pozaszpitalnej i razem z nim opracować dalszy plan terapii i zdrowienia. A dla osób, których kryzys jest tak ciężki, że będą później wymagały tak zwanej czynnej pomocy, powinien to być nawet obowiązek. To jest ta dobrze pojęta odpowiedzialność, do której zobowiązuje ryczałt.

Tymczasem Ministerstwo Zdrowia uznało, że szpitale należy wydzielić z tego systemu. Mają być osobno finansowane.

Co właściwie zaprzecza idei Centrum Zdrowia Psychicznego, które ze szpitalem miało stanowić jeden organizm.
– Wówczas ryczałt staje się fikcją, bo pracownik takiego centrum, na przykład lekarz prowadzący pacjenta, nie ma wpływu na to, co się będzie z nim działo, kiedy trafi do szpitala. A może tam trafić w różnych okolicznościach. Z kolei do centrum mogą trafić osoby, które wcześniej były leczone w jakimś szpitalu, ale nie wiadomo jak i dlaczego akurat tak. To nas zawraca z powrotem do poprzedniego modelu, w którym przychodnie i szpitale działają osobno i nikt się z nikim nie komunikuje.

Filarem Centrum Zdrowia Psychicznego jest Punkt Zgłoszeniowo- Koordynacyjny, do którego może się zgłosić każdy potrzebujący pomocy.
– Bez zapisywania się i bez skierowania w dni powszednie i często dostanie tę pomoc od razu. To może być spotkanie z psychologiem, psychiatrą, asystentem zdrowienia, a jeśli pomoc nie jest akurat dostępna, a sprawa jest pilna, musi ją otrzymać najpóźniej w ciągu 72 godzin. Na zorganizowaną pomoc typu psychoterapia indywidualna, grupowa czy warsztaty najczęściej trzeba poczekać, bo zapotrzebowanie jest bardzo duże, natomiast takie doraźne wsparcie dostaje się od razu.

Do Punktu Zgłoszeniowo-Koordynacyjnego może też przyjść rodzina, zaniepokojeni przyjaciele czy sąsiad. Centrum dostaje wtedy sygnał o człowieku w potrzebie, na który musi jakoś zareagować.

Z wydanego właśnie raportu „Przełom w opiece psychiatrycznej w Polsce: Centra Zdrowia Psychicznego w latach 2018-2025" przygotowanego przez stronę społeczną, czyli praktyków pracujących środowiskowo, wynika, że po ośmiu latach pilotażu na terenach, gdzie powstały centra, znacznie spadły hospitalizacje. W mniejszych miejscowościach zwiększył się dostęp do pomocy, w ogóle więcej osób z niej skorzystało. Jednak w centrach, zarówno po stronie kadry, jak i osób z nich korzystających widać raczej duży niepokój niż radość z tego, że w końcu zostaną wcielone do systemu.
– Bo przewidujemy zły obrót spraw. Istnieją duże obawy, że centra w wyniku tych różnych ruchów ministerialnych, jak odejście od ryczałtu czy rezygnacja z odpowiedzialności terytorialnej – bo o tym jeszcze nie powiedzieliśmy, a to też jest w planach – zostaną wyprane z tego aksjologicznego, pomocowego sensu.

Problem też w tym, że do końca nie wiadomo, jak będzie. Na stole nie ma konkretnych dokumentów czy rozwiązań. Są tylko zapowiedzi – a one nie napawają optymizmem.

Myśli pan, że Ministerstwu Zdrowia chodzi wyłącznie o kontrolę nad wydawanymi pieniędzmi, czy może coś w samej psychiatrii środowiskowej budzi wątpliwości?
– Myślę, że dla wielu ludzi jej przesłanki nie są zrozumiałe, dlatego rozmawiamy. Poza tym psychiatria w ogóle, całe to niezdrowie psychiczne, są otoczone pewnym piętnem.

A przecież tyle się o nim mówi przez ostatnie lata.
– No mówi się, ale jak się nie mówi do kamery czy mikrofonu, to już się zaczynają pojawiać różne „świry", „wariaci", „psychiatryk". W badaniach, które robiliśmy kiedyś z CBOS-em, wyszło, że blisko trzy czwarte Polaków zna wyłącznie negatywne określenia na osoby doświadczające niezdrowia psychicznego.

Są przecież różne kampanie społeczne, osoby publiczne zaczęły mówić otwarcie o swoich problemach ze zdrowiem psychicznym.
– To prawda, przełamuje się pewne tabu czy stereotypy. Ale to jest nadal powierzchnia. Zaczątek. Nie ma takiej prawdziwej, ugruntowanej świadomości, że ludzie cierpiący psychicznie to też ludzie i że należy im się pomoc i współbycie. A nie izolacja i samotność.

Jeśli nie uda się przeprowadzić reformy tak, jak się powinno, to w kogo to najbardziej uderzy?
– W osoby z ciężkimi zaburzeniami psychicznymi, których potrzeby są najbardziej złożone: od indywidualnych przez rodzinne, społeczne po bytowe. W przypadku takich osób niezwykle ważną rolę odgrywa opieka czynna, która wychodzi do nich, przygotowuje ich do korzystania z pomocy i dogląda. W standardach działania centrów zapisaliśmy obowiązek kontaktowania się z takimi osobami co tydzień, przynajmniej telefonicznie. Co jakiś czas powinna się odbyć wizyta domowa, a jeśli trzeba – to nawet codziennie. Ale czy to teraz przetrwa?

Te standardy opracowało Ministerstwo Zdrowia?
– Nie, skąd. My, czyli specjaliści zaangażowani w tę reformę. Wersji tych standardów od 2018 roku powstało kilka, najnowsze są ujęte w tak zwanych rekomendacjach ekspertów. Ministerstwo Zdrowia nic nie opracowało, więc tak naprawdę nie wiadomo, czym się będzie kierować, wprowadzając za chwilę centra do systemu.

Mówi się, że psychiatria jest zagrożona stomatologizacją. To znaczy, że jeśli system nie zostanie gruntownie zreformowany, usługi związane ze zdrowiem psychicznym będą dostępne praktycznie wyłącznie prywatnie.
– Ten proces już się właściwie odbywa.

Powodów, dla których ludzie wchodzą w stan kryzysowy, jest coraz więcej. Najpierw pandemia, potem wojna tuż obok. Nasilają się spory o charakterze politycznym, ale i klasowym. W ogóle żyjemy w niespokojnych czasach, wszystko się chwieje. Samo z siebie to nie ustąpi. Bez dobrze działającego publicznego systemu ochrony zdrowia psychicznego będziemy bezbronni. No i będziemy mieć pogodę dla bogaczy, czyli zdrowieć będą ci, których będzie na to stać. Reszta będzie czekać w kolejkach albo w ogóle zrezygnuje.

Domyślam się odpowiedzi, ale co pan sądzi o zakusach niektórych polityków, żeby zupełnie sprywatyzować ochronę zdrowia?
– Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Choć wszystko jest możliwe. Kiedyś nie wyobrażałem sobie, że mogą powstać prywatne szpitale psychiatryczne, a dziś już je mamy. A ile jest prywatnych poradni zdrowia psychicznego. Tam się wykonuje te świadczenia i zbiera śmietanę. A reszta? Do publicznej ochrony zdrowia, póki ona jest. Jak jej zabraknie, to nie wiem, co będzie.

Niektórzy twierdzą, że to dobrze, że prywatna oferta istnieje, bo do państwowej nie ma jak się dostać.
– Centra miały służyć właśnie temu, żeby każdy mógł się do nich dostać i uzyskać godziwą, skuteczną pomoc. Oczywiście to wymaga zwiększenia finansowania, bo przez lata NFZ na psychiatrię przeznaczał około 3,5 procent wszystkich wydatków na zdrowie. W wyniku tej „rewolucji", czyli po pilotażu, przeznacza na nią 4,5 procent. A średnia europejska, licząc z Wielką Brytanią, to 8,7 procent. Prześcigają nas już Litwa, Czechy, Słowacja chyba też.

Według Lancet Commission, niezależnego zespołu ekspertów powoływanych przez prestiżowe czasopismo medyczne „The Lancet", kraj o takich dochodach jak nasz powinien przeznaczać na zdrowie psychiczne około 10 procent wszystkich wydatków zdrowotnych.
– My postulowaliśmy, żeby docelowo na przestrzeni kilku lat to było około 7 procent. Nie chcieliśmy wyjść na chciwców...

Widzi pan w młodszych pokoleniach następców, którzy byliby w stanie dalej pociągnąć tę misyjność psychiatrii środowiskowej?
– Widzę. Jeśli tylko nie podetnie im się nóg i nie zniszczy tego zasiewu, który został rzucony. W centrach, które dane mi było odwiedzić w początkach pilotażu, panował entuzjazm. Wszystkim się podobało, że coś się zmienia. Różnie się potem układało, bo nie wszystkie rozwinęły się tak, jak powinny, ale potrzeba sensownie wykonywanej pracy jest do obudzenia.

Inna rzecz, że ta nasza praca też jest często stygmatyzowana. Jesteśmy przez kolegów innych specjalizacji czasem traktowani z wyższością.

W mediach przedstawia się was niekiedy jako, za przeproszeniem, dilerów leków.
– Dawniej mówiono, że świrujemy, że sami jesteśmy chorzy. Jak przyjechałem na staż do Warszawy, to jeden ze starszych lekarzy spytał mnie: po co panu ta psychiatria? Zmarnuje pan swój intelekt, talenty. Pan jest mądry doktor, niech pan lepiej zostanie internistą.

To dlaczego pan się na nią zdecydował?
– Bo chciałem czegoś, co jest szczególnie trudne. A to jest trudna dziedzina. Trzeba w niej pokonywać różne ziemie niczyje, czasem wędrować na przekór i w samotności.

Powiedział pan o prywatyzacji psychiatrii, o pogłębianiu się nierówności. Ja się obawiam jeszcze jednego – że jeśli system nie zostanie sensownie zreformowany, a osób potrzebujących pomocy będzie przybywać w takim tempie, to z braku rozwijania innych metod pomagania, ograniczy się ona do leczenia wyłącznie lekami. I wiele osób...
– ...utknie na nich na lata. A niektóre będą mieć objawy polekowe, które będziemy leczyć kolejnymi lekami, a efekty uboczne tych leków – kolejnymi i tak to się będzie kręcić.

Co się powinno wydarzyć, żeby po tym ośmioletnim pilotażu system oparty na Centrach Zdrowia Psychicznego został wprowadzony do systemu z sensem?
– Przede wszystkim Ministerstwo Zdrowia powinno zrezygnować z pozycji wszechwiedzącego, a Narodowy Fundusz Zdrowia z pozycji wszechwładnego, usiąść i porozmawiać z tymi ludźmi, którzy mają środowiskową opiekę psychiatryczną w sercach, umysłach i w praktyce. Zapytać nas, co jest możliwe. Rekomendacje dotyczące konkretnych zmian są gotowe, standard organizacyjny jest gotowy. Pilotaż pokazał, co się udało, a co wymaga poprawy. Są raporty, które to pokazują. Powinien też powstać ośrodek monitorujący tę reformę, który będzie czuwał nad jej realizacją.

A dlaczego osoby zdrowe powinno w ogóle obchodzić to, jak jest zorganizowana opieka psychiatryczna w Polsce?
– Z dwóch powodów. Żeby nie musieli patrzeć, jak ludzie ciężko chorzy psychicznie chodzą po śmietnikach i wybierają z nich resztki albo osuwają się w bezdomność. Tak jak to się dzieje w Ameryce.

A drugi powód jest taki, że tym kimś, kto może za pół roku, rok czy dwa potrzebować takiej pomocy, może być ktoś z ich najbliższej rodziny. Albo oni sami. ●

I ty możesz zostać pacjentem

co 4 Polak lub Polka
• przeżywa w swoim życiu coś, co spełnia medyczną definicję zaburzenia

60-70 proc.
• populacji doświadcza trudnych przeżyć, z którymi też można sobie nie poradzić

ok. 100
• Centrów Zdrowia Psychicznego już działa w Polsce. Docelowo ma być ich ok. 300

w ciągu 72 godzin
• musi dostać pomoc – np. spotkanie z psychologiem, psychiatrą, asystentem zdrowienia – osoba zgłaszająca się do Centrum Zdrowia Psychicznego

3,5 proc.
• wszystkich wydatków na zdrowie przeznaczał NFZ na psychiatrię, obecnie to 4,5 proc. Średnia europejska to 8,7 proc.

10 proc.
• wszystkich wydatków zdrowotnych powinien. wg ekspertów Lancet Commission, przeznaczać na psychiatrię kraj o takich dochodach jak Polska

eprasa.pl 742b61cb94

KRAJ

NIE ODDAMY ANI GUZIKA

Tym razem naprawdę. Brytyjczycy i Francuzi są gotowi umierać za Białystok.

Z **MARKIEM ŚWIERCZYŃSKIM***, EKSPERTEM DS. BEZPIECZEŃSTWA ROZMAWIA **DOROTA ROMAN**

Dwustronne traktaty obronne zawarte przez Polskę z Francją i Wielką Brytanią to efekt słabości NATO czy pytań o wiarygodność Artykułu 5. Paktu?
– Absolutnie nie i wprost przeciwnie. To istotne wzmocnienie dotychczasowych wielonarodowych struktur oraz sieci wzajemnych zobowiązań, w których uczestniczy Polska. A filarem naszego bezpieczeństwa jest nie tylko NATO, ale również Unia Europejska. Ona też dysponuje wklauzulą wzajemnej pomocy na wypadek agresji zbrojnej, zapisaną w artykule 42. ustęp 7 Traktatu o UE.

Oprócz tych dwóch traktatów dwustronnych o najwyższej randze Warszawa podpisała w 2024 r. strategiczne porozumienie ze Sztokholmem. Choć ma formalnie niższy status, to po wejściu Szwecji do NATO tworzy nową platformę współpracy. Istotnie wzmacnia bezpieczeństwo w basenie Morza Bałtyckiego oraz na całej wschodniej flance NATO. Morze Bałtyckie to kwestia absolutnie fundamentalna dla Polski. To na Bałtyku krzyżują się dziś interesy decydujące nie tylko o naszym twardym bezpieczeństwie, ale i o rozwoju gospodarczym Polski.

Nie jest tak, że kraj bezpośrednio narażony na konflikt z Rosją szuka głębszych zabezpieczeń, ponieważ wielostronne gwarancje NATO przestają wystarczać?
– To, że państwa takie jak Polska i jej partnerzy z Europy Zachodniej i Północnej uznają za konieczne ponowne, dwustronne formułowanie takich deklaracji, stanowi czytelny sygnał, że we współczesnej dyplomacji bezpieczeństwa istnieje realna potrzeba tworzenia dodatkowych mechanizmów.

Podczas gdy NATO koncentruje się ściśle na najtwardszych zobowiązaniach obronnych, traktaty bilateralne obejmują szersze spektrum zagadnień. Te umowy elastycznie poszerzają regionalny system bezpieczeństwa.

Współpraca technologiczna w dziedzinie obronności, realizacja konkretnych projektów przez przemysły zbrojeniowe Polski i jej partnerów, pogłębiona współpraca wywiadowcza oraz wymiana informacji – wszystko to rozwija się równolegle do głównych struktur NATO. Działania te w naturalny sposób przenikają się z inicjatywami na forum Unii Europejskiej.

Polskie dążenie do umów z Paryżem i Londynem to próba przełamania traumy z 1939 roku, gdy sojusze okazały się papierową deklaracją? Trauma niewypełnienia zobowiązań i lęk, że w godzinie próby zachodni sojusznicy mogą nas opuścić, w Polsce jest żywa.
– Żyjemy w XXI wieku, w zupełnie nowych realiach, a obecne wielostronne formaty sojusznicze to fundament, który stanowi punkt wyjścia do kolejnych dwustronnych zobowiązań. Wystarczy spojrzeć na pierwsze artykuły któregokolwiek z tych traktatów: zawsze na pierwszym miejscu wymienia się ONZ i Kartę Narodów Zjednoczonych, a zaraz potem NATO i Unię.

W przypadku traktatu z Francją kluczowe znaczenie ma wymiar nuklearny.
– Wprowadzenie francuskiego odstraszania atomowego do bezpośrednich relacji z Warszawą diametralnie zmienia naszą pozycję bezpieczeństwa. Francja to jedyne państwo Unii dysponujące wojskowymi zdolnościami nuklearnymi oraz jeden z trzech takich krajów w strukturach NATO. Jako stały członek Rady Bezpieczeństwa ONZ, Paryż należy do globalnej, tradycyjnej „nuklearnej piątki".

Bliższe związanie się z partnerem o takim statusie niesie fundamentalne korzyści. Paryż jest bowiem uznawany za jednego z głównych liderów europejskich inicjatyw obronnych, co w połączeniu z francuskim potencjałem odstraszania i pozycją dyplomatyczną diametralnie wzmacnia nasze bezpieczeństwo.

Francja, pod przywództwem kończącego w przyszłym roku kadencję prezydenta Emmanuela Macrona, stała się również niekwestionowanym liderem debaty o przyszłości i autonomii strategicznej Europy. Wyraźnie wyróżnia się to na tle wielu innych, dużych państw europejskich.

Co oznacza francuski parasol atomowy w praktyce?
– W dotychczasowych rozmowach nie spotkałem się z żadnym doprecyzowaniem. I tak właśnie ma być – w architekturze bezpieczeństwa celowe niedopowiedzenie bywa najskuteczniejszą strategią.

Poruszamy się w sferze spraw o najwyższej wadze państwowej. To tematy tak delikatne, że mało kto chce o nich mówić. A jeszcze mniej jest osób, które mają realny wgląd w to, co dzieje się za drzwiami gabinetów.

Wszelkie porozumienia w tym zakresie muszą opierać się na deklaracjach Paryża oraz nienaruszalnych zasadach francuskiej doktryny nuklearnej. A ona definiuje arsenał jądrowy Francji jako fundamentalne narzędzie suwerenności narodowej. Zgodnie z tą doktryną decyzja o użyciu broni masowego rażenia pozostaje pod absolutną kontrolą prezydenta Republiki Francuskiej. Ale jakieś wskazówki mamy. Zdolności nuklearne Francji mają służyć nie tylko ochronie terytorium narodowego, ale również powiązanych z nim „żywotnych interesów". A od wielu lat Paryż otwarcie wskazuje na europejski wymiar swoich „żywotnych interesów".

Ale jak w godzinie próby byłaby potraktowana Polska? Odpowiedź celowo pozostaje ukryta za drzwiami gabinetów, aby nam dać elastyczność, a potencjalnemu agresorowi dać twardo do myślenia.

Czyli?
– Najpewniej francuski interes narodowy „widzi" granice Polski.

Czyli?
– Zawsze chodziło nam o to, by Francuzi dostrzegali w ataku np. na Białystok śmiertelne zagrożenie dla siebie. By w przypadku rosyjskiej agresji Paryż brał pod uwagę pełne spektrum odpowiedzi, z użyciem broni jądrowej włącznie.

Oczywiście to tylko hipoteza. Ale po stronie polskiej o to właśnie toczy się gra: o włączenie nas w ten atomowy parasol. I to nie tylko nas, bo przecież bezpieczeństwo Polski zależy bezpośrednio od losów Ukrainy oraz naszych sąsiadów: Litwy, Łotwy i Estonii. Naszą racją stanu jest, aby mocarstwa nuklearne z kręgu naszych sojuszników – kraje, które myślą tak jak my i na poważnie definiują rolę atomu w obronie kontynentu – skutecznie odstraszały przeciwnika.

Chodzi o to, by stale wisiała groźba użycia broni jądrowej, która chroni nawet odległe od Paryża co 1600 kilometrów miejsca, takie jak przysłowiowy Białystok.

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

A Polska w tym traktacie to?
– Mimo naturalnej skłonności do samokrytyki oraz obiektywnych problemów gospodarczych, demograficznych, modernizacyjnych, Polska wyrosła na niezwykle poważnego gracza w europejskiej architekturze obronnej. Nasz potencjał militarny oraz determinacja w budowaniu bezpieczeństwa regionalnego sprawiają, że stajemy się kluczowym punktem odniesienia dla mocarstw kontynentu.

My szukamy ciągle fundamentu w tradycyjnie rozumianej Europie Zachodniej, tymczasem zachodnie stolice patrzą na nas jak na lidera Wschodu. Staliśmy się partnerem po prostu niezbędnym do zabezpieczenia Europy.

Dlaczego?
– Bo to Polska ma dziś największą armię lądową na kontynencie. Bo mamy rosnące zdolności rażenia dalekiego zasięgu i nowoczesnego wywiadu. Wreszcie dlatego, że u wrót Rosji i Białorusi jako pierwsi na wschodniej flance wdrażamy samoloty F-35 i bierzemy na siebie pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo Bałtyku.

I blisko 5 proc. PKB inwestowane w nasze siły zbrojne. Jesteśmy absolutnym liderem w całym NATO.
– Te pieniądze to absolutny fundament – dzięki nim możemy kupować najnowocześniejszy sprzęt. Ale najważniejsza jest nasza narodowa determinacja.

Spójrzmy: dochodzi do głębokiej zmiany rządu, na co dzień te dwa obozy polityczne ostro się zwalczają, a jednak w kwestii armii postanowiły utrzymać ten sam kurs. Linia obrony jest kontynuowana, a strzałka na wykresach modernizacyjnych armii idzie wyłącznie w górę.

A jednocześnie Polska należy do grupy państw, którym najbardziej zależy na utrzymaniu stałej obecności militarnej Ameryki w Europie. Nie chodzi wyłącznie o fizyczną, jak to się mówi w żargonie, stacjonarność tysięcy żołnierzy nad Wisłą, ale o polityczną i operacyjną gotowość USA jako supermocarstwa, które w godzinie próby bez wahania stanie do obrony sojuszników.

Jakie obowiązki dla nas z porozumienia z Francją?
– Sam traktat stanowi jedynie ramy prawne. Jego realną treść definiuje bieżąca, ściśle tajna współpraca operacyjna na szczeblu wojskowym i rządowym. Być może nastąpi to na poziomie opracowania jakichś dwustronnych planów obronnych.

Tu wciąż jest mnóstwo pracy do wykonania. Przez pierwsze miesiące po podpisaniu traktatu mieliśmy do czynienia z pewnym zastojem.

Czyli od maja 2025 roku.
– Politycy odwiedzali się nawzajem, ale prawdziwe otwarcie drzwi i zaproszenie nas do fundamentalnej dyskusji nuklearnej nastąpiło teraz, dosłownie parę tygodni temu.

Skoro kluczowe ustalenia traktatu z Francją są tajne, to może o ich kierunku świadczą działania pośrednie: ruchy wojsk, nagłe umowy handlowe czy niespodziewane wizyty urzędników?
– To wszystko nie jest takie proste. Zacznijmy od tego, że w Polsce nie mamy jeszcze kompetencji do prowadzenia poważnej debaty nuklearnej. Powód jest prozaiczny – nigdy w tym klubie nie byliśmy. Przez dekady nasza dyplomacja stała raczej po stronie tych, którzy walczą o globalne rozbrojenie. Byliśmy w tym zresztą bardzo aktywni, prowadząc, chociażby obrady związane z traktatem o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Dzisiaj, wraz z położeniem na stół kwestii nuklearnej, te tradycyjne wektory polskiej polityki odwracają się i wkraczamy na zupełnie nieznany dotąd grunt. Polska stoi zatem przed poważnym wyzwaniem i koniecznością odrobienia własnej lekcji, co wymaga przejścia przez głęboki proces edukacji strategicznej.

W relacjach z Paryżem istotną przeszkodą pozostaje specyficzna bariera językowa i pojęciowa.

Oficjalne dokumenty są pisane językiem dyplomatycznym, gdzie zmiana choćby słowa sygnalizuje zmianę stanowiska.
– W dyplomacji nuklearnej nie wystarczy dosłowne przetłumaczenie słów kierowanych do nas przez stronę francuską. Kluczem jest precyzyjne odczytanie sensu osadzonego w ich unikalnej doktrynie, historii, uwarunkowaniach operacyjnych oraz kulturze strategicznej.

Kiedy Polskę może objąć francuski parasol?
– Trudno precyzyjnie określić, zwłaszcza że dynamikę działań dyktuje kalendarz polityczny. A kluczowe terminy wyborcze obu państw niebezpiecznie się zbiegają: w kwietniu 2027 są wybory prezydenckie we Francji, a jesienią tego samego roku wybory parlamentarne w Polsce.

Okazją do tych rozmów był Pierwszy Polsko-Francuski Szczyt Międzyrządowy w Gdańsku, który odbył się 20 kwietnia z udziałem prezydenta Macrona i premiera Tuska.
– Naturalnym oczekiwaniem po wizycie prezydenta Francji oraz po oficjalnym zaproszeniu Warszawy do debaty nuklearnej było rychłe powołanie grupy roboczej. Dotychczas do tego nie doszło, co sygnalizuje impas. Jeśli ta grupa nie powstanie w najbliższym czasie, sfinalizowanie strategicznych ustaleń przed upływem obu terminów politycznych będzie prawdopodobnie niemożliwe.

Czyli te wszystkie sojusze są aktualne dziś, a jutro mogą nie być. Zależą od tego, kto utrzyma lub przejmie władzę we Francji i w Polsce.
– Paryż stoi na stanowisku, że decyzje podjęte na szczeblu strategicznym zachowują ciągłość, jednak ich realizacja może przebiegać w różnym tempie. Każdy prezydent Republiki ma konstytucyjne prawo do odciśnięcia własnego piętna na doktrynie nuklearnej i przedstawienia autorskiej interpretacji jej założeń. Jak te zobowiązania będzie rozumiał następca Macrona i czy utrzyma dotychczasowy kurs wobec wschodniej flanki?

To może z innym sojusznikiem będzie łatwiej. „Ranga tej umowy jest potężna. Największy krok w relacjach obronnych obu państw od pokolenia" – tak BBC nazwała traktat Polski ze Zjednoczonym Królestwem podpisany 27 maja.

Mimo naturalnej skłonności do samokrytyki musimy uświadomić sobie, że Polska dysponuje obecnie potężną – a w wielu obszarach prawdopodobnie najsilniejszą – armią w tej części Europy

– To pierwszy tak głęboki traktat obronny z Londynem, choć nasze wojska od lat łączą bliskie więzi, tradycja historyczna oraz wspólne operacje zagraniczne. Polska nie miała dotychczas z Brytyjczykami umowy wojskowej o tak wysokiej randze. Niemniej jednak pod względem interoperacyjności i integracji systemów bojowych różnic technicznych jest tak wiele, że czeka nas jeszcze trudniejsza lekcja do odrobienia niż przy współpracy z Francją.

Warto zauważyć, że traktat z Londynem celowo wykracza poza tradycyjne ramy militarne. Obejmuje współpracę w polityce klimatycznej oraz transformacji energetycznej. Tylko tak się składa, że zapisy traktujące przeciwdziałanie zmianom klimatu jako element bezpieczeństwa narodowego budzą obecnie w Polsce kontrowersje i nie podobają się niektórym ośrodkom władzy.

Co nie zmienia faktu, że dla Warszawy oczywistym jest cementowanie relacji i szukanie twardego potwierdzenia współpracy obronnej z tradycyjnymi potęgami europejskimi. Po sfinalizowaniu traktatów z Paryżem i Londynem, premier Tusk zapowiedział już analogiczne porozumienie z Włochami.

Dopełnieniem tej sieci sojuszy będzie planowane podpisanie resortowej umowy z Niemcami. To nie będzie pełnoprawny traktat, a porozumienie o niższej randze, lecz będzie zawarte w symbolicznej chwili – w 35. rocznicę polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie.

Traktat polsko-brytyjski obejmuje między innymi rozwój broni rakietowej nowej generacji. Co wiemy o tej współpracy i technologiach dla naszego wojska?
– O ile traktat z Francją to otwarcie zupełnie nowego rozdziału, o tyle umowa z Wielką Brytanią to raczej zebranie dotychczasowych klocków, spakowanie ich i podniesienie na najwyższą traktatową półkę.

Londyn już za poprzednich rządów wyrósł na naszego kluczowego partnera zbrojeniowego. Od lat realizujemy potężne kontrakty, głównie we współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową. Co najważniejsze: te działania mają pełne poparcie rządów w Warszawie i Londynie, bo mówimy o transferze unikalnych technologii rakietowych, które Brytyjczycy zazwyczaj chronią jak najgłębszą tajemnicę państwową.

Obrona powietrzna i technologie rakietowe to absolutne jądro tej współpracy. Przecież nasz flagowy system krótkiego zasięgu, program Narew – czyli nowoczesne rakiety ziemia-powietrze krótkiego i średniego zasięgu do zwalczania samolotów, śmigłowców, dronów oraz pocisków manewrujących – budujemy właśnie na brytyjskiej rodzinie pocisków CAMM.

Co ważnie, to nie jest zwykły zakup z półki – następna generacja tych rakiet ma być projektowana i rozwijana z Polską, na bazie naszych wspólnych doświadczeń. W tym celu Polska Grupa Zbrojeniowa oraz brytyjska filia koncernu MBDA – wchodząca w skład europejskiego konsorcjum rakietowego – zawarły już kilka lat temu porozumienie o ścisłej współpracy przemysłowej. Początkowo kooperacja skupiała się na produkcji nowoczesnych pocisków przeciwlotniczych, ale ewoluuje ku obszarowi uznawanemu za „świętego Graala" współczesnej obronności kontynentu. Chodzi o rozwój *Deep Precision Strike*, czyli zdolności do głębokiego, precyzyjnego rażenia, co pozwoli naszym siłom zbrojnym skutecznie niszczyć cele strategiczne na dalekich dystansach.

W praktyce operacyjnej chodzi o pozyskanie pocisków manewrujących, dronów uderzeniowych dalekiego zasięgu oraz innych zaawansowanych systemów, które charakteryzują się wysoką prędkością, obniżoną wykrywalnością – to właśnie technologia *stealth* – oraz zdolnością do precyzyjnego rażenia w głębi terytorium Federacji Rosyjskiej.

To porozumienia równych stron?
– Wszystkie te umowy mają charakter w pełni partnerski. Stanowią jednoznaczne potwierdzenie faktu, że Polska wyrosła na gracza o takim znaczeniu strategicznym, którego nie sposób traktować marginalnie.

Musimy jednak obiektywnie przyznać, że w wymiarze technologicznym wciąż występujemy w roli „młodszego partnera". Nie posiadamy jeszcze w pełni samodzielnie rozwiniętych technologii rakietowych czy zaawansowanych systemów bezzałogowych dalekiego zasięgu. Nadrabianie zaległości postępuje jednak niezwykle dynamicznie. W Polsce uruchamia się obecnie zupełnie nowy sposób myślenia o suwerenności przemysłowej, opartej na stopniowej polonizacji i przejmowaniu kluczowych kompetencji inżynieryjnych od zachodnich partnerów. Polska, czerpiąc z doświadczeń amerykańskich oraz ukraińskich, tworzy unikalny, hybrydowy model rozwoju potencjału obronnego. Warszawa aktywnie poszukuje – nie tylko za granicą, również na rynku krajowym – partnerów niekonwencjonalnych. Chodzi o mniejsze, elastyczne podmioty technologiczne, które są pozbawione biurokratycznych obciążeń charakterystycznych dla wielkich koncernów zbrojeniowych.

Taka strategia ma na celu nie tyle wyprzedzenie rynkowej konkurencji, ile przede wszystkim przełamanie własnych, wewnętrznych ograniczeń instytucjonalnych i technologicznych. Wielka Brytania to idealny partner – łączy potencjał potężnych konglomeratów przemysłowo-technologicznych z dynamicznie rozwijanym ekosystemem start-upów i małych przedsiębiorstw. A one cechują się znacznie większą zwinnością, błyskawicznie reagują na bieżące zapotrzebowanie sił zbrojnych.

Kluczowym czynnikiem stymulującym brytyjskie innowacje jest skrupulatne śledzenie i implementowanie wniosków z wojny na Ukrainie, co pozwala im na natychmiastowe dostosowywanie technologii do realnych wymagań armii i pola walki.

Brytyjczycy przyjęli odmienną niż Polska strategię obecności operacyjnej: od początku wojny utrzymywali przedstawicieli na terytorium Ukrainy. Ich siły specjalne, służby wywiadowcze dyslokowały tam swój personel, często nie ukrywając przesadnie tej obecności. W efekcie brytyjscy specjaliści – operując nierzadko w bliskim sąsiedztwie linii frontu – prowadzili bezpośrednie obserwacje i gromadzili bezcenne doświadczenia bojowe.

Szczególną uwagę poświęcano analizie technicznej sprzętu: i działania w trudnych warunkach frontowych zachodnich systemów przekazywanych Ukrainie, i przechwyconego wyposażenia rosyjskiego, w tym zestrzelonych bezzałogowców oraz uszkodzonych pojazdów opancerzonych. Pozyskane komponenty i dane służyły natychmiastowemu wyciąganiu wniosków. Taka jest fundamentalna rola wywiadu wojskowego – ciche i efektywne uczenie się na cudzych błędach oraz doświadczeniach.

Nowy traktat obronny obejmuje też wspólne projekty dotyczące bezpieczeństwa na Morzu Bałtyckim.

• Wspólne ćwiczenia żołnierzy służby czynnej oraz rezerwistów z 2. Pułku francuskiej Piechoty Morskiej na poligonie w regionie Le Mans we Francji. (2.07.2025)
FOT. FREDERIC PETRY / HANS LUCAS/AFP

• Marek Świerczyński
szef działu bezpieczeństwa i spraw międzynarodowych Polityka Insight. Wcześniej, od lat 90., obronnością i polityką międzynarodową zajmował się jako pracownik sekcji polskiej BBC World Service w Warszawie i Londynie, wydawca programu „Polska i Świat" w TVN24 i współpracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, waszyngtońskiego Center for European Policy Analysis, German Marshall Fund czy Akademii Obrony Narodowej.

eprasa.pl 742b61cb94

– Po brexicie Londyn zaczął intensywnie szukać nowej roli geopolitycznej, rozwijając inicjatywy skierowane na północ Europy. Szczególne zaangażowanie widać w basenie Morza Bałtyckiego, gdzie Brytyjczycy zacieśniają współpracę zwłaszcza z Estonią i Łotwą.

Wielka Brytania od początku pełni rolę, jak to się mówi, państwa ramowego dla wysuniętej obecności wojskowej NATO w Estonii. Choć Brytyjczycy nie dysponują masowymi siłami lądowymi i mieliby trudności z szybkim wysłaniem na wschodnią flankę pełnej brygady, w Estonii postawili na misję tak zwanej wysokiej mobilności. Ich atutem są mniejsze, wysoce mobilne komponenty: okręty, śmigłowce, lotnictwo oraz jednostki spadochronowe.

Londyn regularnie angażuje się także w natowską misję patrolowania nieba nad krajami bałtyckimi, znacząco wzmocnioną po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. W ten sposób Wielka Brytania na stałe zakorzeniła się w regionie. Podobnie jak Kanadyjczycy na Łotwie, Niemcy na Litwie czy Amerykanie w Polsce, Brytyjczycy zabezpieczają dziś bezpośrednie przedpola strategicznego przesmyku suwalskiego.

17 czerwca Warszawa podpisze kolejny traktat... wróć, nie traktat, a resortową umowę o współpracy wojskowej – z Berlinem.

– Optymalnym rozwiązaniem byłoby zawarcie w umowie klauzuli wzajemnej obrony. Brak rangi traktatowej wskazuje, że dokument nie będzie służył takim celom.

Współpraca z Niemcami jest dla nas kluczowa ze względu na bliskość geograficzną i niezwykle rozwinięte więzi gospodarcze między naszymi krajami. Nie trzeba tworzyć nowych mechanizmów od zera – silne powiązania biznesowe po prostu istnieją i od lat funkcjonują w praktyce. W wielu obszarach rozumiemy się bez słów. A tę bliskość dodatkowo pieczętuje gęsta sieć połączeń komunikacyjnych i infrastrukturalnych.

Kluczowe znaczenie ma potencjał niemieckiego przemysłu, wciąż uznawanego za wiodący w Europie. Można oczywiście długo dyskutować o jego kondycji – zarzucać mu ociężałość, nadmierne uzwiązkowienie, niejasne układy decyzyjne – jednak jego możliwości i poziom pozostają bezdyskusyjna. To wciąż potężna maszyna przemysłowa, która otrzymuje obecnie wyraźne sygnały ze strony rządu. Berlin oczekuje od sektora produkcyjnego przestawienia się na tory obronne – w tym rozwoju technologii podwójnego zastosowania, *dual-use*, oraz bezpośredniej produkcji sprzętu wojskowego i uzbrojenia.

Berlin dysponuje również sektorem stricte obronnym, który niezwykle agresywnie rozpycha się dziś w Europie. Koncern Rheinmetall jest obecny praktycznie w każdym kraju wschodniej flanki NATO i coraz mocniej stara się ugruntować pozycję także w Polsce.

Niemcy doskonale dogadują się biznesowo z Amerykanami, dzięki czemu skutecznie ściągają do siebie produkcję, o jaką Polska zabiega bezskutecznie od dekad – i to mimo statusu rzekomo najlepszego, modelowego sojusznika Waszyngtonu. Niemcy kupiły F-35 po nas, ale to one wyprodukują do nich części kadłubów. Co więcej, zabezpieczyły u siebie produkcję rakiet do systemów Patriot oraz pocisków GMLRS dla systemów HIMARS. Polskie zakłady, mimo wieloletnich zakupów w USA, wciąż nie mogą doprosić się od Amerykanów podobnych praw licencyjnych.

W tym widać wyraźną różnicę statusów między Niemcami a Polską w relacjach z USA. Gdy Polska pełni rolę lojalnego i kluczowego kupca amerykańskiego uzbrojenia, Niemcy są dla Waszyngtonu pełnoprawnym partnerem przemysłowym, zdolnym do przejmowania najbardziej zaawansowanych technologii obronnych.

I to mimo faktu, że kanclerz Niemiec ma o tej administracji i jej działaniach jasne zdanie i nie waha się go wyrażać.

– Rolę polityczną Berlina wzmacnia jego stabilność, czyli fakt, że kolejne wybory parlamentarne odbędą się dopiero w 2029 roku.

Impulsem do zmian w relacjach niemiecko-amerykańskich stała się też niedawno ogłoszona niemiecka strategia obronna oraz powiązane z nią deklaracje przemysłowe. Niezwykle interesujące – jasno wynika z nich, że Niemcy chcą radykalne dofinansować armię i cały system bezpieczeństwa. Do 2029 roku Berlin planuje wydawać 3,5 procent PKB, wyprzedzając tym samym terminy narzucone przez Donalda Trumpa podczas ubiegłorocznego szczytu w Hadze.

Choć ten nagły wzrost potęgi Berlina nie wszystkich cieszy, warto zastanowić się, jak przekuć niemiecki zwrot na naszą korzyść. Kluczem powinno być poszukiwanie synergii oraz komplementarności naszych potencjałów.

Współpraca jest konieczna także z powodów logistycznych. Polska znajduje się w samym centrum osi Berlin–Wilno. To właśnie na Litwie Niemcy formują nową brygadę pancerną, a my stanowimy dla niej bezpośrednie zaplecze i drogę zaopatrzenia.

Bez dobrych relacji z Polską, sprawnego ułożenia kwestii mobilności wojskowej oraz porozumienia w sprawach łączności – czyli współpracy, której w ostatnich latach tak bardzo nam brakowało – nie da się sprawnie przesunąć sił niemieckich przez nasze terytorium. Bez Warszawy Berlin nie zdoła skutecznie ruszyć z pomocą Litwie, gdy zajdzie taka potrzeba.

Porozumienie z Niemcami uwzględni fizyczną obecność jednostek Bundeswehry? Niemieccy żołnierze będą stacjonować w Polsce?

– Trudno przewidzieć, ale wiadomo, że Warszawa podejmowała próby rozmów na ten temat z Berlinem.

Gdy rząd Donalda Tuska przejmował władzę, istniała duża nadzieja na przełom w relacjach z Europą Zachodnią oraz odnowienie Trójkąta Weimarskiego. Liczono, że za reaktywacją współpracy Polski, Niemiec i Francji pójdzie głębokie partnerstwo wojskowe, skutkujące choćby rotacyjną lub stałą obecnością Bundeswehry u nas.

Ale nie wyszło. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że niemiecka armia jest w Polsce obecna na różne sposoby. Choć nie ma tu stałych baz, niemieccy żołnierze regularnie pojawiają się u nas w ramach misji rotacyjnych czy wspólnych ćwiczeń sojuszniczych.

– Pierwszym filarem tej obecności jest lotnictwo. W ostatnich latach niemieckie myśliwce Eurofighter dwukrotnie stacjonowały w Polsce w ramach misji po około cztery miesiące.

Drugim niezwykle istotnym elementem było rozmieszczenie niemieckich baterii Patriot w okolicach lotniska w Rzeszowie. Ta misja, zapoczątkowana jeszcze za rządów PiS, stanowiła bezpośrednią odpowiedź na zagrożenia wynikające z wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie.

Podobne rozwiązania będą zapewne wracać. Trzeba jednak pamiętać, że konkurentów o niemieckie wsparcie jest wielu. Nie jesteśmy jedynymi chętnymi na te zasoby. Dosłownie kilka tygodni temu Bundeswehra poinformowała o planach rozmieszczenia Patriotów w Turcji. NATO od lat prowadzi tam operację chroniącą przestrzeń powietrzną Turcji przed atakami balistycznymi z Syrii, a obecnie także z Iranu. Niewykluczone, że to będą te same baterie, które stacjonowały na lotnisku Rzeszów-Jasionka.

Należy mieć świadomość, że gdy Polska dopiero zaczyna wchodzić w rolę dostawcy bezpieczeństwa dla innych krajów, Niemcy realizują to zadanie naturalnie i od dawna. Ich zaangażowanie sojusznicze będzie z pewnością rosło, co bezpośrednio wiąże się z ambitnymi planami rozbudowy Bundeswehry.

Berlin realizuje obecnie trzyetapowy plan rozbudowy armii. W samym centrum zmian stoi obrona przeciwrakietowa oraz rozwój lądowych sił manewrowych. Przykładem tych drugich jest formowana właśnie brygada pancerna na Litwie, która ma być trzonem niemieckiej obecności na wschodniej flance.

Polska i Niemcy mają dziś niezwykle wiele wspólnych tematów do rozmowy. Choć nasze armie nie zawsze korzystają z tych samych platform sprzętowych, to kluczowym punktem stycznym staje się obrona powietrzna.

Dla Warszawy wyjątkowo interesująca jest planowana w Niemczech produkcja pocisków Patriot starszej generacji – PAC-2 GEM-T. Przecież z Waszyngtonu już popłynęły komunikaty o opóźnieniach dostaw najnowszych pocisków PAC-3 MSE dla Polski wskutek stale napiętej sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Publikacja zdjęć z polskich satelitów przedstawiających rosyjskie okręty w bazach to klasyczny zabieg z zakresu komunikacji strategicznej. Rosjanie dostają jasny sygnał

Gdzie Amerykanie wystrzelali się z zapasów i nie nadążają z ich uzupełnieniem.

– Uruchomienie produkcji tych pocisków w Bawarii otwiera przed Polską unikalne możliwości. Ponieważ Warszawa zakupiła już kompatybilne wyrzutnie, a dostęp do najnowocześniejszych amerykańskich rakiet bywa utrudniony, niemiecka linia produkcyjna staje się dla nas naturalną alternatywą.

To szansa na partnerstwo, jakiego Polsce nigdy dotąd nie udało się wynegocjować ze Stanami Zjednoczonymi – zwłaszcza że nasz kraj wciąż nie zdołał opracować własnego, niskokosztowego pocisku przechwytującego.

Ostatecznie wszystkie te sojusze i zakupy służą jednemu celowi: polska armia ma dysponować potencjałem, który na serio odstraszy, a w razie konieczności skutecznie zatrzyma Putina.

– Skuteczne odstraszanie musi opierać się na rzeczywistych, sprawdzonych i wyraźnie zademonstrowanych przeciwnikowi zdolnościach. Nie wystarczą same deklaracje, że dysponujemy takim czy innym potencjałem – kluczowa jest jego demonstracja. Mogąca przybierać formę „miękkiego" pokazu siły.

Czyli?

– Doskonałym przykładem są niedawne działania polskiego sektora satelitarnego, który rozwija się w błyskawicznym tempie. Publikacja zdjęć precyzyjnie pokazujących rosyjskie okręty w jednej z baz była jasnym sygnałem.

Choć opinia publiczna mogła to odebrać jako efektowny pokaz, w rzeczywistości to był podręcznikowy element komunikacji strategicznej. Upublicznienie zobrazowań satelitarnych przedstawiających dyslokację rosyjskich jednostek nawodnych w bazach morskich stanowiło klasyczny zabieg z zakresu komunikacji strategicznej, mający zademonstrować realne zdolności wywiadowcze.

To samo robimy podczas manewrów. Przykładem jest przerzut polskich Morskich Jednostek Rakietowych z systemami pocisków manewrujących NSM na estońską wyspę u wylotu Zatoki Fińskiej. To jasny sygnał, że jesteśmy w stanie zablokować wyjście rosyjskiej floty z Kronsztadu i Sankt Petersburga.

Podobny sygnał wysyłamy, ćwicząc desant spadochroniarzy na Islandii czy Bornholmie. O realizmie tych działań świadczą ostatnie serie ćwiczeń: wystarczy wspomnieć o odpalaniu pocisków o zasięgu 80 kilometrów z poligonu w Ustce czy historycznych, pierwszych testowych strzelaniach z systemu Patriot na polskiej ziemi.

Choć zmiana tej perspektywy bywa dla nas mentalnie trudna, musimy uświadomić sobie jedno: Polska dysponuje obecnie potężną – a w wielu obszarach prawdopodobnie najsilniejszą – armią w tej części Europy.

A Ukraińcy? Ich doświadczenie bojowe, masowa mobilizacja, kreatywność i elastyczność inżynierska oraz unikalna skala integracji z zachodnimi technologiami sprawiają, że Kijów już teraz dysponuje potencjałem, który redefiniuje układ sił w regionie.

– Analizując traktaty obronne z partnerami z Europy Zachodniej, musimy uczciwie ocenić ich potencjał. Wielka Brytania boryka się obecnie z poważnymi brakami w zdolnościach militarnych. Francja prezentuje się silniej, ale jej armia wciąż wymaga uzupełnienia wielu kluczowych komponentów. Niemcy dopiero ruszają z masową rozbudową swoich struktur, więc ich potęga jest raczej w budowie. Z kolei Szwecja dysponuje zaawansowanymi technologiami, ale ze względu na swój rozmiar pozostaje małym graczem.

W tej zachodnioeuropejskiej układance brakuje nam jednego, kluczowego elementu. Brakuje nam Ukrainy. Rozmawiamy w tygodniu, w którym nowy skandal na linii Warszawa–Kijów...

...czyli afera z nadaniem jednej z ukraińskich jednostek miana „Bohaterów UPA" i pomysłem odebrania w rewanżu orderu Orła Białego prezydentowi Zełenskiemu...

...drastycznie pogorszył i tak już napiętą atmosferę. W tym kontekście należy zadać fundamentalne pytanie: czy w obecnym klimacie politycznym istnieje jakakolwiek realna perspektywa na podpisanie polsko-ukraińskiego traktatu o współpracy strategicznej?

O potrzebie takiego dokumentu mówi się przecież od dawna, a konkretne zapowiedzi pojawiały się od samego początku rządów Tuska. Nie ma wątpliwości, że jego absolutnie kluczowym filarem musiałaby być właśnie współpraca obronna.

Chodzi przede wszystkim o technologie dronowe, antydronowe oraz nowoczesne systemy łączności. Dziś mamy jedynie częściowy wgląd w te rozwiązania, analizując na własne potrzeby dane wywiadowcze oraz zachowanie polskiego sprzętu na froncie. To jednak za mało. Gdybyśmy potrafili wynegocjować zielone światło od Kijowa, Polska mogłaby głębiej czerpać z ukraińskich doświadczeń wojennych.

Nasi wojskowi słusznie powtarzają, że nie wolno przekładać ich na plany rozwoju Wojska Polskiego jeden do jednego. Jesteśmy częścią struktur NATO, a Sojusz walczy według zupełnie innej doktryny. Ale to nie zwalnia nas z obowiązku wyciągania strategicznych wniosków. Polska mogłaby stać się europejskim liderem w analizowaniu i wdrażaniu wniosków z tego konfliktu.

Nasza rola nie powinna ograniczać się do biernej obserwacji. Moglibyśmy aktywnie uczestniczyć w implementacji nowych rozwiązań i pomagać w korygowaniu błędów, które Ukraińcy nieuchronnie popełniają w realiach wojny pełnoskalowej.

Znaleźliśmy się w momencie, w którym to nasi zachodnioeuropejscy partnerzy są głębiej, szerzej i na korzystniejszych warunkach zakorzenieni we współpracy z ukraińskim sektorem nowoczesnych technologii wojskowych niż my. Wielka szkoda, gdyby Polska zaprzepaściła tak unikalną szansę.

Z powodu historycznych kłótni Polska na własne życzenie przegrywa strategiczne partnerstwo z Ukrainą?

– Z racji posiadania największego potencjału militarnego w Europie Środkowo-Wschodniej, Ukraina staje się dla podmiotów zachodnich kluczowym partnerem strategicznym. Przyszła architektura bezpieczeństwa zostanie sformułowana w oparciu o pozycję Kijowa, niezależnie od partykularnego stanowiska politycznego Polski. ●

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Paskiem po lodach

Medal olimpijski nie mówi, że Małysz jest lepszym człowiekiem niż skoczek, który był czwarty. Mówi, że Małysz skoczył dalej.

Marcin Matczak

Ależ nam się starły wizje świata w aferze „Lody za czerwony pasek"! Późny kapitalizm z wiecznie żywą lewicową troską o równość. Tu konkurencja i rywalizacja, tam inkluzywność i współpraca!

Zrekonstruujmy poglądy obu stron uczciwie – bo wyzywać się jest łatwo. Rzecznik praw dziecka uważa, że nagroda za dobre wyniki szkolne różnicuje dzieci, i chce, aby doceniać nie tylko wynik, ale i wysiłek. Jej krytycy uważają, że świata nie da się zmienić – skoro w dorosłym życiu dzieci będą różnicowane pensją, jakością życia czy autem, to może dobrze już je do tego przygotować?

Do czego jest wychowanie?

To nie jest oczywiście spór o lody. To raczej podskórna walka o to, jaki świat jest prawdziwy. Taki, w którym ludzie rywalizują, a ponieważ są z natury różni – bardziej i mniej mądrzy, zaradni i niezaradni, mniej i bardziej wysportowani – jedni dostają więcej, a drudzy mniej. W takim świecie nikt nie rozważa, czy Maja Chwalińska powinna oddać nagrody, które zdobyła we French Open, ponieważ innym zawodniczkom jest przykro, że ich nie dostały. W takim świecie pani rzecznik nie podaje się do dymisji, by wyrazić solidarność z kandydatami, którzy na to stanowisko nie zostali wybrani.

A może prawdziwy i osiągalny jest świat bez konkurowania, który opisał użytkownik Facebooka „Dzieckiem po oczach"? On zgodnie z pedagogiką antyautorytarną i zapewne książką Alfie Kohn „Wychowanie bez nagród i kar" widzi w sprawie lodziarni triadę: nagroda – posłuszeństwo – rywalizacja.

Autor pyta: Czy wychowujemy dzieci do wolności, czy do uzależnienia od zewnętrznych ocen? System nagród uczy, że wartość człowieka zależy od tego, czy spełni cudze kryteria. Rywalizacja jest zła, bo kreuje zwycięzców kosztem przegranych i skłania do nieustannego porównywania się. Dlatego według niego interwencja rzecznik to głos w obronie człowieka, który znajduje motywację w sobie, nie uzależnia poczucia własnej wartości od rankingów i zachowuje niezależność wobec presji osiągania sukcesu.

Spór o lody ukrywa więc spór o to, czy powinniśmy się dostosować do świata późnego kapitalizmu. To jednak nie późny kapitalizm, ale nasza kultura dawno temu wymyśliła szkołę, musztrę i obowiązki uczniowskie oraz pracownicze, a nie tylko prawa. We wpisie „Dzieckiem po oczach" wspólnota pojawia się często, obowiązek wobec niej już nie.

I on, i rzecznik chcą jednak późnemu kapitalizmowi odebrać paliwo przez odmowę współpracy. Powiedzieć „nie" światu, który mierzy wartość człowieka osiągnięciami, rankingami i ocenami.

Ale czy możemy? Bo czy wychowanie ma przygotowywać do istniejącego świata, czy do jego zmiany? Czy szkoła, która odrzuca nawet zdrową rywalizację, da nam kolejną Maję Chwalińską, jeśli jako dziewczynka będzie wychowywana do tego, aby każdy jej mecz kończył się moralnym remisem? Bez tenisa można żyć (choć co to za życie?), ale czy możemy sobie wyobrazić społeczeństwo bez rekrutacji, rankingów, premii, awansów i wyników sprzedaży? Pewnie tak, ale byłaby to utopia. Całe życie dorosłego człowieka jest oparte na takich mechanizmach.

Antropologia ochronna

Najuczciwsza wersja argumentu rzecznik brzmi: „Uważajmy, aby publiczna nagroda dla jednych nie zamieniała się w publiczną lekcję gorszości dla innych". Z tą troską nie trzeba się zgadzać w całości, żeby przyznać, że nie jest całkiem absurdalna.

Ta troska wyrasta z konkretnej wizji człowieka – antropologii ochronnej. W tej wizji człowiek jest zasadniczo kruchy. Porównanie boli, każda hierarchia jest potencjalną traumą, a nagroda dla jednego jest symboliczną karą dla pozostałych.

To wizja, którą Frank Furedi nazywa kulturą terapeutyczną – przesunięcie nacisku z osiągnięcia na samopoczucie, z odporności na wrażliwość. W tej optyce każde źródło dyskomfortu jest potencjalnym źródłem traumy. Efektem jest to, co Haidt i Lukianoff opisują jako safetysm – zabezpieczanie dzieci przed niepowodzeniem, które paradoksalnie produkuje ludzi niezdolnych radzić sobie z niepowodzeniem.

W tej wizji dziecko jest nie podmiotem, ale straumatyzowanym pacjentem. Rzecznik uważa, że inicjatywy „uzależniające" nagrody od wyników w nauce mogą prowadzić do presji i wykluczenia. To „uzależniające" jest kluczowe. Nagroda za osiągnięcie zostaje opisana językiem patologii – jakby związek między wysiłkiem a uznaniem był czymś, co trzeba leczyć.

Dziecku-pacjentowi dorosły ma minimalizować dyskomfort – bo to środowisko ma być dostosowane do niego, nie dziecko do środowiska. Ta wizja zapomina o słowach Jeana Piageta: rozwój następuje przez konfrontację ze światem opornym – takim, który nie odpowiada na każde oczekiwanie, frustruje i często nie nagradza.

„Nie palcie tych lodów!"

Tyle o sporze intelektualnym. A co poruszyło nas emocjonalnie? Przemycone w liście założenia i jego zła energia.

Co do założeń: Rzecznik pisze, że wartość dzieci powinna być niezależna od ocen. To zdanie prawdziwe. Tylko że nikt nie twierdzi, że dziecko bez paska jest mniej wartościowe jako człowiek. Twierdzi się tylko, że to konkretne dziecko w tym konkretnym roku dostało czerwony pasek. I że to powód do świętowania.

Nagroda za osiągnięcie nie jest wyceną człowieka. Medal olimpijski nie mówi, że Małysz jest lepszym człowiekiem niż skoczek, który był czwarty. Mówi, że Małysz skoczył dalej. To jest różnica, którą siedmiolatek rozumie – dopóki dorosły nie zacznie mu tłumaczyć, że jednak powinien czuć się skrzywdzony.

Co do złej energii. Rzecznik nie pisze: „Głoszę antropologię ochronną". Mówi językiem niby neutralnym: „inkluzywność", „równe traktowanie". Ale w tym retorycznym kamuflażu lodziarnia zostaje przedstawiona jak ktoś, kto narusza prawa dziecka!

Jak to często bywa w krytykach pisanych językiem emancypacji, człowiek jest zaskoczony, że coś, co robił z dobrego serca, nagle staje się formą przemocy. Tak było z przepuszczaniem kobiet w drzwiach, a teraz z dawaniem lodów paskowiczom. Brakuje tylko na końcu pasywno-agresywnego: „Dziękujemy za współpracę w tej kwestii".

Biuro RPD mogło pójść za sparafrazowaną radą Kuronia: „Nie palcie tych lodów, rozdawajcie własne". Skoro problemem jest niedocenienie jednych przez docenienie drugich, czemu nie docenić rzecznikową akcją tych pierwszych, zamiast zabierać nagrody drugim? Ale może i to by kogoś dyskryminowało – kto wie? ●

• Śródtytuły pochodzą od redakcji

„Od alkoholu zachodzi się w ciążę?"

Przecież nie będziemy posądzać Sławomira Mentzena o rozpaczliwe reklamowanie piwa, browaru czy pubu w Toruniu.

Michał Rusinek

Jesteśmy zdezorientowani. Z prawej strony płyną do nas bowiem sprzeczne diagnozy i zalecenia. Przypomina nam się historia z końca lat 80., kiedy to przełamawszy pierwotny lęk przed mundurem, spytaliśmy dwóch milicjantów patrolujących Kraków, gdzie jest ulica Francesca Nullo. Obaj pokazali nam przeciwne kierunki i powiedzieli: „Tam!". Okazało się, że była jeszcze gdzie indziej.

Fakty są takie, że dzietność jest w Polsce bardzo niska. Z faktami się nie dyskutuje, ale – od czasów Hipolita Taine'a – poddaje się je analizie i szuka ich przyczyn. Trzy lata emu prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński wygłosił tezę, że za niską dzietność w Polsce odpowiedzialny jest alkohol, a ściślej skłonność młodych kobiet do jego spożywania: „Jeśli utrzyma się taki stan, że do 25. roku życia dziewczęta, młode kobiety, piją tyle samo, co ich rówieśnicy, to dzieci nie będzie".

Kaczyński nie posunął się wprawdzie ani do tego, by wyjaśnić związek zachowywania wstrzemięźliwości w piciu alkoholu z chęcią czy możliwością zachodzenia w ciążę, ani też do łaskawego przyzwolenia młodym mężczyznom picia alkoholu (ktoś przecież musi, dla dobra patriotycznych statystyk), ale przecież choćby z literatury wiemy, że mężczyźni też powinni z alkoholem uważać, bo wprawdzie – jak pisał Wyspiański – „Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił", ale faktem jest, że dzieci nie miał.

●

Minęły zaledwie trzy lata, więc mieliśmy trochę czasu, żeby się oswoić z diagnozą Kaczyńskiego, kiedy to na ten sam temat wypowiedział się Sławomir Mentzen: „Jest taka zależność, że współcześnie młodzi ludzie mają bardzo mało dzieci, bardzo rzadko wchodzą w związki, nie socjalizują się. I to też jest skorelowane z tym, że obecnie młodzi ludzie bardzo mało piją alkoholu. Wydaje mi się, że to jest konsekwencja tego, że skoro nie piją, to nie mają gdzie kogoś poznawać, więc go nie poznają, a na końcu nie ma z tego dzieci. W związku z czym nie wydaje mi się, żeby to było słuszne, to co obecnie robią młodzi ludzie".

●

Punkt wyjścia jest więc taki sam – dostrzeżenie problemu niskiej dzietności – ale diagnoza całkiem przeciwna. Także i przesłanka pomocnicza jest przeciwna: Kaczyński sugerował, że młodzi ludzie piją za dużo, Mentzen – że za mało.

W 2023 roku średnie spożycie alkoholu w Polsce istotnie wynosiło nieco więcej (8,93 litra na jednego mieszkańca, wliczając dzieci i niemowlęta) niż w tym roku (8,8 litra) i rzeczywiście pokolenie Z spożywa go o 20% mniej niż poprzednie generacje. Jest to zresztą trend globalny zwany NoLo, napędzany modą na zdrowy i świadomy styl życia: pija się teraz piwo i wino bezalkoholowe, mocktaile i tzw. duchy, czyli bezalkoholowe alternatywy mocnych trunków.

Stwierdzenia Mentzena, że aby mieć dzieci, trzeba poznać kogoś, najlepiej płci przeciwnej, jest głęboko słuszne. W ogóle lepiej mieć dzieci z kimś, kogo zdążyło się poznać, najlepiej – dobrze, dzięki czemu mamy większe szanse, by stworzyć udaną rodzinę. Co jednak do tego ma alkohol? Cóż, ośmiela nieśmiałych i może powodować, że rozochoceni jego działaniem młodzi ludzie w trakcie poznawania się bliżej nie będą się rygorystycznie stosować do instrukcji obsługi środków antykoncepcyjnych lub w ogóle o nich zapomną, co zawsze sprzyja prokreacji. Niemniej nadmiar alkoholu może utrudnić lub wręcz całkowicie uniemożliwić czynności skutkujące (czasami) zwiększeniem dzietności.

●

Tak czy owak, tego typu myślenie jest oparte na tradycyjnym maczystowskim przekonaniu, że seks łączyć się z alkoholem po prostu musi. Owszem, w wielu reklamach alkohol jest nieomal synonimem dobrej wspólnej zabawy, ale przecież nie będziemy posądzać Sławomira Mentzena o rozpaczliwe reklamowanie – w obliczu alarmujących danych o spadku spożycia alkoholu wśród młodzieży – piwa, browaru czy pubu w Toruniu. To przecież poważny polityk.

Tymczasem kolejne polskie miasta wprowadzą nocną prohibicję, a my – nie wiemy, czy się z tego powodu cieszyć, bo w tych miastach będzie się rodziło więcej dzieci, czy też martwić, bo dzieci będzie się tam rodziło mniej.

Jedno jest pewne: ochocze łączenie picia lub niepicia alkoholu z dzietnością jest typowym przypadkiem posługiwania się korelacją zamiast relacji przyczynowo-skutkowej, a więc błędem logicznym zwanym *cum hoc, ergo propter hoc*. Łączenie to przydać się więc może nie do rozwiązywania problemu dzietności w Polsce, ale jako przykład do omawiania na zajęciach z logiki. Które to zajęcia jakże by się przydały. Nie tylko politykom. ●

eprasa.pl 742b61cb94

PIĘĆ „P” GRZECHÓW POLSKIEGO KOŚCIOŁA

Byłem osobiście w trzech parafiach związanych z działalnością jednego z najbardziej znanych sprawców. Stanąłem przed ludźmi i przeprosiłem. I zobaczyłem coś, czego się nie spodziewałem.

Arkadiusz Gruszczyński

Skandal w diecezji sosnowieckiej wybuchł po tym, gdy w budynku parafii Najświętszej Maryi Panny Anielskiej w Dąbrowie Górniczej ks. Tomasz Z. zorganizował seksparty. Zaprosił na imprezę dwóch mężczyzn, osoby świeckie. Uczestnicy zażywali środki na potencję i pili alkohol. Jeden z gości stracił przytomność – gdyby nie to, sprawa zapewne nie wyszłaby na jaw – ale gdy przyjechało pogotowie, wezwane przez jego kolegę, ks. Tomasz nie chciał wpuścić medyków do mieszkania. Interweniowała policja.

Duchowny usłyszał zarzuty, m.in. nieudzielenia pomocy osobie, która znajdowała się w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia, a jego proces rozpoczął się w kwietniu 2024 r. Został uznany winnym wszystkich zarzucanych mu czynów, a sąd wymierzył mu łączną karę 1,5 roku więzienia.

Po ujawnieniu afery biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak zrezygnował ze stanowiska. Jego miejsce zajął Artur Ważny, który w 2024 r. powołał Komisję „Wyjaśnienie i Naprawa” Spraw Wrażliwych Diecezji Sosnowieckiej”. Ta odkryła 29 przypadków, w których pokrzywdzonych zostało co najmniej 50 małoletnich. Zdecydowana większość – 96 proc. – miała mniej niż 15. lat. a 4 proc. ofiar to osoby między 15. a 18. rokiem życia.

Z **BISKUPEM ARTUREM WAŻNYM** ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

A gdzie jest gospodyni?
– Nie ma.

Ma wolne?
– Nie, nie zatrudniamy nikogo w kuchni.

I kto księdzu gotuje?
– Próbujemy radzić sobie sami.

My?
– W tym domu są dwa mieszkania – jedno moje, drugie kapelana. Niby każdy ma własne cztery kąty, ale taki układ nie jest pozbawiony wyzwań.

Jakich?
– Nie mogę pana poczęstować obiadem, bo go nie ugotowałem. Śniadanie robimy sobie sami, obiadu nie mam czasu jeść, a kolacje dają mi księża w parafiach, ponieważ codziennie jestem u innego proboszcza. Być może jesienią znajdziemy kogoś do pracy w kuchni. A jeśli nie, będę musiał zaprzyjaźnić się z najbliższą pizzerią. Nie jest to jednak najważniejszy problem.

I jak się żyje w Sosnowcu?
– Kiedyś Sosnowiec kojarzył mi się przede wszystkim z miastem, przez które przejeżdżało się w drodze do Katowic. Dziś patrzę na niego zupełnie inaczej. Jest tu sporo zieleni, są miejsca na spacer, a do fryzjera mam 10 metrów piechotą. Kilka razy udało mi się też pospacerować po mieście incognito i po prostu pobyć jednym z jego mieszkańców. Ja żyję tutaj dość uporządkowanie. Dzień zaczynam wcześnie – od modlitwy, Eucharystii i medytacji. Potem są spotkania w kurii, rozmowy z ludźmi i wyjazdy do parafii. Ostatnie miesiące upływają głównie pod znakiem peregrynacji...

Czyli objazdu.
– Ikony Matki Boskiej Częstochowskiej. Uderzyło mnie, jak silnie ten obraz wciąż przyciąga i jednoczy ludzi. Jednego dnia spotkałem wzruszonego księdza w zakrystii. „Co się stało”, zapytałem. „Co tydzień przychodzi 90 osób na mszę, a dzisiaj ponad 300”, odpowiedział. „To się ciesz i zobacz, jaki masz potencjał!”. Te pierwsze dwa lata w Sosnowcu minęły mi na intensywnej pracy: powołałem dwie komisje, które badają trudne tematy i sprawy pedofilii w diecezji oraz dokonują swoistego audytu i próbują porządkować sprawy organizacji instytucji diecezjalnych, niebawem odbędzie się lokalny synod, czyli spotkanie wszystkich wierzących, właśnie szkolimy wiernych świeckich i księży, kończy się także, trwająca blisko rok, peregrynacja... A, no i jakiś czas temu wyświęciłem trzech diakonów i trzech księży. To daje dużo radości.

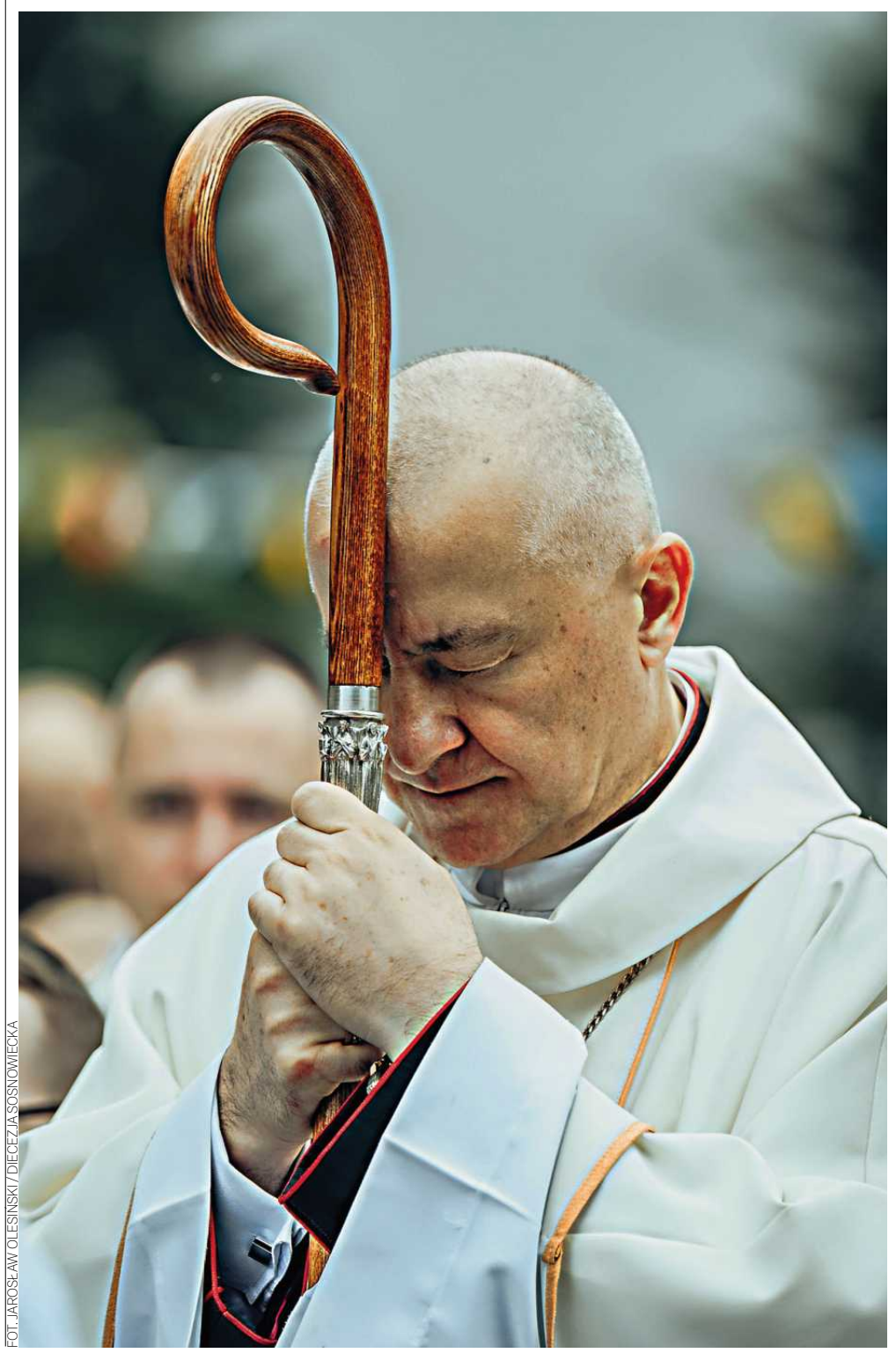
FOT. JAROSŁAW OLEŚIŃSKI / DIECEZJA SOSNOWIECKA

To dużo jak na Polskę.
– Trochę tak, choć tym samym wyświęciłem połowę seminarium (śmiech).

Czy jako biskup czuje się ksiądz księciem Kościoła?
– Nie, skądże. Nie wiem do dzisiaj, dlaczego kilka lat temu zostałem biskupem pomocniczym w Tarnowie. Pewnie papież Franciszek miał gorszy dzień i padło na mnie. Dlatego nie lubię napompowanych określeń, nie znoszę, kiedy ktoś się do mnie zwraca per ekscelencjo. Na jednym z kazań ogłosiłem konkurs na inną, dobrą nazwę mojej funkcji. Podeszła do mnie starsza pani i powiedziała: dobry to jest Espumisan, czyli środek, który daje ulgę. A mówiąc już całkiem poważnie, pomyślałem, że jest w tym coś z biskupiego powołania. Biskup powinien przynosić ludziom ulgę, dawać poczucie bezpieczeństwa i być kimś, do kogo można przyjść, usiąść i porozmawiać. Są też inne określenia, jak espresso.

Chciał ksiądz pracować jako biskup w Sosnowcu?
– Odkąd zostałem kapłanem, zawsze staram się wypełniać prośby przełożonych, czyli w tym wypadku papieża. Dwa lata temu nuncjusz zaprosił mnie na obiad do Warszawy, ale nie otrzymałem żadnej propozycji. Rozmawialiśmy kilka godzin, zjedliśmy coś dobrego, chyba mnie sprawdzał. Kilka miesięcy później nuncjusz wezwał mnie kolejny raz i zapytał, czy pojechałbym do Sosnowca. Nie wiem, dlaczego uznano, że się nadaję. Nie miałem do końca świadomości, z czym wiąże się praca w tej diecezji, czytałem o skandalach z udziałem księży.

Czyli o orgiach homoseksualnych, śmierci młodego człowieka, który w obecności księży przedawkował narkotyki i ukrywaniu pedofilii.
– Ta sekwencja wydarzeń zawstydziła cały Kościół w Polsce. Kiedy przychodziłem do Sosnowca, przyjąłem jedną zasadę i trzymam się jej do dziś: niczego nie ukrywać. Byłem o tyle w dobrej sytuacji, że przyszedłem tu z zewnątrz. Miałem uporządkować sytuację. Dlatego pierwszym krokiem było powołanie komisji, drugim – publikacja, póki co, częściowego raportu o wykorzystaniu seksualnym w diecezji sosnowieckiej, a trzecim zmierzenie się z tematem zadośćuczynień na rzecz osób skrzywdzonych i udzielenie im jak najszerszej pomocy.

Jak wyglądają spotkania z pokrzywdzonymi?
– To przejmujące doświadczenia. Dwa razy zorganizowaliśmy rekolekcje dla księży z udziałem skrzywdzonych. Wspólnie staliśmy w obliczu cierpienia konkretnych ludzi, którzy przed kapłanami opowiadali o sytuacjach sprzed lat, o pedofilii, samotności i niezrozumieniu.

Bp Artur Ważny

• Urodził się w 1966 roku w Rzeszowie. Kieruje diecezją sosnowiecką, wcześniej – w latach 2021-24 był biskupem pomocniczym w Tarnowie. Przez wiele lat pracował jako proboszcz, duszpasterz akademicki, dyrektor wydziałów w kurii tarnowskiej, egzorcysta, a także opiekun ruchów ewangelizacyjnych

eprasa.pl 742b61cb94

Prywatnie – bez sutanny i koloratki i zastrzeżeniem, że nikt mnie nie będzie tytułował, tylko mówił po imieniu – pojechałem na spotkanie skrzywdzonych do Żar. 16 osób z całej Polski opowiadało o swoich doświadczeniach, wysłuchałem dramatycznych historii. Ale na samym końcu staliśmy się sobie bliscy. Zaskakuje mnie, że nasza komisja, nagłośnienie przez media przypadków pedofilii w Sosnowcu oraz nasze bezwzględne podejście do przestępców skutkuje wieloma wiadomościami od osób skrzywdzonych z innych części kraju. Ludzie piszą do mnie o swoich doświadczeniach, niektóre sytuacje zgłaszam zgodnie z prawem do prokuratury i diecezjalnych delegatów ds. ochrony dzieci. Zapraszamy także osoby skrzywdzone do kurii. Ostatnio podczas spotkania w ramach prac synodalnych rozmawialiśmy bardzo szczerze i bez tematów tabu, również o finansowym zadośćuczynieniu.

Odwiedza ksiądz parafie, w których pracowali pedofile?
– Tak, byłem osobiście w trzech parafiach związanych z działalnością jednego z najbardziej znanych sprawców. Stanąłem przed ludźmi i przeprosiłem. I wtedy zobaczyłem coś, czego się nie spodziewałem. Nie gniew. Nie pretensje. Raczej ulgę. Jakby ktoś wreszcie otworzył okno w dusznym pokoju. Później proboszczowie mówili mi, że coś się zmieniło. Ludzie zaczęli rozmawiać o tym, o czym przez lata szeptano albo nie mówiono wcale. Nie po to, żeby rozdrapywać rany, ale żeby przestać udawać, że ich nie ma. Najbardziej poruszyła mnie jedna parafia. Zamknięty został, wymagający remontu, zabytkowy kościół. Wydawało się, że razem z drzwiami zamknęła się jakaś historia. Tymczasem po publicznym zmierzeniu się z prawdą parafianie postanowili go wyremontować i wrócić do swojej świątyni. Większość z nich nie zna nawet osób skrzywdzonych. A jednak uznali, że nie da się budować przyszłości, omijając przeszłość. Widzę w tym coś więcej niż zmianę nastrojów. Widzę renesans duchowy.

Jak księża z Sosnowca zareagowali na raport komisji?
– Na spotkanie, podczas którego prezentowaliśmy ustalenia, przyszło około 50 kapłanów.

A ilu jest w całej diecezji?
– Ponad 350. Widziałem przejęcie, zawstydzenie, ale też przekonanie, że ujawnienie tych spraw nas nie zabiło. Warto żyć w prawdzie.

Kuria i wpływowi księża próbowali księdza zatrzymać, utrudniać pracę?
– Nie, ponieważ presja społeczna i kościelna była duża. Choć po pewnym czasie zaczęły się pretensje o obecność świeckich, którzy mają dostęp do akt kościelnych i personalnych. Jednak brak dostępu komisji do tych dokumentów czyniłby komisję fikcyjną.

A co myśli o tym wszystkim księdza poprzednik, czyli bp Grzegorz Kaszak?
– Nie chcę sprowadzać tej sprawy do publicznego komentowania mojego poprzednika. To byłoby najprostsze, medialnie może nawet najbardziej efektowne, ale niekoniecznie najbardziej odpowiedzialne. Nie jestem od tego, żeby wydawać wyroki w sprawie mojego poprzednika.

W Kościele istnieją do tego właściwe drogi i właściwe instytucje. Jeśli komisja, wykonując swoją pracę, uznała, że określone informacje powinny trafić do Stolicy Apostolskiej, to one tam trafiły. Teraz trzeba poczekać na rozstrzygnięcia. Moją odpowiedzialnością jest zmierzenie się z tym, co zastałem. A to oznacza nazwanie zaniedbań, opisanie mechanizmów, które pozwoliły krzywdzie trwać, i zrobienie wszystkiego, żeby osoby skrzywdzone nie słyszały już od Kościoła wyłącznie słów, ale zobaczyły konkretne decyzje. Dlatego druga część raportu jest tak ważna. Nie chodzi w niej tylko o kolejne fakty. Chodzi o odpowiedź na pytanie, jak w kościelnej instytucji mogły utrwalić się takie sposoby działania, które przez lata bardziej chroniły system niż człowieka.

A inni biskupi? Komentują między sobą to, co wydarzyło się w Sosnowcu?
– Opowiem, co mnie ostatnio spotkało na posiedzeniu episkopatu. W obradach uczestniczą biskupi emeryci, którzy mają prawo głosu, ale nie mogą głosować. Jeden z nich na wielu spotkaniach był sceptyczny wobec moich pomysłów, krytykował komisję. Jednak po publikacji raportu podszedł do mnie i podziękował. Starszy ksiądz, który doświadczył XX-wiecznego Kościoła Jana Pawła II i kard. Stefana Wyszyńskiego miał obawy, że komisja zniszczy Kościół, a publiczne mówienie o wewnętrznych problemach oznaczać będzie wpisanie się w narracje sił przeciwnych wierzącym. Zmienił zdanie, był pełen uznania, ponieważ nazwaliśmy zło po imieniu. Inni biskupi zaczynają mnie pytać, jak powołuje się diecezjalną komisję, gdzie znaleźć ludzi, ile to kosztuje, bo przecież eksperci nie mogą pracować za darmo. Ufam, że archidiecezja częstochowska czy inne diecezje za chwilę powołają własne komisje.

Wspomniał ksiądz o odszkodowaniach. Diecezja sosnowiecka je wypłaci?
– Tak, będziemy się starać, na ile to będzie możliwe, odpowiedzieć na potrzeby osób skrzywdzonych.

Jak wysokie będą? Milion złotych?
– Jeszcze to wszystko podliczamy, ale diecezja nie ma aż takich możliwości. Ostatnie spotkanie z osobami skrzywdzonymi pokazało nam coś niesamowitego. Siedzieliśmy przy jednym stole i słuchałem, czego naprawdę potrzebują od Kościoła. Padło pytanie, które do dziś we mnie pracuje: „Co musi się wydarzyć, żebym miał poczucie, że Kościół uznał moją krzywdę?". Pieniądze są najbardziej medialne. I nie mówię, że nie są potrzebne. W wielu przypadkach są konieczne. Ale to spotkanie pokazało mi, że nie mogą zamykać sprawy. Dla wielu osób skrzywdzonych równie ważne, a czasem ważniejsze, jest uznanie krzywdy, wysłuchanie ich historii, szczera rozmowa, dostęp do terapii czy zwykłe ludzkie towarzyszenie. Żaden przelew nie cofnie tego, co się wydarzyło. Dlatego pieniądze nie mogą być metą. Mogą być jedynie jednym z elementów drogi do sprawiedliwości i uzdrowienia.

I skąd weźmiecie te pieniądze?
– Nie wiem.

Może dom, w którym rozmawiamy, można sprzedać?
– Ale on nie należy do diecezji, tylko do parafii katedralnej. Piętro niżej mieszka ksiądz proboszcz i wikariusz. Wynajmujemy to mieszkanie. Nasza diecezja nie posiada zbyt wielu budynków, być może będziemy musieli się zadłużyć. Chcemy zapytać ekspertów, jak inne diecezje na całym świecie sobie z tym poradziły. Na przykład w Niemczech średnio mówi się o ok. 25 tys. euro podstawowego odszkodowania dla jednego skrzywdzonego. Na drodze sądowej można byłoby dochodzić wyższych kwot.

Dlaczego do tej pory episkopat nie powołał komisji, która miałaby zbadać wszystkie przypadki pedofilii w Kościele po 1945 roku?
– Formalnie – ta komisja powstała. Natomiast wciąż problemem jest jej kształt, sposób jej działania, niezależność od biskupów, dostęp do dokumentów i innych materiałów. Pojawiają się pytania, czy komisja miałaby badać aktualne sprawy, przesłuchiwać skrzywdzonych, świadków i sprawców przestępstw.

U mnie w diecezji udało się nie tylko powołać takie ciało, złożone z ekspertów, historyków, psychologów i prawników, ale też opublikować pierwszy, częściowy raport z opisami pedofilii w Kościele sosnowieckim. Zrobiliśmy to jako pierwsi w Polsce. Z jednej strony działalność komisji nie była czymś łatwym, ponieważ dotyczyła bolesnych wydarzeń, ale z drugiej – moja diecezja jest młoda, została ustanowiona w 1992 roku, a liczba księży jest stosunkowo mała. W Sosnowcu szefem naszej komisji został pan Tomasz Krzyżak, dziennikarz z „Rzeczpospolitej", który od lat bada archiwa kościelne. Dopiero po powołaniu przewodniczącego powstał regulamin, ponieważ nie chcieliśmy go tworzyć w zaciszu kurialnych gabinetów. Wracając do ogólnopolskiej komisji: do tej pory episkopat nie znalazł odważnego, wiarygodnego przewodniczącego. Jesteśmy więc dopiero na tym etapie.

Mam poglądy polityczne i każdy ksiądz je ma. Tak samo jak ma poglądy moralne czy społeczne. Ale jest zasadnicza różnica między posiadaniem poglądów a uprawianiem polityki z ambony

To tłumaczenie wygląda na unik. Od filmów braci Sekielskich, którzy pokazali konkretne przykłady pedofilów w sutannach, mija siedem lat. Episkopat miał już w 2019 roku powołać komisje. Biskupi chcą przeczekać społeczne zainteresowanie przestępstwami w Kościele?
– Jeśli ktoś odbiera takie tłumaczenia jako unik, to nie mogę po prostu powiedzieć, że się myli. W Kościele było już zbyt wiele słów i zbyt mało czynów. Czas nie zawsze leczy rany. Czas bez prawdy tylko je pogłębia. Doświadczenie naszej komisji w Sosnowcu pokazało, że nie ma innej drogi. Nie dlatego, że ktoś chce zaszkodzić Kościołowi. Dlatego, że krzywda, której się nie nazwie, nie uzna i nie podejmie próby naprawienia, nie znika. Nie jesteśmy po przeciwnych stronach. Jesteśmy jednym Kościołem, który został zraniony. Dlatego trzeba usiąść z osobami skrzywdzonymi i zrobić wszystko, co możliwe, by naprawić wyrządzone zło. Także finansowo. To nie cofnie cierpienia, ale może być początkiem odzyskiwania zaufania i obrony wiary.

Czego boją się biskupi? Odszkodowań, utraty wiarygodności, jeszcze większej laicyzacji?
– Chodzi chyba głównie o lęk, który towarzyszy wielu ludziom, że prawda może jednak zabić i pokazać Kościół z tej gorszej strony. W Sosnowcu zobaczyliśmy ignorancję dotyczącą pedofilii, bagatelizowanie zgłoszeń rodziców i skrzywdzonych, traktowanie pedofilii jako cudzołóstwa, a nie przestępstwa, a najczęściej po prostu niewysłuchania człowieka. Przenoszono z parafii do parafii księży pedofilów, ponieważ uważano, że w innym miejscu nie popełnią kolejny raz tego samego czynu, nie skrzywdzą dzieci. Komisja pokazała też, że sprawcy nie stanowili jednej grupy. Byli tacy, którzy przez lata krzywdzili wiele osób, ale były też przypadki pojedynczych, udokumentowanych aktów wykorzystania seksualnego. Każdy z nich pozostaje ciężkim przestępstwem i źródłem ogromnego cierpienia.

I jak to tłumaczyli?
– Najczęściej mówili o splocie okoliczności, kryzysach i sytuacjach, które – jak twierdzili – miały charakter jednorazowy. Byli jednak także tacy, który świadomie szukali kontaktu z dziećmi i przez lata krzywdzili kolejne osoby. To jest dla mnie jedna z najbardziej przerażających rzeczy, z jakimi zetknąłem się jako biskup. Tego nie da się oswoić. Za każdym razem, gdy czytam akta takich spraw lub o nich słyszę, wraca to samo pytanie: jak można było zrobić coś takiego dziecku?

A może biskupi obawiają się utraty stanowisk i degradacji?
– Być może.

Publiczne oczyszczenie z pedofilii jest największym zadaniem Kościoła?
– Powiedziałbym o „Pięciu P" jeśli chodzi o największe grzechy polskiego Kościoła. Najpierw musimy zmierzyć się z pychą, czyli arogancją moją i innych księży, uznawaniem wyższości kleru nad świeckimi, poczuciem, że jesteśmy lepsi. Często spotykam się z myśleniem: skoro przeprowadziliśmy Polskę przez czasy komuny, to teraz należy nam się szacunek.

Kolejną sprawą jest pustka: Kościół nie daje dzisiejszemu człowiekowi napełnienia duchowego. Owszem, robimy wiele dobrych rzeczy. Problem w tym, że coraz częściej mówimy do ludzi, którzy już są, zamiast do tych, których dawno przestaliśmy szukać.

Dlatego katecheza, która wraca systemowo po ponad 35 latach do parafii [od września 2026 r. w Polsce rusza nowy system powszechnej katechezy parafialnej, która będzie uzupełnieniem lekcji religii w szkołach] będzie okazją do zapełnienia tej pustki.

Trzeci grzech – polityka, czyli ubranie Kościoła w gorset partyjny, do czego Ewangelia nas nie uprawnia. Owszem, polityka jako troska o dobro wspólne – tak. Nie jednak jako sojusz z konkretną partią. Kościół zapomina, że wsiadając do rydwanu jakiejkolwiek partii politycznej szybko z niego wypadnie, poturbowany i z utraconą wiarygodnością.

Czwarte są pieniądze, a więc brak transparentności. Jako proboszcz przedstawiałem parafianom roczne sprawozdania. Nikt z tego powodu się nie zgorszył. Stąd przygotowujemy się w Sosnowcu do raportu otwarcia, w którym pokażemy stan finansów diecezji.

Piąte: pedofilia, czyli przyznanie się do przestępstw w tym względzie i odnalezienie Osób Skrzywdzonych, by przywrócić im chociaż podstawową sprawiedliwość oraz stworzenie systemu ochrony i prewencji małoletnich

Zaintrygowała mnie polityka, ponieważ Kościół jest przyspawany do prawicy parlamentarnej, w poprzednich latach biskupi i księża wspierali Jarosława Kaczyńskiego. Ksiądz pozwala sobie na to w Sosnowcu?
– Mam poglądy polityczne i każdy ksiądz je ma. Tak samo jak ma poglądy moralne czy społeczne. Ale jest zasadnicza różnica między posiadaniem poglądów a uprawianiem polityki z ambony. Kościół ma prawo, a czasem wręcz obowiązek, zabierać głos w sprawach moralnych i społecznych. Nie powinien jednak wskazywać ludziom, na kogo mają głosować. Od głoszenia Ewangelii do agitacji partyjnej jest bardzo daleka droga i ja jej nie pokonuje.

Twarzami Kościoła w Polsce są abp Marek Jędraszewski czy o. Tadeusz Rydzyk, którzy wprost popierają Prawo i Sprawiedliwość.
– Trzeba bardzo uważać na pokusę przywiązania Kościoła do jednej władzy, jednej formacji i jednego politycznego języka. I to nie dotyczy wyłącznie księży. Także świeccy katolicy potrafią czasem mówić o polityce tak, jakby od zwycięstwa tej czy innej partii zależały losy Ewangelii. A Kościół będzie obecny wtedy, gdy rządzi prawica i wtedy, gdy rządzi lewica. Był obecny przy różnych systemach, ekipach i układach sił. Dlatego nie wolno zachowywać się tak, jakby wiara była zakładnikiem jednej partii. Jeśli Kościół zbyt mocno siada przy jednym politycznym stole, potem bardzo trudno mu stanąć wiarygodnie przy każdym człowieku.

To zapytam inaczej. Część ludzi chciałaby twardego rozdzielenia państwa od Kościoła, inni są za tym, żeby odwołanie do Boga nadal znajdowało się w konstytucji. Po której stronie jest ksiądz biskup?
– Nie jestem zwolennikiem wojny między państwem a Kościołem. Uważam, że państwo i Kościół powinny być autonomiczne, niezależ-

eprasa.pl 742b61cb94

ne i wzajemnie współpracować, a nie być wrogie wobec siebie. Jeśli pytamy o odwołanie do Boga w konstytucji, to pamiętajmy, że nie spadliśmy z kosmosu. Polska wyrasta z chrześcijaństwa, a nasza kultura, język, święta, system wartości i historia są głęboko zakorzenione w Ewangelii.

Nie widzę powodu, żebyśmy mieli się tego dziedzictwa wstydzić albo je wymazywać. Wtedy bylibyśmy jak dzieci we mgle. Jednocześnie państwo należy do wszystkich obywateli, także tych, którzy nie wierzą. Dlatego potrzebujemy nie dominacji jednej strony nad drugą, ale mądrego szacunku dla własnych korzeni i wolności drugiego człowieka.

Kościół po 1989 roku był najważniejszym aktorem życia społecznego, moralnym zwycięzcą, który rozstrzygał, co jest dobre, a co złe. Biskupi dyktowali brzmienie prawa, jak w przypadku aborcji czy działalności szkół. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna – Kościół utracił monopol władzy moralnej, a także wpływ na politykę. I jak biskupi sobie z tym radzą? A może nie radzą?

Wychowałem się w czasach, gdy Kościół był dla wielu ludzi przestrzenią wolności. Zabójstwo bł. ks. Jerzego Popiełuszki miało ogromny wpływ na moje powołanie. Dlatego zawsze mam pewien niepokój, gdy słyszę postulaty całkowitego usunięcia Kościoła z życia publicznego. Czym innym jest niewtrącanie się do bieżącej polityki, a czym innym zniknięcie Kościoła z przestrzeni publicznej. Czy ktoś potrafi sobie wyobrazić Polskę czasów komunizmu bez ks. Jerzego Popiełuszki, kard. Wyszyńskiego czy św. Jana Pawła II? Nie chodziło wtedy o wpływy. Chodziło o wolność człowieka, jego godność i sumienie. Kościół nie może być przybudówką żadnej partii. Ale nie może też wyrzec się prawa do zabierania głosu wtedy, gdy chodzi o sprawy fundamentalne dla człowieka. Paradoksalnie może to być dla Kościoła dobra wiadomość.

Przez lata przyzwyczailiśmy się, że ludzie przychodzą, bo „tak trzeba", bo tak zostali wychowani albo dlatego, że wypada. Dziś coraz częściej zostają ci, którzy naprawdę szukają i przekonani zostają. To trudniejsza sytuacja, ale może bardziej ewangeliczna. Bo Jezus nie obiecał swoim uczniom wpływów. Obiecał im sens, prawdę i miłość ukrzyżowaną. Dlatego zamiast pytać, czy Kościół ma dziś mniej władzy, wolę pytać, czy mamy dość wiary i odwagi, by być Kościołem, czyli głosić Ewangelię i pokazać światu, że naszą propozycją jest Jezus Chrystus, który może dać szczęście ludziom już tu na Ziemi.

Młodzi wątpią w tę opowieść. Bo Kościół stawia wiele zakazów: seksu przed małżeństwem nie wolno uprawiać, księża chcą układać wszystkie elementy ich życia, Kościół każe opowiadać o grzechach obcemu człowiekowi.
– Rozumiem te wątpliwości. Tylko mam wrażenie, że patrzymy na chrześcijaństwo od końca. Najpierw widzimy zakazy, a dopiero potem pytamy, po co one są. Jeżeli chrześcijaństwo jest tylko zbiorem nakazów i zakazów, to rzeczywiście trudno uznać je za dobrą wiadomość. Tyle że jego centrum nie stanowią zakazy, ale Miłość, która jest Osobą. A każda prawdziwa miłość poznana, zawsze później rodzi wymagania, inaczej zgaśnie.

Myślę, że młodzi ludzie nie odrzucają dziś przede wszystkim zasad. Oni nie wierzą, że za tymi zasadami kryje się Chrystus, który zna drogę do szczęścia. Więcej, On sam jest Drogą. I być może to jest największe wyzwanie dla Kościoła: nie tyle bronić zasad, ile pokazać, że mają sens. Kiedy w Sosnowcu działo się źle, kiedy wybuchały kolejne afery z udziałem księży, to młodzi wierzący przyszli do rodziców i zapytali: co my mamy zrobić? W jaki sposób po tym wszystkim mamy pójść do księdza do spowiedzi? Oni naprawdę są tak źli? Postanowili więc samodzielnie i oddolnie zorganizować Strefę Młodych Festiwal, który ma w swoim programie spotkania dla wierzących, adorację, mszę, grupy tematyczne, koncerty, gry.

Coś jak katolicki Impact?
– Powiedzmy. W tamtym roku było 2 tys. młodych. Widzę więc, że nastolatki i studenci chcą się zaangażować w życie Kościoła, ale na własnych warunkach, po swojemu, a nie na zasadach wymyślonych przez księży.

A nie obawia się ksiądz, że za 10 lat Kościół katolicki w Polsce będzie małą wspólnotą?
– Może tak być, to się już dzieje na Zachodzie.

I w naszym kraju.
– Nie boję się pustych kościołów, chociaż to bardzo bolesne. Paradoksalnie taka sytuacja może być dla nas szansą. Kryzys bywa momentem, kiedy możemy coś zobaczyć, przestać żyć złudzeniami i zacząć szukać realnych rozwiązań oraz nowego modelu Kościoła.

Nie chodzi o nowy Kościół, chodzi o nowy styl bycia Kościoła. Dzisiaj w Polsce mamy trudne zadanie do wykonania. Społeczeństwo możemy porównać do żony po rozwodzie: przez wiele lat była z nami – z Kościołem – związana, ale niejednokrotnie rozczarowała się i od nas odeszła. Chcemy jej powiedzieć, że nadal jesteśmy atrakcyjni i warto wrócić, a w odpowiedzi słyszymy: znamy was, mamy dzisiaj inny pomysł na życie. Wydaje się, że łatwiej jest pójść do miejsc, gdzie Kościół był mniej znany niż w Polsce.

Nie ma więc szans na odbudowę masowego Kościoła.
– Największym problemem Kościoła nigdy nie było to, że był za mały. Największym problemem było to, że czasem był zbyt podobny do świata. Dlatego nie pytam, czy będziemy Kościołem masowym. Pytam, czy będziemy Kościołem, za którym warto pójść. Więcej – Kościołem, który najpierw wyjdzie szukać człowieka.

Wiem jedno: jako biskup powinienem słuchać żalu, pretensji, bólu i cierpienia, nie mogę się bać konfrontacji z drugim człowiekiem. Uczyłem się tego na Woodstocku, gdzie mierzyłem się z trudnymi tematami. Tam zobaczyłem, że nie mogę się bać człowieka, który ma wiele pretensji do Boga, Kościoła czy księży, a po godzinie – kiedy się w końcu wykrzyczał – pokazywał mi prawdę o sobie, swoje serce.

Spotkałem na Woodstocku wiele osób, które pierwszy raz ode mnie słyszały, czym naprawdę jest Ewangelia. Bo wychowali się w rodzinie, która chodziła na mszę od wielkiego święta albo uciekali po nocy z domu przed agresywnym, pijanym ojcem.

W Paryżu w Wielką Sobotę ochrzczono kilkaset dorosłych. W Polsce nie widzimy takich obrazków. Dlaczego?
– Jesteśmy religijnie jeszcze w innym miejscu. Będąc w Paryżu na przełomie roku zapytałem znajomych o nowych katolików. Usłyszałem, że w społeczeństwie dobrobytu wielu młodych poszukuje sensu, a jednocześnie widzą go wśród rówieśników wyznających islam. Okazuje się, że młodzi muzułmanie mają poczucie zakorzenienia związane z religią i tożsamością. Młodzi Francuzi zaczynają więc pytać dziadków, czy wierzyli kiedyś w Boga. I odkrywają, że pochodzą z katolickich rodzin, choć ich rodzice nie zostali ochrzczeni. Idą więc do parafii, tam spotykają bardzo starego księdza, który odprawia mszę dla kilku osób. Zaczynają się angażować, przyciągają kolegów, a nawet przyprowadzają swoich rodziców, którzy decydują się na chrzest.

Jak to się ma do pustki, o której ksiądz wspominał?
– Przez lata wydawało nam się, że skoro mamy religię w szkołach, pełne kalendarze uroczystości i sprawnie działające instytucje, to wszystko jest w porządku. Tymczasem można mieć pełne klasy i puste serca. Mam wrażenie, że za bardzo uwierzyliśmy w struktury, a za mało inwestowaliśmy w relacje. W wielu miejscach ludzie znali katechizm, ale nie znali wspólnoty. Wiedzieli, czego Kościół nauczа, ale nie zawsze doświadczyli, że Kościół jest domem. Pustka nie bierze się z braku informacji o Bogu. Pustka bierze się często z braku doświadczenia żywej relacji z Bogiem i drugim człowiekiem. Wiara potrzebuje wspólnoty.

To idźmy dalej: papież Franciszek zezwolił na błogosławieństwa par jednopłciowych. W diecezji sosnowieckiej były już takie uroczystości?
– Nie było takich próśb, nie spotkałem się z takimi oczekiwaniami. Jeśli się pojawią, to będziemy rozmawiać. Wyjaśnimy, że poprzedni papież nie zezwolił na zrównanie wspomnianego błogosławieństwa z sakramentem małżeństwa. A jednocześnie Franciszek chciał w ten sposób dać ludziom siłę i nadzieję, zapraszając ich do spotkania z Bogiem. Nie zmieniło się brzmienie Katechizmu Kościoła Katolickiego, w którym czytam, żeby podchodzić do osób LGBTQ+ z szacunkiem, współczuciem i delikatnością.

Byli za to u mnie przedstawiciele Wiary i Tęczy, czyli organizacji wierzących homoseksualistów, podarowali mi sporo książek. Czytam je uważnie.

Przez lata wydawało nam się, że skoro mamy religię w szkołach, pełne kalendarze uroczystości i sprawnie działające instytucje, to wszystko jest w porządku. Tymczasem można mieć pełne klasy i puste serca. Za bardzo uwierzyliśmy w struktury, za mało inwestowaliśmy w relacje

Nie rozumiem krytycznego stosunku Kościoła do osób homoseksualnych. Znam wiele par, które żyją ze sobą 40 lat, towarzyszą sobie w chorobie, są przy śmierci swoich partnerów. I słyszą, że nie ma dla nich miejsca w Kościele i żyją w grzechu.
– Jeśli ktoś słyszy, że nie ma dla niego miejsca w Kościele, to mogę go za to przeprosić. Kościół nie jest wspólnotą ludzi idealnych, ale ludzi szukających Boga. Nikt nie powinien czuć się w nim niechciany. W ostatnich latach wiele razy rozmawiałem z osobami homoseksualnymi. Nie po to, żeby kogokolwiek do czegoś przekonywać, ale żeby lepiej zrozumieć ich doświadczenie.

Pamiętam rozmowę z pewnym świetnym montażystą. Po ostatnich wyborach powiedział do mnie pół żartem, pół serio: „Czyli nic się nie zmieniło. Tylko teraz ja jestem wyżej niż ty". Zostało mi to w pamięci, bo pomyślałem wtedy, że przecież nie na tym polega tolerancja. Nie chodzi o to, żeby jedni byli nad drugimi. Chodzi o to, żebyśmy potrafili żyć razem mimo różnic. Jednocześnie ważna jest dla mnie wierność Ewangelii i nauczaniu Kościoła. Mam wrażenie, że wszyscy mamy dziś więcej do zyskania na słuchaniu siebie nawzajem niż na wzajemnym osądzaniu.

Ale jak to jest, że protestanci czytający tę samą ewangelię z większą otwartością podchodzą do gejów? Mówił ksiądz o tym, że Kościół nieraz zbyt szybko odpowiada na złożone pytania. Może w tym wypadku jest podobnie?
– W tej debacie jest dziś za dużo krzyku po każdej stronie, a za mało słuchania. Za dużo ludzi mówi o sobie nawzajem, a za mało rozmawia ze sobą. Rozmawiam z rodzicami osób homoseksualnych i nieraz słyszę dramatyczne pytanie: „Mam wybrać dziecko czy Kościół?". Za każdym razem zapala mi się w głowie czerwona lampka. Bo dziecko nie jest konkurencją dla Boga. Uczestniczyłem w rekolekcjach dla rodziców osób homoseksualnych. Nie po to, żeby rozstrzygać ideologiczne spory, ale żeby pomóc ludziom nie zgubić ani wiary, ani wzajemnej miłości. By uczyć się być w relacji, mimo różnych poglądów. I jeszcze jedno. Szacunek nie może być ruchem jednokierunkowym.

Nie można domagać się akceptacji dla siebie, jednocześnie szydząc z tego, co dla drugiego człowieka jest święte. Tak samo jak nie można mówić o Ewangelii, raniąc i poniżając ludzi. My w Kościele nadal nie nauczyliśmy się, jak z szacunkiem zwracać się do gejów, lesbijek i osób transseksualnych. Jeśli chcemy się naprawdę spotkać, musimy wspólnie odłożyć megafony.

Mamy też temat kapłaństwa kobiet. Za moment nie będzie księży, parafie będą łączone ze względu na małą liczbę wiernych, ktoś będzie musiał obsługiwać kilkanaście świątyń. A Watykan mówi stanowcze „nie" wyświęcaniu kobiet. Jak ksiądz to widzi?
– Samo patrzenie na statystyki mogłoby prowadzić do wniosku, że skoro brakuje księży, trzeba po prostu poszerzyć grono kandydatów do święceń. Tyle że Kościół nie traktuje kapłaństwa jak zawodu, który obsadza się wtedy, gdy brakuje pracowników.

Papież Franciszek tłumaczył nam, polskim biskupom, podczas wizyty „ad limina", na czym polega synodalność. W trakcie ostatniego watykańskiego synodu działał świetny mechanizm: przy stolikach po kolei każdy wypowiadał się na zadany temat, a w drugim okrążeniu każdy opowiadał, co usłyszał u drugiego. W ostatnim punkcie rozmówcy umawiali się na wspólne rzeczy.

Mówię o tym, ponieważ, jak relacjonował nam Franciszek, w trakcie synodu amazońskiego, gdzie podnoszono temat kapłaństwa żonatych mężczyzn, ten format rozmów doprowadził do następujących wniosków: synod poszedł inną drogą, niż początkowo oczekiwano, i nie zgodził się w konsekwencji na wyświęcanie mężczyzn żonatych. Podsumowując: w Kościele toczy się dyskusja, część teologów nie wyklucza diakonatu kobiet, inni są przeciwnego zdania. Nie mówi się natomiast o kapłaństwie kobiet. Ale za to wiele kobiet zyskuje w Kościele na znaczeniu. Szefową jednej z dykasterii watykańskich została ostatnio kobieta.

U księdza w diecezji też?
– Tak, w kurii i innych instytucjach pracuje więcej kobiet niż mężczyzn, z czego się bardzo cieszę.

Ale zakonnic?
– Nie, świeckich i dwie siostry zakonne. Nie sądzę jednak, żeby skończyło się to kapłaństwem kobiet.

Mówił ksiądz na początku, że czasem spaceruje po mieście prywatnie. A czy sprawdza ksiądz, co mówią zwykli księża na kazaniach, kiedy biskup oficjalnie nie słucha?
– Tak, raz mi się to zdarzyło. Kilku wiernych przyszło do mnie poruszonych tym, co usłyszeli na kazaniu. Poszedłem więc nie jako biskup na wizytację, ale jako człowiek, który chciał sam usłyszeć i zrozumieć, o co chodzi. Usłyszałem. I uznałem, że potrzebna jest rozmowa. Szczerze mówiąc, bardziej niż błędów innych boję się własnej ślepoty. Każdy biskup żyje w pewnej bańce. Ludzie są mili, klaszczą, dziękują. Można zacząć wierzyć, że wszystko jest w porządku. Dlatego regularnie proszę wiernych, żeby sprowadzali mnie na ziemię albo szarpnęli za rękaw. Od razu ktoś zapytał: a ja też mogę? ●

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W SPRZEDAŻY

Faworyci turnieju: Kylian Mbappe, Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA „Za pięć dwunasta"

Rozmowy z Janem Urbanem i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV

Kup w punkcie sprzedaży prasy (magazyn dostępny m.in: w salonach Empik, na stacjach benzynowych, w salonikach Media Relay, w Żabce, w Lidlu i w innych dobrych punktach sprzedaży prasy) lub zamów z bezpłatną dostawą na **prenumerata24.pl**

eprasa.pl 742b61cb94

ŚWIAT

Spędziłem dekadę z latynoamerykańskimi dyktatorami. W Trumpie jest coraz więcej z każdego z nich

Pierwsza kolonia AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

Mateusz Mazzini

Jednym z pierwszych pojęć, które poznaje się studiach poświęconych Ameryce Łacińskiej, jest *desaparecido* – słowo, którego nie da się precyzyjnie przetłumaczyć na polski. Intuicyjnie oznacza osobę zaginioną, o ile jednak można uznać to za tłumaczenie poprawne leksykalnie, w ogóle nie oddaje kontekstu społecznego.

Znacznie bardziej trafne byłoby użycie neologizmu „zniknięty". Otóż osoba, którą określa się mianem *desaparecido*, zaginęła na czyjeś wyraźne polecenie. Ktoś doprowadził do jej zniknięcia, wybrał ją z tłumu i dochował wszelkich starań, żeby nie został żaden ślad. Dosłownie żaden, bo często po „zniknięcie" opozycjonistach nie zostawały nawet ciała.

Nie ma historii Ameryki Łacińskiej drugiej połowy XX wieku bez historii *desaparecidos*, a co za tym idzie – bez historii dyktatur. Przetoczyły się przez cały region, nie oszczędzając prawie żadnego kraju. W zdecydowanej większości przypadków były to dyktatury prawicowe, ultrakonserwatywne, napędzane przez rasizm i legitymizowane przez Kościół katolicki oraz kolejne amerykańskie administracje. Ale tendencje mocno antydemokratyczne wykazywała też latynoska lewica, zwłaszcza ta wywodząca się ze wspólnego zimnowojennego pnia, jakim był komunizm braci Castro i Ernesto Che Guevary na Kubie. „Zniknięci" stawali się tamtejsi opozycjoniści, tak samo, jak później przeciwnicy Hugo Cháveza i Nicolása Maduro w Wenezueli.

Ten kraj zasługuje zresztą na osobną analizę. Chávez doprowadził bowiem do ruiny kraj na kontynencie najbogatszy i najbardziej demokratyczny, z najsilniejszą i najszerszą klasą średnią I ze stabilnymi instytucjami. Przez całą zimną wojnę to do Caracas uciekali intelektualiści, artyści, wykładowcy akademiccy, zasilając tamtejsze życie publiczne. Część decydowała się potem na emigrację do USA czy Hiszpanii, ale wielu zostało. Nie mówiąc o tym, że Wenezuela ma największe na świecie złoża ropy i mogłaby być krajem o poziomie życia wyższym od europejskich demokracji. Tymczasem jest państwem na poły upadłym, gnijącym od środka, zamienianym przez Waszyngton w amerykański roponośny protektorat.

Każda z historii latynoskich dyktatur, bez względu na jej orientację ideologiczną, zaczynała się od działań „w obronie demokracji". Kiedy w kraju rządziła opcja w jakiś sposób zagrażająca elitom – militarnym, korporacyjnym czy religijnym, choć najczęściej te grupy się pokrywały – ktoś wychodził z inicjatywą, by w imię niedookreślonej demokratycznej przyszłości kraju demokrację zawiesić, oczywiście tylko na chwilę. Wstrzymać wybory, zlikwidować niezależne instytucje, przepisać konstytucję, ograniczyć prawa i wolności obywatelskie i maksymalnie scentralizować władzy w rękach silnej, najlepiej jednoosobowej egzekutywy. To wszystko miały być środki tymczasowe, dopóki „wróg wewnętrzny" nie zostanie spacyfikowany. Ale ponieważ wróg był wyolbrzymiony, czasami nieistniejący, trzeba było go nieustannie wymyślać na nowo, koloryzować, utrzymując strach i napięcie społeczne.

Choć represje na masową skalę były w tych dyktaturach relatywnie krótkie, rzadko trwały dłużej niż trzy miesiące, na podprogowym poziomie trwały cały czas. Na początku Pinochet, Jorge Videla w Argentynie, Alfredo Stroessner w Paragwaju zgarniali z ulicy, kogo się dało, tworząc na poczekaniu masowe więzienia, obozy dla internowanych, miejsca tortur. Potem represje zmieniały charakter – z ilościowego w jakościowy. Kiedy całkowita kontrola dyktatora została już ustanowiona, wprowadzono stany wyjątkowe i godziny policyjne, opozycjonistów zmuszono do wyjazdu. Wtedy aresztowania dotyczyły już konkretnych osób w ramach konkretnych operacji. Ponieważ w społeczeństwach mających choć śladowe doświadczenia demokratyczne ustanowienie pełnej, dominacji jest niemożliwe, zawsze był ktoś, kto dyktatora kontestował.

Przeciwnicy reżimu nie byli jednak w stanie działać w cywilizowany, sposób – taktyką dyktatora było radyka-

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Prezydent Donald Trump na spotkaniu z rolnikami w gospodarstwie Custer Farms w Eau Claire w stanie Wisconsin (5 czerwca, 2026 r.)

FOT. JOYCE N. BOGHOSIAN/THE WHITE HOUSE

W skorumpowanej autokracji, którą wyborcy Latynosi znają z ojczyzn swoich lub swoich rodziców, wszyscy wiedzą, jak działa system. Zasady są przejrzyste, proces decyzyjny skupiony w konkretnych rękach. Wygrywa ten, kto zapłaci więcej i skorumpuje odpowiednią osobę

lizowanie nastrojów społecznych, tak aby centrowych, umiarkowanych poglądów nie miał już nikt. Ci, którzy chcieli obalenia systemu, siłą rzeczy działali coraz radykalniej. Rządzący popychali ich do walki zbrojnej celowo, bo stramuatyzowane represjami społeczeństwo nie chciało dalszego rozlewu krwi, a po prostu – przewidywalności i świętego spokoju. Dlatego, kiedy po drugiej stronie sporu pojawiał się ktoś, kto z dyktatorem chciał walczyć, ale z braku innych metod robił to przemocą, pistoletem i bombą – szerokiego poparcia uzyskać nie miał szans.

Punktów wspólnych, także poza polityką i sposobem konsolidacji władzy, latynoamerykańscy *caudillos*, czyli twardzi, zdecydowani, antydemokratyczni przywódcy, mieli znacznie więcej. Choć wielu było publicznie katolickimi dewotami, wiarę traktowali instrumentalnie – nie przeszkadzało im, jak w przypadku Pinocheta, regularnie korzystać z usług osobistego astrologa i osobistej wróżki.

Byli niewyobrażalnie skorumpowani, kleptokrację uważając za najbardziej naturalny sposób wykonywania polityki. Z chwilą przejęcia władzy stawiali znak równości pomiędzy nimi samymi i ich państwami, ze wszystkimi ich zasobami naturalnymi, bogactwem, produktami krajowymi. To, co wcześniej – czyli w demokracji – należało do suwerena, a więc do ludzi, nagle stawało się własnością jednego człowieka i jego rodziny. A aparat państwowy pracował tylko na to, by ich bogactwo mnożyło się z każdym dniem.

Spędziłem dekadę, zajmując się latynoamerykańskimi dyktatorami. Uczyłem się o nich na Oksfordzie, prowadziłem badania nad ich reżimami w Polskiej Akademii Nauk i na University College London. Pracowałem na źródłach i w terenie, mieszkając w Santiago de Chile i Buenos Aires. Rozmawiałem z dziesiątkami latynoamerykańskich polityków różnych opcji, w tym apologetami dyktatur. Chilijczyk Jose Antonio Kast opowiadał mi, jak głosował za utrzymaniem reżimu Pinocheta, bo alternatywą było przejęcie władzy przez „marksistów, czyli studentów uniwersytetów".

Kast jest dzisiaj prezydentem Chile i gwiazdą latynoskiej prawicy spod znaku MAGA. Poznałem uchodźców politycznych i ich dzieci, ofiary represji, ludzi, którzy byli torturowani i bici. O latynoskich dyktatorach wiem więcej niż o większości polskich polityków.

Od 20 stycznia 2025 roku ktoś o dokładnie takim światopoglądzie, rozumieniu polityki i metodach rządzenia państwem jest prezydentem Stanów Zjednoczonych.

•

W kwietniu ubiegłego roku dziennikarz „The New Yorkera" Jonathan Blitzer opublikował reportaż o działaniach Immigration and Customs Enforcement w stanie Nowy Meksyk.

ICE jest wizytówką rządów Trumpa w drugiej kadencji, służbą przekształconą z instytucji sprawdzającej ważność wiz i pozwoleń na pracę w rządową bojówkę o wielomiliardowym, prawie wojennym budżecie. To właśnie rękami agentów ICE prezydent i jego akolici, na czele z wiceszefem personelu Białego Domu, białym suprematystą Stephenem Millerem, przeprowadzają deportacyjną rewolucję.

Trump zapowiedział, że do końca kadencji chce odesłać 12 milionów nielegalnych imigrantów, ale dotychczasowe tempo nie daje na to większych szans. Oficjalne dane Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DHS), organu nadzorującego pracę ICE, mówią o 605 tysiącach osób deportowanych z USA do końca 2025 roku. Organizacje pozarządowe są jednak mocno sceptyczne. Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich (ACLU) szacuje liczbę wyrzuconych na 350 tysięcy, a grupa Transactional Records Access Clearinghouse na niecałe 300 tysięcy. DHS na to odpowiada, że aż 1,9 miliona osób dokonało autodeportacji – wyjechało z kraju na stałe dobrowolnie. Nawet gdyby ta liczba była prawdziwa, suma imigrantów usuniętych z USA wyniosłaby 2,5 miliona osób, czyli mniej, niż wynosi tempo niezbędne do spełnienia obietnicy wyborczej.

Problem w tym, że danych o autodeportacjach nie da się zweryfikować. Analitycy z Center for Migration Studies w Nowym Jorku twierdzą, że DHS wzięło tą liczbę z kosmosu. Wyjazd prawie 2 milionów – 15 procent całej populacji nielegalnych imigrantów w USA – ludzi w ciągu roku oznaczałby zniknięcie blisko 170 tysięcy imigrantów miesięcznie. Tego nie przegapiliby ani sąsiedzi, ani nauczyciele czy lekarze, ani pracodawcy, o reporterach nie mówiąc.

Nikt nie prowadzi rejestrów stałego opuszczania kraju, imigranci nie wypełniają formularzy ani deklaracji. Nie ma sposobu, żeby stwierdzić, kto nie będzie już próbował przedostać się przez granicę. Wspomniane 15 procent pojawia się raz – w raporcie przygotowanym przez Fundację Rodziny Kaiserów i „The New York Times". Z danych tam zgromadzonych wynika, że dokładnie taki odsetek nielegalnych imigrantów brało lub bierze pod uwagę wyjazd z USA – ale to nie znaczy, że już to zrobiło albo kiedykolwiek wykona ruch w tym kierunku. Najpewniej DHS, jeszcze pod rządami usuniętej niedawno kowbojki Kristi Noem, razem ze strażą graniczną sztucznie zawyżało statystyki, żeby zadowolić Trumpa i Millera.

Słowem, które najlepiej oddaje politykę antyimigracyjną w USA, jest więc nie „skuteczność", a „chaos". Ogromna presja polityczna, fundamentaliści i rasiści na kierowniczych stanowiskach, miliardowe budżety, spory kompetencyjne pomiędzy instytucjami, przerzucanie obowiązków na sektor prywatny, ale też nadmierne użycie przemocy i broni palnej, które kończy się tragediami jak słynna bitwa o Minneapolis, gdzie ICE zabiło dwójkę niewinnych obywateli, Alexa Prettiego i Renee Good.

W tym wszystkim giną zwykłe ludzkie historie, najczęściej tragiczne – bo Trump, wzorem latynoskich wodzów, nie liczy się z życiem jednostek, które są mu tożsamościowo obce i politycznie wrogie.

•

Właśnie taką historię opisał Jonathan Blitzer. 12 marca 2025 roku w Santa Fe, Albuquerque i Roswell, trzech miastach stanu Nowy Meksyk, ICE przeprowadziło skoordynowaną akcję, w ramach której aresztowano 48 osób – tak przynajmniej wynikało z informacji prasowej agencji. Problem w tym, że nikt nie wiedział, kto został aresztowany, za co ani gdzie teraz przebywa. Reporter dotarł do wszystkich najważniejszych lokalnych organizacji praw człowieka, prawników pracujących pro bono, aktywistów współpracujących ze społecznościami imigranckimi. Nikt nie potrafił mu powiedzieć, kim były ofiary łapanki.

Rozmówcy wskazywali na dziwną okoliczność, całkowicie nietypową w takich przypadkach, nawet za Trumpa: nikt z krewnych, znajomych, przyjaciół ofiar policji imigracyjnej nie zgłosił się po pomoc. Nikt nie bił na alarm w serwisach społecznościowych. Nikt nie organizował demonstracji, nie wydzwaniał po więzieniach, nie zgłaszał się nawet do władz lokalnych. Najprawdopodobniej ze strachu – działania ICE mają dziś efekt tak niesamowicie mrożący, że imigranci boją się nawet pisać do siebie wiadomości na nieszyfrowanych komunikatorach z obawy, że DHS za pomocą sztucznej inteligencji i oprogramowania szpiegowskiego inwigiluje ich telefony.

Blitzer postanowił więc sprawdzić u źródła, czyli w administracji. Władze lokalne, włącznie z burmistrzami trzech miast, nic nie wiedziały. ICE i DHS natomiast odmawiały komentarza. Wszystko, co dziennikarze mieli wiedzieć, zawarte zostało w informacji prasowej. Jedyny szczegół, który się w niej pojawił, to garść liczb związane z przestępczością. W przypadku 21 schwytanych decyzje o deportacji zostały już podjęte, 20 z nich ma rzekomo na koncie wyroki skazujące „za poważne przestępstwa", pozostałe 27 osób było po prostu w kraju nielegalnie. Tyle że nie wiadomo, czy cokolwiek z tego jest prawdą, bo ICE nie udostępniło żadnych informacji o aresztowanych. Blitzer przez miesiąc próbował ustalić ich tożsamość oraz miejsce pobytu, korespondując z dwiema wewnętrznymi instytucjami w DHS – biurem praw obywatelskich oraz rzecznikiem praw osadzonego. Nie dowiedział się niczego – a w międzyczasie Kristi Noem obie te jednostki po prostu rozwiązała. Wszędzie, gdzie reporter zapukał – było głucho. 48 mężczyzn zniknęło, a ich rodziny milczały ze strachu, że podzielą ich los.

48 osób zostało *desaparecidos* w Stanach Zjednoczonych w 2025 roku.

Blitzer w końcu otrzymał odpowiedź od oddziału ICE w Santa Fe, ale finału historii to nie zmienia – dowiedział się jedynie, że 15 aresztowanych zostało już deportowanych, choć nie wiadomo dokąd. Nie jest powiedziane, że zostali odesłani do ojczyzny, bo administracja Trumpa jako docelowego miejsca używa między innymi mega-więzienia CECOT w Salwadorze, współczesnego gułagu zaprojektowanego tak, aby już nikt z niego nie wyszedł. Trafiają tam obywatele różnych krajów, nie tylko Salwadoru. Pozostałych 33 aresztowanych „przebywa w aresztach i oczekuje na decyzję deportacyjną". Gdzie? Kiedy? W jakich warunkach? Czy d dostępem do reprezentacji prawnej? Nie wiadomo.

Zupełnie jak w pierwszych miesiącach po zamachu stanu przeprowadzonym 11 września 1973 roku w Chile przez Pinocheta i trzech innych wojskowych wysokiego szczebla. Wtedy też represje zaczęły się kilka tygodni po przejęciu władzy, przeprowadzane rękami DINA – tajnej policji, której agenci nie nosili mundurów i nie poddawali się identyfikacji. Łapali ludzi na ulicach, w szkołach, na uniwersytetach. Torturowali, czasem zabijali. Ale ponieważ nie zostawiali po sobie śladu w papierach, rodziny ofiar nie mogły nic wskórać – składać podań o widzenie, zgłoszeń zaginięć. Dopiero w 1975 roku z pomocą niektórych księży katolickich, zrzeszonych w inicjatywie La Vicaría de la Solidaridad, „Wikariat Solidarności", niektórzy krewni zaczęli pisać podania habeas corpus, często przekonując się, że ciało poszukiwanego *desaparecido* jest w kostnicy.

To samo działo się w Paragwaju Alfredo Stroessnera czy Argentynie Jorge Videli. Właśnie o tym zjawisku – *desaparecidos* i petycjach habeas corpus opowiada doskonały, nagrodzony Oscarem, pokazywany niedawno w Polsce film „I'm still here" opowiadający historię pozasystemowego aresztowania i zamordowania przez wojskową dyktaturę Rubensa Paivy, brazylijskiego architekta i lewicowego polityka.

•

Paralele między pierwszymi miesiącami latynoamerykańskich dyktatur i początkiem drugiej kadencji Trumpa są nie tylko estetyczne czy w stylu rządzenia. I są widoczne już nie tylko dla latynoamerykanisty. O tym, że USA wkroczyły na terytorium brutalnego autorytaryzmu, już w drugim miesiącu rządów tej administracji mówiła Asha Rangappa. Gdy prawniczka, była agentka FBI, wykładowczyni Yale i autorka poczytnego bloga The Freedom Academy na platformie Substack wypowiadała się w w „The New York Times", Ameryka żyła sprawą Kilara Abrego Garcii, Salwadorczyka, którego administracja Trumpa oskarżyła, że jest terrorystą z groźnego gangu MS-13 i wysłała do więzienia CECOT. Problem w tym,

eprasa.pl 742b61cb94

że nie było dowodów na jego winę, na co Biały Dom stwierdził, że nie ma żadnej mocy sprawczej, żeby ściągnąć go z powrotem do kraju.

Abrego Garcię na sztandary wzięła nie tylko opozycja z Partii Demokratycznej. „The National Review", bardzo konserwatywny magazyn zajmujący się polityką i kwestiami prawniczymi, napisał, że „nikt nie może zaprzeczyć faktowi, iż rząd federalny złamał prawo, deportując go". A Asha Rangappa oceniła, że biorąc pod uwagę metody działania ICE, z prawnego punktu widzenia Amerykę Trumpa i Chile Pinocheta nie dzieli prawie nic. Jedyną różnicą jest fakt, że Trump formalnie nie zawiesił jeszcze amerykańskiej konstytucji. A w niej znajduje się zapis o możliwym impeachmencie, czyli usunięciu z urzędu.

Teoretycznie byłoby to możliwe nawet w tej chwili, ale do tego potrzeba tylko i aż jednego kluczowego czynnika, czyli woli politycznej. Kongres musiałby dojść do wniosku, że Trump przekracza konstytucyjne uprawnienia i rozpocząć procedurę usuwania go z urzędu. A parlament, zdominowany przez Partię Republikańską, zastraszoną przez Make America Great Again, takiego kroku oczywiście nie wykona. Dlatego pod względem ustrojowym różnica pomiędzy Chile z listopada 1973 roku i Stanami Zjednoczonymi 53 lata później jest już tylko teoretyczna, ograniczona do legalistycznego narzędzia, które pozostaje wirtualne.

Do podobnych wniosków dochodzi Quinta Jurecic, od niedawna dziennikarka „The Atlantic", wcześniej autorka w portalu prawniczym Lawfare oraz ekspertka Brookings Institution zajmująca się praworządnością. Jurecic wielokrotnie podkreślała, że przypadek Kilmara Abrego Garcii to jak najbardziej podstawa do impeachmentu Trumpa – bo jest dowodem na to, że dwie pozostałe gałęzi amerykańskiego państwa, parlament i wymiar sprawiedliwości, nie sprawują już efektywnej kontroli nad egzekutywą, skupioną w rękach prezydenta.

Ten argument, sformułowany w marcu zeszłego roku, dzisiaj wydaje się jednak nieadekwatny, bo powodów do impeachmentu przybyło. Po prawie osiemnastu miesiącach tej kadencji amerykańskie państwo już nie funkcjonuje w myśl trójpodziału władzy, gdzie wszystkie trzy elementy wywierają na siebie podobny wpływ. Kongres i sądy w praktyce podlegają władzy wykonawczej, aparat państwowy został zredukowany do egzekutywy. Ameryka to dzisiaj jej prezydent, a rząd federalny jest instrumentem w jego rękach służącym do realizacji osobistych – celów. „Państwo to ja", zupełnie jak w latynoamerykańskich dyktaturach.

Od początku drugiej kadencji politolodzy, historycy, analitycy, dziennikarze czy zwykli obserwatorzy polityki, zmęczeni życiem w czasach chaosu i kierowani potrzebą zrozumienia, co dzieje się w Białym Domu, desperacko poszukują ramy interpretacyjnej, która logicznie tłumaczyłaby działania Trumpa. W polityce zagranicznej to nawet się udaje, bo tu Trump o wszystkim decyduje osobiście i nie ukrywa swoich zamiarów. Stąd teoria neo-rojalizmu stworzona przez Abrahama Newmana z Georgetown University, opisująca prezydenta i jego administrację jako renesansowy dwór europejskiego miasta-państwa.

Inne przydatne narzędzie to pojęcie „drapieżnego hegemona", którym według politologa Stephena Walta stała się Ameryka pod rządami Trumpa. Walt twierdzi, że USA nie są już hegemonem dobrodusznym, utrzymującym stabilność geopolityczną i czerpiącym z niej zyski, tylko hegemonem drapieżnym. W ten sposób eksportują wojnę i pobierają haracz za pokój, będąc już całkowicie niezdolnymi do budowania sojuszy innych niż najemne i ekstraktywne. Lecz w polityce krajowej o trafną ramę interpretacyjną trudniej, bo wewnętrzne działania administracji są znacznie bardziej chaotyczne, do tego dochodzą starcia poszczególnych frakcje, spośród których jedne niosą potężny ładunek ideologiczny, rasowy czy religijny, a inne są na swój sposób technokratyczne. Na co nakładają się olbrzymie wpływy Doliny Krzemowej, która ma własne aksjomaty: techno-optymizm, akceleracjonizm, antyhumanizm.

Kryptowaluty, prywatne inwestycje wychodzone podczas oficjalnych rozmów z Saudyjczykami, ugody przedprocesowe, prezenty od zagranicznych polityków, umowy licencyjne, wykorzystywanie własnych nieruchomości do celów państwowych – przez dwie kadencje rodzina Trumpów wzbogaciła się co najmniej o 4 miliardy dolarów

Wreszcie – na czele tej mętnej, rywalizacyjnej i chaotycznej struktury stoi Trump, ideologiczny agnostyk obojętny na politykę w wersji tradycyjnej, wywodzącej się z wielkich europejskich idei wpuszczonych w machinerię państwa administracyjnego. Jeszcze w czasie kampanii w 2024 roku wielu intelektualistów próbowało go zakwalifikować do grona przywódców tradycyjnie faszystowskich. Anne Applebaum na łamach „The Atlantic" analizowała język z przemówień i wypowiedzi Trumpa, porównując go z wystąpieniami Hitlera i Mussoliniego. Robert Paxton, wybitny amerykański historyk XX wieku, długo sprzeciwiał się porównywaniu ruchu MAGA z europejskim faszyzmem poprzedniego stulecia, ale ostatecznie i on zapisał się do chóru zwolenników tej teorii. Dzisiaj na antenie BBC i w mediach społecznościowych z impetem wtóruje mu znany holenderski historyk i filozof Rutger Bregman, autor bestsellerów „Utopia dla realistów" i „Homo Sapiens. Ludzie są lepsi, niż myślisz".

Na tym historyczne interpretacje się nie kończą. Henry Farrell, irlandzki politolog z Johns Hopkins University, napisał przenikliwy esej o hunwejbinach z MAGA jako „nowych trockistach" chcących stworzyć nowy typ człowieka na wzór zmian wprowadzonych w czasie rewolucji październikowej. Badacze Dalekiego Wschodu widzą z kolei w działaniach Trumpa ślady rewolucji kulturalnej Mao Zedonga.

Tymczasem nikt nie zdecydował się sięgnąć po wzorzec, który jest dla Trumpa i MAGA geograficznie najbliższy i nieodległy historycznie, cywilizacyjnie czy kulturowo. To właśnie wzorzec *caudillo*, dyktatora rządzącego scentralizowanym, bardzo zmilitaryzowanym państwem i pasywnym społeczeństwem. Mężczyzny uznającego się za zbawcę, wyzwoliciela, ale też właściciela całego narodu. Człowieka, któremu wszystko jedno, czy osoby chcące z nim współpracować są wierzące czy niereligijne, prawicowe czy lewicowe, homo- czy heteroseksualne. Ważne, żeby na wstępie oddały mu hołd, obiecały całkowitą lojalność, realizowały każde polecenie i przyczyniały się do powiększenia osobistego majątku wodza. Przy okazji mogą same kraść i się wzbogacać – byleby oczywiście nie przesadzić, nie stać się bogatszym od *caudillo*.

Usankcjonowana polityczna korupcja jest chyba najbardziej widoczną cechą tego zjawiska. USA to dzisiaj kleptokracja oparta na wykorzystywaniu publicznych instytucji do powiększania własnego majątku, ewentualnie – majątku swojej rodziny.

I znowu – Trump i jego zlatynizowana administracja, wybrana przez coraz bardziej zlatynizowany elektorat, ma znajome wzorce. Pinochet przez 17 lat swoich rządów wywoził z Chile złoto, czerpał korzyści z handlu narkotykami, miał ukryte konta w Hongkongu i Szwajcarii – według późniejszego śledztwa amerykańskiego Senatu zdeponował za granicą 28 mln dolarów. Videla w Argentynie kradł i konfiskował mienie opozycjonistów, porywał ich dzieci, które umieszczał w wojskowych rodzinach, handlował też nielegalnie bronią, na czym zarobił miliony. Stroessner zamienił Paragwaj w swoje lenno, a rodzinę uczynił jednym z największych posiadaczy ziemskich w kraju. Nikaraguański dyktator Anastasio Somoza zgromadził fortunę sięgającą pół miliarda dolarów. Przykłady można mnożyć, bo tak działał każdy *caudillo* – jeśli „państwo to ja", to wszystko, co na jego terytorium się dzieje, podlega mojej kontroli, a ja mogę od tego pobierać haracz.

Casey Michel, ekspert zajmujący się kleptokracją i korupcją polityczną w waszyngtońskiej Human Rights Foundation, regularnie monitoruje skalę tego procederu w administracji Trumpa. Na łamach „The Atlantic", „Foreign Affairs" i w licznych podcastach wylicza: nowy samolot prezydencki o wartości 400 milionów dolarów od Kataru, ponad miliard dolarów w wycenie własnych kryptowalut, nowy hotel pod marką TRUMP otwarty w Omanie, TRUMP Tower w Arabii Saudyjskiej, pole golfowe TRUMP w Wietnamie.

Jared Kushner, jego zięć, który nie ma żadnego formalnego stanowiska w administracji, a jednocześnie prowadzi w imieniu teścia negocjacje w rządami Bliskiego Wschodu, w tym samym czasie zebrał 5 miliardów dolarów dla swojego prywatnego funduszu inwestycyjnego – głównie od państwowych wehikułów inwestycyjnych bliskowschodnich monarchii.

Na liście musi znaleźć się też proces Trumpa ze stacją ABC, który w sądzie telewizja by zapewne wygrała, ale jej szefowie woleli nie ryzykować w obawie przed zemstą federalnych regulatorów, więc przeznaczyli 15 milionów dolarów na fundusz prezydenckiej biblioteki. Co ciekawe, jak ujawniła senator Elisabeth Warren, aż 63 miliony przeznaczone na ten cel po prostu zniknęły. Nie wiadomo gdzie są, kto ma je na kontach i do kogo te konta należą.

Potężny koncern mediowo-filmowy Paramount, który jest nowym właścicielem TVN, też poszedł na ugodę z Trumpem, choć sprawa dotyczyła naciąganych zarzutów o edytowanie wywiadu z Kamalą Harris – tu kwota wyniosła 16 milionów.

Do tego inwestycje rodziny – żony Melanii i syna Erika w kryptowalutach, w tym z synem Steve'a Witkoffa, kumpla prezydenta z deweloperskich czasów, obecnie osobistego negocjatora w sprawie Ukrainy, czy Kushnera, który bawi się w deweloperkę w Serbii i w Albanii.

Łącznie, jak w ramach pieczołowitego śledztwa wyliczył David Kirkpatrick z „New Yorkera", rodzina Trumpów od początku pierwszej kadencji prezydenckiej poprzez ugody przedprocesowe, prezenty od zagranicznych polityków, umowy licencyjne, wykorzystywanie własnych nieruchomości – jak florydzka rezydencja Mar-a-Lago – do celów politycznych i państwowych, kryptowaluty oraz inne działania objęte konfliktem interesów, wzbogaciła się co najmniej o 4 miliardy dolarów.

Co o tym wszystkim myśli sam Trump? To samo, co myśleli Pinochet czy Videla. Na początku 2017 roku zapytany, czy na czas prezydentury wycofa się z rodzinnej działalności biznesowej, odpowiedział, że „prezydent z definicji nie może nigdy znaleźć się w sytuacji konfliktu interesów i prawo jest w tym zakresie po mojej stronie". Innymi słowy, Trump jest przekonany, że wszystko, co zrobi, jest zawsze zgodne z prawem – legalność jego działań jest bowiem naturalną, logiczną konsekwencją faktu bycia prezydentem.

Na koniec warto zadać pytanie o rewers tej historii, czyli o latynoskich wyborców, którzy w 2024 roku masowo poparli Trumpa. Według powyborczych analiz Pew Research Centre głos na niego oddało 48 procent wyborców identyfikujących się jako Latynosi.

Na pierwszy rzut oka to mało logiczne, wszak Trump nie dość, że gardzi – lub udaje, że gardzi, by zaskarbić serca białych supremacystów, lecz skutek jest ten sam – Latynosami, prześladuje migrantów, którzy są krewnymi, przyjaciółmi lub byli przodkami wielu „latino" wyborców MAGA, to jeszcze nigdy nie ukrywał swoich autorytarnych zamiarów. Czy ludzie wywodzący się z krajów o tak wielkich traumach związanych z dyktaturą, których rodzice lub oni sami nierzadko przed takimi postaciami uciekli, nie powinni właśnie takich kandydatów unikać, wręcz robić wszystko, by ich zatopić?

Niekoniecznie. Wytłumaczenie znalazła Helen Lewis, brytyjska dziennikarka „The Atlantic" i BBC, która podczas kampanii w 2024 roku relacjonowała wydarzenia wyborcze na Florydzie. Wiceszef tamtejszego oddziału Partii Demokratycznej związkiem pomiędzy kleptokracją a popularnością Trumpa wśród Latynosów nie był w ogóle zaskoczony. Tłumaczył, że dla wielu tych wyborców skorumpowana autokracja jest lepsza od liberalnej demokracji – z prostej przyczyny. W skorumpowanej autokracji, którą przecież znają z ojczyzn swoich lub swoich rodziców, wszyscy wiedzą, jak działa system. Zasady są przejrzyste, proces decyzyjny skupiony w konkretnych rękach. Wygrywa ten, kto zapłaci więcej i skorumpuje odpowiednią osobę.

Demokracja liberalna jest natomiast złożona, pełna zawiłych procedur, a przede wszystkim – nieprzewidywalna. I w ramach wyborów, i w procesach sądowych nie wiadomo, jaki będzie wynik. Owszem, na tym polega jej sedno – wszyscy muszą być równi wobec prawa, w przeciwnym razie demokracja nie jest demokracją. To jednak wymaga pracy. A po co się męczyć, kiedy można zarabiać z samego tylko tytułu bycia prezydentem – a jeśli nie da się nim być, to z tytułu ułożenia się z *caudillo*, zaakpcetowania jego reguł?

Dlatego opowieść o Trumpie jako nowym wcieleniu latynoskiego dyktatora jest historią nie o nim samym, lecz o kierunku, w którym zmierzają Stany Zjednoczone jako państwo i Amerykanie jako społeczeństwo. USA ulegają latynizacji nie tylko demograficznie, ale tez kulturowo i politycznie. Jeszcze w 1990 roku odsetek populacji wskazującej na korzenie latynoskie wynosił 8 procent, teraz 22 procent.

Już Samuel Huntington, autor głośnej koncepcji zderzenia cywilizacji – choć akurat w niej skupiał się głównie na islamie i Chinach – przepowiadał trzy dekady temu, że latynoamerykanizacja to dla USA ewolucja nieuchronna. Już wtedy dostrzegał, że ideologia i wartości są zastępowane przez niekontrolowaną chciwość korporacji i najbogatszych jednostek, a przestrzeń publiczna komercjalizuje się i prywatyzuje. Że kapitał kumuluje się w kilku niewielkich ośrodkach, a reszta kraju biednieje na potęgę. Że zacierają się granice między sektorem prywatnym i publicznym, a polityka – klientystyczna od zawsze, taka jej natura, lecz za kulisami i w kontrolowanym stopniu – z demokratycznej rywalizacji czy próby reformy państwa ewoluuje w system jawnego rozdawania przywilejów w zamian za posłuszeństwo.

W dodatku rozkręcana już wtedy, najpierw przez Ronalda Reagana, potem przez George'a H. W. Busha, prawicowa kontrrewolucja kulturowa pcha Amerykę w objęcia społecznych problemów, które są tak powszechne w Ameryce Łacińskiej – maczyzmu, przemocy domowej, marginalizacji kobiet w życiu publicznym, wpływów i szantaży przywódców religijnych.

Jeśli dodać do tego prywatyzację zasobów naturalnych, którą najpierw neoliberałowie wprowadzili w takich krajach jak Chile, a teraz w USA sztafetę kontynuują firmy technologiczne, widać jak na dłoni, że Stany Zjednoczone rzeczywiście wracają na półkulę zachodnią.

Z tą różnicą, że to nie one będą teraz tak naprawdę dominować nad Ameryką Łacińską. Wręcz przeciwnie, historia chichoce, bo choć Trump cieszy się, że przejmuje Wenezuelę, że zaraz sprywatyzuje Kubę, że zastrasza Meksyk, to Ameryka Łacińska kolonizuje Stany Zjednoczone.

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

MAM ZŁE SNY

Zwlekanie i oczekiwanie, że sytuacja w naszej Białorusi zmieni się dopiero po upadku Putina byłoby błędem.

ZE **SWIATŁANĄ CICHANOUSKĄ***, LIDERKĄ BIAŁORUSKIEJ OPOZYCJI ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Spotkała się pani po raz pierwszy w Kijowie z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Z jakimi emocjami pani wróciła?
– Współpraca między białoruską opozycją a Ukrainą weszła na nowy poziom. Otworzyliśmy w Kijowie misję dyplomatyczną do współpracy z naszymi siłami demokratycznymi.
Zobaczyłam na własne oczy broniącą się Ukrainę, Kijów. Tylko będąc tam, obejmując ludzi, też białoruskich wolontariuszy, którzy są od początku zaangażowani w pomoc Ukraińcom, można wojnę poczuć.

Białorusinów, którzy chcieliby pojechać do Ukrainy w charakterze wojennych wolontariuszy jest więcej. By im to umożliwić, konieczne jest uporządkowanie ich statusu w Ukrainie. Nad tym również pracujemy.

Jak na razie białoruski paszport, który jest przecież paszportem państwa współagresora, rodzi problemy.

Jakie?
– Zabiegamy, by Białorusini, którzy walczyli po stronie Ukrainy i znaleźli się w rosyjskiej niewoli też byli uwzględniani w wymianach jeńców. W Kijowie rozmawialiśmy też o możliwości wymiany białoruskich więźniów politycznych, którzy są przetrzymywani przez Łukaszenkę, na Białorusinów, którzy walczyli w tej wojnie po stronie Rosji i trafili w Ukrainie do niewoli.

Simon Shuster, biograf Zełenskiego, zwrócił mi uwagę, że stosunek prezydenta Ukrainy do białoruskiej opozycji wyraźnie się zmienia. I że Zełenski zaczął oddzielać Białoruś od Białorusinów. Co na to wpłynęło?
– Być może Ukraina uważała, że z czasem Łukaszenka zacznie się dystansować od Putina. Tymczasem jest odwrotnie, na Białorusi powstają zakłady zbrojeniowe, które pracują pełną parą, oczywiście dla Rosji. Łukaszenka pomaga kupować Rosji sprzęt wojskowy i części do niego, umożliwiając Putinowi obejście sankcji. Udostępnia też Rosji infrastrukturę wojskową albo wręcz ją dla niej buduje, by Putin mógł rozmieszczać i testować swoją broń, choćby rakiety Oriesznik…

Nie ma szans na dialog z kimś takim.

Po drugie, Ukraina widzi, że demokratyczne siły Białorusi przetrwały. Nasz głos jest silny na arenie międzynarodowej, mamy struktury.

No i przecież w interesie Ukrainy leży, by jej sąsiadem była wolna, demokratyczna Białoruś.

Trzecia kwestia, może najważniejsza, sprowadza się do tego, że Ukraina jest dzisiaj pewna i silna: ma już nie tylko możliwości obrony, ale i atakuje rosyjskie obiekty wojskowe. Nie jest sparaliżowana strachem przed możliwością otwarcia drugiego frontu – z Białorusi. Dodam przy tym, że naszym zadaniem jest niedopuszczenie, by coś podobnego się wydarzyło.

Tuż przed pani przybyciem do Kijowa Łukaszenka deklarował, że gotów jest usiąść z Zełenskim przy stole. Pani wizyta w Ukrainie mocno go zirytowała.
– Łukaszenka chciałby siedzieć przy wszystkich możliwych stołach negocjacyjnych. Cierpi, że od 2020 roku nie jest uznawany za prawowitego przedstawiciela Białorusi. Izolacja Łukaszenki nadal bowiem trwa. My, demokratyczni Białorusini, jesteśmy za to naszym partnerom wdzięczni. Cieszy nas, że wartości, na straży których stoi Europa, bardzo wyraźnie są tu ważniejsze niż pragmatyzm.

Łukaszenka wyrwał się z tą deklaracją, bo rozumie, że mamy nową dynamikę wojny. I ze wszystkich sił chciałby uniknąć odpowiedzialności za rosyjską napaść na Ukrainę. Wypuszcza więźniów politycznych w ramach dialogu z Amerykanami, ale wszyscy już wiedzą, jakim człowiekiem jest Łukaszenka i że nie wolno mu ufać. Świat zdaje sobie sprawę, że jest on całkowicie zależny od Rosji.

Czyli do zaproponowania Zełeńskiemu spotkania zachęcił go Putin?
– Tego nie wiem, choć wątpię, by Łukaszenka mógł robić cokolwiek bez zgody Kremla. Jedyną sferą, którą zarządza samodzielnie, to represje.

Reżim Łukaszenki jest uwikłany w wojnę przeciwko Ukrainie. I Łukaszanka musi ponieść za to odpowiedzialność.

Poniesie?
– Nie wyobrażam sobie innej opcji. Pracujemy nad tym, aby pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy popełnili zbrodnie przeciwko narodowi białoruskiemu, brali udział w deportacji ukraińskich dzieci oraz w zbrodniach wojennych. Łukaszenka powinien pewnego dnia zasiąść na ławie oskarżonych w Hadze. Dokładamy wszelkich starań, aby do tego doszło.

Wielu Białorusinów, z którymi rozmawiam, wierzy, że jeśli Rosja przegra wojnę i doprowadzi to do upadku Putina, to upadnie i reżim Łukaszenki. Pani się z tym zgadza?
– Nie należy możliwości przemian na Białorusi uzależniać od sytuacji w Rosji. Oczywiście, reżim Łukaszenki utrzymuje się głównie dzięki wsparciu Kremla – politycznemu i gospodarczemu. Ale uważam, że równie dobrze to zmiany na Białorusi mogą doprowadzić do rozpoczęcia tego procesu w Rosji.

A nie obawia się pani, że w pewnym momencie w Europie zwycięży jednak pragmatyzm i dialog z Łukaszenką zostanie wznowiony? Widzimy przecież, że ten z USA w pewnym stopniu już się odbywa.
– Komunikacja strony amerykańskiej z białoruskim reżimem ma bardzo konkretny cel: uwolnienie więźniów politycznych. To było otwarte żądanie prezydenta Donalda Trumpa, które jest teraz realizowane. Łukaszenka nie uwalnia więźniów politycznych z humanitarnych pobudek, on ich zwyczajnie sprzedaje w zamian za złagodzenie sankcji USA.

Nasi amerykańscy partnerzy nie są naiwni, rozumieją, czym różni się szlak polityczny od humanitarnego w relacjach między państwami. I chociaż Łukaszenka opowiada dzisiaj, jak wspaniałe ma relacje z USA, to z pewnością rozumie, że Trump może szybko stracić do niego cierpliwość, jeśli tylko poczuje, że Łukaszenka próbuje stawać okoniem.

A co do Europy: mamy wielką prośbę do naszych partnerów, by trzymali się swojego zasadniczego, twardego stanowiska. Łukaszenka wypuszcza ludzi, bo sankcje działają. Nie czas więc je osłabiać, przeciwnie – trzeba je wzmacniać.

Łukaszenka nie jest zainteresowany demokratyzacją Białorusi, a jedynie własnym zyskiem i kontynuacją terroru. Komuś takiemu nie wolno ulegać. Nałożone przez USA sankcje na Białoruś są konieczne, by uwolnić ludzi, zaś europejskie będą potrzebne, by uwolnić Białoruś.

W interesie Europy jest, by nasz kraj stał się krajem wolnym i demokratycznym.

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Łukaszenka powinien pewnego dnia zasiąść na ławie oskarżonych w Hadze. Dokładamy wszelkich starań, aby do tego doszło

Do zmiany reżimu najczęściej potrzebne są jednak mocne, wewnętrzne pęknięcia. Czy w strukturze białoruskich władz są ludzi, którzy gotowi byliby z wami rozmawiać?
– Często powołujemy się tu na scenariusz, który w Polsce udało się zrealizować „Solidarności". I przypominamy, że wam, Polakom, również potrzebny był czas, by doprowadzić do obrad Okrągłego Stołu. Oprócz Łukaszenki są w strukturach reżimu osoby, które zasadniczo mogłyby do takich negocjacji dołączyć.

Sęk w tym, że Łukaszenka tak bardzo boi się wszelkiej konkurencji, że jeśli tylko ktoś staje się bardziej znany lub popularny, to natychmiast go degraduje. Nie chce, żeby Europa dostrzegła w Mińsku kogoś, na kogo mogłaby „postawić".

My przez cały czas apelujemy do białoruskich urzędników o dialog, wysyłamy do nich pisma. Śruby są jednak tam tak mocno dokręcone, że ludzie się boją. Ale w pewnym momencie, w czasie turbulencji, wszystko może się zmienić. Wiele, jeśli nie wszystko, zależy od wyniku wojny w Ukrainie. Kiedy już Ukraina wygra, bo nie przyjmuję innego scenariusza, będziemy mieć szansę na zmianę. Musimy być przygotowani.

Załóżmy, że Ukraina wygrywa i że rzeczywiście skutkuje to chaosem w Rosji i Białorusi, choć osobiście obawiam się, że to nad wyraz optymistyczny scenariusz rozwoju wydarzeń. Co wtedy?
– Będziemy musieli szybko przeprowadzić wybory i położyć na stół reformy, nad którymi teraz pracują nasi eksperci. Okres przejściowy to wąskie okno możliwości, trzeba zdążyć przez nie przeskoczyć, póki jest otwarte. Powtarzamy naszym europejskim partnerom, by nie zapominali o Białorusi, nie odsuwali jej na dalszy plan, nie przegapili momentu.

Wróci pani wtedy na Białoruś jako liderka lub głowa państwa?
– Kiedy Ukraina zwycięży, dojdzie do podpisania traktatów pokojowych na jej warunkach. Pracujemy nad tym, by obejmowały one także sytuację Białorusi, by rosyjskie wojska zostały wyprowadzone także z naszego kraju.

Jeśli – przepraszam – kiedy do tego dojdzie, będę gotowa, przy wsparciu europejskich i ukraińskich partnerów, wrócić do Białorusi, by przewodzić rządowi tymczasowemu. Obiecaliśmy Białorusinom, że kiedy tylko będzie to możliwe, przeprowadzimy uczciwe, demokratyczne wybory. To się wydarzy.

Chciałaby pani w nich wystartować?
– Nie. Większość Białorusinów, w przeciwieństwie do mnie, nie ma możliwości zgromadzenia kapitału politycznego. Gdybym wzięła w nich udział, konkurencja między mną a innymi kandydatami, nie byłaby uczciwa.

Taki scenariusz musi przecież brać pod uwagę i Łukaszenka. Nie obawia się pani, że zdecyduje się na rozpaczliwy krok i włączy się aktywnie w wojnę, byle tylko zachować władzę?
– Łukaszenka jest już uczestnikiem tej wojny. On od samego początku zarabia pieniądze na krwi Ukraińców. Łukaszenka zdradzi Białoruś, poświęci ją, byle tylko otrzymać z Rosji wsparcie.

Obserwujemy zresztą zacieśnienie współpracy wojskowej między Rosją a Białorusią, a także rozwój infrastruktury wojskowej, który sugeruje przygotowania do eskalacji.

Trzeba jednak jednocześnie zrozumieć, że naród białoruski nie popiera tej wojny, a większość Białorusinów nie chce, by ich armia brała udział w agresji na Ukrainę. Łukaszenka wie, że otwarte przystąpienie do wojny byłoby dla niego bardzo niebezpieczne.

Pamiętam naszą pierwszą rozmowę: to było sześć lat temu, na początku sierpnia, tuż przed wyborami. Jak pani się zmieniła przez ten czas?
– Stałam się silniejsza. Potrafię odróżnić konstruktywną krytykę od brudu, którym reżim próbuje mnie oblać na różne sposoby. Te ataki mnie już nie bolą, choć przez pewien czas bardzo je przeżywałam. Przekonałam się też, że szybko się uczę, że jestem w stanie zmobilizować się i wszystkie siły poświęcić pracy. Wiem też już, że ma to swoją cenę: mimo że dzieci są ze mną, wiele z momentów ich dorastania mnie omija. Życie prywatne stoi więc u mnie w hierarchii niżej.

Od sześciu lat żyję z bólem, którego źródłem są represje w moim kraju, sytuacja więźniów politycznych, później także wojna. Mimo że Siarhiej, mój mąż, wyszedł na wolność, ten ból nie zniknął. Mam też świadomość, że sytuacja Białorusi w ogromnym stopniu uzależniona jest od decyzji innych państw. Cały czas musimy przypominać, prosić, wyjaśniać, dlaczego jakieś działanie jest konieczne…

Śni się pani Białoruś?
Niewiele osób mówi o tym głośno, ale większości z nas, jeśli Białoruś się śni, to są to złe sny, w których się boimy, uciekamy. Myślę jednak o Białorusi – to moja ojczyzna, nie da się jej wyrwać z serca. ●

*Swiatłana Cichanouska

• została właśnie Laureatką Międzynarodowej Nagrody Króla Eryka Pomorskiego za rok 2026. Nagroda przyznawana jest za zasługi dla budowania pokoju i jedności w Europie. Liderka demokratycznej opozycji na Białorusi i przewodnicząca Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego, wyróżniona została za działania na rzecz demokratycznych zmian na Białorusi oraz budowania relacji kraju z europejską wspólnotą.
• Cichanouska startowała w wyborach prezydenckich w 2020 roku. Białoruska Centralna Komisja Wyborcza ogłosiła wtedy zwycięzcą Aleksandra Łukaszenkę. Po sfałszowaniu przez reżim wyborów wybuchły największe w historii Białorusi protesty, które zostały brutalnie stłumione. Cichanouska została wtedy zmuszona do opuszczenia kraju.

eprasa.pl 742b61cb94

Wołyń pamiętamy.

Dziwi mnie oburzenie Ukraińców, że Polacy się oburzają. Myśleliście, że zrzucimy się na termowizory dla jednostki imienia Bohaterów UPA?

Anna Wylegała

„Babcia to chyba nie poznała, że pani nie nasza" – mówi mi nastolatka, która latem 2019 roku prowadzi mnie ścieżką ponad stawem wykopanym w Hlebowie na Podolu w latach 70.

Wracamy do dolnej wsi, przed chwilą skończyłam nagrywać wywiad z jej babcią, urodzoną w 1930 r. Olhą. W myślach stwierdzam, że z pewnością poznała, mimo mojej nienagannej ukraińszczyzny. Nigdy zresztą nie ukrywam na badaniach terenowych tego, że jestem z Polski.

Moja wiekowa rozmówczyni z żalem wymienia polskie ofiary i pamięta je co do jednego nazwiska, ale gdy przychodzi do pytania, kto w listopadzie 1944 zabijał, zaczyna niedosłyszeć i mówić, że to już nie te lata, już niczego nie pamięta. Jej matka była Polką, ale ojciec był „mocnym Ukraińcem", więc wbrew zwyczajowi ochrzczono ją w cerkwi. Gdy w czasie wojny do ojca przychodzą wieczorami partyzanci, jej polscy kuzyn podsłuchują pod oknami, w nadziei, że usłyszą, kogo tym razem upowcy będą mordować.

Takich rodzin w Hlebowie było wiele. Może dlatego tak bardzo poruszające jest to, co stało się w czasie wojny.

●

W lipcu 1941, tuż po wkroczeniu Niemców, ludzie z OUN czyszczą wieś z elementów niepożądanych. Najpierw giną miejscowi aktywiści komunistyczni i ludzie, którzy w oczach Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów współpracowali z władzą radziecką, kilkanaście osób: między innymi rodzeństwo Marija i Mychajło Miszaniec oraz Teodor Hawryszko – wszyscy Ukraińcy – nad którymi urządza się „sąd" i w bestialski sposób morduje. Giną wszyscy miejscowi Żydzi, trzy rodziny. Giną „znaczni" Polacy: Antoni Rudnik, peowiak* Józef Kiebała, Wiktor Stebnicki i Józef Stebnicki. Pobici do nieprzytomności, zostają uprowadzeni w nieznanym kierunku. Gdy ojciec Józefa, Michał Stebnicki, odpytywany jest na rachunek lipcowych wydarzeń przez NKWD latem 1944 roku, mówi, że szukał syna przez kilka dni, w końcu wygrzebał na wpół już uległe rozkładowi ciało z płytkiego dołu w miejscowej cegielni.

Stebnicki to we wsi popularne nazwisko. Gdy w listopadzie 1944 dokonuje się los hlebowskich Polaków, ginie wiele Stebnickich. Franciszka Stebnicka, żona Leona, zostaje spalona żywcem w domu. Franciszka – żona Pawła, zabita z trzema nastoletnimi córkami. Podczas gdy w 1941 r. mordowani są głównie mężczyźni, głównie „za politykę" (jeśli nie liczyć dzieci Mendla, które raczej nie zdążyły zająć się polityką), w 1944 umierają kobiety i dzieci.

Schemat jest taki sam: do domu wpadają uzbrojeni ludzie, szukając żony konkretnego Polaka, po upewnieniu się, że to ta właściwa, zabijają ją strzałem w głowę, czasami zabijają też dzieci, czasami ginie ktoś przypadkowy, dom płonie. Polskich mężczyzn wtedy w Hlebowie nie ma, są zazwyczaj albo w Armii Czerwonej, albo w „strybkach" – Istrebitelnych Batalionach, oddziałach porządkowych zorganizowanych przez władze radzieckie. Łącznie ginie wówczas dwadzieścia kilka osób. Reszta szybko wyjeżdża.

„Stebnicką najmłodszą to Zońka wołali, w moim wieku była", mówi Olha i milknie. „Proszę pani, to źle było, jak tych naszych Polaków pomordowali. I jak wyjechali. Tak się pusto we wsi zrobiło. Przecież każdy jeden miał z Polaków rodzinę".

Gdy idziemy ponad stawem, jej wnuczka mówi, że babcia im jest starsza, tym częściej opowiada, jak Polaków zabili. Ciała kobiet i dzieci, w tym dwóch zamordowanych nauczycielek ze Wschodu Ukrainy, ułożono na wozie i zawieziono na cmentarz. Gdy wóz jechał przez środek wsi, strasznie skrzypiał, a krew skapywała na drogę.

●

Początek awantury o nadanie przez Wołodymyra Zełenskiego Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imienia Bohaterów UPA przegapiam, biorąc udział w zagranicznej konferencji. Ale gdy tylko wsiadam do taksówki, rozpoczyna się przyspieszony briefing naraz: „bo, proszę pani, żmiję na własnej pierwsi żeśmy wyhodowali. My ich z sercem, chlebem i solą przyjęliśmy, a oni będą teraz Banderę fetować. Ani się pani obejrzy, aż panią któryś nożem dźgnie, tak jak wtedy dźgali".

Rozmowy z taksówkarzami i w Polsce, i w Ukrainie, są dla mnie od zawsze nieocenionym źródłem informacji o nastrojach społecznych. Traktuję je jako pilotaż badań terenowych, odkrywkowe odwierty w zbiorowej duszy społecznej. Nigdy się z taksówkarzami nie spieram, podobnie jak nie spieram się z rozmówcami podczas wywiadów.

Kierowca wiozący mnie 30 czerwca z Okęcia trafnie wyraża mainstream emocjonalny, który od upublicznienia decyzji Zełenskiego kotłuje się w polskim społeczeństwie: oburzenie, rozgoryczenie, złość, upokorzenie, rozczarowanie.

Polacy poczuli się decyzją ukraińskiego prezydenta dotknięci, a zbiorowe emocje sięgnęły zenitu. Przez serwisy społecznościowe przelewa się fala hejtu i szamba. Sam Lech Wałęsa odpina z klapy flagę ukraińską, którą nosił publicznie od lutego 2022 roku. Prezydent Karol Nawrocki grozi odebraniem Zełenskiemu orderu Orła Białego. Przez sieć przetaczają się stwierdzenia, że decyzja prezydenta Ukrainy to policzek w twarz każdego Polaka, któremu babkę czy prababkę zamordowała na Wołyniu Ukraińska Powstańcza Armia.

Lecz oburzenie wylało się daleko poza środowiska kresowiaków, skrajną prawicę i tych, którzy tradycyjnie podchwytują wszystkie hasła antyukraińskie czy też szerzej, populistyczne. Gdy zobaczyłam plującego jadem wobec Ukrainy tweeta bardzo progresywnej i lewicowej posłanki, dotarło do mnie, że Annuszka wylała olej i już nie wrócimy do sytuacji sprzed decyzji Zełenskiego. Nie zmienią tego nasze wewnętrzne przepychanki, okopywanie się części liberalnych intelektualistów na pozycjach krytyki postkolonialnej i wzywanie do tego, by zrozumieć ukraińską rację stanu i ukraińską wrażliwość.

Mam to szczęście, że upowcy nie zabili mi żadnego przodka. To nie jest dla mnie sprawa osobista. Ale tak się składa, że w życiu zawodowym wysłuchałam setek historii o tym, jak to jest, gdy ukraińscy partyzanci, albo, co gorsza, ukraińscy sąsiedzi, mordowali na czyichś oczach rodzinę i bliskich. Pamiętam drżące dłonie staruszków i płaczące staruszki, po bardzo wielu latach, bardzo daleko od Wołynia i Galicji Wschodniej. Ci ludzie nie piszą gniewnych postów i nie trzęsą platformami społecznościami, większość tych, z którymi rozmawiałam, już nie żyje.

Ale ich dzieci i wnuki niosą w sobie obrazę, bo czują, że najpierw ich własne państwo ignorowało traumę ich przodków, spychając na margines i skazując na dryfowanie w kierunku nacjonalistycznych mielizn, teraz zaś współcześni Ukraińcy mówią: nie obchodzi nas wasze cierpienie i wasz ból. Mamy inne problemy.

eprasa.pl 742b61cb94

Nie tylko Konfederaci

Radymno, 20 lipca 2013 r. Kontrowersyjna rekonstrukcja historyczna „Wołyń 1943 – nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary" z okazji 70. rocznicy rzezi wołyńskiej, z udziałem kilkuset statystów i ok. 5 tys. widzów. Zdaniem krytyków nie inscenizuje się takich dramatów, bo to trywializacja cierpienia i podsycanie negatywnych emocji w relacjach polsko-ukraińskich

FOT. MACIEJ KOR AGECNJA WYBORCZA.PL

Gdyby kilka tygodni temu ktoś zapytał mnie, jakie widzę perspektywy dla tego, że kwestie historyczne przestaną w końcu dzielić Polaków i Ukraińców, powiedziałabym – że umiarkowanie optymistycznie, ale realne.

Sprawy polsko-ukraińskiego dialogu na poziomie decyzji politycznych i dyskursu publicznego szły w dobrym kierunku. Zakopano w końcu topór wojenny wykopany przy okazji profanacji ukraińskich miejsc pamięci w Polsce, wznowiono prace ekshumacyjne w Ukrainie po siedmiu latach wprowadzonego przez Kijów zakazu, tej wiosny zorganizowano Polsko-Ukraiński Kongres Historyków, podczas którego nie doszło do awantur, a wygłaszane tezy były umiarkowane.

Myślę o wielu gestach dobrej woli i drobnych aktach współpracy, które sprawiały, że realna wydawała się perspektywa stopniowego oswajania przez Polaków i Ukraińców odrębności naszych pamięci historycznych. Bo chodzi o to, że my nie musimy pamiętać tak samo i nie musimy tak samo rozkładać akcentów: ważne, by, jak stwierdził dawno temu Giedroyc, w naszym wspólnym interesie o historii mówić sobie w oczy prawdę – i tylko prawdę.

Gdy w marcu wygłaszam na Oksfordzie komentarz do wykładu Jarosława Hrycaka, najbardziej wpływowego dziś ukraińskiego historyka, z sali pada uwaga, że przecież UPA było jak nasza Armia Krajowa, walczyło o wolną Ukrainę, dlaczego my, Polacy, nie możemy tego zrozumieć. Ten sam argument pada ze strony ukraińskich intelektualistów podczas obecnego kryzysu, choć podkręcony o ton zaczepny: wasi też nie byli bez winy, rozliczcie się z tego, co zrobili, a potem dopiero pouczajcie nas.

Pomijając ton zaczepny, nie było złym pomysłem, by Polacy spróbowali spojrzeć na UPA z innej strony. Być może inny byłby wówczas odbiór w naszym kraju decyzji Zełenskiego. Bo to, czego w Polsce na pewno nie ma, to zrozumienie, że UPA w latach 1943-45 i UPA po wojnie to dwie różne organizacje: liczbowo, strukturalnie, kadrowo, a także ideowo.

Po ukraińskiej stronie w ocenie tego, co wydarzyło się między Polakami a Ukraińcami w czasie wojny, od lat króluje paradygmat symetrystyczny i traktowanie rzezi wołyńskiej jako wojny domowej między równoprawnymi stronami czy „powstania ludowego" Ukraińców przeciw Polakom

Anna Wylegała

urodzona w 1982 roku, socjolożka i profesorka w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Bada historię społeczną Galicji Wschodniej w czasie II wojny światowej. Od 2022 roku kieruje polską częścią międzynarodowego projektu „24.02.2022, 5 rano: Świadectwa wojny", dokumentującego ukraińskie doświadczenie pełnoskalowej agresji. Autorka książek **„Przesiedlenia a pamięć**. Studium (nie)pamięci społecznej na przykładzie ukraińskiej Galicji i polskich »Ziem Odzyskanych«" oraz nagradzanej **„Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce".**

Po krótkotrwałym okresie flirtu OUN z Niemcami UPA walczy i z Niemcami, i z Sowietami (po 1943 roku), ale główne dokonania tej formacji przed 1945 rokiem to zaplanowane i dokonane z zimną krwią ludobójstwo około 60 tysięcy cywilnych Polaków na Wołyniu, potem zaś wymordowanie 30 tysięcy polskiej ludności w Galicji Wschodniej.

W międzyczasie upowcy zajmowali się również wyłapywaniem i mordowaniem niedobitków Żydów, którzy nie zginęli z rąk niemieckich. W szeregach UPA dominowali wówczas doświadczeni przedwojenni konspiratorzy i członkowie OUN, dezerterzy z ukraińskiej policji w służbie niemieckiej i zdeklarowani zwolennicy sprawy ukraińskiej z galicyjskiej wsi.

To ci ludzie odpowiedzialni byli za zaplanowanie i przeprowadzenia akcji antypolskich.

Po 1945 roku sytuacja radykalnie się zmienia. UPA traci nawet do 70 procent stanu osobowego: partyzanci uciekają z Niemcami na Zachód, giną w potyczkach z Sowietami, są dziesiątkowani przez aresztowania NKWD, dezerterują. W rozproszonych i coraz mniej licznych oddziałach partyzanckich ton nadają co prawda „stare wilki", które przetrwały wszystkie starcia, ale liczebnie najwięcej jest ludzi nowych, często bardzo młodych.

To są zupełnie inni ludzie niż ci, którzy z zimną krwią mordowali w Hlebowie w 1944 roku: również dlatego, że ci ostatni zostali przez Sowietów w dużej mierze wyłapani, skazani i zesłani (nie za mordy na Polakach co prawda, tylko za sprzeciw wobec władzy radzieckiej).

Marija Zaplitna z Hlebowa, urodzona w roku 1909, wstępuje do UPA – a przynajmniej tak twierdzi NKWD w 1945 roku, nie zdąża zbyt długo pokonspirować, rok później zostaje aresztowana za to, że najpierw ukrywała w domu kuzyna-upowca, a potem pomogła mu wykopać kryjówkę w lesie i nosiła jedzenie.

Razem z Zaplitną aresztowana zostaje jej imienniczka, Marija Kaspriw, 30-latka, oskarżona o to, że swoim braciom-partyzantom prała bieliznę. Obie dostają po 25 lat zesłania z konfiskatą majątku i pozbawieniem praw obywatelskich.

Bracia Onufrij i Andrij Bukata, urodzeni w roku 1926 i 1931, są członkami organizacji, roznoszą ulotki, chodzą na potajemne spotkania i chcą iść do lasu, by walczyć o wolność Ukrainy. W 1950 roku zostają aresztowani, oni również, siłą rozpędu, dostają 25 lat odsiadki, wracają po amnestii w 1956 roku.

Polsko-ukraińskie porozumienie w kwestii historii mogłoby się więc opierać na pewnej umowie: my, Polacy, rozumiemy, że UPA oznacza dla was przede wszystkim walkę o niezależność i rozumiemy też waszą chęć honorowania Andrija i Onufrija Bukatów z Hlebowa, którzy byli nastolatkami, gdy zaprawienie w boju OUN-owcy mordowali tamtejszych Polaków. A także ich starszego kuzyna z tej same wsi, Jewstachija, który zginął w potyczce z NKWD pod koniec lat 40.

Wy, Ukraińcy, otwarcie i bez symetryzowania potępiacie masowe mordy dokonane przez UPA na Polakach oraz Żydach i skupiacie się na honorowaniu tych członków organizacji, którzy zasłużyli się w walce z Sowietami, nie zaś mordowaniu ludności cywilnej.

Jednak do wypracowania takiego konsensusu potrzebne byłyby czas na edukację obu społeczeństw, empatia wobec perspektywy drugiej strony i odpowiedzialność polityczna. Tego wszystkiego nam brakuje – po obu stronach.

Umiem sobie wyobrazić – a może jestem zbyt optymistyczna? – że w sprzyjających warunkach polskie społeczeństwo byłoby w stanie za jakiś czas dostrzec heroizm i dramat

eprasa.pl 742b61cb94

tych upowców, którzy walczyli z Sowietami po 1945 roku i nie mieli udziału w przemocy wobec Polaków. Jednak warunkiem *sine qua non* byłoby uznanie po ukraińskiej stronie, że UPA miało ciemną kartę, nazwanie rzeczy po imieniu i odstąpienie od bezwarunkowej gloryfikacji tej formacji.

Tymczasem po ukraińskiej stronie w ocenie tego, co wydarzyło się między Polakami a Ukraińcami w czasie wojny, od lat króluje paradygmat symetrystyczny i traktowanie rzezi wołyńskiej jako wojny domowej między równoprawnymi stronami czy „powstania ludowego" Ukraińców przeciw Polakom, gdy tymczasem mieliśmy do czynienia z czystką etniczną.

Ci nieliczni ukraińscy historycy, którzy przed 2022 rokiem zajmowali się przemocą nacjonalistów wobec Polaków, Żydów czy też własnych rodaków, po wybuchu pełnoskalowej wojny zamilkli.

Gdy dwa lata temu liberalny ukraiński portal o tematyce historycznej opublikował tłumaczenie mojego tekstu o wojnie w Galicji Wschodniej, redaktor poprosił, bym zgodziła się na pominięcie w tłumaczeniu przymiotnika „o charakterze faszystowskim" przy OUN – bo inaczej portal będzie miał kłopoty, a oni jednak muszą żyć w tym kraju.

Zgodziłam się, bo szanuję i portal, i redaktora, a znaczenie tego jednego zdania dla wymowy całego tekstu było marginalne. Bardzo mocno uświadomiło mi to jednak, że w dzisiejszej Ukrainie nie ma miejsca na świadomość, że OUN była organizacją o charakterze autorytarnym i faszystowskim (podobnie jak wiele innych wówczas w Europie, w tym w Polsce), tak samo, jak nie ma miejsca na uznanie upowskich zbrodni ani wiedzy o ich skali.

I o ile samo sięganie do dziedzictwa walki o wolność, którą ukraińscy nacjonaliści toczyli z Sowietami, nie jest niczym złym, o tyle przemilczanie niechlubnej części tego dziedzictwa jest nie do usprawiedliwienia, bo Ukraina jasno daje znak, że w Europie zagrożonej przez autorytaryzm i populizm chce budować tożsamość zbiorową na autorytarnych tradycjach.

Pisze o tym trafnie kanadyjski historyk John-Paul Himka, komentując niedawne sprowadzenie do kraju prochów Andrija Melnyka, lidera OUN-M. To trochę tak, jakbyśmy my uparli się, by z całego dorobku politycznego Drugiej Rzeczpospolitej hołubić wyłącznie endecję, a za jej najwyższą emanację uznali ONR.

●

Narracja gloryfikująca dziedzictwo OUN i UPA nie pojawiła się w Ukrainie w 2022 roku: można mówić raczej o jej stopniowej ekspansji na kolejne obszary dyskursu publicznego po 1991 roku. To, co zmienia się po pełnoskalowej rosyjskiej inwazji, to geografia: do tej pory dominowała ona na zachodzie i w centrum kraju, po 2022 sondażowe słupki poparcia po raz pierwszy pokazały przewagę pozytywnych ocen Bandery i OUN-UPA na wschodzie kraju, do tej pory bardzo krytycznym wobec tej narracji. Zachód Ukrainy zaczął wyraźnie narzucać reszcie Ukrainy swoją wizję przeszłości, co w kraju o tak złożonym i niejednorodnym doświadczeniu historycznym ma poważne konsekwencje.

W tym kontekście absolutne poparcie Ukraińców dla decyzji prezydenta Zełenskiego nie jest niczym zaskakującym. Łatwo w tym rozpoznać zjawisko nazywane przez politologów efektem gromadzenia się wokół flagi: kryzys lub zagrożenie zewnętrzne sprawia, że społeczeństwo udziela krótkotrwałego, bezwarunkowego poparcia swojemu przywódcy. Nawet jeśli tak ogółem nie ma już do niego wielkiego zaufania.

Ukraińskie reakcje pokazują, że solidarność społeczna ma się w tym kraju dobrze oraz że szanse na porozumienie z Polakami w polu trudnej wzajemnej historii są w najbliższym czasie żadne. Widać bowiem, że w walczącej o przetrwanie Ukrainie nie ma zupełnie przestrzeni na to, by budować zbiorową tożsamość na uczciwej i krytycznej ocenie własnej przeszłości.

Obrano ścieżkę łatwiejszą, czyli odwoływanie się wyłącznie do wątków heroicznych. To zrozumiałe w kraju, który potrzebuje mobilizacji społecznej i mobilizacji w sensie dosłownym, w szeregi armii. Ale bardzo krótkowzroczne, ponieważ sprowadza się w istocie do zamiatania pod dywan kwestii trudnych, które i tak stamtąd w którymś momencie wychyną, albo ktoś (najprawdopodobniej Rosja) je stamtąd wyciągnie.

To również wyraźny sygnał w stronę Polski, zamierzony czy nie: nie jesteście dla nas na tyle istotnym partnerem, by brać pod uwagę waszą wrażliwość. Bo Ukraina ma pełne prawo kształtować swoją politykę historyczną tak, jak uzna za stosowne, jest suwerennym krajem. Ale ponieważ nie funkcjonuje w próżni, co więcej, jest w stanie wojny z jednym z sąsiadów i w sojuszu z innymi sąsiadami, musi się liczyć z tym, że podejmowane przez nią w tym polu decyzje będą wywoływać określone reakcje tych sąsiadów.

Decyzja Zełenskiego mnie zaskoczyła i rozczarowała. Polskie reakcje były dość przewidywalne. To, co w tym wszystkim dziwi, to oburzenie Ukraińców, że Polacy się oburzają.

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

• 5 kwietnia 2023 r. Prezydent RP Andrzej Duda właśnie wręczył prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu Order Orła Białego

A czego się, moi drodzy, spodziewaliście? Że przyklaśniemy i zrzucimy się na termowizory dla Samodzielnego Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imienia Bohaterów UPA?

Gdy we Lwowie idę za trumną Denysa, który poszedł do wojska na ochotnika w 2023 roku, zostawił dwoje dzieci i babcię, lubił łowić ryby i czytać książki, myślę, że przecież oczywiście, zrzucę się na kolejny termowizor, bieliznę termiczną czy co tam będzie potrzebne, jak niezmiennie robię to od czterech lat. Ale nie dla oddziału imienia Bohaterów UPA.

●

Część polskich ekspertów twierdzi, że decyzja Zełenskiego nie wynikała z niewiedzy, jakie będą jej skutki dla relacji dwustronnych. Ukraiński prezydent podjął ją świadomie, po to, by odwrócić uwagę od skandali korupcyjnych w swoim najbliższym otoczeniu i zjednać sobie sympatię środowisk nacjonalistycznych.

Jeśli tak rzeczywiście było, cynizm tego postępowania jest przerażający: Zełenski musiał zdawać sobie sprawę z tego, w jaki sposób awantura odbije się na sytuacji miliona ukraińskich uchodźców i kolejnych 500 tysiącach migrantów przedwojennych przebywających w naszym kraju.

Ponieważ jak by się nie oburzali nasi progresywni intelektualiści na populizm mas i ich ciemne instynkty, obecna sytuacja przełoży się na pogorszenie i tak już dość negatywnych postaw Polaków wobec Ukraińców w Polsce.

A te nie odbiegają zbytnio od sytuacji w całej Europie. We wszystkich krajach, które przyjęły po 2022 roku ukraińskich uchodźców, mamy do czynienia z tzw. zużyciem się empatii: żadne społeczeństwo nie jest w stanie funkcjonować przez długi czas w stanie wysokiej mobilizacji, zbiorowe pozytywne emocje muszą się załamać.

Przekładając to na postawy wobec uchodźców, mieszkańcy społeczeństwa przyjmującego przyzwyczajają się, że w kraju pochodzenia uchodźców toczy się wojna, a w przestrzeni informacyjnej zaczynają dominować doniesienia o innych konfliktach (w Gazie, Iranie, Libanie...). Pojawia się oczekiwanie, by uchodźcy albo zaadaptowali się, nauczyli języka i podjęli prace na takich samych zasadach jak inni migranci albo wrócili do siebie; jeśli wejść na poziom decyzji politycznych, kończą się programy pomocowe i pojawia się wymóg uregulowania zasad pobytu.

Miesiąc miodowy w postawach Polaków wobec Ukraińców w Polsce skończył się już dawno, weszliśmy w przewidywalną fazę codziennych utarczek i braku złudzeń, zaś narastające nastroje populistyczne i antyimigranckie nie polepszają sytuacji.

Dodatkowo specyfiką Polski jest czynnik demograficzny: z badań sondażowych wynika jasno, że najbardziej niechętną wobec ukraińskich uchodźców (czy raczej: uchodźczyń) grupą są młode, dobrze wykształcone kobiety o liberalnych poglądach, które obawiają się konkurencji na rynku matrymonialnym.

Jeśli do tego wszystkiego dodamy rosyjską dezinformację podchwytującą każdy przejaw polsko-ukraińskiej wrogości, nietrudno zrozumieć, że nagłe wypłynięcie na powierzchnię kwestii historycznych może okazać się języczkiem u wagi, który przyczyni się do drastycznego pogorszenie się postaw przeciętnego Polaka wobec Ukraińców.

Zwłaszcza jeśli rzeczony Polak przypadkowo nazywa się Stebnicki, a krew jego prababki skapywała ciężkimi kroplami z wozu, który w listopadzie 1944 roku toczył się ciężko przez podolski Hlebów. ●

• * Peowiak – weteran Polskiej Organizacji Wojskowej, podporządkowanej Piłsudskiemu podziemnej niepodległościowej organizacji zbrojnej działającej w czasie pierwszej wojny światowej. W Drugiej Rzeczpospolitej peowiacy cieszyli się szacunkiem społecznym, formalnymi i nieformalnymi przywilejami, wielu tworzyło kadry odradzającego się Wojska Polskiego.

REKLAMA Kraj/34438005

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

NASI SĄSIEDZI NIE LUBIĄ LUSTER

Nie przypominam sobie, aby ukraińscy politycy pisali listy otwarte do Polaków w sprawie Żołnierzy Wyklętych i Dmowskiego

Tamara Złobina

Polska polityka pamięci, która w ostatniej dekadzie konsekwentnie odchodziła od wzajemnego „wybaczamy i prosimy o wybaczenie" w stronę postawy: „Ukraińcy, za mało przepraszacie, a poza tym, jak śmiecie czcić swoich bohaterów narodowych, nie pytając Polaków o zdanie?", rzecz jasna budziła nasze zdziwienie i irytację.

Szczególnie wtedy, gdy doszło do jawnego naruszenia Umowy między Rządem Ukrainy a Rządem Rzeczypospolitej Polskiej o ochronie miejsc pamięci i pochówków ofiar wojen oraz represji politycznych, zawartej jeszcze w 1994 r. – bo strona polska długo nie odnawiała ukraińskich miejsc pamięci, zniszczonych przez wandali. Jednak u nas trwała wojna, a sprawy wewnętrzne sąsiadów tradycyjnie nie zajmują Ukraińców przesadnie mocno.

Lecz wykorzystywanie „kwestii ukraińskiej" podczas wyborów prezydenckich w Polsce, blokowanie granicy, wysypywanie zboża na tory, wywołało już poważny niepokój.

Ostatecznie czarę goryczy ukraińskiej opinii publiczne przelały żądania odebrania prezydentowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego za to, że jednemu z oddziałów Sił Operacji Specjalnych Sił Zbrojnych Ukrainy nadano nazwę „imienia Bohaterów UPA". Nie tylko dlatego, że jakoś nikomu wcześniej nie przyszło do głowy odebrać tego orderu Mussoliniemu czy Gerhardowi Schröderowi.

Wicepremier Polski Władysław Kosiniak-Kamysz napisał list do narodu ukraińskiego, w którym w wyważony sposób próbował przypomnieć, że: „UPA może być postrzegana przez część społeczeństwa Ukrainy przede wszystkim przez pryzmat walki z sowiecką okupacją. Rozumiemy, że naród, który dziś broni się przed rosyjskim imperializmem, szuka symboli oporu, odwagi i niezłomności. Jednak dla Polaków UPA nie jest neutralnym symbolem walki o wolność. Dla Polaków jest przede wszystkim symbolem zbrodni popełnionych na bezbronnej ludności cywilnej".

My również mamy coś do powiedzenia. O polskiej polityce pamięci i o jej „symbolach walki o wolność".

●

Dziesiątki tysięcy polskich cywilów zabitych przez UPA to zbrodnia i tragedia, niezależnie od tego, jakie liczby przyjmiemy – 40-60 tys.według ukraińskich szacunków czy 100 tys. według polskich.

I powinniśmy mieć odwagę nazwać to zbrodnią, nie usprawiedliwiać jej, nie umniejszać jej znaczenia, nie szukać wymówek ani nie próbować wybielać samych siebie.

Każda strona miała swoje powody do działania. Ale żadne powody nie zdejmują odpowiedzialności.

To było straszne. Bardzo żałuję, że do tego doszło, i powinniśmy o tym pamiętać, oddawać cześć ofiarom oraz pilnować, by coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło.

To jedyna dojrzała, odpowiedzialna postawa. I zaczęliśmy ją przyjmować już za czasów prezydenta Juszczenki.

Jednocześnie właśnie tutaj należy postawić kropkę i przypomnieć Polakom, że nasza wspólna polityka pamięci brzmi: „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie". A nie: „Prosimy o wybaczenie i posypujemy głowę popiołem, podczas gdy wy udajecie, że sami nie popełnialiście zbrodni na Ukraińcach".

Polacy mówią, że bardzo obraża ich „symetryzm", czyli przypominanie, że Polacy również prześladowali Ukraińców. 20 tysięcy Ukraińców zabitych przez Armię Krajową ma być według nich jedynie odwetem i samoobroną, bo przecież tylko jedna strona może występować w roli nieskazitelnej ofiary. Zabójstwa Ukraińców, do których dochodziło jeszcze przed tragedią wołyńską, zazwyczaj są pomijane.

Nic więc dziwnego, że nas z kolei oburza przekonanie, iż problemy w relacjach polsko-ukraińskich zaczęły się dopiero w latach czterdziestych XX wieku i że ich wyłącznymi sprawcami byli Ukraińcy.

Jeśli przypomnieć o przedwojennej pacyfikacji Galicji, słyszymy odpowiedź: „To nie da się porównać z czystkami etnicznymi". Owszem, nie mordowano wtedy masowo ludzi (no dobrze, zginęło około 20 osób, ale „to przecież nie to samo"), za to bito, rabowano, gwałcono, więziono, prześladowano ukraińskich działaczy i działaczki, zakazywano działalności organizacji społecznych oraz ograniczano edukację.

Polacy nie opowiedzą wam o tragedii Iwanny Błażkewycz, galicyjskiej działaczki społecznej, której dwie małe córki zostały otrute właśnie w czasie, gdy kandydowała do Sejmu. A jeśli mimo wszystko nalega się i pokazuje fakty, bardzo szybko pojawia się argument: „Przecież ta pacyfikacja nie wzięła się z niczego".

Oczywiście, że nie wzięła się z niczego. Były lata trzydzieste XX wieku – okres rozkwitu nacjonalizmu integralnego zarówno po naszej, jak i po waszej stronie. Żyliśmy na tym samym terytorium, o które dopiero co walczyliśmy i które przegraliśmy. Ukraińcy byli dyskryminowaną mniejszością narodową w międzywojennej Polsce prowadzącej agresywną politykę polonizacji.

Dziś umiarkowani polscy liberałowie ostrzegają: „Z takim nacjonalistą jak Bandera nie wejdziecie do Unii". W takim razie co wy tam robicie ze swoim nacjonalistą Romanem Dmowskim – „ojcem narodu", etnicznym szowinistą, antysemitą i sympatykiem faszyzmu? Nie przeszkadzają wam jego pomniki, ulice i szkoły jego imienia, a nawet dworzec?

Jeżeli UPA to wyłącznie zbrodniarze i powinniśmy usunąć ich pomniki oraz wspominać ich jedynie w kontekście skruchy, to może nasi sąsiedzi zaczną od siebie i usuną pomniki AK, Dmowskiego czy Piłsudskiego? Tym bardziej że nie prowadzą dziś wojny o przetrwanie i mają znacznie więcej zasobów, by krytycznie spojrzeć na własną historię.

Tymczasem nasi sąsiedzi zaczęli gloryfikować Żołnierzy Wyklętych – powojennych partyzantów, znanych również ze zbrodni na Białorusinach, Ukraińcach, Żydach i Litwinach – przedstawiając ich jako bohaterów walki o niepodległość Polski (wystarczy spojrzeć na patetyczny wpis Nawrockiego). Przez długi czas nawet w samej Polsce nie było w tej sprawie społecznego konsensusu. Jeżeli wziąć pod uwagę, że znaczna część Żołnierzy Wyklętych wywodziła się z Armii Krajowej, to rozróżnianie między nimi bywa dość umowne.

A jednak nie przypominam sobie, by ukraińscy politycy pisali z tego powodu listy otwarte do narodu polskiego. Choć mogliby po prostu strawestować polskiego ministra obrony:

„Żołnierze Wyklęci mogą być postrzegani przez część społeczeństwa w Polsce przede wszystkim przez pryzmat walki z sowiecką okupacją. Rozumiemy, że naród polski szuka symboli oporu, odwagi i niezłomności. Jednak dla Ukraińców, Białorusinów, Żydów i Litwinów Żołnierze Wyklęci nie są neutralnym symbolem walki o wolność. Dla Ukraińców są przede wszystkim symbolem zbrodni popełnionych na bezbronnej ludności cywilnej".

Takie lustro nie bardzo podoba się naszym sąsiadom. Bo kiedy Polacy gloryfikują własnych etnicznych szowinistów i katów sąsiednich narodów, „to zupełnie co innego".

●

Tego, czego Polacy nie rozumieją, grając kartą antyukraińską w polityce i przekraczając granice rozsądku, jest fakt, że budzą w nas pamięć historyczną.

Co wolicie na „kresach wschodnich" – Ukrainę z pomnikami UPA i zerowymi roszczeniami wobec Polski czy Rosję, która niedawno zabiła waszego prezydenta i połowę elity politycznej?

To, co przez dziesięciolecia pozostawało jedynie na kartach podręczników historii, wraca dziś jako żywe doświadczenie emocjonalne. Świadczy o tym choćby trwająca od niemal tygodnia dyskusja na ukraińskich platformach społecznościowych.

Znam język polski i mieszkałam w Polsce przez pół roku. Po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny, kiedy wracałam do Ukrainy przez Polskę, cieszyłam się, bo to już byli sąsiedzi, to już było prawie jak w domu. Generalnie Polska budziła we mnie ciepłe i przyjazne uczucia. Nie zwracałam większej uwagi na pojawiającą się czasem wyższościową postawę – głupich ludzi można spotkać wszędzie. Nawet sytuacja z polskim nacjonalistą, który w pociągu podmiejskim przekonywał mnie, że Ukraina nie istnieje, a my jesteśmy „hołotą", podczas gdy pół wagonu tego słuchało i nikt nie reagował – nawet ten epizod nie wpłynął na moje nastawienie do Polski.

Po zwycięstwie Nawrockiego i całej kampanii wyborczej, w której politycy nie rywalizowali wizjami przyszłości Polski, lecz pretensjami wobec Ukraińców, moje emocjonalne nastawienie zmieniło się tak bardzo, że kiedy słyszę język polski, reaguję podobnie jak na rosyjski. Czuję niechęć i mam ochotę odejść jak najdalej.

Perspektywa podróży przez Polskę do Ukrainy wywołała we mnie tak silną, niemal ślepą panikę, że poszłam zapytać mamę, dlaczego mój pradziadek w 1939 roku przeprowadził się spod Przemyśla na Rówieńszczyznę. Przecież jego żona, moja prababcia Ola, była Polką. Wtedy dowiedziałam się, że byli prześladowani z powodu małżeństwa mieszanego.

Mam świadomość, że to reakcja trochę przesadzona i mam nadzieję, że kiedyś znów będę się uśmiechać, słysząc język polski.

●

Dlaczego oba narody nie miałyby uczciwie uznać rzeczywistości taką, jaka była? Przecież ona nie jest skomplikowana.

Przez stulecia byliśmy jednocześnie rywalami i sojusznikami, jak niemal wszystkie narody Europy od czasów średniowiecza. Na początku XX wieku walczyliśmy o Galicję. Ukraińcy przegrali i znaleźli się pod rządami międzywojennej Polski, która prowadziła wobec nich twardą i dyskryminującą politykę. W czasie II wojny światowej znów stanęliśmy przeciw sobie. Z tragicznymi konsekwencjami.

Ostatecznie Polska utraciła te ziemie nie na rzecz Ukrainy, lecz Związku Radzieckiego. Gdyby Sowieci nie przesiedlili Polaków z Galicji – częściowo do Polski, częściowo na Syberię – całkiem możliwe, że w latach dziewięćdziesiątych znów walczylibyśmy ze sobą.

Myślę, że brak ukraińskich resentymentów wobec Polaków – podczas gdy po stronie polskiej one istnieją – oraz akceptacja polityki „wybaczamy i prosimy o wybaczenie" nie wynikają z różnicy w liczbie zabitych cywilów. Wynikają raczej z tego, że sporne terytoria ostatecznie pozostały po naszej stronie, a my nigdy nie traktowaliśmy Polaków jak poddanych. W naszej zbiorowej podświadomości nie istnieje mit „Kresów Wschodnich" ani pogarda wobec „chamskiego chłopstwa".

Od czasów Chmielnickiego wzajemnie się mordowaliśmy, bo byliśmy przeciwnikami. Zawieraliśmy sojusze, gdy było to korzystne. Zdradzaliśmy się nawzajem, gdy było to korzystne.

Czystki etniczne są złem. Dyskryminacja również jest złem. Można jednocześnie potępiać działania Armii Krajowej wobec Ukraińców i działania UPA wobec Polaków, a zarazem uznawać ich wkład w budowę niepodległych państw.

Pomimo Sahrynia [gdzie w marcu 1944 roku oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich zabiły setki ukraińskich cywilów podczas pacyfikacji wsi na Lubelszczyźnie] nie razi mnie pomnik Armii Krajowej stojący naprzeciwko polskiego parlamentu.

Pomimo zdrady Petlury Piłsudski pozostaje wybitnym politykiem.

Pomimo swojego szowinizmu Dmowski był typowym nacjonalistą integralnym epoki powstawania państw narodowych na początku XX wieku.

Nawet Żołnierze Wyklęci, wywodzący się również z rozwiązanej w 1945 r. AK, rzucali się na tych, których jeszcze mogli dosięgnąć, z desperacji i poczucia beznadziei.

Nie możemy zmienić przeszłości ani warunków, w których żyli i działali nasi bohaterowie narodowi. Jeśli mierzyć ich współczesną miarą, to w narodowych panteonach żadnego kraju nie pozostałby właściwie nikt. Nawet artyści, filozofowie i pisarze, bo i oni bardzo często nie wytrzymaliby dzisiejszych standardów oceny.

Dlatego, „drodzy pobratymcy, sąsiedzi Polacy, nasze serdeczne uczucia płyną prosto z serca", jak śpiewał zespół Braty Hadiukiny. Może warto odrobinę bardziej pragmatycznie spojrzeć na rzeczywistość?

Co jest dla was lepsze na dawnych Kresach: Ukraina z pomnikami UPA i bez żadnych współczesnych roszczeń wobec Polski czy Rosja, która, jak uważa całkiem sporo Polaków, niedawno zabiła waszego prezydenta i znaczną część elity politycznej?

Przypominam też, że po naszej stronie nie istnieją ani w pamięci historycznej, ani w obecnej polityce żadne „Kresy Zachodnie". ●

FOT. LISA BURDENIUK

Dr Tamara Złobina

• filozofka, publicystka, znana ukraińska działaczka feministyczna, kieruje projektem naukowo-medialnym Gender w Detalach.

eprasa.pl 742b61cb94

FOT. MARIO TAMA/GETTY IMAGES

AI A CZWARTY ELEMENT

Kto będzie tworzył wiadomości, jeśli znikną redakcje, które je odkrywają? Wydawca „The New York Times", ostrzega przed skutkami rozwoju sztucznej inteligencji i apeluje do mediów o wspólną obronę swoich praw.

A.G. Sulzberger

„THE NEW YORK TIMES"
Przemówienie podczas kongresu WAN-IFRA w Marsyli (1-3 czerwca br.)

Era sztucznej inteligencji dała o sobie znać niespełna cztery lata temu wraz z udostępnieniem ChataGPT. W ciągu kilku miesięcy chatbot stworzony przez OpenAI zdobył 100 milionów użytkowników, stając się najszybciej rozwijającym się produktem konsumenckim w historii. Dziś jest już tylko jednym z wielu coraz potężniejszych narzędzi sztucznej inteligencji obok rozwiązań oferowanych przez Anthropic, Google, Meta, Microsoft oraz X.

Nie ma wątpliwości, że generatywna sztuczna inteligencja to kolejna wielka rewolucja technologiczna. Niesie ze sobą wiele ważnych pytań, m.in. o to, czy będzie można w pełni ją zrozumieć i kontrolować. Ale dziś będę mówić o pytaniach, które – przyznaję – są nieco węższe. Dla mnie jednak, dla was i dla całego społeczeństwa mają one ogromne znaczenie.

• Jak sztuczna inteligencja zmieni wiadomości i dziennikarstwo?
• Jak te zmiany wpłyną na ekosystem informacyjny, który pełni funkcję publicznego forum dla obywateli na całym świecie?
• I co mogą zrobić zgromadzeni na tej sali, aby zapewnić przyszłość bezpośredniemu, opartemu na faktach dziennikarstwu, tak niezbędnemu dla zdrowia naszych demokracji?

Pierwsze sygnały dają powody do niepokoju. Firmy stojące na czele rewolucji AI – już dziś należące do najbogatszych i najpotężniejszych podmiotów w dziejach ludzkości – umacniają swoją kontrolę nad naszymi danymi i uwagą. Jednocześnie nie chcą przyjąć na siebie odpowiedzialności, która wiąże się z taką potęgą: odpowiedzialności za zapewnienie społeczeństwu dostępu do wiarygodnych informacji i rzetelnych wiadomości.

Przejmowanie przez nie kontroli nad przestrzenią publicznej debaty jest możliwe dzięki pierwotnemu grzechowi, który napędza ich produkty AI – bezprecedensowej kradzieży własności intelektualnej na gigantyczną skalę. Technologiczni giganci eksploatują serwisy informacyjne niczym kopalnie odkrywkowe, bez zgody ich właścicieli i bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Przepakowują te skradzione treści jako własne produkty, przejmując odbiorców i przychody, które w przeciwnym razie trafiłyby do redakcji odpowiedzialnych za ich stworzenie.

W rezultacie zmierzamy ku przyszłości, w której będzie coraz mniej dziennikarzy wykonujących kosztowną i wymagającą pracę reporterską.
Ku przyszłości, w której jedno ze źródeł zdrowego społeczeństwa i stabilnej demokracji – prawda, zrozumienie i odpowiedzialność zapewniane przez rzetelne dziennikarstwo – będzie stopniowo wysychać.

Droga przez tor przeszkód

Potencjalne szkody wykraczają daleko poza świat mediów. Firmy rozwijające AI splądrowały cały dorobek cywilizacji oparty na twórczości oryginalnej. Stanowi to zagrożenie nie tylko dla dziennikarstwa, lecz także dla książek, filmu, muzyki, badań naukowych i wielu innych dziedzin. W skali świata branże kreatywne dają zatrudnienie ponad 50 milionom ludzi i roczną wartość ekonomiczną szacowaną na ok. 12 bln dol. (ok. 44,4 bln zł).

Osoby zgromadzone tutaj kierują organizacjami medialnymi z ponad 60 państw. Oznacza to, że wszyscy przeszliście już przez tor przeszkód, jaki od lat osłabia dziennikarstwo: od kurczących się przychodów przez uzależnienie od technologicznych pośredników po coraz silniejsze ataki na wolność prasy. Jednak w kwestii sztucznej inteligencji musimy zrobić więcej. Nasze środowisko było zbyt ciche, zbyt bierne i zbyt podzielone wobec nadużyć popełnianych przez firmy przewodzące rewolucji AI.

Nie możemy pozwolić, by entuzjaści sztucznej inteligencji zdominowali debatę publiczną bez przypominania, jak ważne jest zapewnienie trwałej przyszłości dla oryginalnego dziennikarstwa.

Nie możemy biernie przyglądać się próbom trwałego demontażu praw, które dają nam kontrolę nad efektami naszej pracy.

Nie możemy siedzieć z założonymi rękami, gdy nasze materiały są wykorzystywane do budowy produktów zastępczych, podważających naszą zdolność do zdobywania odbiorców i przychodów niezbędnych do dalszego relacjonowania świata.

Niektórzy liderzy branży technologicznej przedstawią moje słowa jako atak na sztuczną inteligencję. Jako obronę starego porządku. Jako kolejny przykład skostniałej instytucji, która próbuje hamować innowatorów popychających świat ku postępowi. I uczciwie trzeba przyznać naszym kolegom z Doliny Krzemowej, że istnieje długa tradycja narzekań ze strony dawnych potentatów, na przykład gazety istniejącej od 175 lat, na nowe technologie i ludzi, którzy je tworzą.

Dlatego chcę powiedzieć to jasno: organizacja medialna, którą kieruję – „The New York Times" – od dawna wykorzystuje technologię do realizacji misji niezależnego dziennikarstwa. Mamy historię partnerskiej współpracy z firmami technologicznymi, dzięki której mogliśmy docierać z naszymi materiałami do nowych odbiorców nowymi kanałami. Dziś moi współpracownicy wykorzystują sztuczną inteligencję – odpowiedzialnie, etycznie i zawsze pod nadzorem człowieka – aby usprawniać proces tworzenia, redagowania, dystrybucji i monetyzacji naszych treści. Trzymanie się od tej technologii z daleka byłoby receptą na porażkę.

I rzeczywiście wierzę, że sztuczna inteligencja może przynieść światu wiele dobrego. Nie twierdzę, że sama technologia AI czy firmy, które ją kontrolują, są z natury złe. Ostrzegam jedynie, że podejmują decyzje naruszające utrwalone normy prawne, zagrażające twórczości oraz mogące wyrządzić ogromne i całkowicie niepotrzebne szkody.

Najcenniejszy składnik

Organizacje medialne powinny chcieć korzystać z dobrodziejstw, jakie niesie AI. Ale firmy technologiczne również powinny być zainteresowane wspieraniem zdrowego i trwałego obiegu informacji, idei i twórczości, które zasilają sztuczną inteligencję.

Modele sztucznej inteligencji powstają z czterech podstawowych składników.

Pierwszym są ludzie – specjaliści projektujący algorytmy. Drugim jest to, co firmy technologiczne nazywają „mocą obliczeniową" (compute), czyli infrastruktura stojąca za AI: układy scalone, serwerownie i centra danych.

eprasa.pl 742b61cb94

Trzeci to energia elektryczna do zasilania tych niezwykle energochłonnych systemów. Czwartym jest to, co branża określa mianem „danych".

Samo to słowo wydaje się niemal stworzone po to, by sprawić wrażenie, że twórczość i działalność intelektualna są czymś banalnym i powszechnie dostępnym. Tymczasem pod pojęciem „danych" kryją się m. in. książki, filmy, muzyka i artykuły prasowe – a więc to, co trafniej należałoby nazwać „treściami chronionymi prawem autorskim".

Talent, infrastruktura obliczeniowa, energia i dane są równie niezbędne dla sukcesu sztucznej inteligencji, a tym samym dla sukcesu technologicznych gigantów.

Za pierwsze trzy elementy się płaci – i nikogo to nie dziwi. Jedynie w przypadku „danych" firmy AI uznają, że mogą je po prostu zabrać. Ich uzasadnienia stale się zmieniają. Twierdzą, że innowacje wymagają takiego działania, że wykorzystują wyłącznie fakty, których nikt nie może posiadać na własność, że negocjowanie umów licencyjnych jest zbyt kosztowne albo, że doktryna dozwolonego użytku pozwala im korzystać z cudzych treści za darmo. Czasem odwołują się do kwestii bezpieczeństwa narodowego, przekonując, że jeśli firmy AI będą musiały płacić za wykorzystywane materiały, USA przegrają technologiczny wyścig z Chinami.

Żaden z tych argumentów nie wytrzymuje poważnej analizy. Chatbot może odpowiadać na pytania, ponieważ wcześniej skopiował całe artykuły prasowe. To właśnie dzięki temu jest w stanie czerpać nie tylko z zawartych w nich faktów, lecz także z chronionego prawem języka, stylu i sposobu przedstawiania informacji. Budowa centrów danych i elektrowni jest nieporównywalnie droższa i bardziej czasochłonna niż zatrudnienie prawników do przygotowania umów licencyjnych z wydawcami. Dozwolony użytek nie obejmuje takiego rodzaju kopiowania, przechowywania i odtwarzania cudzych utworów, które zastępuje oryginał i szkodzi jego twórcom – tym bardziej nie obejmuje kopiowania praktycznie całego dorobku ludzkości. A jeśli chodzi o rywalizację z Chinami, Stany Zjednoczone osłabiają same siebie, porzucając ochronę własności intelektualnej, która od dekad napędza innowacyjność i wspiera amerykański sektor kreatywny.

Łączna wartość 6 największych firm zajmujących się AI wynosi obecnie ok. 11 bln dol. (ok. 40,7 bln zł) – ponad 3 razy więcej niż produkt krajowy brutto Francji. Prywatne inwestycje w AI w USA osiągnęły w 2025 r. niemal 350 mld dol. (ok. 1,3 bln zł), a w 2026 r. nadal rosną. Trudno więc twierdzić, że kradzież własności intelektualnej wynika z braku środków na jej legalne pozyskanie.

Choć szczegóły umów licencyjnych zawieranych przez wydawców nie są publicznie znane, dostępne informacje sugerują, że mniej niż pół procent tych inwestycji trafia do osób i firm tworzących treści, które zasilają systemy sztucznej inteligencji.

Źródeł danych jest wiele, jednak sami szefowie firm AI przyznają, że szczególnie cenne są materiały oryginalne i wysokiej jakości. Pięć spośród dziesięciu najważniejszych stron internetowych wykorzystanych do trenowania niektórych z najpopularniejszych dużych modeli językowych należy do wydawców prasowych. OpenAI przyznało, że stworzenie współczesnych czołowych modeli AI bez wykorzystania materiałów objętych prawem autorskim byłoby niemożliwe.

Dziennikarstwo jako surowiec

Jeśli zależy nam na kompleksowych i trafnych odpowiedziach generowanych przez chatboty, trudno wyobrazić sobie lepsze źródło danych niż redakcja, która od 175 lat zatrudnia doświadczonych i dobrze opłacanych dziennikarzy.

Praca ta ma ogromną wartość dla firm technologicznych właśnie dlatego, że została starannie napisana i zredagowana, niezależnie zweryfikowana, podporządkowana najwyższym standardom rzetelności i bezstronności, a jednocześnie przedstawiona w charakterystyczny i angażujący sposób.

Tylko w ub.r. „The New York Times" opublikował niemal pół miliona takich materiałów – artykułów, fotografii, nagrań wideo i podcastów – przeznaczając na ich stworzenie ponad 2 mld dol. (ok. 7,4 mld zł). Nasi dziennikarze pracowali we wszystkich pięćdziesięciu stanach USA oraz w 155 państwach świata, a wykonywanie tej pracy niejednokrotnie wiązało się z zagrożeniem życia.

W samej Ukrainie mieliśmy ponad 70 dziennikarzy i pracowników wsparcia. I mówimy tylko o roku 2025. Jeśli spojrzeć na cały dorobek redakcji z perspektywy 175 lat, obejmuje on ok. 20 milionów oryginalnych materiałów.

Firmy AI uznają korzystanie z materiałów wysokiej jakości redakcji za jeden z najważniejszych wskaźników poprawnego działania swoich produktów. Jak ujął to jeden z wiceprezesów Microsoftu: „Treści premium znacząco poprawiają jakość odpowiedzi".

Mimo to technologiczni giganci konsekwentnie twierdzą, że nie powinni być zobowiązani ani do uzyskiwania zgody na wykorzystanie takich materiałów, ani do płacenia za nie. Zarówno ich argumentacja, jak i podejmowane działania pokazują, że uważają się za podmioty po prostu uprawnione do korzystania z cudzej własności intelektualnej.

Meta trenowała swój model na osławionej bazie nielegalnie piraconych książek. Perplexity otwarcie złamało wieloletnią zasadę internetu, zgodnie z którą właściciele stron internetowych mają prawo zabronić automatycznego pobierania swoich treści. OpenAI lobbowało w amerykańskiej administracji za przyznaniem firmie faktycznej ochrony prawnej przed konsekwencjami przejmowania cudzej twórczości. Nawet Anthropic, często przedstawiany jako wzór etycznego podejścia do rozwoju sztucznej inteligencji, nie był skłonny płacić za wysokiej jakości dziennikarstwo wykorzystywane przez swoje produkty.

To właśnie takie działania skłoniły „The New York Times" do wytoczenia procesu OpenAI, jego partnerowi Microsoftowi, a następnie również firmie Perplexity. Powodem były rażące naruszenia naszych praw własności intelektualnej chronionych przez amerykańskie prawo autorskie – zarówno podczas trenowania modeli, jak i w trakcie późniejszego wykorzystywania naszych materiałów przez gotowe produkty.

Podobnie jak inne redakcje, które zdecydowały się na kroki prawne, uważamy, że takie praktyki zagrażają długoterminowej zdolności organizacji medialnych do tworzenia i dostarczania społeczeństwu oryginalnego, wiarygodnego dziennikarstwa. Dziennikarstwa, od którego – jak się okazuje – zależą również same modele sztucznej inteligencji.

Problem polega na tym, że procesy sądowe są długotrwałe i kosztowne. Nasza sprawa ciągnie się już od ponad dwóch i pół roku, kosztowała dotąd przeszło 20 mln dol. (ok. 74 mln zł). Firmy AI doskonale zdają sobie sprawę z tego, że większości redakcji po prostu nie stać na wieloletnią walkę sądową w obronie własnych praw.

Jeszcze przed nadejściem ery sztucznej inteligencji światowe media zmagały się z konsekwencjami zmian wywołanych przez internet, smartfony i serwisy społecznościowe. W ciągu ostatnich dwóch dekad USA straciły – wg niektórych szacunków – 75 proc. dziennikarzy i ponad 3 tys, gazet. Średnio co trzy dni zamykana jest kolejna redakcja. Cyfrowe media informacyjne nie zdołały wypełnić nawet części tej luki. Ogromne obszary kraju pozostały bez choćby jednego reportera zadającego pytania w ratuszu czy budującego wspólną przestrzeń informacyjną dla lokalnej społeczności.

Jeśli przyjrzymy się najbardziej wymagającym i kosztownym formom dziennikarstwa – śledztwom dotyczącym nadużyć czy relacjonowaniu konfliktów zbrojnych – zobaczymy, że liczba osób wykonujących taką pracę spadła jeszcze bardziej.

Nadchodząca fala sztucznej inteligencji może okazać się jeszcze bardziej niszcząca.

Koniec umowy z internetem

Do czasu pojawienia się AI istniała pewna forma wymiany wartości pomiędzy platformami technologicznymi a twórcami treści, w tym redakcjami prasowymi. Był to niepisany kontrakt otwartego internetu. Firmy technologiczne – przede wszystkim wyszukiwarki i media społecznościowe – przejmowały coraz większą część przychodów reklamowych, które wcześniej trafiały do wydawców. W zamian jednak dostarczały im ogromny ruch i nowych odbiorców.

W kolejnej fazie tej rewolucji technologicznej firmy nie przejmują już jedynie przychodów reklamowych. Przejmują także samo dziennikarstwo, a wraz z nim odbiorców.

Spójrzmy np. na Google'a. Przez lata zadaniem wyszukiwarek było odnajdywanie najbardziej wartościowych stron internetowych i kierowanie użytkowników właśnie do nich. Internauta wpisywał zapytanie, a następnie przechodził do artykułu opublikowanego przez „Financial Times", „Le Monde", „El País" lub inną redakcję. Google zgarniał większość pieniędzy z reklam, ale równocześnie wysyłał wydawcom znaczący ruch, który pozwalał im zarabiać na reklamach lub subskrypcjach.

W erze sztucznej inteligencji Google coraz częściej wykorzystuje treści wydawców i innych stron internetowych do udzielania odpowiedzi bezpośrednio w wynikach wyszukiwania. Według badań branżowych skłonienie użytkownika Google'a do kliknięcia w link jest dziś 10 razy trudniejsze niż dekadę temu.

Mimo wszystko Google nadal pozostaje liderem pod względem liczby użytkowników kierowanych do wydawców i można jedynie mieć nadzieję, że firma utrzyma to podejście. Konkurencyjne modele AI odsyłają użytkowników do źródeł aż o 96 procent rzadziej niż tradycyjna wyszukiwarka Google'a.

Technologiczni giganci doskonale rozumieją konsekwencje tej zmiany dla i tak kruchego modelu biznesowego mediów. Szef działu monetyzacji sztucznej inteligencji w Microsofcie napisał: „Otwarty internet został zbudowany na nieformalnej wymianie wartości. Wydawcy udostępniali treści, a kanały dystrybucji – takie jak wyszukiwarki – pomagały ludziom je odnaleźć. Ten model nie przekłada się w prosty sposób na świat zdominowany przez sztuczną inteligencję".

Dodał również: „Wydawcy potrzebują trwałych i przejrzystych sposobów kontrolowania wykorzystania swoich wartościowych treści".

To słuszne stwierdzenie. Jednak wystarczy spojrzeć na stronę promującą nową wyszukiwarkę Microsoftu opartą na AI, aby dostrzec zupełnie inne podejście. Można tam przeczytać: „Witaj w Bingu! Zamiast klikać w linki, możemy po prostu porozmawiać o wszystkim, co cię interesuje".

FOT. HORACIO VILLALOBOS/GETTY IMAGES

A. G. Sulzberger

• rocznik 1980, ur. w Waszyngtonie. Dziennikarz, wydawca, redaktor, prezes The New York Times Company (od 2021 r.) oraz wydawca flagowego tytułu korporacji, dziennika „The New York Times" (od 2018 r.). W przeszłości pisał także dla „The Oregonian" i „Providence Journal"

Konsekwencje są łatwe do przewidzenia.

Ruch kierowany do serwisów informacyjnych gwałtownie spada. Największe gazety monitorowane przez Comscore [amerykańską firmę zajmującą się pomiarami i analizą mediów] odnotowały średni spadek odwiedzin przekraczający 45 procent w okresie nasilającego się wyścigu AI w ciągu ostatnich czterech lat. Wydawcy na całym świecie ankietowani przez Reuters Institute spodziewają się dalszych znaczących spadków.

Mniejszy ruch oznacza mniejsze wpływy reklamowe, które dla większości redakcji nadal pozostają ważnym źródłem utrzymania. Tymczasem w ciągu ostatnich dwóch dekad przychody gazet z reklam spadły już o mniej więcej 80 procent. Dla porównania: sama Meta osiąga dziś osiem razy większe przychody reklamowe niż wszystkie gazety na świecie razem wzięte.

W odpowiedzi na załamanie rynku reklamowego wiele redakcji postawiło na model subskrypcyjny. Jednak jeśli użytkownicy uznają, że mogą uzyskać dostęp do cudzej pracy za darmo za pośrednictwem chatbotów i innych narzędzi AI, budowanie trwałych relacji z potencjalnymi abonentami stanie się znacznie trudniejsze.

Nie chodzi przy tym wyłącznie o sytuację, w której wydawcy sami udostępniają swoje treści. Jedno z badań wykazało, że ok. 30 procent działań botów AI polegających na pobieraniu treści narusza wyraźne zakazy dostępu do stron internetowych, w tym do materiałów znajdujących się za płatnymi subskrypcjami.

Niektórzy mają nadzieję, że utracone przychody zostaną zrekompensowane przez pieniądze płynące bezpośrednio od firm AI – w postaci umów licencyjnych lub mikropłatności za pojedyncze wykorzystanie materiałów dziennikarskich. Część większych redakcji, w tym również „The New York Times", podpisała takie umowy. Inne zdecydowały się przyjmować mikropłatności za każde pobranie lub wykorzystanie ich treści przez systemy sztucznej inteligencji.

Istnieją jednak poważne powody, by wątpić, czy takie rozwiązania będą w stanie zrekompensować utratę czytelników i przychodów przejętych przez konkurencyjne produkty AI. Co więcej, wiele mniejszych redakcji, których materiały również zostały wykorzystane do trenowania modeli, nie otrzymało żadnej propozycji wynagrodzenia. Zdecydowana większość wydawców deklaruje zaś, że nie spodziewa się znaczących dochodów z platform opartych na sztucznej inteligencji.

„Zamordowany przez własną kopię"

Niepokojące jest to, że nawet gdy firmy technologiczne chętnie nagłaśniają zawierane przez siebie umowy z wydawcami i inne działania mające świadczyć o ich rzekomym szacunku dla dziennikarstwa, jednocześnie przed sądami, ustawodawcami i instytucjami państwowymi przekonują, że wobec twórców wykorzystywanej przez siebie własności intelektualnej nie mają żadnych zobowiązań.

Nie mówię o tym dlatego, że organizacje medialne powinny obawiać się konkurencji.

Gdyby firmy technologiczne rzeczywiście inwestowały znaczące środki w zatrudnianie własnych reporterów, prowadzenie śledztw dziennikarskich i tworzenie oryginalnych materiałów informacyjnych, przyjąłbym to z zadowoleniem. Problem polega na tym, że nic takiego nie ma miejsca.

Platformy technologiczne nigdy nie podjęły poważnej próby wykonywania tej podstawowej pracy, od której zależą zarówno ich użytkownicy, jak i same platformy – pracy obejmującej lokalne reportaże, dziennikarstwo śledcze czy rzetelne testowanie produktów. Zamiast tego przejmują efekty pracy innych. Coraz częściej prezentują je nawet w taki sposób, jakby same były ich autorami.

eprasa.pl 742b61cb94

Jedno z badań wykazało, że OpenAI wskazywało redakcje, które zdobyły cytowane informacje, jedynie w blisko 1 proc. odpowiedzi generowanych przez swoje modele. Liderzy wcześniejszych rewolucji technologicznych przynajmniej starali się przekonywać, że ich działalność będzie korzystna również dla twórców. Spotify, mimo sporów z branżą muzyczną, regularnie podkreśla wysokość środków wypłacanych artystom. Firmy rozwijające sztuczną inteligencję przyjęły natomiast znacznie bardziej otwarcie pasożytniczą postawę przypominającą raczej Napstera – dawną platformę służącą do nielegalnego udostępniania muzyki.

Jeden z czołowych badaczy Microsoftu napisał wręcz, że jedną z „podstawowych obietnic dużych modeli językowych" jest możliwość wykorzystywania danych treningowych do zastępowania płatnej pracy osób, które te dane stworzyły. Pisarka Margaret Atwood ujęła ten problem jeszcze bardziej obrazowo, porównując go do sytuacji, w której człowiek zostaje „zamordowany przez własną kopię".

Można niemal z całą pewnością założyć, że działania technologicznych gigantów będą pogłębiały zjawiska, które już dziś osłabiają społeczeństwa.

Będzie mniej oryginalnego dziennikarstwa. Będzie więcej dezinformacji, propagandy, teorii spiskowych, deepfake'ów i generowanych masowo cyfrowych śmieci. Coraz więcej ludzi będzie poddawanych wpływowi algorytmów wzmacniających strach, gniew i społeczne podziały.

To reporterzy wzbogacają publiczny zasób wiedzy o nowe informacje. To oni odkrywają nieznane wcześniej fakty. Docierają do istotnych szczegółów. Zdobywają wypowiedzi świadków. Ujawniają tajne dokumenty. Dostarczają eksperckich analiz. Rejestrują zdjęcia, nagrania wideo i materiały dźwiękowe.

Mówiąc najprościej: oryginalne dziennikarstwo jest bardzo często źródłem tego, co wiemy o świecie.

Produkty AI nie potrafią wykonywać takiej pracy. Mogą przeszukiwać istniejący zasób informacji, ale mają ogromne trudności z tworzeniem nowych. Nawet samo przetwarzanie istniejących informacji okazuje się problematyczne.

Mylę się, więc jestem

Badanie przeprowadzone przez Europejską Unię Nadawców wykazało, że czołowi asystenci AI znacząco zniekształcali informacje prasowe w niemal połowie udzielanych odpowiedzi. Google i Apple również zaliczyły poważne wpadki, wykorzystując sztuczną inteligencję do automatycznego przepisywania nagłówków i powiadomień pochodzących od redakcji informacyjnych.

Modele AI często nie sygnalizują, kiedy nie są czegoś pewne. W efekcie nie tylko popełniają błędy, ale też przedstawiają je z pełnym przekonaniem.

W przeciwieństwie do organizacji medialnych, których treści wykorzystują, firmy AI zazwyczaj nie prowadzą systematycznych sprostowań ani korekt swoich błędów. Użytkownicy nie mają więc możliwości sprawdzenia, kiedy zostali wprowadzeni w błąd. Ma to ogromne znaczenie również dlatego, że dla wielu osób narzędzia sztucznej inteligencji prawdopodobnie nie będą jedynie uzupełnieniem tradycyjnych źródeł informacji, lecz zaczną je całkowicie zastępować.

Badania opinii publicznej wskazują, że ten proces postępuje znacznie szybciej, niż większość ludzi przypuszcza. Współpracujący z wieloma firmami AI Amazon Web Services [Dział Amazona świadczący usługi chmurowe] szacuje, że już dziś większość treści publikowanych w internecie jest generowana przez sztuczną inteligencję. Wielu ekspertów przewiduje, że w najbliższych latach odsetek ten może przekroczyć 90 procent.

Już teraz liczba fałszywych lokalnych serwisów informacyjnych przewyższa liczbę prawdziwych. Sztuczna inteligencja jednocześnie utrudnia przetrwanie autentycznym redakcjom i sprawia, że tworzenie pozornie wiarygodnych, lecz fikcyjnych portali staje się niezwykle tanie.

Znamienne jest również to, że same firmy AI nie chcą stwierdzać, iż odpowiedzi generowane przez ich produkty są wiarygodne. Nie chcą zapewniać, że są one rzetelne. Nie chcą gwarantować ich prawdziwości. Po części dlatego, że po prostu nie są. Gdy w ubiegłym roku zamordowany został amerykański działacz polityczny Charlie Kirk, chatbot Perplexity sugerował, że oficjalne oświadczenie Białego Domu dotyczące jego śmierci mogło zostać sfabrykowane. Z kolei Grok, system należący do platformy X, twierdził, że Kirk żyje i ma się dobrze.

Istnieje jednak jeszcze jeden powód tej ostrożności. Firmy AI unikają jednoznacznego potwierdzania prawdziwości swoich odpowiedzi, ponieważ starają się ograniczyć własną odpowiedzialność prawną.

Gdy Microsoft uruchamiał usługę Copilot, ostrzegał użytkowników: „Wyłącznie do celów rozrywkowych. System może popełniać błędy i nie zawsze działać zgodnie z założeniami. Nie należy polegać na Copilocie przy podejmowaniu ważnych decyzji. Korzystasz na własne ryzyko".

Na pewnym poziomie społeczeństwo rozumie, że taki stan rzeczy nie jest korzystny. Według Pew Research Center [amerykańskiego ośrodka badań opinii publicznej] dwie trzecie Amerykanów wyraża poważne obawy związane z rozpowszechnianiem nieprawdziwych informacji przez sztuczną inteligencję. Jednocześnie coraz więcej osób korzysta z AI jako źródła wiadomości, informacji i porad.

Wszystko to będzie pogłębiało już dziś widoczny kryzys życia społecznego i obywatelskiego. Badania pokazują, że kiedy w danej społeczności upada lokalna redakcja, ludzie zaczynają ufać sobie nawzajem mniej. Stają się bardziej wrogo nastawieni. Coraz częściej izolują się od siebie. Maleje zaangażowanie obywatelskie, a poziom korupcji rośnie.

Warto też zastanowić się nad tym, co się stanie, gdy obecne podejście firm technologicznych wobec mediów zostanie doprowadzone do swojego logicznego końca.

Mimo że dziennikarstwo stanowi jeden z najważniejszych fundamentów najcenniejszej dziś technologii świata, działania technologicznych gigantów zagrażają źródłu nowych informacji, analiz i odkryć.

W konsekwencji same produkty AI stałyby się mniej użyteczne i mniej wiarygodne.

Krótka instrukcja przetrwania

Słabnąca branża medialna może się wydawać bezradna wobec najbogatszych przedsiębiorstw w historii świata. Sytuacji nie ułatwia fakt, że nadal musimy funkcjonować w ekosystemie informacyjnym, który w ogromnym stopniu znajduje się pod kontrolą tych samych technologicznych gigantów.

Mimo to wciąż możemy podjąć działania, by przeciwstawić się nadużyciom firm rozwijających AI oraz, by przygotować własne organizacje na sukces w nowej rzeczywistości.

Jeśli chodzi o obronę własnej pracy tomam cztery podstawowe sugestie:

1. Brońcie swoich praw

Jeżeli nasza profesja ma mieć przed sobą przyszłość, prawa własności intelektualnej muszą pozostać skuteczne. W moim kraju prawa te są zakorzenione w konstytucji i wspierane przez wielowiekowe orzecznictwo. Są też zgodne z zasadą moralną: kradzież jest czymś niewłaściwym.

Jednak prawa istnieją tylko wtedy, gdy ludzie są gotowi ich bronić. Musicie domagać się ich poszanowania i reagować wtedy, gdy są naruszane. Będzie to wymagało odwagi, a czasem również środków finansowych, których w branży często brakuje. Alternatywą jest zgoda na okradanie was z efektów pracy.

2. Zawierajcie umowy z rozwagą

Podpisywanie przez redakcje umów licencyjnych z firmami AI jest czymś całkowicie uzasadnionym. Zachęcam jednak, aby dokładnie analizować długoterminowe konsekwencje każdego porozumienia. Technologiczni giganci dysponują ogromną przewagą negocjacyjną. W praktyce już przejęli wasze treści i zamierzają z nich korzystać niezależnie od waszej decyzji.

Mimo to przed przyjęciem jakiejkolwiek oferty warto zadać sobie kilka pytań:

Czy proponowane wynagrodzenie rzeczywiście odzwierciedla wartość przekazywanych materiałów?

Czy zachowujecie jakikolwiek wpływ na sposób ich wykorzystania?

Czy oddajecie coś, czego później nie będzie można odzyskać?

3. Wywierajcie presję na ustawodawców

Sztuczna inteligencja staje się coraz mniej popularna wśród opinii publicznej. W miarę jak politycy będą zastanawiać się nad odpowiedzią na wyzwania związane z AI, nasza branża powinna przedstawić wspólną listę postulatów. Oto kilka propozycji na początek:

Firmy rozwijające AI splądrowały cały dorobek cywilizacji oparty na twórczości oryginalnej. Stanowi to zagrożenie nie tylko dla dziennikarstwa, ale i książek, filmu czy muzyki

Należy zadbać o to, aby istniejąca ochrona własności intelektualnej została w epoce sztucznej inteligencji wzmocniona, a nie osłabiona.

Boty powinny być zobowiązane do jednoznacznego identyfikowania się oraz ograniczone w możliwości pobierania treści ze stron internetowych bez zgody właścicieli.

Konieczna jest większa przejrzystość, aby wydawcy wiedzieli, kiedy i w jaki sposób ich materiały są wykorzystywane przez systemy AI.

Firmy tworzące sztuczną inteligencję powinny również ponosić odpowiedzialność prawną za zniesławiające lub szkodliwe treści generowane przez ich produkty.

4. Działajcie wspólnie

Mierzymy się z przedsiębiorstwami wydającymi niewyobrażalne kwoty na marketing, lobbing i finansowanie kampanii politycznych po to, by wpływać na opinię publiczną i pozyskiwać przychylność decydentów.

Fundusz venture capital finansujący wiele przedsięwzięć związanych ze sztuczną inteligencją jest obecnie największym darczyńcą politycznym w Stanach Zjednoczonych. Jedyną realną odpowiedzią branży medialnej na taką skalę wpływów jest współpraca.

I nie chodzi wyłącznie o współpracę między redakcjami. Musimy działać razem z przedstawicielami innych sektorów kreatywnych.

Dołączajcie do opinii składanych w postępowaniach sądowych.

Aktywnie uczestniczcie w pracach organizacji branżowych.

Analizujcie doświadczenia muzyków i innych twórców, którzy wcześniej musieli zmierzyć się z własnymi „momentami Napstera".

Cztery filary przyszłości

Istnieją również działania, które możemy podjąć we własnych organizacjach, aby zwiększyć ich odporność na nadchodzące zmiany. I tutaj również chciałbym wskazać cztery kierunki.

1. Wykorzystujcie sztuczną inteligencję we właściwy sposób

Redakcje powinny opracować przemyślane zasady odpowiedzialnego korzystania z AI. Następnie powinny odważnie i kreatywnie wykorzystywać tę technologię do poprawy jakości dziennikarstwa i wzmacniania swoich modeli biznesowych.

Sztuczna inteligencja może przynieść organizacjom realne korzyści, jeśli zostanie zastosowana rozsądnie. Jednocześnie zmiana tej skali będzie bezlitosna wobec tych, którzy odmówią dostosowania się do nowych warunków. Sama technologia nie jest zła. Reform wymagają działania firm, które ją kontrolują.

2. Stańcie się miejscem pierwszego wyboru

Świat coraz bardziej pośredniczony przez platformy AI sprawi, że redakcje będą jeszcze bardziej uzależnione od technologicznych gigantów w kwestii ruchu, rozpoznawalności i przychodów. Najpewniejszą drogą do utrzymania wysokiej jakości dziennikarstwa pozostaje budowanie bezpośrednich relacji z odbiorcami.

Bycie miejscem pierwszego wyboru nie oznacza ignorowania internetu ani platform technologicznych. Nowych odbiorców nadal trzeba szukać tam, gdzie spędzają czas. Jednak aby relacje te stały się trwałe, wartościowe i lojalne, odbiorcy muszą zrozumieć, że lepiej jest korzystać bezpośrednio z waszych produktów niż za pośrednictwem cudzych platform.

3. Postawcie na oryginalne dziennikarstwo

Wiele redakcji osłabiło własną pozycję, próbując się podporządkować nieustannie zmieniającym się wymaganiom algorytmów wyszukiwarek i mediów społecznościowych.

Klikbajtowe treści, agregowanie cudzych materiałów i niekończące się komentarze stały się dla wielu wydawców drogą na skróty. W świecie zdominowanym przez sztuczną inteligencję ekonomiczne podstawy takiego modelu będą jeszcze słabsze.

Jeśli chcecie być miejscem, do którego ludzie będą wracać mimo pośrednictwa AI, musicie tworzyć dziennikarstwo tak wyjątkowe, że będzie przyciągało odbiorców własną siłą. Sercem takiej strategii jest oryginalne reporterstwo. Społeczeństwo nie ma innego źródła tej pracy. Sztuczna inteligencja również nie.

4. Wyjaśniajcie, dlaczego dziennikarstwo ma znaczenie

Firmy AI dysponują potężnymi megafonami i bardzo skutecznie opowiadają o korzyściach płynących z własnej działalności, jednocześnie minimalizując znaczenie związanych z nią zagrożeń. Branża medialna musi równie zdecydowanie przypominać, że oryginalne dziennikarstwo stanowi niezbędny element zdrowego społeczeństwa, bezpiecznego państwa i silnej demokracji.

Musimy pokazywać, w jaki sposób działania technologicznych gigantów narażają ten fundament na niebezpieczeństwo.

Podczas poprzedniej wielkiej transformacji cyfrowej wiele redakcji – w tym przez pewien czas także „The New York Times" – uwierzyło w popularne w Dolinie Krzemowej hasło, że „informacja chce być darmowa".

Wielu ludzi nie zna jednak drugiej części tej samej myśli wypowiedzianej przez filozofa technologii Stewarta Branda: „Informacja chce być droga, ponieważ jest niezwykle cenna. Odpowiednia informacja we właściwym miejscu potrafi zmienić ludzkie życie".

Tym razem nie możemy pozwolić sobie na podobną naiwność. Organizacje medialne są dziś słabsze i mniejsze niż dwadzieścia lat temu. Technologiczni giganci są więksi, potężniejsi i znacznie bardziej skłonni do wykorzystywania swojej przewagi. Sama fala sztucznej inteligencji może okazać się jeszcze większa i jeszcze szybsza niż poprzednie rewolucje technologiczne.

Nawet jeśli obecnie wszystko wydaje się spokojne, warto pamiętać, że pierwsze niewielkie fale często zapowiadają nadchodzące tsunami.

Przygotowując się na to, musimy przypominać sobie o jednej podstawowej prawdzie: Informacja ma wartość. Dziennikarstwo ma wartość. ●

• © 2026 The New York Times Company

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

KULTURA OBYCZAJE

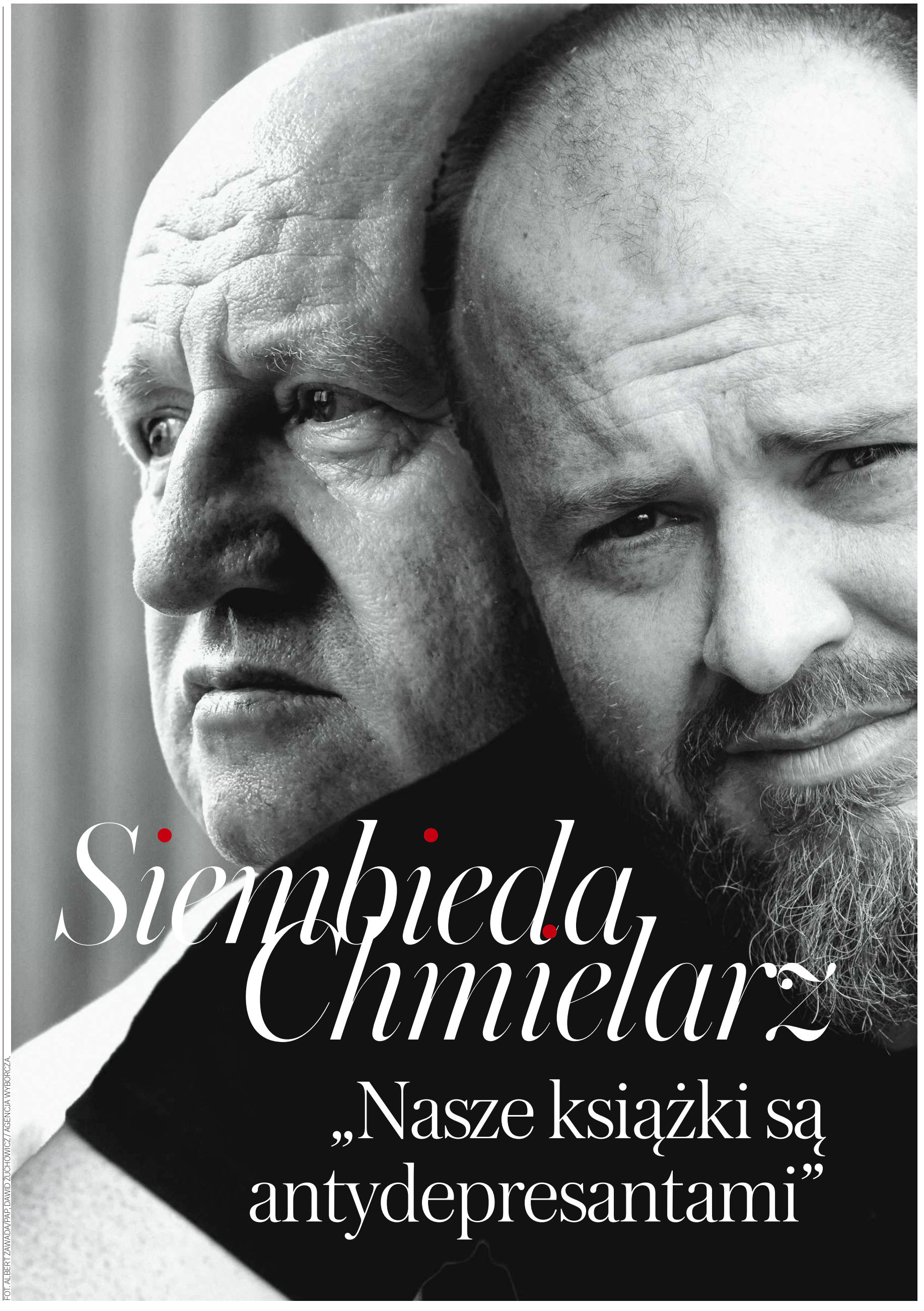

Siembieda Chmielarz

„Nasze książki są antydepresantami”

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.

eprasa.pl 742b61cb94

Pamiętam z Kieleckiego takie sceny, **że trzeba było całować zmarłą babcię, która leżała od kilku dni w trumnie.**

PISARZ **WOJCIECH CHMIELARZ** ROZMAWIA Z PISARZEM **MACIEJEM SIEMBIEDĄ**

CHMIELARZ: To jaką dedykację wpisałem ci w moim „Żmijowisku"?
SIEMBIEDA: Pamiętam to dokładnie. Spotkaliśmy się na targach książki w Warszawie w 2018 roku. Do mnie stało sześć osób, wydawałem wtedy w Wielkiej Literze. Po sąsiedzku podpisywałeś ty, a kolejka do ciebie była gigantyczna. Twoja wydawczyni chciała mnie wprowadzić do niej kuchennymi schodami, ale ty nie chciałeś się zgodzić, bo...

...czytelnicy tego nie lubią.
– No właśnie. Nie byłem w ciąży, nie byłem inwalidą, uznałem, że powinienem odstać w kolejce. Napisałeś w moim egzemplarzu „Ścigajmy się na listach bestsellerów". Mam go do dziś.

Trochę to zlekceważyłem, a teraz mnie prześcignąłeś. Najgorsze, kiedy się sprawdza. Jak się z tym czujesz? Jesteś w świetnym momencie kariery. „Gołoborze" rozbiło bank z nagrodami. A sezon na nie się przecież jeszcze nie skończył.
– Rzeczywiście, kolekcja laurów jest spora. Ale wiesz, dla mnie największym osiągnięciem jest to, że udało się wprowadzić literaturę gatunkową na salony. Ta książka znalazła się w pierwszej piątce „Newsweeka", w zestawieniu „Polityki", dostała statuetkę Olśnienia Onetu, a w plebiscycie lubimyczytać.pl tytuł Książki Roku. Sukcesem dla mnie jest to, że nagle literaturę gatunkową zauważyli krytycy i literaturoznawcy, na których wcześniej nie śmiałem podnosić głowy.

Tu się z tobą nie zgodzę. Nie uważam, żeby twoje książki były tylko literaturą gatunkową.
– Wszyscy jej twórcy aspirują do pewnego absolutu, np. do twórczości Artura Péreza-Revertego. „Królowa południa" czy „Fechmistrz" to książki stricte kryminalno-sensacyjne, ale nikt ich na tej półce w Polsce nie postawi. Ktoś w pewnym momencie przylepił mu metkę twórcy literatury pięknej i wielkiej, niegatunkowej. I teraz na tym fenomenie on jedzie. Dlaczego te książki się tak dobrze sprzedają? Niedawno ktoś mnie o to zapytał, zażartowałem, że najpierw trafiają na półkę z kryminalnymi nowościami, potem, jak już się stamtąd nie sprzedają, stają w literaturze sensacyjnej, też jako nowość. Na końcu sprzedaje się je jako nowości w powieściach historycznych. Jest w tym trochę prawdy.

Kierując się tym, można powiedzieć, że „Zbrodnia i kara" to kryminał, a „Sto lat samotności" thriller polityczny. „Gołoborze" jest powieścią historyczną, ale dla mnie to także literatura piękna, opowieść o ludzkich namiętnościach. Jasne, jako pierwsi wzięli ją do ręki twoi czytelnicy, miłośnicy kryminałów i literatury sensacyjnej. Ale ty masz to coś, co wszyscy chcą mieć, a ma niewielu. Masz czytelników Siembiedy.
– To nie jest tak, że ja się bronię przed tą „literaturą piękną", ale mam kompleksy. Gdybym miał się porównywać z takim Szczepanem Twardochem czy Jakubem Małeckim, byłoby mi dziwnie. Nie używam środków wyrazu, których oni używają. Nie idę w metaforykę, wyszukany język i nie będę tego robił, bo po pierwsze nie umiem, a po drugie zwyczajnie się boję.

A właściwie odwrotnie: po pierwsze się boję, a po drugie nie umiem. Martwi mnie, że jeśli zacznę mój język za bardzo upiększać, znajdę się na prostej drodze do grafomanii. Piszę z siebie, to musi płynąć, inaczej sobie nie wyobrażam. Gdybym próbował, byłoby tak, jakbym siadał do kartki z imperatywem, że muszę napisać złotą myśl, którą inni będą cytować. Spróbuj to zrobić, a zobaczysz, jak się wywrócisz. Inna sprawa, że pisarze są bardzo łasi na złote myśli...

To prawda, ale trochę mnie to śmieszy. Cytaty ze „Żmijowiska" regularnie pojawiają się w różnych miejscach, szczególnie jeden. Nie pamiętam dokładnie, to coś o tym, że zawsze trzeba iść swoją drogą, nieważne, dokąd prowadzi. Tylko że to w mojej książce mówi Sabina, która jest czystej wody psychopatką.
– To jest taki bonus procesu pisania. Jesteś rozkręcony, świetnie się czujesz, fajnie ci idzie, piszesz kolejny fragment książki i masz prezent od losu w postaci fajnego zdania.

Mówisz o kompleksach, ale w „Gołoborzu" jest przecież stylizacja językowa, szczególnie w dialogach. Czuć tam odrębność świata dzięki odrębności języka, bohaterowie mówią u ciebie gwarą świętokrzyską.
– Ale widzisz, tutaj jest handicap taki, że ja mam 95-letnią matkę, która pochodzi z rejonu Gór Świętokrzyskich, ja zresztą też właśnie tam się urodziłem. Całe życie zajmowała się domem, jest w świetnej formie intelektualnej i bardzo dużo czyta. Jakieś dwa lata temu zaczęła mówić gwarą. Początkowo się wstydziłem, jak kazała przynieść mi ciapy zamiast kapci, ale osłuchałem się w końcu i właśnie dzięki niej udało się to zrobić.

Stąd ta stylizacja, której nie byłem w pełni świadomy. Wszystkie moje starania wkładam w tworzenie atrakcyjnej opowieści, ale chyba też wszystko sprowadza się do tego, że trzeba pisać tak prosto, jak jest to możliwe, ale nigdy prościej. Jestem polonistą, poloniści są zbrodniarzami, jeśli chodzi o język polski. Kiedy robiłem doktorat i użyłem słowa „zdrobnienie", profesor skreślił i napisał: „deminutywna derywacja podstawy słowotwórczej". To jest to, czego się boję. Nie chcę nic stylizować, piszę tak, jak umiem.

Czasami staram się stylizować w dialogu, kiedy czuję, że postać musi mieć swój język. Też nie piszę Twardochem, ale czy jestem gorszym pisarzem od niego? Pewnie jestem, nie? Ale nie mam kompleksu ani wobec niego, ani Olgi Tokarczuk, Kuby Małeckiego i Łukasza Orbitowskiego. Na pewno jestem mniej znaczącym autorem od nich, ale nie mam z tego powodu poczucia niższości.
– A ja mam. Ale to dlatego, że wydaje mi się, że nigdy nie osiągnę takiego poziomu jak Szczepan Twardoch. My leczymy, poprawiamy samopoczucie, nasze książki są antydepresantami, produkujemy psychotropy. Czytasz nas i lepiej się czujesz. A on? On jest anatomopatologiem.

Wchodzi bardzo głęboko, potrafi uleczyć swoją literaturą poważne schorzenia, zrobić sekcję, używa do tego głębszego poziomu refleksji. I nie ma w tym misji, choć przecież on w swoim życiu prywatnym jest człowiekiem z misją. Ale w jego literaturze nie ma żadnej nachalności, niczego w niej nie próbuje udowodnić.

Podoba mi się to. Tak właśnie patrzę na moje pisanie. Lubię myśl, że dajemy ludziom rozrywkę, pozwalamy im zapomnieć o świecie. Ale poza tym tworzymy iluzję świata, że zło zostaje ukarane.
– Twój sukces polega na tym, że piszesz Chmielarzem. Często, kiedy rozmawiam z pisarzami, gada się z nimi fantastycznie, a potem czytam ich książkę i słyszę zupełnie innego człowieka. Czytałem ostatnio „Rytuał" i naprawdę cię tam słyszałem. No i „Żmijowisko", o którym już rozmawialiśmy, to jest dla mnie książka naprawdę wzorowa. Kiedy prowadzę zajęcia z kryminału, pokazuję im pusty ekran i mówię: „Tu na razie jest ściernisko, ale będzie »Żmijowisko«". Poprzeczkę zawieszam im wysoko.

Napisałem tę książkę 10 lat temu i nie mogę doskoczyć do tego poziomu. Przeraża mnie, że ta jedna książka może się okazać najlepszą w moim życiu.
– Trzeba się bać, ale musisz skakać, Wojtek. Niektórzy mi zarzucają, że podnoszę sobie poprzeczkę za wysoko, ale mówię zawsze, że jak przez nią nie przeskoczę, to przynajmniej przejdę pod nią z podniesioną głową.

MACIEJ SIEMBIEDA: W „Katharsis" są historie prawdziwe. Np. dzieje tajnego szpitala na wyspie Wolin, gdzie leczyliśmy Greków. Mieszkam na szlaku przemytniczym Sopot- Gdynia, już nieaktywnym. Uwielbiam te prawdziwe i kompletnie niewiarygodne historie

A z której swojej książki jesteś najbardziej dumny?
– Z „Katharsis". „Gołoborze" jest bardziej osobiste, jest w niej wiele moich wątków rodzinnych. Napisałem ją bez researchu. Opowiada o moim całym dzieciństwie, młodości. W pewnej chwili miałem nawet dylemat. Czy mi się to wszystko przyśniło, czy ja tego nie kreuję, czy ja nie tworzę jakiegoś inkubatora potworów w tym Kieleckiem? Czy ja nikomu krzywdy nie robię, przecież już dawno stamtąd wyjechałem? Ale na spotkaniach z czytelnikami odbiór utwierdza mnie w tym, że dobrze zrobiłem. Na przykład w sprawie chowu wsobnego: tam są wsie, gdzie nie ma i nie było migracji. Na jednym ze spotkań wstała kobieta, która powiedziała: „Proszę pana, moja rodzina mieszka we wsi pod Świętym Krzyżem, moje nazwisko nosi tam 88 proc. mieszkańców. Przez to, że »Gołoborze« jest tak osobiste, ja nie mam do tej książki dystansu. Nie potrafię powiedzieć, czy to dobra powieść".

A jeśli chodzi o „Katharsis", pisanie tej książki najbardziej przeżyłem. Jest moją najodważniejszą powieścią, bo zawarłem w niej prawdziwą historię ojca mojego kolegi: Greka, który jako niespełna dwuletnie dziecko przeszedł przez góry Grammos pod amerykańskim napalmem w warunkach totalnej apokalipsy. Przyjechał do Polski, dorósł, chodził do szkoły, jako dorosły mężczyzna pojechał na Bałkany, bo wtedy Grecy nie mieli polskiego obywatelstwa, bo im go nie dano, a greckiego też nie, bo im zabrano.

Pojechał do Jugosławii i na ulicy w Belgradzie spotkał samego siebie. Brata bliźniaka, o którym nie miał pojęcia. Tamten zaginął podczas przejścia przez góry i rodzice o nim nie wspominali, żeby nie potęgować traumy bliźniakowi, który dotarł z nimi do Polski, a był zbyt mały, żeby pamiętać brata. To jest historia prawdziwa. Niewiarygodna. Bałem się, że wyjdę w tym wywiadzie na lękliwego, ale przynajmniej jestem szczery. Przy „Katharsis" martwiłem się, że czytelnicy uznają tę książkę za brazylijską telenowelę. Bardzo mocno w to wszedłem. Pomogło mi to w pandemii. Wolałem mieszkać w tym świecie, który opisywałem, niż w rzeczywistości ministra zdrowia.

Pisanie było dla nas wtedy ucieczką. W pandemii napisałem „Prostą sprawę", publikowałem ją w odcinkach na Facebooku z taką myślą, że to będzie mój prezent dla czytelników. Ale z perspektywy czasu widzę, że robiłem to głównie dla siebie. Żeby mieć zajęcie, żeby się nie zastanawiać, ile osób umrze w ciągu kolejnej doby i czy będę wśród nich.
– Z „Katharsis" miałem podobnie, właśnie z tego się wzięło. Ale poza tym są w tej książce historie prawdziwe, które zrobiły na mnie kolosalne wrażenie. Na przykład dzieje tajnego szpitala na wyspie Wolin, gdzie leczyliśmy Greków. Gdynia to „miasto z morza i marzeń", a tak naprawdę była wylęgarnią przemytu i przestępczości, jeden z trzydziestu może faktycznie dostał pracę w porcie, reszta mieszkała w slumsach, bez kanalizacji, w fatalnych warunkach. Mieszkam na szlaku przemytniczym między Sopotem a Gdynią, już nieaktywnym. Uwielbiam te szokujące, prawdziwe i kompletnie niewiarygodne historie.

No dobra, ale jak je znajdujesz?
– Pamiętasz z lekcji fizyki taką zabawę, że się laskę ebonitu pocierało o wełnę i ona ściągała papierki? No to ja jestem taką laską ebonitu pocieraną przez trzydzieści lat, więc już jestem naelektryzowany tak bardzo, że ściągam te wszystkie farfocle. Mam do tego nosa, mam farta.

Różnimy się w procesie twórczym, ja lubię wymyślać historie. Nawet jeśli opieram się na prawdziwych, zawsze mam wątpliwości, na ile mogę to robić. Lubię, kiedy moja wyobraźnia pracuje. Zaczynam od małego kamyczka i on jest fundamentem mojej historii. Buduję dom na ziarenku piasku. Korzystanie z historii prawdziwych musi ułatwiać pracę.
– Tak, to nie tylko ułatwia pracę, ale też odmładza. Mam 65 lat i czuję się jak 30-letni reporter. Idę gdzieś, czegoś szukam, znajduję w archiwum, wychodzę, bo nie mogę tego unieść, dzwonię do żony, mówię jej, co znalazłem. Nasza wyobraźnia to jest taka tarczyca. Może ty masz nadczynność, a ja mam niedoczynność? Zazdroszczę ci tej nadczynności, czasami chciałbym sobie poradzić dzięki wyobraźni, ale moja jest nieco zniekształcona przez dziennikarstwo śledcze, którym przez lata się zajmowałem, a które wymaga jednak trzymania się poręczy.

Wiesz, historię Greków w Polsce to ja znałem, ale to ty postanowiłeś napisać swoją trylogię grecką. Te wątki leżały na ulicy, każdy mógł je podnieść i napisać, ale żadne z nas tego nie zrobiło. Po prostu przyszedł Siembieda. Zastanawiam się teraz, ile takich historii jest wokół mnie.
– Ty biegasz maratony i jesteś wytrenowany, ja jestem wytrenowany przez dziennikarstwo. Wchodzę na cmentarz i wychodzę z tematem. Takie ćwiczenie robiłem zresztą ze studentami. Mówiłem: „Macie godzinę, idziecie na stary cmentarz w Oliwie, wracacie z tematem z nagrobka". Ostatnio trzydziestoosobowa grupa wróciła z niczym, ja mogę iść po raz setny i zawsze coś zauważę. Zawsze byłem ciekawski, lubiłem nie tylko gadać, opowiadać, ale i słuchać. Ile ja wódki wypiłem przez tę wymianę historii!

Niewielu dziennikarzy zostaje dobrymi pisarzami.
– Przez lata wierzyłem, że dziennikarz w ogóle nie powinien zostać pisarzem.

Dlaczego? Mnie było łatwo, bo byłem po prostu kiepskim dziennikarzem.
– Rzadko to mówię, ale tobie powiem. Byłem absolutnie zafascynowany Krzysztofem Kąkolewskim, reporterem, który nie musiał mieć tematu, kpił sobie ze wszystkiego. Potrafił wsiąść w samochód, jechać z Warszawy do Gdańska i zbierać ludzi łapiących stopa na poboczach. Opłatą za przejazd była opowieść.

eprasa.pl 742b61cb94

Takie historie stały na tych poboczach, że nikt w nie nie wierzył. Brał też zszywkę chyba „Życia Warszawy” i pisał książkę z ogłoszeń drobnych. Był jak perpetuum mobile, on sam się napędzał. Tematy znajdował nawet w śmieciach. Był dla mnie bogiem, Kapuściński dla mnie nie istniał, Kąkolewski był moim guru. Czytałem potem dwie jego powieści: „Notatkę” i „Lato bez wakacji”. Tak boleśnie mnie zawiodły, że uznałem: dziennikarz nie powinien brać się do pisarstwa.

Spędziłeś w zawodzie dziennikarza trzydzieści lat. Żeby się tak zasiedzieć, trzeba dobrze się czuć.
– To były inne media i inne czasy. Reportaż był jedynym miejscem, w którym można było przemycać prawdę. I to tak, że cenzor mógł się wkurwić, ale nie miał szansy, żeby wyciąć. Sprytne przemycanie prawdy to było to. To nas nakręcało. Byłem młody, potykałem się o historię, obok której nie można było przejść obojętnie.

Znów wrócę do cmentarzy, bo zawsze mnie kręciły. Kupiłem sobie przewodnik po Śląsku pana Lecha Szarańca, zmarłego niedawno dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach. Pisał m.in. o miejscowości Mikolin koło Brzegu nad Odrą, gdzie w czasie forsowania Odry zginęły 43 tysiące Rosjan. Pomyślałem, że muszę zobaczyć ten cmentarz. Jadę, ale cmentarza nie ma.

Zacząłem się tą sprawą interesować. Pojechałem do profesora Damiana Tomczyka, świetnego historyka wojskowości, który niestety postawił na złego konia. Zrobił doktorat i habilitację z wyzwolenia Opolszczyzny przez Armię Czerwoną, co po 1989 roku się nie podobało. Wszystkie uczelnie się go wyrzekły, nikogo nie wpuszczał do domu. Ale napisałem wcześniej kilka reportaży historycznych, które mu się podobały, więc otworzył drzwi, choć z butem w nich z jego strony, nieogolony i w szlafroku. Wyjaśnił mi, że pod Mikolinem nie było żadnej apokalipsy, nie zginęły żadne 43 tysiące ludzi, bo gdyby zginęły 43 tysiące, to 130 tysięcy byłoby rannych, czyli suma summarum – nie byłoby zdobycia Berlina, bo wszyscy polegliby pod Mikolinem. Totalny fake! A dziś stoi tam jeden z największych pomników militarnych w Europie.

W moich rodzinnych Gliwicach mamy podobną historię, choć nie wiem, na ile to prawda. Mamy cmentarz żołnierzy radzieckich i leży tam kilkaset osób, które poległy podczas wyzwalania Gliwic. Ale historia jest taka, że polegli w destylarni, bo opili się alkoholem metylowym. Też mają pomnik.
– Jako bohaterowie.

WOJCIECH CHMIELARZ: Lubię wymyślać historie. Nawet jeśli opieram się na prawdziwych, zawsze mam wątpliwości, na ile mogę to robić. Lubię, kiedy moja wyobraźnia pracuje. Zaczynam od małego kamyczka. Buduję dom na ziarenku piasku

Otóż to. Tak dużo rozmawiamy o cmentarzach, to powiedz mi, skąd ten „Upiór” i fascynacja śmiercią.
– Zaczęło się od spotkania z czytelnikami w Chełmży. Uprzejme społeczeństwo zapytało, kiedy Jakub Kania przyjedzie do Chełmży. Znasz to, klasyk. Odpowiedziałem, że jak mu coś dadzą, to przyjedzie. No i wstał facet, dyrektor biblioteki, który opowiedział historię biskupa Piotra Kostki pochowanego w katedrze w Chełmży. Katedra przetrwała wojnę, ale w latach 50. zniszczył ją pożar, który ostatecznie ugaszono. Sprawdzono wtedy sarkofagi, czy nie ucierpiały, odsunęli wieko trumny biskupa i okazało się, że paznokcie miał wbite w wieko. Czyli został pochowany żywcem, a raczej obudził się w trumnie.

Jest coś takiego jak syndrom Łazarza: zanikają absolutnie wszystkie czynności życiowe, ale nadal żyjesz, lekarz na tej podstawie ma prawo stwierdzić zgon. I nawet po dziesięciu minutach w sposób niewytłumaczalny dla medycyny organizm jest w stanie wznowić działanie sam. Takie rzeczy się zdarzają. Przebudzenie w trumnie to źródło pierwotnego lęku, a ten lęk nazywamy tafofobią, wiele osób to ma. I to wcale nie jest pieśń przeszłości. Całkiem niedawno, chyba w Ostrowie Lubelskim albo w Gorzowie, obudziła się 91-letnia babcia w lodówce w domu pogrzebowym, wyszła z worka, kazała sobie zrobić herbatę, bo zmarzła, facet jej bramę otworzył i poszła do domu. Musiała potem przez sąd udowadniać, że żyje, bo rentę jej zabrali.

Przypomniałem sobie też historię o pozornie prostym tkaczu Tadeuszu Modrzejewskim, który od 1989 roku przepisywał książki Władysława Reymonta. Pisarz mu się śnił, ale on nie wiedział, że to Reymont. Dopiero kiedy zobaczył jego wizerunek w telewizji, zorientował się, kto to. I wtedy się zaczęło. Kompletnie odjechał na punkcie Reymonta. I doszło do tego, że miał paraliż senny, przy którym też zanikają czynności życiowe. Ale wszystko widzisz i słyszysz.

A skąd moja fascynacja śmiercią? Jestem z Kieleckiego, krainy zabobonów, przesądów, duchów, czarownic latających na miotłach. W dzieciństwie wiecznie mnie straszono, że w pewnych godzinach nie wolno patrzeć w lustro.

Napisałeś „Upiora”, żeby się oswoić ze śmiercią?
– Może podprogowo? Chciałbym chyba tę śmierć jakoś odczarować. Umieraniem nie ma się co przejmować, nie traktujmy życia zbyt serio, bo i tak nie wyjdziemy z niego żywi. Śmierć przydarzy się nam wszystkim. Trzeba się z nią pogodzić. Wiele narodów na świecie celebruje śmierć, a u nas? Pamiętam z Kieleckiego takie sceny, że trzeba było całować zmarłą babcię, która leżała od kilku dni w trumnie. Trumna musiała być oczywiście otwarta. Makabra.

W „Gołoborzu” Antek, który ginie pod pociągiem, to mój prawdziwy brat cioteczny. Zginął, przywieźli go w kawałeczkach. Trumna też musiała być otwarta, bo matka chciała go zobaczyć w trumnie. To były lata 60., nie było tanatopraktorów, którzy potrafią zdziałać cuda, albo tego gościa z „Ojca chrzestnego”, któremu się mówi: „Przygotuj mojego syna”. Facet w prosektorium otworzył worek i uciekł. Zostawił mojego ojca ze szczątkami siostrzeńca, w pustym prosektorium. Za czyjąś radą ojciec poprosił o pomoc jakiegoś faceta z podziemia, który palił zwłoki w Auschwitz i nie miał żadnych skrupułów. Przyjechał, wyjął połowę Antka z worka za włosy i powiedział: „Ładny chłopak, coś się zrobi”. Wyobrażasz sobie?

Nie. W książce to złagodziłeś.
– Oczywiście.

Rozmawiasz ze swoimi bohaterami?
– Aż tak to nie. Ale myślę o nich i ich historiach, kiedy jadę rowerem. Ty też pewnie, kiedy biegasz, nie myślisz o listkach na drzewach. **Cały czas przeżywam, myślę o poszczególnych scenach, siedzi się ze swoimi bohaterami, patrzy na świat ich oczami. I zawsze nadchodzi ten bolesny moment, kiedy trzeba wrócić do prawdziwego życia.**
– Żyjemy w dwóch światach jednocześnie, nie da się ukryć.

Masz jakieś marzenia pisarskie?
– Mam na razie cztery nowele, jeszcze nie powieści. Wszystkie to historie z życia, żadna nie jest sensacyjna. Złożę je w całość z jakąś wspólną myślą. Jeszcze nie wiem jaką. Myślę, że to będzie dziwna książka. A Jakub Kania będzie żył dotąd, dopóki będę znajdował historie nieznane i niewiarygodne jednocześnie. Boję się przesytu, nie chcę pisać wielu książek, o których wszyscy mówią. Niby się tak nie da ciągle pisać, ale powiedzmy, że sprzedasz duszę diabłu. I co wtedy, Wojtek? Będzie ci towarzyszył wieczny głód. Zgłodniej, a pójdziesz na gówniane żarcie i będziesz zachwycony.

Ja myślę o napisaniu reportażu, tylko cały czas nie wiem, czy mam do tego narzędzia.
– Masz, masz, to widać w twojej fikcji. Ale musisz być powściągliwy. Musisz wyłączyć nadczynność. ●

Wojciech Chmielarz

• Jeden z najpopularniejszych autorów kryminałów w Polsce, na koncie ma m.in. cykle z Jakubem Mortką, gliwicki i o Bezimiennym. Dziesięć razy nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru, którą otrzymał za książkę „Przejęcie”. W maju został laureatem Grand Prix Konkursu Kryminalna Warszawa 2026 za powieść „Złotowłosa”.

Maciej Siembieda

• także jeden z najpopularniejszych autorów kryminałów w Polsce, tegoroczny laureat Nagrody Wielkiego Kalibru za powieść „Gołoborze”. Autor cyklu o Jakubie Kani, trylogii polsko-greckiej („Katharsis”, „Nemezis”, „Kairos”), nominowany w 2026 roku do Literackiej Nagrody „Nike” także za„Gołoborze”. Rozmowa została przeprowadzona przed ogłoszeniem nominacji.

REKLAMA

Kraj/34437031

1 RP

DEMONICZNY SZEF TO NAJMNIEJSZY PROBLEM

Ludzie słyszą od zarządów: „stawiamy na relacje", a tydzień później połowa zespołu zostaje zwolniona przez Teamsa.

• **Kadr z filmu „Diabeł ubiera się u Prady 2 (2026). Meryl Streep jako Miranda Priestly – szefowa z piekła rodem czyli naczelna modowego magazynu „Runway"** FOT. © 2026 20TH CENTURY STUDIOS

Z **RÓŻA SZAFRANEK***
ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Dlaczego każdy właściciel firmy powinien obejrzeć drugą część filmu „Diabeł ubiera się u Prady"?
– Bo to nie jest film o modzie i toksycznej szefowej jak jedynka, tylko o współczesnym zarządzaniu.

Z tego powodu jest o wiele ciekawszy niż mocno karykaturalna, o po prostu złym szefie, część pierwsza. Zarządzanie dziś jest specyficzne, bo – po 20 latach od pierwszej części – wszyscy czują, że wiele się zmieniło. Jesteśmy bowiem w świecie, w którym nawet najbardziej charyzmatyczny lider przestaje kontrolować rzeczywistość. Powiem więcej: widać z praktyki, że demoniczny szef to dziś najmniejszy problem organizacji.

Większy wpływ na nią mają właściciele, udziałowcy, technologia, AI, wyniki kwartalne i chaos zmiany. Prawdziwe napięcia są gdzie indziej: w sukcesji, automatyzacji, rozpadzie starych modeli biznesowych i w tym, że firmy próbują ciąć koszty szybciej, niż zrozumieją swoje własne procesy!

To właściwie bardzo trafny film o tym, jak wygląda współczesny rynek pracy, i dlaczego zarządzanie ludźmi stało się dziś trudniejsze niż kiedykolwiek.

Co ma wspólnego dzisiejszy rynek pracy z tym pokazanym w filmie?
– Jest bardzo trafnie sportretowany. Przede wszystkim to rynek ogromnej niepewności i ciągłego testowania ludzi.

W tym świecie nikt nie dostaje już czasu na wdrożenie: wszyscy od pierwszego dnia mają dowozić wynik – widać to w zestresowanej postaci asystentki Andy.

Mamy też powszechną dzisiaj w organizacjach fascynację gwiazdami – przekonanie, że wystarczy ściągnąć jedną błyskotliwą osobę z rynku i ona uratuje cały biznes. Rynek pracy panicznie szuka zbawców. Firmy bardzo często nie próbują już naprawiać systemów, procesów czy kultury organizacyjnej, tylko szukają gwiazdy, która to ogarnie.

Ten obraz świetnie pokazuje, jak złudne jest takie myślenie. Widzimy organizację, która jest w chaosie, zmienia właściciela, próbuje ratować model biznesowy, ale, zamiast spokojnie poukładać strategię, zaczyna wierzyć, że wystarczy znaleźć odpowiednią osobę, która poprawi im PR. To jest dziś bardzo typowe.

Zarządy i właściciele uwielbiają narrację: „ściągnęliśmy topową osobę z rynku", „headhunter znalazł nam gwiazdę", „to będzie game changer". Tylko że bardzo często ta gwiazda trafia do kompletnie nieprzygotowanego środowiska.

Dzieje się dokładnie to, co w filmie: organizacja, zamiast wspierać nową osobę, zaczyna czekać, aż się potknie. Miranda mówi zresztą do Andy: „Czekamy, aż ci się noga powinie". Raczej tak się właśnie stanie: system nie został naprawiony, relacje nie zostały uporządkowane, cele nie są jasne, a oczekiwania są gigantyczne.

Współczesny rynek pracy jest pełen takich transferów „zbawców", którzy mają uratować firmę, dział albo projekt, choć realnie nikt nie stworzył im warunków do sukcesu.

Bardzo często takie transfery kończą się katastrofą, bo nawet najlepszy człowiek nie działa dobrze w źle poukładanym systemie.

Film świetnie wskazuje, że firmy mylą dziś kompetencje z kontekstem. Ktoś był świetny w jednej organizacji, więc zakłada się, że będzie świetny wszędzie.

Tymczasem większość sukcesów zawodowych jest mocno zależna od środowiska, zespołu, momentu i kultury firmy.

Dlatego tyle spektakularnych rekrutacji kończy się rozczarowaniem. W

szyscy chcą mieć ludzi „wybitnych", „topowych", „najbardziej rozpoznawalnych", ale dużo mniej uwagi poświęca się temu, czy organizacja w ogóle umie z takim człowiekiem pracować.

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Firmy są gotowe płacić ogromne pieniądze za talent, ale dużo rzadziej – zmienić siebie. Oczywiście, drugą stroną tego medalu jest przykry i trudny dla szefów fakt, że jeśli zbawienie nie istnieje, to znaczy, że wszystko spoczywa na nich – to oni ten system muszą zbudować, a potem przypilnować, żeby zgodnie z nim organizacja szła.

No i ta wszechobecna narracja sukcesu: Emily pracująca w Diorze – nieszczęśliwa...
– ...ale udająca, że wszystko wygrała. Teoretycznie osiągnęła wszystko, co miało być symbolem zawodowego triumfu: prestiż, marka, pozycja, rozpoznawalność. Ale jest niespełniona. Rynek pracy dziś premiuje nie tylko wynik, ale też performowanie sukcesu.

Trzeba wyglądać na spełnionego, ambitnego, odpornego, zachwyconego własną karierą, nawet jeśli prywatnie człowiek jest wypalony albo emocjonalnie rozsypany.

Widać też w Emily, ale i w innych bohaterach, to zmęczenie ciągłym sprzedawaniem siebie. Bohaterowie nieustannie budują swoją pozycję, markę, widoczność, walczą o wpływ i uwagę.

Relacje zawodowe są tam mocno transakcyjne, dlatego też pewnie zwyczajnie nie przekonuje nas scena przyjaźni i sojuszu Andy i Emily, prawda?

I to jest bardzo trafny obraz współczesnych organizacji – coraz mniej chodzi w nich o stabilność czy lojalność, a coraz bardziej o to, czy nadal jesteś atrakcyjny dla rynku.

Mnie zaciekawiła relacja Nigela z Mirandą. Tyle lat razem, on wiecznie niedoceniany, sprawiający wrażenie, że mógłby więcej. Czy to jest typowa konfiguracja lidera i tego drugiego po liderze?
– Nigel to stabilizator – „ten drugi" w firmie, niewidzialny, ale zarządzający. Jego pozycja wcale nie musi wynikać z tego, że jest słabszy od Mirandy. Wręcz przeciwnie: on doskonale rozumie układ sił i świadomie wybiera funkcjonowanie w cieniu.

To jest typowy duet liderski: jedna osoba buduje narrację, reprezentuje władzę i bierze na siebie światło reflektorów, a druga pilnuje, żeby organizacja realnie działała. Bardzo współczesne jest też to jego „niedocenienie", ale zwróćmy uwagę, że ono jest tylko pozorne.

Dzisiaj wiele osób zakłada, że sukces musi oznaczać awans, widoczność albo własny dział. Tymczasem Nigel pokazuje: wpływ w organizacji często mają ludzie, których formalnie najmniej widać.

Oni znają wszystkie mechanizmy, relacje, napięcia i potrafią nimi zarządzać dużo skuteczniej niż najbardziej medialni liderzy.

Czy Nigel chce rozgłosu? Nie jest to jego marzenie, a zresztą go nie potrzebuje do tego, by za jego sprawą Andy wróciła do organizacji.

Ten film to dobra obserwacja zmiany relacji między pracownikiem a organizacją.

Dawniej można było wierzyć: lojalność wobec firmy coś gwarantuje. Tutaj wszyscy wiedzą, że układ jest tymczasowy.

Ludzie są gotowi zmieniać role, firmy restrukturyzują zespoły, właściciele wymieniają strategię co kwartał, a całe działy mogą zniknąć po jednym słabszym wyniku.

Chyba najciekawsze jest to, że ten świat pracy jest jednocześnie bardzo nowoczesny i bardzo feudalny.
– Absolutnie tak! Z jednej strony mamy język inkluzywności – Miranda ma asystentkę od trzymania jej języka za zębami – wellbeing i progresywność, a z drugiej dalej rządzą status, wpływy, kapitał i dostęp do władzy.

Wszyscy pamiętamy moment zejścia Mirandy do czeluści piekieł, czyli do... pracowniczego bufetu. To właśnie tam demoniczna szefowa po raz pierwszy zderza się z rzeczywistością, w której nawet ona musi podporządkować się nowym zasadom gry: światu sukcesorów, konsultantów i ludzi od Excela, którzy nie szanują już ani rytuałów, ani dawnego porządku.

Po raz pierwszy widzimy, że traci rezon i porusza się po nieznanej przestrzeni. Facet w sportowym wdzianku klepie ją w ramię!

Bo właśnie został sukcesorem i nie ma pojęcia, co robić dalej.
– Samo życie. Najskuteczniejsza sukcesja to wymuszona sukcesja, niestety. Bardzo często dopiero kryzys uruchamia zmianę pokoleniową. Co ciekawsze – większość sukcesorów, tak jak w filmie, kompletnie nie jest przygotowania do zarządzania firmą – i nie ma się co dziwić, no bo skąd?

Czym innym jest dyskutować z ojcem przy obiedzie i „wrzucać mu newsy biznesowe", a czym innym mieć na sobie codziennie te wszystkie spojrzenia, frustracje, a przede wszystkim rachunki, prawda?

Dzisiaj sukcesorzy, szczególnie drugie pokolenie właścicieli albo nowi zarządzający, czego doświadczamy teraz w polskim biznesie, częściej będą chcieli sprzedać firmę niż – jak założyciele i ich rodzice – walczyć o biznes za wszelką cenę.

Bywa, że próbują udowodnić, że będą skuteczniejsi, bardziej nowocześni, bardziej technologiczni. Dlatego pierwszym odruchem staje się kontrola kosztów, automatyzacja, sprawdzanie efektywności i pytania: Co da się zrobić szybciej i taniej? I... co powiedzą konsultanci, bo przecież nie chcę być w tej zmianie sam?

Nowe pokolenie zarządzających często nie ma emocjonalnego związku z organizacją, którą przejmuje. Dla wcześniejszych liderów firma była częścią tożsamości, czymś budowanym przez lata. Dla sukcesora jest przede wszystkim biznesem, który ma działać skutecznie i przynosić wynik.

Stare modele zarządzania kończą się na naszych oczach, a nowe pokolenie próbuje zbudować organizacje bardziej policzalne, bardziej technologiczne i bardziej podporządkowane efektywności.

Tylko pytanie, z którym ten film nam zostawia, brzmi: co wtedy dzieje się z kulturą, stylem i ludźmi, którzy tę organizację tworzyli przez lata? I ten sentyment jest z jednej strony urzekający, ale z drugiej strony częściowo tylko prawdziwy, bo przecież jednak zawsze było tak, że to brand i wyniki decydowały o tym, czy coś przetrwa czy nie.

Wkracza chaos, który, zdaje się stanem permanentnym.
– Pracując dziś z firmami, mam często wrażenie, że one nie wiedzą, czym właściwie chcą być i według jakich zasad grają. Z jednej strony organizacje mówią, że liczą się jakość, kultura, wartości, doświadczenie klienta, a z drugiej – wszystko jest rozliczane wyłącznie z wyświetleń, wzrostów. W dodatku wszyscy są zdziwieni, że ludzie przestają rozumieć, po co właściwie pracują.

Ludzie ciągle nie wiedzą, na czym się skupiamy. Na sprzedaży? Na prestiżu? Na wzroście? Na utrzymaniu marki premium? Moim zdaniem dziś ogromna liczba firm kompletnie nie potrafi sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Za to próbują robić wszystko naraz. Chcą być jednocześnie luksusowe i masowe, technologiczne i human centric, chcą automatyzować procesy i jednocześnie mówić ludziom, że są najważniejsi.

Stąd bierze się ten ogromny chaos emocjonalny i organizacyjny.

Ludzie słyszą od zarządów: „stawiamy na relacje", a tydzień później połowa zespołu jest zwolniona przez Teamsa.

Firmy mówią o kulturze organizacji, ale wszystkie decyzje podejmują kwartalnie, pod Excela albo pod inwestora. I samo to nie jest niczym złym, tylko ten rozjazd robi więcej szkody niż pożytku, to trzeba zrozumieć.

Ludzie przecież widzą, że często narracja i realne zachowania firmy to są dwie różne rzeczy. Dlatego ten film jest dla mnie tak ciekawy, bo pokazuje organizację, która próbuje ratować swoją tożsamość, ale sama już nie wie, czy jest jeszcze medium opiniotwórczym, luksusową marką, firmą technologiczną czy może tylko produktem do dalszej sprzedaży.

> Trzeba wyglądać na spełnionego, ambitnego, odpornego, zachwyconego własną karierą, nawet jeśli prywatnie człowiek jest wypalony albo emocjonalnie rozsypany

To jest bardzo współczesne. Dzisiaj wiele firm działa w takim rozkroku.

Do tego dochodzą jeszcze technologia i AI. Organizacje słyszą, że wszystko można zoptymalizować, zautomatyzować, przyspieszyć, tylko że często nie rozumieją własnych procesów na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co naprawdę można wyciąć, a czego nie.

Firmy zwalniają całe zespoły, a potem się okazuje, że jednak brakowało jakiegoś czynnika, którego nikt wcześniej nie zauważył. Przecież Klarna i IBM mają już dziś takie historie: zwolnili personel, bo wydawało im się, że procesy da się łatwo zautomatyzować, a później musieli część z tych osób przywracać.

Okazało się, że organizacja źle zmapowała własne procesy. Nagle wyszło na jaw, że bez ludzi i bez funkcji automatyzacja po prostu nie działa tak dobrze, jak zakładano.

To, co dziś jest najbardziej charakterystyczne: firmy są permanentnie w transformacji, ale bardzo często nie mają już wspólnej odpowiedzi na pytanie, po co właściwie istnieją.

A kiedy organizacja nie umie jasno powiedzieć, jaki jest jej cel i według jakich wartości działa, to chaos staje się jej naturalnym środowiskiem.

Dla mnie ten film jest ukłonem w stronę nieuchronnie odchodzącego świata konwencjonalnych mediów i tamtej oldschoolowej kultury pracy.
– Dla mnie to film o nowej wizji Ameryki. Takiej Ameryki, która już nie wierzy bezwarunkowo w sprzedawcę, hype i skuteczność za wszelką cenę. Dlatego ta scena, w której Miranda mówi Emily: „You are a vendor, I'm a visioner"(„Jesteś sprzedawcą, ja jestem wizjonerem") może niektórych bardzo zdziwić. Bo przecież to Ameryka zawsze była dumna z tego, że jest „just a vendor".

Jeżeli się temu bliżej przyjrzymy, to ta postawa jest kompletnie nieamerykańska w klasycznym sensie. Przecież USA od zawsze były oparte na kulcie sprzedaży, ekspansji, widowiskowości, umiejętności opakowania produktu.

Tutaj nagle pojawia się tęsknota za czymś bardziej „staroeuropejskim", lekko przecież w narracji amerykańskiej pogardzanym: za autorytetem, gustem, doświadczeniem, za przekonaniem, że istnieje jeszcze różnica między kimś, kto tylko umie sprzedać produkt, a kimś, kto naprawdę tworzy kulturę.

To jest dla mnie bardzo ciekawe, bo Miranda po raz pierwszy broni starego porządku. Mówi właściwie: możesz mieć Excela, wyświetlenia, możesz rozumieć rynek, ale to jeszcze nie znaczy, że jesteś w stanie stworzyć coś, co ma znaczenie.

No i wreszcie punkt kulminacyjny filmu – zwróćmy uwagę na postać inwestorki. Przede wszystkim jest kobietą (szkoda, że nasze statystyki jeszcze tego nie potwierdzają w praktyce i w naszym gronie inwestorek w Polsce tak mało jest kobiet). Jest też ciekawa dlatego, że reprezentuje pieniądze rozumiejące wartość starego świata.

Miranda jest gotowa z nią rozmawiać, bo daje gwarancje kapitału, który wierzy w jakość, styl i kulturę, a nie wyłącznie w tabelki wyświetlenia.

Miranda jest symbolem całego pokolenia kobiet, które poświęciły swoje życie pracy i budowaniu wielkości firmy. I wie, że zapłaciła za to cenę. „Cholernie lubię pracować" – mówi. I jest w jej postaci jakiś tragizm, a jednocześnie siła.
– I to jest uczciwa opowieść o tym, jaką cenę pokolenie dzisiejszych liderów zapłaciło za swój sukces. Fajne jest to, że postać Mirandy próbuje w tej scenie odzyskać honor tych, którzy ciężko pracowali. Trochę wbrew powszechnej dzisiaj narracji, zwłaszcza w Europie, gdzie mówi się: „Zobacz, starsze pokolenia tak pracowały, a młodsze już nie chcą, bo widzą, jak duży to jest koszt".

Owszem, koszt wysoki, ale Miranda mówi: „Drogo to kosztowało, ale warto było". To jest może trochę sentymentalne, ale zobaczmy, jak potrzebne tym, którzy dzisiaj są właścicielami i liderami w organizacjach. To jest dokładnie o nich, bo ileż mogą przepraszać za swoją pracę, tłumacząc się z poczuciem winy, że to tak niedobrze wyszło z tą kulturą zapierdolu?

Może powinniśmy potraktować serio tę scenę i w końcu zmienić narrację z przepraszającej na świadomą swojej wartości: „Tak, dużo pracowaliśmy, opłaciło nam się, opłaciło się krajowi, opłaciło się wszystkim, ale sporo zapłaciliśmy, czas odpocząć, czas na to, żeby młodzi/nowi/inni przejęli to, co wypracowaliśmy".

Bo taka samotność na szczycie, a zwłaszcza przeżywana w poczuciu zagrożenia utraty pozycji i nieopłacalności wysiłków, nikomu nie służy. ●

***Róża Szafranek**

• liderka i ekspertka w dziedzinie efektywności organizacyjnej. Prezeska i założycielka grupy spółek: HR Hints oraz Culturivy® Institute, które przeprowadzają firmy przez transformację, wdrażanie procesów i lepsze zarządzanie. Doświadczenie zdobywała w Polsce, Europie i USA, budując i współtworząc organizacje z udanymi exitami, wejściami na giełdę i transformacjami.

eprasa.pl 742b61cb94

Nieuchwytne sfery rzeczywistości

Jej wiersze stały się pierwszym rumuńskim samizdatem, przepisywane ręcznie i rozpowszechniane w tajemnicy, przekształciły się w trwały symbol wolności”

Laudacja Mercedes Monmany* na cześć Any Blandiany, laureatki Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta.

Mercedes Monmany

Ana Blandiana jest jedną z najważniejszych postaci współczesnej poezji europejskiej. Jej pozycja jest świadectwem zarówno wyjątkowej jakości i bogactwa jej twórczości, jak i niezmiennego uznania, jakim cieszy się zarówno wśród krytyków, instytucji akademickich, jak i czytelników na całym świecie. Jako wieloletnia kandydatka do Literackiej Nagrody Nobla, ma na swoim koncie ponad dwadzieścia tomików poezji, dwa zbiory prozy fantastycznej, powieść, dziennik, dwie książki z gatunku auto-fikcji, trzynaście zbiorów esejów o literaturze i estetyce, wykłady oraz wywiady. Do tej pory jej twórczość została przetłumaczona na dwadzieścia sześć języków, co daje łącznie ponad 113 książek. Jest ona jednym z najważniejszych kobiecych głosów współczesnej poezji na całym świecie.

Znaczenie kulturowe Any Blandiany – właściwie Otilia Valeriu Coman – można porównać do roli Anny Achmatowej w Rosji czy Václava Havla w Czechach. Blandiana sytuuje się na samym szczycie rumuńskiej tradycji poetyckiej, reprezentuje absolutny wierzchołek nurtu, który w jej twórczości znajduje swój najgłębszy i najtrwalszy wyraz. Jest prawdziwą spadkobierczynią wielkiego liryzmu, który płynie od romantycznego ducha Mihaia Eminescu do awangardowej filozofii Luciana Blagi. Jednak jej zasięg jest uniwersalny; w kontekście literatury światowej w błyskotliwy sposób rozszerza metafizyczną poetykę Emily Dickinson i Rainera Marii Rilkego.

Chociaż jej międzynarodowa sława opiera się na tej poezji, Blandiana jest również świetną powieściopisarką i eseistką o mistrzowskiej precyzji. Jej proza porusza się po nieuchwytnych sferach rzeczywistości, często zgłębiając opresyjny, a jednocześnie hipnotyczny świat półsnu. Równie istotna jest jej twórczość eseistyczna, charakteryzująca się ostrymi, odważnymi i wnikliwymi spostrzeżeniami.

●

Urodzona w Timi? oarze w 1942 roku, jest jedną z najbardziej wpływowych postaci literatury rumuńskiej, łączącą w sobie świadomość artystyczną i obywatelską. Dzierży ponury rekord pod względem liczby zakazów, z jakimi musiała się zmierzyć w okresie dwóch kolejnych dyktatur. Pierwszy z nich miał miejsce za rządów Gheorghe Gheorghiu-Deja (1947–1964), kiedy była jeszcze nastolatką. W wieku zaledwie siedemnastu lat jeden z jej wierszy wywołał tak wielki niepokój wśród komunistycznych władz, że została uznana za córkę „wroga ludu” – co odnosiło się do jej ojca, uwięzionego księdza – i na cztery lata pozbawiono jej możliwości podjęcia studiów wyższych. Później, w czasach Nikolae Ceau? escu (1964–1989), jej twórczość została zakazana jeszcze dwukrotnie: w 1985 roku oraz ponownie od 1988 roku, aż do rewolucji w 1989 roku. Jej wiersze stały się pierwszym rumuńskim samizdatem; przepisywane ręcznie i rozpowszechniane w tajemnicy, przekształciły się w trwały symbol wolności.

Poza swoim znaczeniem politycznym Blandiana jest przede wszystkim pisarką oniryczną, której poetyka zakorzeniona jest w postrzeganiu egzystencji jako tajemnicy. Poprzez swoją poezję wyrusza w wizjonerską podróż w głąb tej tajemniczej rzeczywistości. „Dla mnie – wyjaśnia autorka – poezja jest logicznym przejściem od słowa do słowa, od kamienia do kamienia, po twardym gruncie, aż do momentu, w którym znaczenie nagle i nieoczekiwanie otwiera się nad przepaścią – zapierając dech w piersiach”.

●

Dla Any Blandiany pisanie jest procesem odkrywania rzeczywistości, który wymaga etycznego zaangażowania: rzeczywistość niewidzialna – intuicyjnie wyczuwalna tajemnica – stawia jednostkę w nowej, czystej i niezachwianej pozycji, która uniemożliwia po prostu zamknięcie oczu.

To, co Ana Blandiana dostrzegła po tej drugiej stronie tajemnicy, ujęła w słowa, które przyniosły jej powszechne uznanie zarówno w kraju, jak i za granicą. Oprócz wyróżnienia, które zostanie jej przyznane podczas dzisiejszej uroczystości w Warszawie [odbyła się 27 maja], w jej znakomitej karierze znalazły się: Międzynarodowa Nagroda im. Gottfrieda von Herdera przyznana przez Uniwersytet Wiedeński (1982); Narodowa Nagroda Poetycka im. Mihaia Eminescu; Nagroda Griffin Lifetime Recognition Award za wybitne osiągnięcia w dziedzinie poezji (2018, Toronto, Kanada); Złota Korona przyznana przez Akademię Nauk i Sztuki Macedonii Północnej (2019); Nagrodę Księżniczki Asturii (2024, Oviedo, Hiszpania) oraz Nagrodę Europejskiego Poety Wolności (2016, Gdańsk).

Oprócz osiągnięć literackich Ana Blandiana trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt, równie godny uznania: swoje dziedzictwo obywatelskie. Wcześnie stała się niekwestionowanym symbolem opozycji i oporu wobec rumuńskiej dyktatury komunistycznej.

Po ukończeniu studiów osiadła w Bukareszcie. W 1964 roku ukazał się jej debiutancki tomik „Pierwsza osoba liczby mnogiej”. Do 1982 roku jej dorobek poetycki – obejmujący wówczas takie tytuły jak „Achilles' Heel” (1966), „The Third Sacrament” (1969), „October, November, December” (1972) oraz „The Dream of the Dream” (1977) – przyniósł jej prestiżową nagrodę im. Gottfrieda von Herdera przyznawaną przez Uniwersytet Wiedeński. Od tego momentu zaczęły napływać kolejne międzynarodowe wyróżnienia.

●

W trakcie swojej kariery Ana Blandiana doświadczyła licznych zakazów. W grudniu 1985 roku cykl wierszy opublikowany w magazynie „Amfiteatru” potępiał nędzę i terror reżimu Ceau? escu, wywołując natychmiastowy i ostry konflikt z władzami.

W pierwszych dniach rewolucji z 1989 roku Blandiana została powołana do Rady Frontu Ocalenia Narodowego wraz z innymi wybitnymi postaciami opozycji, takimi jak Doina Cornea. Zrezygnowała jednak zaledwie trzy tygodnie później, gdy zdała sobie sprawę, że jej obecność jest wykorzystywana jedynie jako narzędzie manipulacji propagandowej. Później założyła i przez dekadę (1991–2001) przewodniczyła Sojuszowi Obywatelskiemu, ruchowi poświęconemu budowaniu silnego społeczeństwa obywatelskiego, który okazał się decydujący w zapewnieniu Rumunii członkostwa w Unii Europejskiej.

Wkrótce potem, pod auspicjami Rady Europy, Ana Blandiana wraz z mężem – pisarzem i historykiem Romulusem Rusanem – założyła w 1993 roku Ośrodek Pamięci Ofiar Komunizmu i Ruchu Oporu w Sighet, w północnej Rumunii. To muzeum, ośrodek badawczy i letnia szkoła uznawane jest za trzecie „Muzeum Sumienia Europy”, po Auschwitz i Muzeum Pamięci w Normandii. Instytut Badawczy przyjął za swoje motto to głębokie zdanie poetki: „Dopóki sprawiedliwość nie stanie się formą pamięci, tylko pamięć może być formą sprawiedliwości”.

●

W 2016 roku zmarł jej wierny towarzysz życia, Romulus Rusan. Pozostaje on głęboko obecny w jednym z najwspanialszych dzieł Blandiany, „Wariacjach na dany temat” (2018). Tom ten jest rozbudowanym wierszem miłosnym napisanym po śmierci Rusana, skomponowanym jako obszerny monolog dramatyczny. Zrodził się z przekonania o nierozerwalności kochanków pomimo śmierci i stanowi, jak sama autorka wyznaje, najbardziej metafizyczne dzieło w jej karierze. Utwór rozwija się niczym list miłosny – mozaika wierszy, wpisów z pamiętnika i wspomnień. Jest to medytacyjna eksploracja miłości i śmiertelności, przeplatana ciągłymi aluzjami do Dantego, Biblii oraz mitu o Orfeuszu i Eurydyce. W uderzającej reinterpretacji tego mitu Blandiana odwraca tradycyjne role płciowe, przedstawiając pogrążoną w smutku Eurydykę, opłakującą utratę Orfeusza.

Dzięki ogromnemu talentowi Any Blandiany i jej ostrzeżeniom przed przyszłością, która przypomina przeszłość, czytelnicy na całym świecie – zarówno jej poezji, jak i prozy – zyskali wgląd w upiorne realia minionej epoki. Te niezwykłe światy zostały znakomicie uchwycone i zawarte w wspaniałym, lirycznym dorobku; jest to spuścizna subtelna, ironiczna i głęboko oparta na zasadach, charakteryzująca się ostrą krytyką, która stanowi znak rozpoznawczy jej twórczości. ●

Ana Blandiana

FOT. PAP/EPA/J.L. CEREUIDO

Międzynarodowa Nagroda Literacka im. Zbigniewa Herberta

• Ceremonia przyznania nagrody odbyła się 27 maja w siedzibie Biblioteki Narodowej w Warszawie. Nagroda przyznawana jest od 2013 roku wybitnym przedstawicielom światowej literatury, w których twórczości obecne są wartości bliskie Zbigniewowi Herbertowi: wolność, godność człowieka, niezależność myśli. Wśród dotychczasowych laureatów są m.in. Ryszard Krynicki, Lars Gustafsson, Nuala Ní Dhomhnaill W.S. Merwin, Charles Simic, Breyten Breytenbach, Tomas Venclova oraz Anne Carson.

FOT. PAP/MARCIN OBARA

Mercedes Monmany

• hiszpańska eseistka, tłumaczka, krytyczka literacka, członkini jury Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Poezja, boleśnie rozkwitająca w warunkach represji, jest bardziej znacząca

„Dzieli nas więcej niż jedno pokolenie; Zbigniew Herbert wspiął się na Golgotę walki z cenzurą przede mną i być może po dużo bardziej stromym zboczu, ale estetyczne mechanizmy oporu były takie same, podobnie jak formy represji, które nie zdołały nas złamać.

Wystąpienie Any Blandiany podczas gali Nagrody im. Zbigniewa Herberta.

To nie pierwszy raz, gdy otrzymuję nagrodę – nie jest to też pierwsze polskie wyróżnienie – ale po raz pierwszy zdarza mi się, że ta nagroda jest poświęcona pamięci poety, w dodatku poety, który jest mi bliski przez powinowactwo losu.

Dzieli nas więcej niż jedno pokolenie; Zbigniew Herbert wspiął się na Golgotę walki z cenzurą przede mną i być może po dużo bardziej stromym zboczu, ale estetyczne mechanizmy oporu były takie same, podobnie jak formy represji, które nie zdołały nas złamać. Bo każde z nas zostało zobligowane do bycia, i zdołało być, nie tylko autorem swojej poezji, ale także autorem własnej wolności, którą musiało wymyślić, aby ta poezja mogła się urzeczywistnić. Wolność była naszym pierwotnym dziełem, poprzedzającym sztukę i trudniejszym do zrealizowania.

Ewidentnie, nagroda poetycka otrzymana w Europie Wschodniej ma – przynajmniej dla mnie – o wiele większe znaczenie niż nagroda zachodnia, ponieważ sama poezja, boleśnie rozkwitająca w warunkach represji, jest bardziej znacząca. Tam, gdzie „historia była przede wszystkim geografią", poezja musiała stać się historią samą w sobie.

Cenzura nie tylko utrudniała poezji wyrażanie siebie, ale wręcz popychała ją do czynienia tego w subtelniejszych, esencjalizujących formach. Broniąc się przed cenzurą, poezja nie wyrzekła się własnej definicji, lecz zniuansowała ją i przydała jej głębi; broniąc się przed cenzurą, poezja odkryła wagę milczenia, które ją w sobie zawiera, podobnie jak na tarczy Newtona biel zawiera w sobie wszystkie kolory.

W obliczu wielosłowia, celem poezji stało się przywracanie ciszy, a ludzie doznali rewelacji, że to nie słowa są determinujące, lecz cisza między nimi.

Istnieją poeci, którzy odrzucają komunikację i inni, którzy pozostają skryci nawet w ramach komunikacji. I istnieje też tajemnica, która jest w stanie pulsować poza wrażeniem innych, że wszystko zrozumieli. Zawsze marzyłam o tekście wielopoziomowym, w którym każdy poziom będzie doskonale zrozumiały, autonomiczny i odmienny, na podobieństwo ścian średniowiecznych monasterów przedstawiających malowidła pejzaży, w których, pod określonym kontem, ukazują się postaci świętych.

Upór w wyrażaniu niewyrażalnego, który jest dla mnie wręcz definicją poezji, został w dziwny sposób wzmocniony i unowocześniony przez tajemnicę oporu wobec totalitarnego zła. Ale w odróżnieniu od modernizacji w wolnych krajach, która często ewoluowała w stronę hermetyzmu i zerwania więzi z czytelnikami, w naszych krajach wokół poezji (w której kryły się ostatnie molekuły wolności) ludzie gromadzili się niczym dłonie osłaniające płomień, by nie zgasł na wietrze. W ten sposób poezja funkcjonowała jako forma oporu, a opór jako forma buntu, przechodząc, za pośrednictwem metafory, ponad głową cenzury i realizując się w cieniu, w połowie drogi między poetą a czytelnikiem. Bo tam, w tym newralgicznym centrum komunikacji, znajduje się dziwna prawda, według której ważne są nie słowa, lecz ich cienie, a słowa, które zaprzedały swoją duszę, nie mają już cienia.

Dziedzictwo cierpienia (bo cierpienie jest dziedzictwem) zmniejszyło na Wschodzie dystans między estetyką a etyką, między poezją a moralnością

Dziedzictwo cierpienia (bo cierpienie jest dziedzictwem) zmniejszyło na Wschodzie dystans między estetyką a etyką, między poezją a moralnością. Bowiem, w całej historii, bycie wolnym w krajach zniewolonych nie było skutkiem prawa, lecz ryzykiem i talentem, który niekiedy zlewał się z talentem literackim. Ryzyko mówienia prawdy pogłębiło prawdę artystyczną i wzbogaciło ją poprzez poświęcenie oraz, dzięki długiej izolacji, zjednoczyło nas we wspólnym losie. Dlatego, że nasza kondycja zawierała cierpienie, ale nie obojętność, cierpienie zaś było zawsze dobrym podłożem z którego wyrastały cudowne rośliny sztuki.

Kiedy nasze narody zapomną o wszystkim, co wycierpiały, pozostanie im poezja, która poprzez owo cierpienie stała się możliwa.

Pozwólcie mi, że, ze wzruszeniem, potraktuję tę nagrodę nie tylko jako wyraz uznania, lecz także solidarności.

Dziękuję. ●

Przekład Joanna Kornaś-Warwas

REKLAMA

Kraj/34438541

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

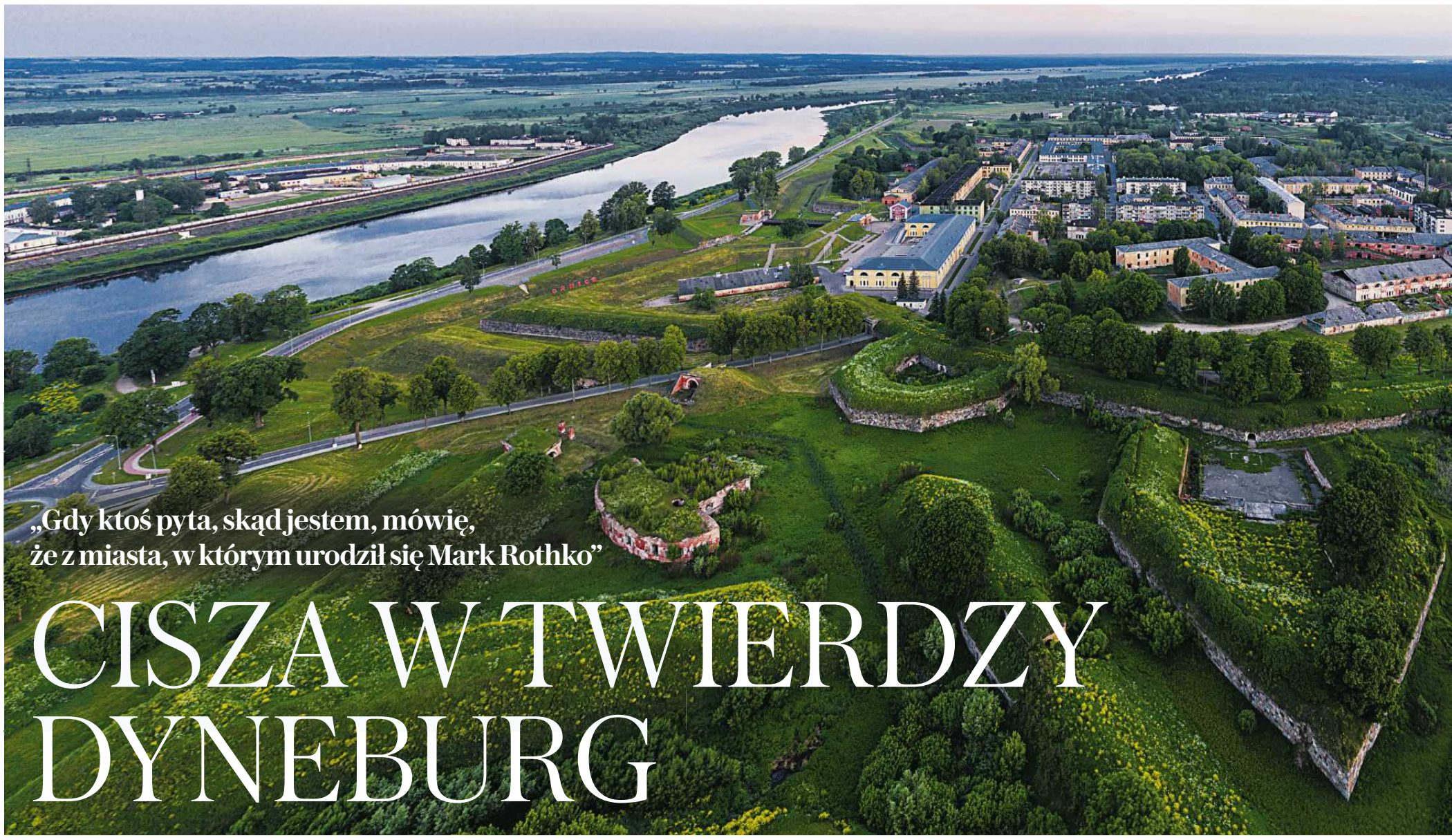

„Gdy ktoś pyta, skąd jestem, mówię, że z miasta, w którym urodził się Mark Rothko”

CISZA W TWIERDZY DYNEBURG

Anna Wyrwik

1.

– W latach 90. ubiegłego wieku do Dyneburga przyjechał amerykański profesor i badacz twórczości Marka Rothko (1903-70)James Breslin. Pracował wtedy nad jego biografią. Poszedł do lokalnego muzeum i spytał o Rothko. Nikt tam o nim nie słyszał.

W bibliotece znajdującej się w Muzeum Rothko w Dyneburgu rozmawiam z jego dyrektorem Mārisem Čačką. Na półkach stoją albumy z reprodukcjami prac malarzy i rzeźbiarzy. Za oknem widać Twierdzę Dyneburg.

Została wybudowana prze Rosjan w XIX wieku, by zatrzymać wojska Napoleona, dwa kilometry od historycznego centrum miasta. Na jej terenie znajdują się bloki administracyjne i mieszkalne, w sumie ok. 80 przy 10 szerokich ulicach oraz placach i skwerach. Zajmuje 150 ha powierzchni. Z lotu ptaka przypomina gwiazdę, choć niektórym też słońce albo żółwia. Prowadzą do niej cztery bramy nazwane na cześć cara Aleksandra I i jego braci.

– Przez lata, za czasów carskich, a potem radzieckich twierdza służyła do celów wojskowych – ciągnie opowieść Čačka. – Po odzyskaniu przez Łotwę niepodległości teren stał pusty. Zaczęto myśleć, jak można go wykorzystać.

James Breslin przyjechał tu, ponieważ wyczytał, że Mark Rothko urodził się w Dźwińsku, mieście nad Dźwiną. Tak przez blisko 30 lat na przełomie XIX i XX wieku nazywał się Dyneburg.

O profesorze szukającym w mieście śladów Marka Rothko dowiedziała się pracowniczka dyneburskiego muzeum Farida Zaletilo i zajęła się sprawą

– Wiele osób, również na Łotwie, znało Rothko, ale nikt nie kojarzył go z Dyneburgiem – mówi Čačka. – Byliśmy bardzo zdziwieni. Czy naprawdę tutaj urodził się jeden z najsłynniejszych malarzy XX wieku i pionier abstrakcyjnego ekspresjonizmu w Nowym Jorku?

W 2003 roku, w stulecie urodzin malarza, Farida Zaletilo zamarzyła o otwarciu w Dyneburgu miejsca poświęconego Markowi Rothko. Dziesięć lat później, w 2013 roku, z pomocą rodziny Rothko i miasta otworzyła Centrum Kultury Marka Rothko. Budynki Twierdzy Dyneburg nadawały się do tego idealnie.

2.

Po łotewsku miasto nazywa się Daugavpils, co oznacza zamek (pils) nad Dźwiną (Daugava). Zamek, bo wszystko zaczęło się od zamku zbudowanego w 1275 roku przez Krzyżaków. Potem była Rzeczpospolita Obojga Narodów, na chwilę Iwan Groźny, ale zamek odbił Stefan Batory i nadał mu prawa miejskie. Dziś król patrzy na Dyneburżan z rzeźby znajdującej się na rondzie niedaleko twierdzy.

Następnie Dyneburg trafił do zaboru rosyjskiego pod rządy cara. W 1920 roku w wyniku bitwy pod Dyneburgiem wygranej przez oddziały polsko-łotewskie dowodzone przez gen. Edwarda Rydza-Śmigłego miasto znalazło się w granicach Republiki Łotewskiej. W 1940 roku wraz z całą Łotwą zostało anektowane przez ZSRR, w granicach którego leżało do początku lat 90.

21 sierpnia 1991 roku potwierdzono pełną niepodległość Łotwy.

Dziś Dyneburg jest drugim pod względem wielkości miastem łotewskim (pierwsza jest oczywiście Ryga). Zajmuje powierzchnię 72,48 km kw. Znajduje się w Łatgalii, jednej z pięciu krain historycznych Łotwy, w południowo-wschodniej części kraju – 25 km od granicy z Litwą, 35 km od granicy z Białorusią i 120 km od granicy z Rosją.

Przewodniczka Darja Smirnova, która oprowadza mnie po Muzeum Rothko, opowiada historię rodziny Rothkowitzów.

Jakow był dobrze wykształcony, prowadził aptekę i cieszył się poważaniem całego miasta. Matka Anna Goldin dbała o dom i kontrolowała wszystkie swoje dzieci. Marcus był najmłodszy. Urodził się 25 września 1903 roku. W Dyneburgu mieszkał 10 lat. W 1913 roku wsiadł z mamą i siostrą na statek z Lipawy do Nowego Jorku, by następnie w Portland dołączyć do ojca i brata. Już nigdy na Łotwę nie wrócił.

Jako dorosły człowiek Rothko zrezygnował ze studiów na Yale, by poświęcić się sztuce.

– Był to punkt zwrotny w jego życiu – mówi Smirnova. – Wyjechał do Nowego Jorku, by stać się częścią artystycznej społeczności i tworzyć, bo czuł, że to właśnie chce robić.

Smirnova pokazuje mi kolejne slajdy na tablicach multimedialnych opowiadających o życiu Marka Rothko. Mówi, że malarz przez wiele lat szukał swojego stylu. Fascynował się filozofią i psychologią, Nietzschem, Freudem, Jungiem, chodził po muzeach i galeriach, gdzie odkrywał prace realistyczne i surrealistyczne. Sam malował portery, ludzi w metrze, sny, a potem odchodził od tego coraz bardziej, by w końcu dojść do pracy z kolorami, z których go znamy.

– Odkrył, że nie ma już płótna, nie ma ram, nie ma żadnych ograniczeń – mówi Smirnova. – Postanowił przez swoją sztukę przekazywać ludziom emocje.

Dyrektor muzeum opowiada, jak czasem odwiedzający się śmieją, że ich dzieci namalowałyby taki obraz i że to nic wielkiego. On wtedy też się śmieje. Proszę bardzo, spróbujcie, myśli sobie. Wie, że Mark Rothko był pierwszym, który to zrobił, bo nikt wcześniej tak nie malował. Wie też, że mimo iż Rothko zmarł ponad 50 lat temu, wciąż jest znany, a na jego wystawy przyjeżdżają tłumy z całego świata. Może dlatego, że – jak tłumaczy – Rothko opowiada warstwa po warstwie, byśmy patrzyli i odkrywali te kolejne warstwy.

– Dla mnie sztuka Marka Rothko jest jak medytacja – mówi.

– Czy myślisz, że fakt, iż Rothko spędził tu pierwsze 10 lat życia, mógł mieć na niego wpływ?

– Tak. Dla malarzy ważne jest światło, a ono wszędzie jest inne. Gdy widzę jego obraz „No. 3/No. 13” z 1949 roku, który znajduje się na okładce albumu z tegorocznej wystawy Rothko w Palazzo Strozzi we Florencji, widzę kolor zbliżony do barw naszych zachodów słońca, zwłaszcza w lecie lub wczesną jesienią. Widzę kolor starego wiejskiego budynku, okna, bramę...

Ja tymczasem przypominam sobie, jak przyjechałam tu w 2022 roku. Robiłam samochodem rundę po mieście w poszukiwaniu stacji benzynowej na ulicy 18 Listopada (kiedyś ulica Šoseja), stojącej na miejscu, gdzie ponad 100 lat temu stał dom rodziny Rothkowitzów.

Myślałam wtedy o tym, że Dyneburg wydaje mi się bardzo amerykański. Sprawił to widok komina elektrowni cieplnej nad rzeką, podobny trochę do widoku komina nad rzeką Merri-

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 742b61cb94

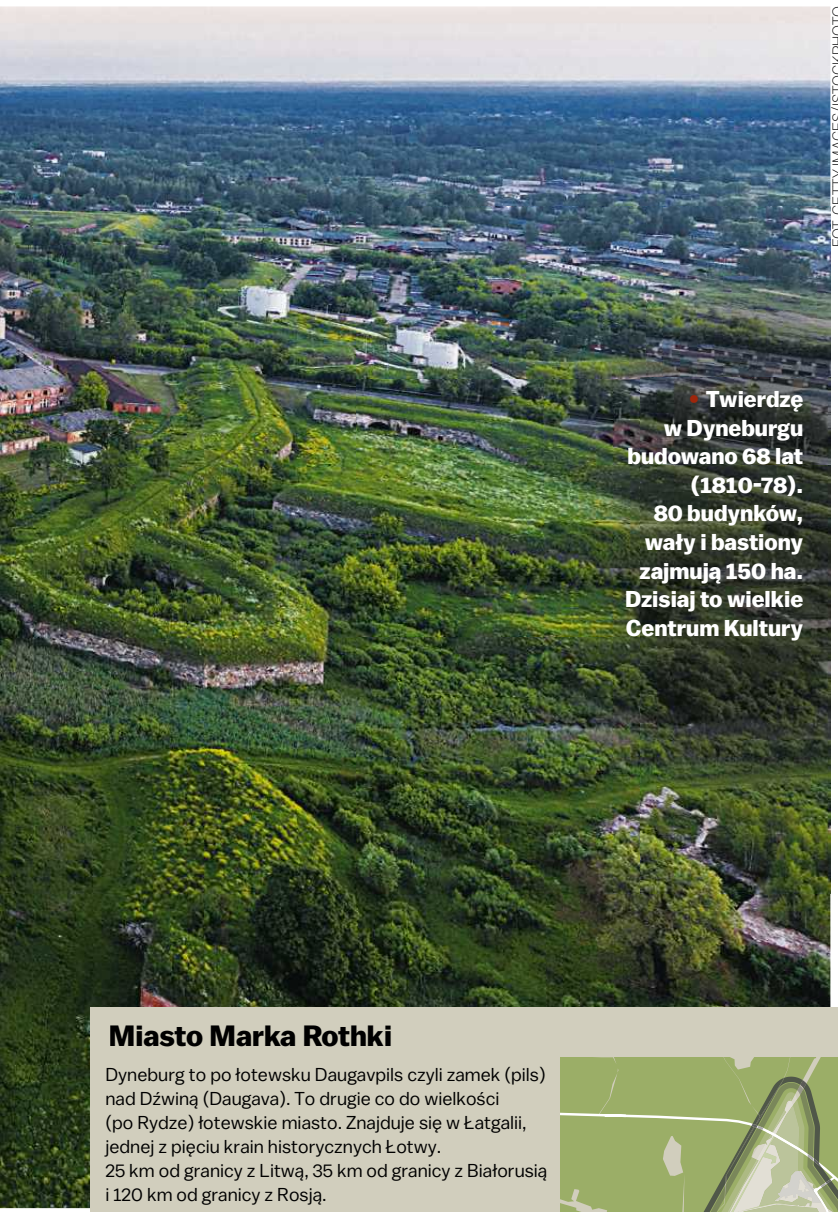

FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

• Twierdzę w Dyneburgu budowano 68 lat (1810-78). 80 budynków, wały i bastiony zajmują 150 ha. Dzisiaj to wielkie Centrum Kultury

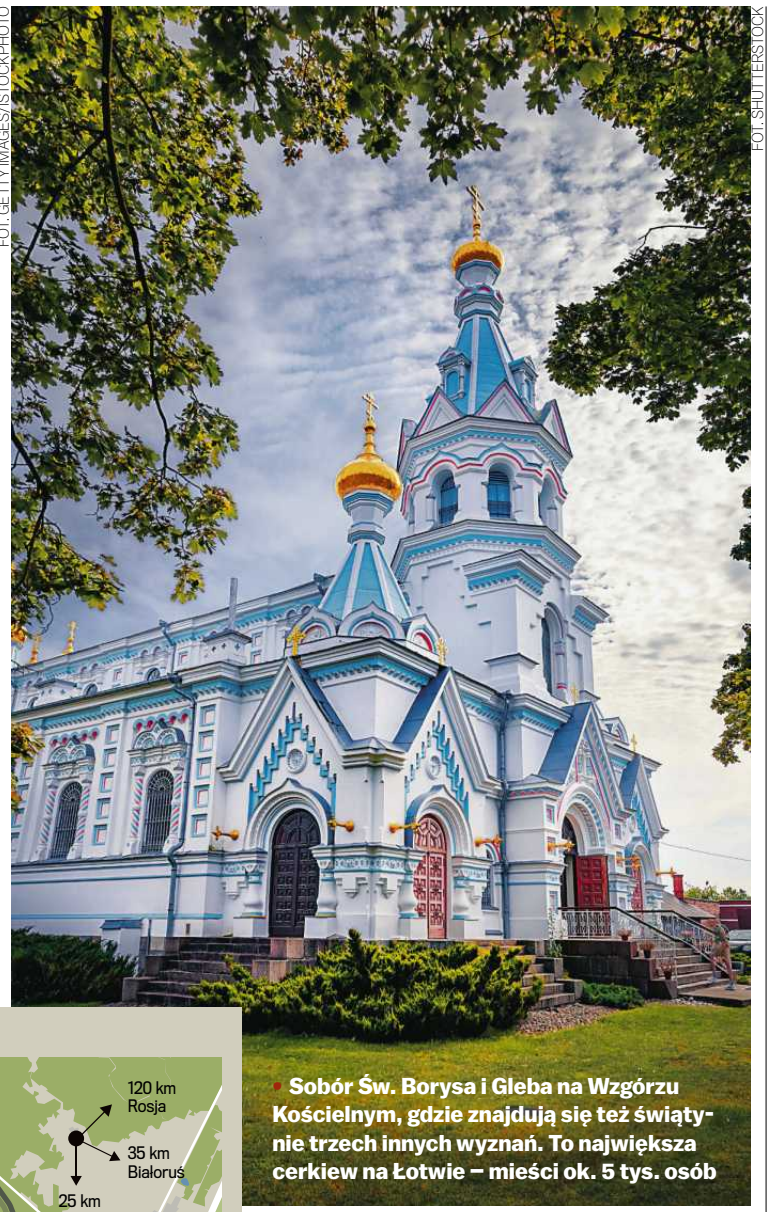

FOT. SHUTTERSTOCK

• Sobór Św. Borysa i Gleba na Wzgórzu Kościelnym, gdzie znajdują się też świątynie trzech innych wyznań. To największa cerkiew na Łotwie – mieści ok. 5 tys. osób

Miasto Marka Rothki

Dyneburg to po łotewsku Daugavpils czyli zamek (pils) nad Dźwiną (Daugava). To drugie co do wielkości (po Rydze) łotewskie miasto. Znajduje się w Łatgalii, jednej z pięciu krain historycznych Łotwy.
25 km od granicy z Litwą, 35 km od granicy z Białorusią i 120 km od granicy z Rosją.

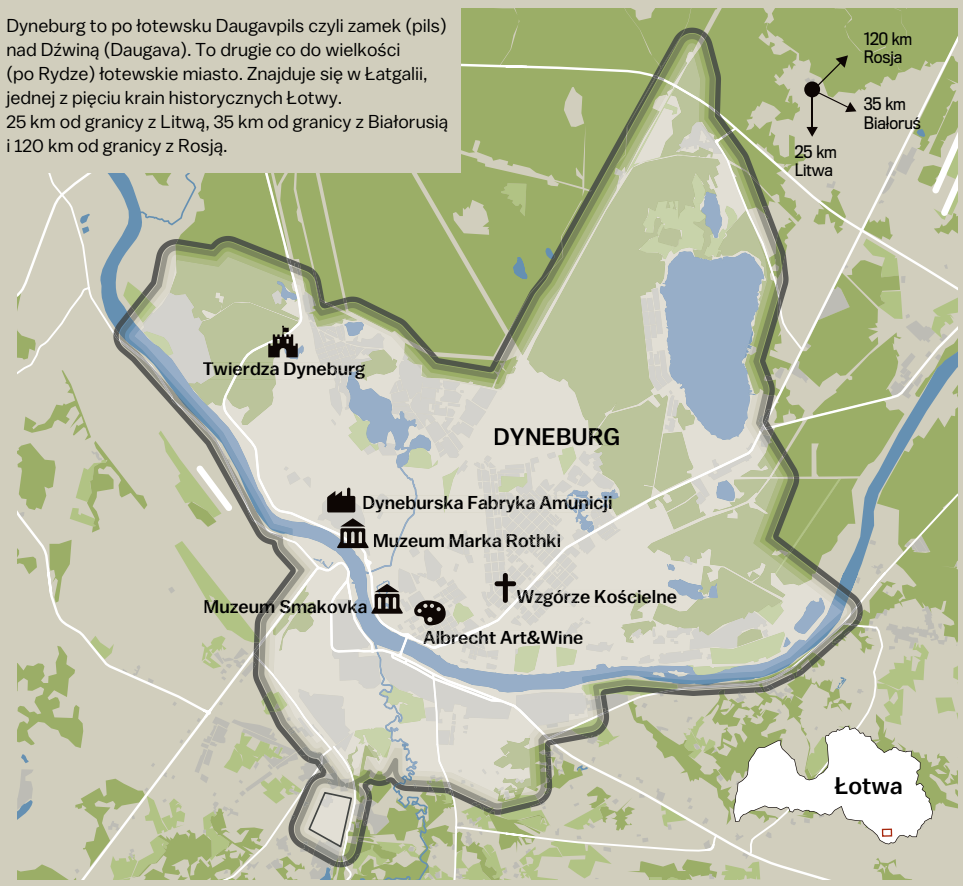

© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK

FOT. ANNA WYRWIK (2)

• Pāvels Kazakevičs, przewodnik po muzeum w Dyneburskiej Fabryce Amunicji, która powstała w 1884 r. Można ją zwiedzać od 2012 r.

• Malarz Ernest Mucenieks przyjechał tu z Rygi 10 lat temu. Z przyjacielem założyli kawiarnio-pracownię Albrecht Art & Wine

mack w Lowell, rodzinnym miasteczku pisarza Jacka Kerouaca. Kerouac i Rothko żyli w tym samym czasie w Nowym Jorku. Na pewno nieraz się spotkali.

3.

Dziś też widzę ten komin wyrastający z ceglastego budynku elektrowni leżącej w sąsiedztwie Dźwiny. Cegła budynków, stal torów kolejowych, kominy – Dyneburg to miasto przemysłowe. Ale też miasto różnic. Czasem różnicę robi nowy tramwaj przejeżdżający między starymi kamienicami i drewnianymi chatami po torach ciągnących się w równo przystrzyżonej trawie. Czasem robi ją kilka lśniących SUV-ów zaparkowanych na osiedlu bloków z białej cegły, gdzie klatki śmierdzą papierosami, a na ławce chłopaki piją piwo. Czasem robi ją staruszka w puchowej kurtce, która przed hipsterską kawiarnią sprzedaje wełniane czapki i rękawiczki.

– Handmade – mówi i tej różnicy już nie ma. Ale jest.

Jak choćby na tym obrazku. Stoję na chodniku. Po jednej stronie widzę nowy tramwaj cicho sunący po szynach i młodych ludzi w modnych ciuchach czekających na przystanku z zamontowanym panelem fotowoltaicznym. Po drugiej stronie widzę sklep z lampami i kinkietami jak z naszych mieszkań w blokach w latach 90. W sklepie zaś przy oknie siedzi starsza kobieta z trwałą na głowie i okularami w grubych oprawkach na nosie. I czyta e-booka.

Chodzę ulicami Dyneburga i szukam kolorów, o których mówił dyrektor muzeum. I znajduję. Jednocześnie znajduję ciszę. Jakby był niedzielny poranek, podczas gdy jest piątkowe popołudnie.

Według litewskiego Centralnego Urzędu Statystycznego w 2024 roku Dyneburg zamieszkiwało 78,3 tys. ludzi. 46 proc. z nich to Rosjanie, 21 proc. – Łotysze, a 13 proc. – Polacy. Słyszę język rosyjski, rzadziej łotewski, polskiego nie słyszę. Może usłyszałabym, gdybym poszła w okolice Państwowego Gimnazjum Polskiego im. Józefa Piłsudskiego na ulicy Varšavas, czyli Warszawskiej. Albo na targ, jak dziś rano. Przy jednym z długich stołów z warzywami i kwiatami rozmawiałam z Polką z Litwy, która mówiła taką mieszanką polskiego, litewskiego, rosyjskiego i nie-wiem-jakiego-jeszcze-języka, że niepodrabialną.

Chodzę ulicami miasta i zachodzę do miejsca o nazwie Albrecht Art & Wine.

– Kiedy 10 lat temu przyjechałem z Rygi do Dyneburga, poczułem się, jakbym wrócił do lat 90. – mówi Ernest Mucenieks. – Nie było pieniędzy, nie było pracy, bo nie było już przemysłu, a każdy marzył o wielkim świecie. Nic, tylko iść na targ po kasetę magnetofonową. W Rydze ciągle chodziłem po kawiarniach i imprezach kulturalnych, a tu wprawdzie były kawiarnie, ale nie było takich z artystycznym zacięciem. Dlatego wraz z przyjacielem założyliśmy Albrechta.

Ernest jest malarzem po Łotewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Siedzimy na zapleczu Albrechta, gdzie ma pracownię. Na ścianach wiszą jego realistyczne obrazy, bo stawia na realizm. Stoją sztalugi, są adapter i płyty winylowe, kanapa i stolik, na którym Ernest stawia belgijskie piwo. Zapala papierosa i mówi, że w czerwcu będzie brał udział w zbiorowej wystawie w Londynie.

Prócz malowania uczy w Liceum Projektowania i Sztuki w Daugavpils. Albrecht Art & Wine jest dla takich jak on, artystów, inteligentów, co to lubią dyskutować przy winie. I studentów.

– Jest tu wielu bardzo utalentowanych ludzi – mówi Ernest. – Gdy po czterech latach widzę, jak się rozwinęli, wiem, że moja praca ma o wiele większy sens niż w agencji reklamowej, gdzie pracowałem wcześniej i wrzucałem kurczaka ze zniżką na plakat promocyjny.

Kiedyś pracował też jako ilustrator książek. Teraz maluje, uczy i do tego prowadzi knajpę, w której organizuje imprezy kulturalne: koncerty, spotkania autorskie, czytania poezji. Wnętrze wygląda jak z początków XX wieku albo i końca XIX, co pasowałoby do tekstu, którym reklamuje Albrechta na Facebooku: „Czy chcesz zajrzeć do świata sztuki? Czy masz ochotę spróbować życia w stylu bohemy?”. Z okien zwisają ciężkie zasłony, z sufitu ciężki żyrandol, przy ścianach stoją stare meble, bar jest drewniany, ściany ciemnozielone, a na nich wiszą obrazy, grafiki, litografia Włodzimierza Wysockiego.

W oknie zaś stoi nowoczesna rzeźba, która robi różnicę.

Ernest mówi, że jego studenci stąd wyjadą. Tłumaczy to tym, że Dynebrug jest miastem konserwatywnym i prędzej znajdziesz tu nostalgię za Związkiem Radzieckim niż emeryta, który przy kawiarnianym stoliku będzie pił kawę i czytał gazetę.

Gdy pytam go, co lubi w Dyneburgu, mówi o ciszy.

– Mieszkałem w swoim życiu w San Francisco, w Brukseli, w Sankt Petersburgu i wszędzie było głośno. Tu jest cicho. Pamiętam, jak kiedyś przyjechała grupa włoskich studentów i nie mogli zrozumieć, jak to jest możliwe, że w mieście jest tak cicho.

4.

Też zastanawiam się, jak to jest możliwe.

Może wszyscy ci ludzie siedzą w swoich mieszkaniach w blokach? Albo na obowiązkowo zabudowanych balkonach? Może są w centrum handlowym, które właśnie mijam, przyozdobionym dziesiątkami billboardów i plakatów, jak na Europę Środkowo-Wschodnią przystało?

Może siedzą i jedzą w restauracjach, np. w restauracji SkovoroTka? Można tam zjeść po łotewsku, po włosku i po międzynarodowemu, a Rothko (cześć „roTka”) jest nie tylko w nazwie, ale i na ścianach w postaci kolorowych elementów, które jakoś tam próbują nawią-

eprasa.pl 742b61cb94

zać do twórczości malarza. Jakoś, bo jakoś, ale i tak to chyba jedyne miejsce w mieście prócz muzeum, w którym Mark Rothko jest.

Choć czy by tu jadł? Nie wiem. Wiem, że gdyby tu był, na pewno piłby šmakovkę.

Šmakovka to łotewski bimber będący częścią dziedzictwa kulinarnego Łatgalii. Jest ona – jak piszą o nim w Muzeum „Šmakovka", które znajduje się w centrum miasta – „Czysta jak woda źródlana i mocna jak uścisk dłoni ciężko pracującego rolnika, stworzona z darów natury wyhodowanych we własnych ogrodach i na polach, pielęgnowana ciepłem słońca i chłodzona deszczem".

Ale może jest tak cicho, bo ludzie siedzą w pociągach i właśnie wyjeżdżają gdzieś na weekend po torach, które dzielą miasto na pół. Żelazne, błyszczące w słońcu, idealnie komponujące się z cegłą i drewnem.

Po drugiej stronie torów znajduje się Wzgórze Kościelne, gdzie obok siebie stoją rzymskokatolicki Kościół Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny i ewangelicko-augsburska Katedra Marcina Lutra po jednej stronie ulicy 18 Listopada oraz prawosławny Sobór Świętych Borysa i Gleba oraz cerkiew staroobrzędowców po drugiej stronie.

Niedaleko wzgórza jest siedziba DSR, czyli Dyneburskiej Fabryki Amunicji (Daugavpils Skrosu Rūpnīca).

– Jesteśmy najstarszą działającą fabryką amunicji w tej części Europy i zarazem jedynym tego typu muzeum – mówi Pāvels Kazakevičs. – To niezwykle ważne miejsce dla miasta. Jego żywa legenda i symbol przemysłowego dziedzictwa, który z dumą chronimy.

Pāvels jest przewodnikiem po DSR. Urodził się w szpitalu znajdującym się 200 m od fabryki. Mówi, że kocha Dyneburg za jego wyjątkową duszę i bogatą historię.

– Tu każdy zakątek ma coś do opowiedzenia.

Mówi też, że przez lata obserwował, jak Dyneburg zmieniał się na lepsze.

Pokazuje mi liczne nagrody dla muzeum i opowiada, że na początku, po tym, jak otworzyli je w 2012 roku, przychodzili tu tylko mieszkańcy i ludzie z okolic. Teraz przyjeżdżają ludzie z całego świata i pokazuje mi mapę świata z licznymi znacznikami.

Muzeum działa regularnie przez dwa miesiące w roku (lipiec i sierpień) i wtedy fabryka jest zamknięta. W pozostałe miesiące fabryka produkuje.

Powstała w 1884 roku.

– Ołów był wówczas bardzo ważny dla Sankt Petersburga. Transportowano go tam z Anglii, a czasem też z Polski. Gdy zimą morze zamarzało, ładunek rozładowywano w Lipawie lub Rydze i, ponieważ z tych miast nie było wówczas bezpośredniego połączenia lądowego do Sankt Petersburga, ołów był transportowany do Dyneburga w celu przeładunku, i dopiero potem koleją już dalej – opowiada Pāvels. – Dlatego, gdy pod koniec XIX w. przyjechał tu Meier Reiser, Żyd ze Słucka, miasta znajdującego się na terenie dzisiejszej Białorusi, stwierdził, że to idealne miejsce na otwarcie fabryki śrutu.

Zbudował więc fabrykę z górującą nad nią drewnianą wieżą do odlewania ołowiu. Niemożliwe, by mały Mark Rothko mieszkający niedaleko stąd jej nie widział, gdy patrzył w górę na niebo. W 1911 roku, już po jego wyjeździe, wieża spłonęła i wtedy zbudowano murowaną. Ta wieża wciąż działa, co czyni ją najstarszą działająca wieżą do odlewania ołowiu w Europie.

Pāvels oprowadza mnie po fabryce. Są maszyny, stare cegły, jest kurz, jest dźwięk tych maszyn, są historyczne radzieckie plakaty z ostrzeżeniami typu: „Noś poprawnie odzież ochronną", „Nie zaczynaj pracy bez zapoznania się z instrukcją", „Czystość i porządek to niezbędne warunki bezpieczeństwa i wysokiej wydajności", „Przed naprawą odłącz prąd" itp.

Jest też legenda.

– Tam mieści się tajemnicze biuro, z którego każdej nocy z piątku na sobotę wydobywa się hałas, bo kierownik pakuje lewą kasę do kopert dla krasnali, które pracują w piwnicy. – Uśmiecha się Pāvels, wskazując na schody znajdujące się za leżącym na ziemi manekinem ubranym w strój roboczy i maskę gazową, prowadzące na górę. – Takie rzeczy opowiadamy dzieciom i turystom. A tak serio, to tam faktycznie było kiedyś biuro, ale gdy w latach 60. otwarto tu warsztat do rafinacji ołowiu, dym i opary unosiły się schodami na górę, więc biuro zamknięto.

FOT. SHUTTERSTOCK

FOT. KOLEKCJA KATE ROTHKO PRIZEL/MUZEUM ROTHKO

FOT. KOLEKCJA CHRISTOPHER ROTHKO/MUZEUM ROTHKO

• **Muzeum Marka Rothko (1903-70) otwarto w 2013 r. w dawnym arsenale twierdzy Dyneburg. To najsłynniejszy malarz urodzony na Łotwie, od 1913 r. mieszkał w USA. Współtwórca nurtu malarstwa pól barwnych. W muzeum jest kilka jego prac. Na zdjęciu dwie: „Nude"(1938-39) i obraz bez tytułu z 1948 r. Rothko zmagał się z depresją, w 1970 r. popełnił samobójstwo**

W latach 60. wiele się tu działo. Pierwszy sekretarz Nikita Chruszczow kazał pracować, produkować i planować, więc w fabryce nie robiono już tylko śrutu do amunicji, ale powstały też stolarnia, szwalnia i produkcja siatki metalowej.

W 1993 roku, już po odzyskaniu przez Łotwę niepodległości, fabrykę kupiła firma prywatna, nadała jej obecną nazwę i zaczęła produkować amunicję myśliwską do broni gładkolufowej oraz amunicję do broni sportowej. Na koniec zwiedzania można z takiej broni postrzelać do puszek.

Tymczasem Pāvels prowadzi mnie na górę wieży, skąd rozciąga się widok na Dyneburg. Szara mgła osiada na ciemnorudych, starych cegłach.

5.

Twierdza Dyneburg ma inny kolor. Jest to jasny brąz. I jest tu jeszcze ciszej niż w centrum. Jest też pusto, tak że chwilami można się poczuć jak na makiecie albo planie filmowym, wyobrażając sobie, że zaraz wkroczą statyści przebrani za XIX-wiecznych żołnierzy i rozejdą się po koszarach.

Niektóre budynki niszczeją, w oknach wiszą zdjęcia czy rysunki. W niektórych mieszkają ludzie. W innych są siedziby firm. W jeszcze innych pracownie artystów.

To miejsce ma ogromny potencjał, a najlepiej pokazuje to Muzeum Rothko.

W 2022 roku przyjechałam tu tylko ze względu na Marka Rothko. Wtedy Centrum Kultury Marka Rothko mnie rozczarowało. Było niewielkie, na ścianach wisiały jedynie reprodukcje, a w drugiej sali jedna, mała i niespecjalnie dobra wystawa. Pamiętam wielką rzeźbę konia stojącą przed wejściem, która upamiętnia fakt, że w salach muzeum znajdowała się kiedyś klinika dla koni.

Rzeźba stoi nadal. Wszystko inne się zmieniło. Od 2023 roku miejsce nosi nazwę Muzeum Rothko. Zajmuje powierzchnię 5 tys. m kw. 3 tys. m kw przeznaczone jest na wystawy. Można śmiało powiedzieć, że jest to jedna z najlepszych przestrzeni wystawienniczych sztuki współczesnej na Łotwie i aspirująca do jednej z lepszych w regionie.

W 2003 roku Muzeum Rothko podpisało umowę z dziećmi i spadkobiercami malarza: Christopherem Rothko i Kate Rothko-Pizel, dzięki której raz na trzy lata mogą wystawiać kolejne oryginalne prace ich ojca. Wybierają je tak, by pokazać go w różnych odsłonach i na różnych etapach twórczości, nie tylko te znane.

– Artysta mówił, że jego obrazy powinno się oglądać z odległości 46 cm – tłumaczy mi Darja, gdy stoję przed „No. 5" z 1964 roku na wystawie „Rothko. From the Family Collection".

W kolejnych salach wiszą wystawy inspirowane twórczością Marka Rothko. Na wystawie „Transpozycja. Motyw Rothko" łotewskiej artystki tekstylnej Ivety Vecenāne zobaczyłam, jak „przełożyła akwarele Rothko na (...) język tkactwa". Byłam też na wystawie „Malowanie sprowadza cię do domu" włoskiego interdyscyplinarnego artysty Gregora Botty, autora eseju „Pollock i Rothko, gest i oddech".

– Często zapraszamy artystów, którzy prowadzą dialog z Markiem Rotko – mówi Čačka.

I to nie tylko wizualnych. W kwietniu w muzeum odbył się koncert jazzowego kwartetu belgijskiego saksofonisty Matthiasa Van den Brandego, w którego repertuarze znajdują się utwory skomponowane w dialogu z obrazami Rothko.

Dialog z malarzem prowadzą także rezydenci. Rezydencje artystyczne są jednym z głównych pól działalności Muzeum Rothko od momentu jego powstania.

– Sympozjum Rothko dla malarzy odbywa się od 2005 roku. Ma miejsce zawsze we wrześniu, w okolicach urodzin malarza – mówi Čačka. – Z kilkuset zgłoszeń wybieramy 10 osób, które przez dwa tygodnie mieszkają w twierdzy, mają zapewniony cały sprzęt i pracują. Na końcu ich prace prezentujemy na wystawie.

Aktualnie w muzeum wiszą prace stypendystów sympozjum graficznego, a wśród prac artystów z Kanady, Ukrainy, Włoch, Litwy i Indii wiszą też prace dwóch Polek – Kamili Bednarskiej i Katarzyny Tereszkiewicz.

Przy muzeum znajduje się także Dom Martinsonsa, który posiada bogatą kolekcję ceramiki i służy jako miejsce wystaw ceramiki współczesnej. Muzeum organizuje również rezydencje dla artystów ceramików.

Na ścianach sal Muzeum Rothko wiszą też wystawy z nim niezwiązane. Ja zobaczyłam „Pogranicze", zbiorową wystawę artystów z Łatgalii poświęconą tematowi granicy, w tym kryzysu na granicy z Białorusią. W planach na ten rok jest m.in. „Inny umysł", retrospektywa Rogera Ballena, artysty fotografa z USA, od lat mieszkającego w RPA. Liu Guofu, malarz z Chin, zaprezentuje swe prace na wystawie „Malarstwo Entropii".

Muzeum Rothko stawia też na edukację dzieci, młodzieży i dorosłych, a każdej wystawie towarzyszą specjalne wydawnictwa, wykłady, dyskusje.

Na koniec pytam dyrektora, co myśli o mieście, do którego przeprowadził się ponad 30 lat temu.

– Gdy tu przyjechałem w 1994 roku, Dyneburg był dla mnie szary. Myślę, że szary dym i szara mgła są ważną częścią tego miejsca. Dziś zaczynam dostrzegać, że ten kolor się zmienia. Dyneburg staje się bardziej kolorowy. Także dzięki ofercie wysokiej jakości wydarzeń kulturalnych i także dzięki Muzeum Rothko. Wszyscy wiedzą, kim jest Mark Rothko, i w pewnym momencie zaczynają się zastanawiać, gdzie jest ten kraj, to miasto, z którego pochodzi. Gdy ktoś pyta, skąd jestem, mówię, że pochodzę z miasta, w którym urodził się Mark Rothko. ●

1 RP

Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę"

MINOGI, MAIZES I CZARNY BALSAM, CZYLI WSZYSTKIE SMAKI ŁOTWY

• **Łotwa to jeden z najbardziej zielonych krajów Europy.** Jak wędrować po tej krainie lasów, bagien i rzek? Czym różnią się Liwonia, Łatgalia, Kurlandia i Semigalia, cztery krainy historyczne? Czy Łotewska Szwajcaria naprawdę istnieje? Na czym polega wyjątkowość Rygi? Czy łotewska mitologia i tradycje sobótki są wciąż żywe? Jak smakują minogi, maizes oraz ryski czarny balsam?

Gościem **Alicji Dąbrowskiej** jest **Daniel Łubiński** – tłumacz i wykładowca na UAM, Polak z Łotwy, rodowity ryżanin, od lat mieszkający w Poznaniu.

eprasa.pl 742b61cb94

ADAM MICHNIK POLECA

UCZYŁ ZACHAR PRILEPINA

Ten pisarz ma niezłe pióro, umie przelewać myśli na papier. Gorzej z samymi myślami

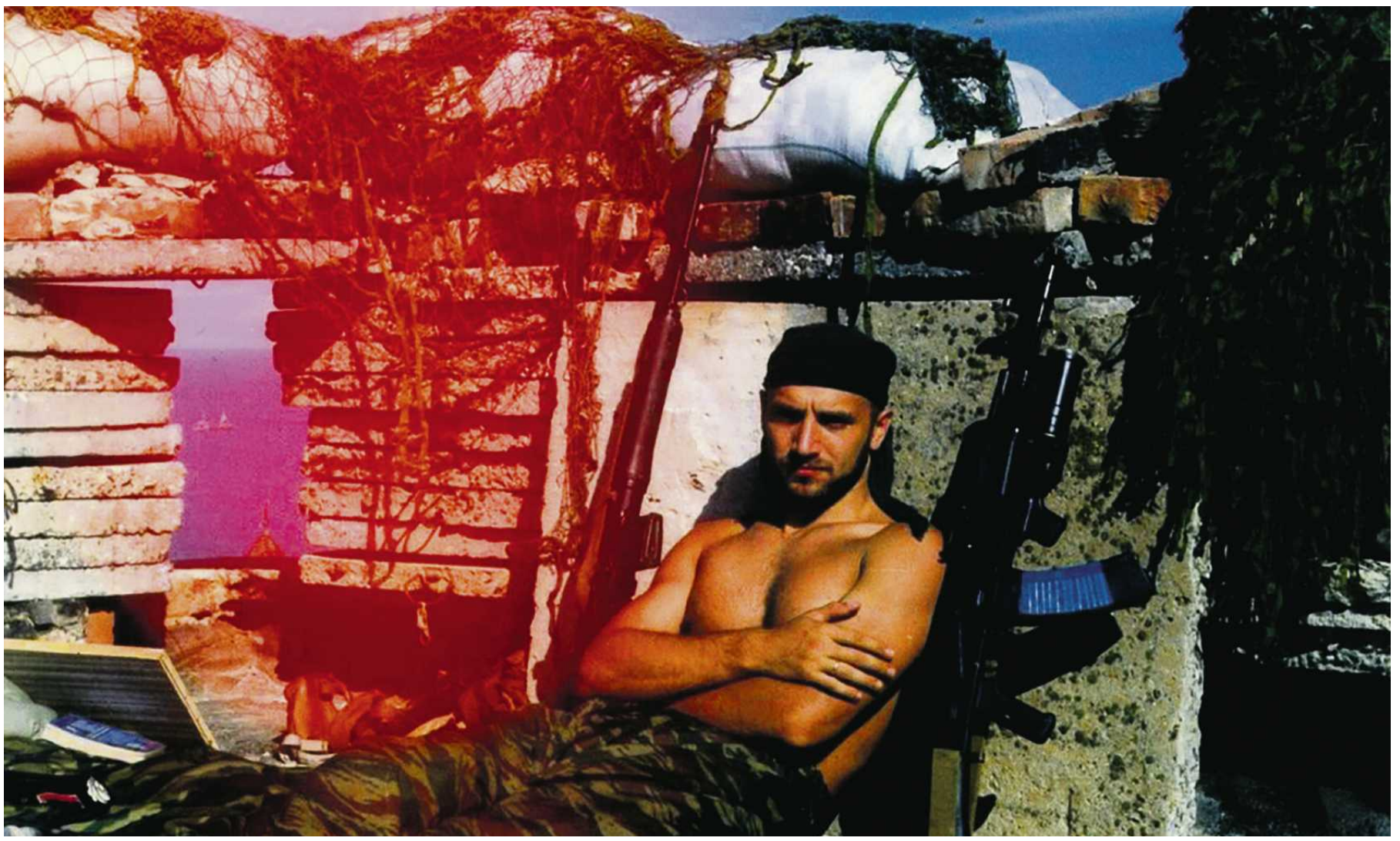

• **Lata 90. Zachar Prilepin był kapitanem w rosyjskich siłach specjalnych w Czeczenii**
FOT. WWW.ZAHAR-PRILEPIN.RU

Jerzy Czech*

Nie lubię Zachara Prilepina ani jego książek. Co więcej, nie lubiłem jeszcze zanim je przeczytałem. Przypomina to oczywiście anegdotę o Franciszku Fiszerze: kiedy Wieniawa-Długoszowski wychwalał Prousta, Fiszer pozostawał obojętny na jego zachwyty, a nawet twierdził, że Proust to cymbał i grafoman. W końcu oświadczył: – Mój kochany, mam nad tobą tę przewagę, że ty czytałeś Prousta, a ja nie.

Takiej jak Fiszer przewagi nad czytelnikami Prilepina nie miałem, bo coś tam o nim do mnie docierało. Było u nas sporo takich, którzy go czytali i mówili, że im się podoba.

Ja czytać nie musiałem, bo domyśliłem się, z kim mam do czynienia – jednym z pisarzy urodzonych w połowie lat 70. lub później, z jakichś powodów tęskniących za Związkiem Radzieckim, za systemem, który zaczął się sypać, zanim dorośli. Niezbyt dobrze więc poznali obiekt swoich westchnień; wiedzieli jedno – że tak jak jest, jest źle.

Okazało się, że miałem rację, a dziś, kiedy przewagę straciłem, poznawszy jego najważniejsze książki, dodam, że „nie lubię" to stwierdzenie nader łagodne.

Na wojnę nikt go gwałtem nie wysyłał

Internetowe życiorysy, łącznie z widniejącym na oficjalnej stronie pisarza, podają z grubsza te same fakty. Urodził się w 1975 roku we wsi Iljinka w obwodzie riazańskim, ale nie jako Zachar, tylko Jewgienij, imię zaś, którym podpisuje swoje utwory, wybrał na cześć pradziadka. Ojciec był nauczycielem historii, matka – pielęgniarką.

Po dekadzie rodzina przeniosła się do Dzierżyńska, gdzie ojciec zaczął uczyć w szkole zawodowej, a matka dostała pracę w fabryce. Kiedy ich syn ukończył dziesięciolatkę, za przykładem siostry wybrał wydział filologii na uniwersytecie w Niżnim Nowogrodzie.

Tutaj sieciowi biografowie zaczynają się plątać w zeznaniach, nie potrafią bowiem wyjaśnić, jak miały się do siebie studia, dodatkowa praca i służba w siłach specjalnych, której konsekwencją był wyjazd do Czeczenii w roku 1994. Można by sądzić, że bezlitosne państwo przeszkodziło studentowi w nauce, biorąc go w kamasze.

Sam Prilepin pisze dość obszernie o dzieciństwie, o bliskich, o dziejach rodu, wzmiankowanego ponoć już w XVII wieku, o lekturach i ambicjach muzycznych. Najmniej akurat o studiach; przyznając, że uczyć się nie lubił i kiedy pojawiła się taka możliwość, wziął urlop dziekański i po przeszkoleniu zaczął pełnić służbę patrolową w milicji. Stamtąd przeszedł do OMON-u, a na wojnę nikt go gwałtem nie wysyłał – zgłosił się sam. Jako specnazowiec wziął udział w obu czeczeńskich bataliach.

Uniwersytetu w autobiografii więcej nie wymienia, choć jako weteran bez trudu uzyskał dyplom. Było to w roku 1999, kiedy – od dwóch lat żonaty i dzieciaty – zwolnił się z OMON-u. Później urodziły się kolejne dzieci. Dzisiaj ma ich czworo i tę samą żonę, co w Rosji stanowczo nie jest normą.

Wspomina, że przez kilka lat klepał biedę, dorabiając najczęściej jako ochroniarz w nocnych klubach. Sytuacja zmieniła się po pierwszych sukcesach literackich, a mówić o tym wypada od debiutu książkowego Prilepina, uhonorowanego nagrodą Narodowy Bestseller.

Strach usprawiedliwia wszystko

„Patologie" (2005) – owoc służby autora w Czeczenii – są opowieścią o wojennej misji plutonu specnazowców z miejscowości Swiatoj Spas (po polsku Święty Zbawiciel, ale zwracam uwagę na znany skądinąd i nieprzypadkowy skrót SS).

Główna postać, Jegor Taszewski, jest dowódcą drużyny. Już na lotnisku w Groznym widzi „ładunek 200" – trumny z rosyjskimi żołnierzami, co odbiera oczywiście jako złą wróżbę. I rzeczywiście, po pierwszych rutynowych dniach w dawnej szkole, którą pododdziałowi przydzielono jako koszary, pojawią się ranni i zabici. A tu trzeba wykonywać zadania – aresztować kogoś albo przeczesać wieś w poszukiwaniu „separatystów".

Akcja zmierza do punktu kulminacyjnego. Czeczeni, początkowo niemrawo ostrzeliwujący szkołę, podejmują coraz zacieklejsze ataki. Wreszcie zmuszą Rosjan do ucieczki, wielu zabiją, ale bohater z pomocą kolegi o ksywce Mnich ukryje się w błotnistym wąwozie i zdoła uratować.

Jego świat duchowy nie jest skomplikowany, sprowadza się w zasadzie do tego, żeby przeżyć i wrócić do dziewczyny. Jegor nie zastanawia się nad sensem służby, rolą, jaką w tym kraju odgrywa; dostrzega nienawiść we wzroku przekupki, lecz nie budzi to w nim żadnej refleksji.

Zakupy na targowisku to jedyny pokojowy kontakt z miejscowymi ludźmi; kobiety są tam „pewne siebie, syte, wąsate – nie przypominają ofiar rosyjskiej agresji". Z mężczyznami sprawa prosta, bo każdy jest wrogiem.

Kiedy Rosjanie zatrzymają ciężarówkę i każą dwom Czeczenom wyjść z szoferki, zastrzelą obu bez wyrzutów sumienia. Tak samo postępują ze schwytanymi w wiosce bojownikami i choć to wbrew rozkazom, dowódca się tym zanadto nie kłopocze. Strach usprawiedliwia wszystko.

Putina do władzy wyniosła histeria

Postawa autora nie różniła się od powyższej – czuł się na swoim miejscu i jedyny problem widział w tym, że mało mu płacą. Z biciem i torturami w stosunku do jeńców się nie zetknął. Widocznie, jak wdowa u Gogola, Czeczeni sami się torturowali.

Nie wierzę Prilepinowi, w Rosji kłamie się z lubością, a patriota zawsze wie, do czego nie należy się przyznawać. W końcu to jego formacja, omonowcy, podczas

eprasa.pl 742b61cb94

nieudanego noworocznego szturmu czeczeńskiej stolicy (1994/95) pełnili haniebną funkcję oddziału zaporowego, pędząc na śmierć nieszczęsnych rekrutów. Czyżby o tym nie słyszał?

Ponurą sławę zyskały obozy filtracyjne, w których dręczono, kaleczono a często zabijano potencjalnych bojowników. Mogło to spotkać każdego, trafiały tam i kobiety w ciąży. Nie dało się zachować w tajemnicy masakry wsi Samaszki w kwietniu 1995 roku. Jeden z wywożonych stamtąd do obozu chłopców błagał już nie o życie, ale o to, „żeby zabili nas od razu". Więźniów dla oszczędności układano czasem na ciężarówkach w kilku warstwach, jak kłody drzewa. Spodnia warstwa zwykle nie przeżywała kilkugodzinnej drogi.

Również u nas tłumaczony Arkadij Babczenko, uczestnik tej samej wojny, opowiadał, że życie nie miało tam żadnej wartości, a strzelano do wszystkiego, co się rusza. W 2022 roku, po wybuchu wojny na pełną skalę, światem wstrząsnęły wieści o zbrodniach moskiewskich najeźdźców, a do powszechnego języka weszło słowo „Bucza". Tymczasem w Ukrainie nie robili oni nic, czego przedtem nie robiono w Czeczenii, a stopień bestialstwa był wówczas wyższy.

Okrucieństwo jest w armii systemowe i zaczyna się od własnych żołnierzy. Jeśli przetrwają falę, straszliwą „diedowszczinę", wyżywają się na innych. Jak na XIX-wiecznym obrazku: carski kurier tłucze pięścią stangreta, który okłada batem trójkę koni.

Wszystkie te rzeczy działy się za względnie łagodnych czasów Jelcyna; wieści o nich docierały do opinii publicznej, więc wojna była niepopularna. Nie chcąc odpuścić Kaukazu, władze uczyniły wszystko, by ludzie ją polubili. Udało się im we wrześniu 1999 dzięki wysadzeniu paru bloków mieszkalnych w stolicy i na prowincji.

Przebywałem wtedy w Moskwie i nie mam wątpliwości, że zamachy były dziełem służb specjalnych, zbyt grubymi nićmi szyta była intryga. Winę przypisano Czeczenom, zanim wszczęto jakiekolwiek śledztwo, wszędzie wisiały plakaty z twarzami pasującymi do każdego mieszkańca Kaukazu i napisem: „Ci ludzie wysadzili wasz dom!".

Niestety Rosja w to uwierzyła, a zbiorowa histeria wyniosła do władzy człowieka, który rządzi krajem do dzisiaj. Putin rozpoczął jeszcze okrutniejszy etap wojny po to, by w końcu… oddać Czeczenię bandyckiemu klanowi Kadyrowa.

Mafia przejmuje państwo

Zdawałoby się, że autor „Patologii", który te wszystkie patologie skłonny był uważać za normę, poprze nowego przywódcę, Prilepin wszakże zaczął go zwalczać.

To pozorna sprzeczność. Myśleliśmy kiedyś, że w Rosji ludzie cieszą się z upadku komuny tak samo jak my, ale przecież ustrój trwał u nich dłużej i nie był narzucony z zewnątrz. Przemiany napotykały od początku wielki opór, a nieuniknione rozczarowania i zmęczenie transformacją dopełniły miary.

Wielu u nas jeszcze przeklina Balcerowicza, choć zasłużył na pomnik. Pamiętam handlarzy stolikowych, ich zapał i pewność, że stali się kowalami swojego losu. Nieco później w Moskwie mijałem szpalery ludzi, którzy chcieli sprzedać cokolwiek – karton papierosów, rajstopy… W oczach nie mieli nic poza rozpaczą.

Epokę Jelcyna – biedę, bandytyzm, grabieżczą prywatyzację – wspomina się tam jak najgorzej, ludzie jednak poparli jego następcę głównie za to, że poskromił „oligarchów", którzy zagarnęli majątek państwa. Tyle że Putin sam był oligarchą, który sprawił, że państwo przejęła złodziejska mafia, w dodatku wywodząca się z KGB, nie zmienił natomiast ustroju gospodarczego, z takim trudem w owych latach wprowadzanego.

Dlatego Prilepin uważał go za członka tej samej szajki, co Jelcyn, a rozczarowania nie przeżył, bo zmianie ustroju chyba zawsze się sprzeciwiał (chyba, bo poglądy rzadko wyraża wprost). Za przykładem ojca, który nawet pieriestrojkę odrzucił i nie chciał rozmawiać na jej

Ten pisarz zachwyca się mieszkańcami Rosji, wśród których „trudno znaleźć takiego, który byłby całkiem zły". Pięknie, tylko kto zabił te miliony ludzi w ciągu istnienia ZSRR?

temat, a spierano się wówczas ochoczo. Nie był to wynik refleksji, ale przejaw instynktownej niechęci do wymysłów moskiewskiej socjety.

Nauczanie historii w sowieckiej szkole i samodzielne myślenie to dwie wykluczające się nawzajem rzeczy. Prilepin senior był zresztą dyrektorem owej szkoły, podczas wakacji zaś dorabiał sobie jej remontami; zdaje się, że ta ostatnia czynność sprawiała mu więcej satysfakcji.

Jego syn trafił w sierpniu 1991 roku do stolicy i na protesty przeciw puczowi Janajewa patrzył, jak wspomina, z nienawiścią. Tymczasem przyjaciele opowiadali mi, że wydarzył się wtedy cud – zamiast szarego, ponurego tłumu widziało się tysiące rozdyskutowanych ludzi, którzy wreszcie poczuli, że coś od nich zależy. To był największy sukces pieriestrojki!

Sojusz Stwórców, czyli SS

Antyinteligenckość i wrogi stosunek do nowej Rosji zbliżyły Prilepina i Eduarda Sawienkę, który pod pseudonimem Limonow zasłynął przed laty w niezależnych kręgach Moskwy jako poeta; utrzymywał się wtedy, szyjąc dżinsy ludziom z elity kulturalnej, m.in. Bułatowi Okudżawie.

W 1974 roku emigrował i wylądował w Nowym Jorku, gdzie przeżył rozczarowanie, przekonując się, że jeśli coś jest tam potrzebne, to nie talent literacki Limonowa, lecz uroda jego żony. Ta wkrótce go zostawiła, a on sam żył na zasiłku, zbrzydzony amerykańską rzeczywistością i rosyjską emigracją.

Swoje doświadczenia wykorzystał w głośnej a bezpruderyjnej książce „To ja, Ediczka". W końcu wrócił do kraju jako zwolennik ustroju, który właśnie upadł. Współpracował z innym skandalistą, Żyrinowskim, potem się z nim skłócił i do spółki z filozofem Aleksandrem Duginem założył własną partię – Narodowo-Bolszewicką.

Prilepin poznał Limonowa w roku 1996, kiedy pisarz odwiedził rodzinny Dzierżyńsk. Chwalił żołnierskie wiersze Prilepina, który ze swej strony wyraził chęć zostania nacjonal-bolszewikiem. Po paru latach rozpoczął aktywną działalność w partii: pochody, wiece, akcje, a w ślad za tym – zatrzymania.

Znajdziemy to w jego kolejnej książce „Sańkja" (tak babcia bohatera, Saszy Tiszyna, zdrabnia jego imię). Partię Limonowa przechrzcił autor na Sojusz Stwórców, powtarzając skrót SS, a jej wodza, siedzącego akurat w areszcie – na Kostienkę.

W tym czasie Sańkja i inni młodzi działacze robią to, co nacjonal-bolszewicy w realu, jak choćby akcje w obronie rosyjskojęzycznej ludności Łotwy.

Książka dodatkowo dramatyzuje ich działania, każąc np. zabić łotewskiego sędziego, który wlepiał „nacbolom" duże wyroki. Dziewczyna Kostienki, Jana, oblewa śmierdzącą cieczą prezydenta, a w odwecie tajniacy mordują paru aktywistów. W finale zdesperowany Tiszyn i koledzy zajmują siedzibę władz prowincjonalnego miasta w nadziei na powstanie w całej Rosji.

W Czeczenii Prilepin czuł się na swoim miejscu i jedyny problem widział w tym, że mało mu płacą. Z biciem i torturami w stosunku do jeńców się nie zetknął. Podobno

Make USSR great again

W rzeczywistości do akcji zbrojnej było daleko. Limonow naprawdę siedział za nielegalne posiadanie broni, ale mógł pisać książki, a po wyroku prędko wyszedł na wolność. Martyrologia nie do porównania z późniejszym losem Nawalnego.

Kiedy Anna Żebrowska, moskiewska korespondentka „Wyborczej", umówiła się z Limonowem na wywiad, okazało się, że pod podanym adresem siedzibę ma… milicja, a funkcjonariusze uprzejmie wskazali piwnicę, w której urzędował ten narodowy bolszewik, nawiasem mówiąc, syn oficera NKWD.

Partii nie traktowano tak srogo jak u Prilepina, bo była wygodna dla władz. Na jej tle Putin mógł udawać liberała i cieszyć się sympatią Zachodu. W istocie NBP składała ofertę: „Make USSR great again", a poprzemy was. Co prawda już po publikacji „Sańkji" uznano nacboli za ekstremistów i zdelegalizowano, ale to było akurat po ich przejściu od chuligaństwa do antyputinowskiego sojuszu z demokratami.

Z tymi po kilku latach poróżnili się o kwestię ukraińską. Wielkoruski szowinizm zawsze u nich dominował, toteż gdy Putin zrzucił owczą skórę, oni porzucili opozycję. Po Krymie i Donbasie rozejm z władzą ogłosił i Prilepin.

Cokolwiek bym o nim sądził, uważam „Sańkję" za najlepszą jego książkę. Nie jest to agitka, ale dosyć wiarygodny obraz partii, który można było uznać wręcz za przestrogę. „Stwórcy" ewidentnie nic poza zamętem nie stwarzają, nie lubią kalać się zwykłą pracą, a przemawia przez nich głównie zawiść: „Jeden taki samochód kosztuje więcej, niż moja matka zarobi przez 140 lat". Sańkja napada więc na bogatego klienta marketu, grożąc mu „tulipanem", po czym zawartością zrabowanego portfela obdarowuje wspomnianą matkę.

Kiedy spiera się z doradcą gubernatora, nie jest od niego bardziej przekonujący i przeciwstawia mu jedynie slogany: „Mnie nie rusza pana wolność, mnie rusza moja ojczyzna", „Rewolucja i Rosja to równoznaczne pojęcia".

Czy na ten autorski obiektywizm wpłynął wspomniany sojusz z liberałami? Ci w każdym razie docenili Prilepina i ukuli opinię, że poglądy to może ma niefajne, ale pisarz zeń świetny. Pisarzowi jednak wiele brakuje do prawdziwej świetności, a braki mają te same źródła co niefajność.

„Tak w ogóle nie lubię myśleć"

Opinie często idą dalej siłą bezwładu i utrwalają się, a już ranga autora kultowego posiada ważność bezterminową. Narrator „Czarnej małpy" (2011), pisarz i dziennikarz, ma kochankę, a dom odwiedza tylko podczas nieobecności żony, bo bardzo kocha swoje pociechy. Spoiwem książki jest wszakże kwestia dzieci całkiem odmiennych, nieczułych i bestialskich.

Takie właśnie dzieci przetrzymywane są w tajnym laboratorium, do którego narratora wysyła redakcja, takie też wymordowały mieszkańców klatki schodowej w mieście Wielemirze, które pisarz potem odwiedzi. Prilepin dopisze jeszcze dwie wojenne opowieści na ten temat, jedną dziejącą się w nieokreślonej przeszłości, drugą – w Afryce, o małolatach wcielanych do rebelianckich oddziałów, po czym dających pokaz bezmyślnego okrucieństwa. Są jeszcze inne wątki, których autor nie doprowadza do końca.

Ostatecznie życie bohatera obraca się w gruzy: kochanka okazuje się niewierna, żona wyprowadza się razem z dziećmi. Wszystko to może intryguje, ale kupy się nie trzyma i stanowi raczej szkic niż gotową powieść. Ale i o niegotowej zawsze jakiś krytyk powie, niczym doktor Dorn z „Mewy", że „coś w niej jest". Nie ma to, napisze, sensu, ale powieść mówi właśnie o utracie sensu, o tym, jak człowiek sam toruje sobie drogę do piekła.

Niestety, z „Czarnej małpy" nie dowiemy się, jak wygasło uczucie narratora i czy w ogóle istniało, a przede wszystkim: po co Prilepin ją napisał? Chyba że dla statystyki, bo przeciętnie raz do roku coś wydaje.

Nie było to jednorazowe potknięcie. Prilepin ma, jak dawniej mówiono, niezłe pióro, umie przelewać myśli na papier; gorzej z samymi myślami. We wstępie do wcześniejszej, książki „Ja priszoł iz Rossii" (Przyszedłem z Rosji), wyznał kokieteryjnie: „Tak w ogóle to nie lubię myśleć", co bliższe było prawdy, niż podejrzewał. Musiałby bowiem wykazać więcej ochoty do myślenia, żeby dziełko zasłużyło na dumny podtytuł „Eseje". Jest w nim bowiem wszystko prócz esejów – felietony, recenzje, reportaż, a w sumie za dużo rzeczy zbyt miałkich nawet jak na felieton.

Nazistowską „krew i glebę", hasło o poważnych konsekwencjach, autor kwituje wspomnieniem z dzieciństwa, jak to z kolegą zrywali poziomki w czasie burzy i umazali się ziemią jak nieboskie stworzenia. No więc ja, konkluduje, wszystko wiem o glebie. I tak załatwia się z problemami.

Po publicyście spodziewalibyśmy się jakichś analiz, on do nich jednak nie jest zdolny, prezentuje natomiast znane nam fobie. W tekście z 2001 roku porównuje Jelcyna do oszalałego konia, który sam nie wiedząc po co, ciągnie do lasu chłopską furmankę.

Ale to Prilepin, nie koń, ma kłopoty z rozumieniem sensu reform. Już dawno mój przyjaciel, poeta Igor Irtieniew, dosadnie, a znacznie dowcipniej i trafniej ujął problem z Jelcynem: „W 1991 roku Rosja rozłożyła nogi, a partner sadysta ani myślał przystąpić do dzieła".

Trzeba by więcej oleju w głowie

Pisarz wydał zbiorek w okresie wspólnego frontu z liberałami, stara się więc być dla nich wyrozumiały i w ogóle życzliwy wobec świata, zachwycając się zwłaszcza mieszkańcami Rosji, wśród których „trudno znaleźć takiego, który byłby całkiem zły". Pięknie, tylko kto zabił te miliony ludzi w ciągu istnienia ZSRR? Krasnoludki?

Mimo woli odkrywa prawdę o rodakach, wspominając pisarza Gazdanowa, który jako nastolatek usłyszał od wujka, że w wojnie domowej racja jest po stronie czerwonych. Mimo to wstąpił do armii białych, bo do nich miał bliżej. Tak to właśnie z Ruskimi bywa: robią jedno, choć równie dobrze mogliby robić coś przeciwnego.

W książce milicjant odwozi podejrzanego Prilepina, a ten uświadamia sobie, że mogłoby być na odwrót. Tyle że to żadne odkrycie, w XIX wieku nasz Henryk Kamieński po paru latach zesłania stwierdził („Rosja i Europa"), że „istotą Rosji jest barbaria" – Rosjanie jak barbarzyńcy czynią dobro i zło z równym zapałem, sami nie wiedząc dlaczego.

Chociaż Prilepin „przyszedł z Rosji", mnóstwa rzeczy o niej nie wie, a dość zajrzeć do książeczki, by rozpoznać w nim ćwierćinteligenta. Owszem, sporo czytał, ale chaotycznie i bez backgroundu, poezję modernistów obok sowieckich powieścideł i tekstów rodzimego rocka, a zachwyca się wszystkim tak samo, w stylu swoich obecnych entuzjastów. Super!

W 2012 roku wyczerpał mu się zapas dobroci dla liberałów, bo w ich imieniu ogłosił „List do towarzysza Stalina". Fejkowi liberałowie zwierzają się Stalinowi w tym stylu: „Powinniśmy ci być wdzięczni, wąsaty sukinsynu, za to, że żyjemy, a że nie chcemy być wdzięczni, więc cię nienawidzimy!".

Może też autor myślał o Żydach, na co wskazywałaby uwaga o komorach gazowych, przed którymi adresat ocalić miał rzekomych nadawców listu. Tak czy owak – wybuchł skandal, Prilepin zapewniał, że nie neguje zbrodni, ale wątpliwości nie rozwiał. Z nim bowiem nie da się dyskutować, nie jest w stanie ani sformułować własnej opinii, ani jej uzasadnić. Powołuje się jedynie na fakt, że „lud" po staremu czci Generalissimusa.

Co z tego? Mieszkańcy zdegradowanej i rozpitej prowincji tkwią po uszy w przeszłości, a wszelkie pieriestrojki mają za fanaberie znienawidzonych „jentelygentów" ze stolicy. I go-

eprasa.pl 742b61cb94

towi są znieść najgorsze represje, gdyby Stalin zechciał ożyć i powsadzać tamtych do łagru.

Despotia zawsze spłaszcza strukturę społeczną, a takie uczucia są najlepszą gwarancją, że nie zmieni się w demokrację. Zamiast powtarzać cudze sądy, publicysta winien sam zgłębiać te mechanizmy. Ale żółć tu się nie przyda, trzeba więcej oleju w głowie.

Sam dla siebie Duchem Świętym

Kilkusetstronicowy „Klasztor" to powieść o młodym ojcobójcy Artiomie Goriainowie (aluzja do „Wspomnień z domu umarłych"), który pod koniec lat 20. XX wieku odbywa karę w dawnym klasztorze Sołowieckim. Dzięki szczęściu, któremu umie dopomóc, radzi sobie w obozie, zdobywa względy nie tylko komendanta, ale i jego kochanki, czekistki Galiny, która będzie odtąd aniołem stróżem Artioma. Nieudana próba ucieczki tej pary doprowadzi do wygaśnięcia uczucia.

Powieść odniosła sukces i trzeba autorowi przyznać, że umie zaciekawić, wciągnąć czytelnika. Jak to niegdyś pisano w „Przekroju", czyta się! No cóż, poczytnych literatów jest niemało, trudniej o takich, którzy powiedzą coś naprawdę istotnego. Ten do nich nie należy, a wzięte z poetyki blurbu porównania z „Czarodziejską górą" można sobie darować.

Prilepin pisał „Klasztor" już po lekturze „Łaskawych" Littella, z którym nawet zawarł znajomość, toteż pojawiły się głosy, że pod jego wpływem zrównuje ofiary i katów. Znaczyłoby to, że stawia jakieś tezy i broni ich tym razem na terenie literatury pięknej. Nie, tak daleko idące wnioski podpowiadałby moralny daltonizm autora, ale on żadnych tez nie stawia, prowadzi tylko bohatera od przygody do przygody, jak w powieści łotrzykowskiej.

Tam spojrzenie człowieka z nizin, wykolejeńca, ukazywało społeczeństwo w krzywym zwierciadle; jakże ma pokazać Rosję po przewrocie bolszewickim, który wykoleił dosłownie wszystkich? Tłum postaci, mających często historyczne prototypy, nie powie nam nic, czego byśmy nie wiedzieli wcześniej, a ich „rodaków rozmowy" są słabym echem sporów znanych z literatury rosyjskiej.

Z „Klasztoru" w ogóle nic nie wynika, nawet ze wzmianki o śmierci – gdyby Artiom przeżył obóz, niczego by to nie zmieniło. Zostaje niezwykła sceneria, mająca uatrakcyjnić lekturę. Wzruszano się też historią miłości, która w najgorszych warunkach pozwala ocalić człowieczeństwo. A czytelnikowi – dodaję – zapomnieć, że ukochana z Czeka w przerwach między rzadkimi karesami werbuje kapusiów, bo taką ma pracę.

W Rosji podkreślano „odczuwalną obecność Boga", zwłaszcza w scenie zbiorowej spowiedzi w karcerze na Górze Siekirnej. Mnie akurat odpycha ta wersja religijności – bezmyślne kajanie się za niepopełnione zbrodnie. Po co? Żeby później, już bez oporów, popełniać prawdziwe? Jak władze kremlowskie, które po latach „ateizmu naukowego" zaczęły palić świeczki w cerkwi, po czym wymordowały pół Czeczenii.

Autor wie, co jest trendy, podsuwa więc bohaterowi takie złote myśli: „Bóg jest ojcem. A ja zabiłem ojca. Nie mam teraz żadnego Boga. Jestem tylko ja, syn. Sam dla siebie jestem Duchem Świętym". Nie jest chyba wierzący, ale mógłby lepiej pokazać religijność Artioma.

Mało w sumie mówi o tym, kim był młody człowiek przed obozem, nie umie społecznie umiejscowić bohatera ani tej, ani innych książek (najlepiej jeszcze „Sańkję", ale on akurat odczuwa swoje wyobcowanie).

A jakie miejsce w społeczeństwie sam zajmuje? Jego omonowska służba wymagała specyficznego stosunku do ludzi, skąd zatem brał o nich wiedzę? Bohater „Czarnej małpy" powie o sprzedawczyni w wielobranżowym sklepiku: „Wyglądała jak jeszcze jeden mączny produkt, który przemówił ludzkim głosem". Zbyt wiele u pisarza takich zgryźliwych uwag, bym miał uwierzyć w jego ciepłe uczucia do bliźnich.

„Klasztor" wyszedł w roku anszlusu Krymu i wojny w Donbasie. Prilepin nadsyłał stamtąd korespondencje, a potem walczył i doradzał Zacharczence, liderowi samozwańczej DRL, co opisał w książce „Niektórzy nie pójdą do piekła". Dzisiaj jest instytucją i trudno zliczyć wszystkie jego aktywności.

Redagował gazety i strony w sieci, prowadził programy tv, rapował z zespołem muzycznym, nagrywał płyty i wideoklipy, wystąpił w serialu, ujawniając ponoć talent komediowy (nierzadki w tamtejszych służbach specjalnych). Zawadził też o teatr, i to nie pierwszy lepszy, bo MChaT im. Gorkiego; organizował festiwale literackie i filmowe.

Założył partię „Za Prawdę", ogłaszał zbiórki na rzecz ludności Donbasu. Odsłania pomniki, zasiada w radach, prezydenckiej i ministerialnej... Że też mu się to wszystko nie pomyli, a przecież musi jeszcze – drobiazg - pisać książki!

Nie polemizuj z podpułkownikiem

Pisze dużo, wydał kilka biografii literackich – Leonowa, Szołochowa, Jesienina. Malkontenci co prawda radzą, żeby dał sobie spokój, bo ma za mało wiedzy i strzela byki, no ale jeśli kocha tych autorów? Serce nie sługa.

W „Plutonie" sławi dawnych ludzi pióra, którzy byli oficerami, dając przykład dzisiejszym kolegom. Sam ma stopień podpułkownika, co przypomina mi nowelkę Mrożka o tym, jak umundurowano związek literatów: „Pisarz-generał nie może napisać złej powieści, a najlepsze pisze pisarz-marszałek". Krytycy muszą uważać, żeby nie skończyło się jak w nowelce: „Jednych przesunięto na galery, pozostałych wcielono do żandarmerii".

Nie żartuję, polemika z publicystyką Prilepina spod znaku „Z" wymaga teraz odwagi. Po napaści na Ukrainę współtworzył listę ludzi kultury na państwowych posadach, którzy, o zgrozo, nie chwalą głośno „specoperacji". Potem zajął się dziennikarką Mashą Gessen. Działaczka LGBT i autorka znanej u nas książki o Putinie, z obu tych powodów uciekła z Rosji i mieszka w Nowym Jorku.

Jak mieszka, dowiemy się od podpułkownika, który w blogu podaje dane z rejestru nieruchomości: adresy, ceny, metraż a nawet wyposażenie wnętrz – jacuzzi, kominek, posągi w stylu kolonialnym... Znalazł czas mimo tylu zajęć!

Dręczy go zazdrość, ale najbardziej – fakt, że Gessen wywodzi się ze stołecznej elity, a po upadku ZSRR szefowała różnym mediom i zarabiała krocie, podczas gdy on, biedak, musiał strzelać do Czeczenów i harować jako wykidajło.

Nie, Prilepin nie kocha ludu rosyjskiego, on nienawidzi wszystkich mających się lepiej niż on. „Są bogatsi ode mnie, a powinno być na odwrót" – to cały jego program polityczny.

Niegdyś Iwan Groźny oddał część państwa pod zarząd gwardzistom, zwanym opryczniками, a rekrutowanym ze średniej i drobnej szlachty. Okrucieństwo, z jakim ci ludzie z awansu prześladowali bojarów (i resztę ludności), przeszło do legendy, ale to był cel uboczny – głównym okazała się grabież majątków ofiar. Że tak powiem, przyjemne z pożytecznym. Opryczniна trwała krótko, ludzi o mentalności opryczника nigdy jednak nie zabrakło; władza przypomina sobie o nich, ilekroć sięga po terror.

Słowo „opryczник" co rusz mi się przypominało w związku z Prilepinem. Na rangę pisarza-marszałka w „raszystowskim" państwie z pewnością zasłużył, a jego propaganda ludobójczej wojny jako zbawienia dla Ukrainy jest wzięta z retoryki Groźnego. Nadaje się... Właśnie, czy na opryczника, wiernego carskiego psa?...

Tołstoj drugiej świeżości

Wydaną w zeszłym roku powieść „Tuma" poświęcił osobie sławnego atamana z XVII wieku, Stiepana Razina, w czym miał wielu poprzedników. On widzi w nim idealnego patriotę rosyjskiego.

Pomijając fakt, że w odniesieniu do owych czasów trudno mówić o narodzie czy w ogóle o Rosji, pomysł jest karkołomny, bo cokolwiek by mówić, Stieńka był rozbójnikiem. Czy chodzi zatem o patriotyzm z dowcipu, w którym zdziwiona córka mówi do dygnitarza: „Tato, ty kradniesz!". „Mnie wolno, dziecinko, ja kocham ojczyznę"?

Mało tego, wywołał największy z buntów chłopskich i ruszył w górę Wołgi, za cel obierając Moskwę. Trudno nie skojarzyć tego z rajdem Prigożyna w 2023 roku. Już wiemy – bohater to patriota, który lepiej od cara wie, co dobre dla Rosji, i wypowiada posłuszeństwo, jeśli car nie służy jej należycie. Oj, nie lubią carowie takich patriotów. Pojmanego Stieńkę Razina przywieziono do stolicy i stracono przez ćwiartowanie. A Prigożyn...

Nie wiadomo, jak nasz Prigożyn literatury rosyjskiej przyrządzi z tego państwowotwórcze danie, bo kilkusetstronicowy tom jest dopiero pierwszą częścią trylogii (o Jezu!). Dzieło powstało po zamachu, z którego autor cudem wyszedł z życiem, dużo w nim jest o bólu, torturach i śmierci, i robi wrażenie pisanego przez miłośnika sadomaso. I to tak, jakby wybuch bomby uszkodził bezpowrotnie jego talent. Niewydarzone metafory, groteskowe porównania, pretensjonalne archaizmy wklejane na siłę do współczesnego języka:

„Jego obite ciało trwało we wszechobecnym bólu jak samotne drzewo w lodowatej powodzi", „Podszewka morza się naderwała, a na twarz pociekła woda", „Początkowo te słowa leżały jak jaja w porzuconym gnieździe. Potem skorupa pękła, a on domyślił się sensu", „Rozbłysk pierwszej bezogoniastej iskierki jego świadomości nie oświetlił mroku" itd.

Chciałoby się długo cytować i na końcu ułożyć poradnik: „Jak nie należy pisać książek". Mówi się tu często w obcych językach – tatarskim, polskim, serbskim – co zapisywane jest fonetycznie, cyrylicą. Sam tytuł zaczerpnięty jest z tatarskiego i oznacza człowieka półkrwi (wpływ „Cichego Donu" i jego bohatera Melechowa, ale mnie się „tuma" kojarzy z kimś innym).

Podobno autor radził się fachowców, ale niepodobna w to uwierzyć, czytając coś, co ma być polszczyzną: „Znałażesz, gdże jogo oc-zi" (ZP nie wie że nasze „cz" to jedna głoska). Raczej „uczył Zachar Prilepina", wielkim językoznawcą to on nie jest.

No cóż, nie tylko w biurokracji działa zasada Petera [każdy awansuje aż do osiągnięcia własnego progu niekompetencji], w literaturze także. Dopóki Prilepin opisywał swoje życie specnazowca czy nacbolszewika, choćby i zakłamując je, był na swoim miejscu. Kiedy wyszedł poza znany sobie obszar, pojawiły się kiksy, a już kiedy uwierzył, że z niego Tołstoj i Dostojewski „w jednym", zdecydowanie przekroczył próg niekompetencji. Jako antyukraiński podżegacz wojenny jest od dawna znany, ale „Tuma" stawia kropkę nad i, bo oznacza degrengoladę także artystyczną.

Jak to mówił Fiszer? Cymbał i grafoman? No i wyszło na moje. ●

FOT. RAFAŁ MAŁKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jerzy Czech

• ur. w 1952 r., tłumacz literatury rosyjskojęzycznej i ukraińskiej, poeta, publicysta. Przekładał m.in.: Okudżawę, Sołżenicyna, Nadieżdę Mandelsztam, Wasilija Grossmana, Akunina i Swietłanę Aleksijewicz. Laureat nagród Gdynia i Angelus. Śródtytuły tekstu – „Wyborcza".

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Salvatore Quasimodo*

Ściana

To przeciw tobie budują ten mur,
milcząc, kamień i wapno, kamień i nienawiść,
nad tobą, co dzień, z pięter coraz wyższych,
opuszczają ciężarek na sznurku. Murarze
podobni są do siebie, niewielcy, o ciemnych
twarzach, złośliwie skrzywieni. To oni
nad murem wypisują listę powinności
całego świata; jeśli deszcz ją zmywa,
znowu ją odtwarzają, a litery nawet
zyskują na rozmiarach. Zawsze któryś spada
z rusztowań i inny pośpiesznie przybiega,
by zająć jego miejsce. Nie noszą jak wszyscy
niebieskich bluz przy pracy i mówią językiem
pełnym aluzji. Wznoszą mur kamienny,
w jego szczeliny wśliznęły się teraz
jaszczurki i skorpiony, czarny rośnie chwast.
Ciemna ściana pionowa otwiera się tylko
w miejscach, gdzie południki horyzont przecięły,
i niebo zasępione muru nie uwieńcza.
Nie spodziewaj się lepiej w tych twardych obręczach
wstydu sumień i łaski nadziei.

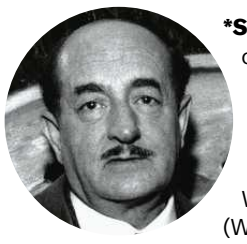

***Salvatore Quasimodo** – 1901-68, poeta włoski. Jego wczesne wiersze były oderwane od rzeczywistości i pogrążone w świecie dzieciństwa i mitów. Po II wojnie światowej jego twórczość zmieniła charakter, odznaczała się zaangażowaniem we współczesność. Przekładał utwory klasyków greckich i rzymskich, tragedie Szekspira, a także wiersze Mickiewicza. W 1959 r. otrzymał Literacką Nagrodę Nobla.
Wiersz za: Artur Międzyrzecki, „Rimbaud, Apollinaire i inni (Wybór przekładów)", Czytelnik, Warszawa 1988.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 742b61cb94

ALE HISTORIA

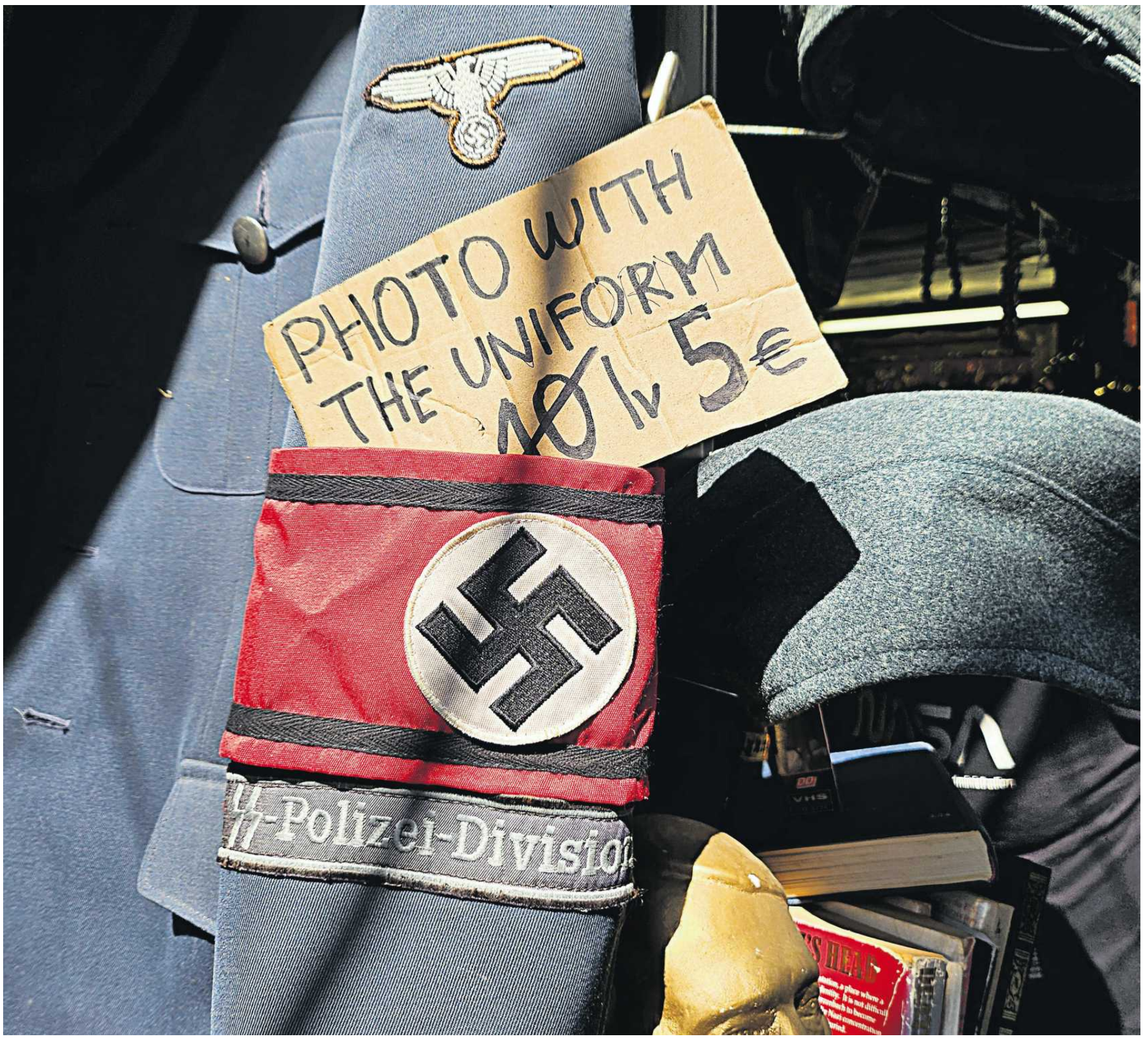

• Za zdjęcie w nazistowskim mundurze trzeba na targu w Nesebyrze zapłacić pięć euro

FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

Swastyka NA TALERZU

Kiedyś była symbolem słońca i ochrony, potem nazizm uczynił z niej znak Zagłady. Dziś w bułgarskim Nesebyrze wróciła jako magnes na lodówkę. Zaprowadziła nas też do Poznania.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Zegarek kieszonkowy, na kopercie niemiecki orzeł ze swastyką i napisy: „Deutschland Reich” oraz „Deutschland über alles”. Obok papierośnice, sygnety, sztućce, popielniczki, cała zastawa – wszystko ze swastyką. Masa medali hitlerowskich, ale też radzieckich, ze Stalinem i Leninem. Rzeczy celowo postarzane, na pewno nie z epoki. Nowy jest też obraz z Hitlerem. No i ze Stalinem albo Putinem w przeciwsłonecznych okularach. Kubek z Leninem, z bułgarskim I sekretarzem Todorem Żiwkowem, jeden – z Heinrichem Himmlerem w mundurze SS i jeden – Trumpem w garniturze. To samo na magnesach na lodówkę. Na gwoździu wisi mundur oficera SS i kartka: „Zdjęcie 5 euro”.

– Ile? – pytamy po rosyjsku o zegarek, który Andrzej wziął do ręki

Chwilę wcześniej sprzedawca opowiadał nam o swoich kotach, teraz pochmurnieje, przechodzi na bułgarski: „Kupić, każdy mówi, że chce kupić”. Każe odłożyć zegarek i pokazuje na tabliczkę przy straganie, jakie w Bułgarii wiszą na transformatorach. „Nie pipaj!” – mówi, czyli „Nie dotykać!”, choć nie cytuje całego napisu „Apasno dla żywota” – „Niebezpieczne dla życia”.

Zdjęcia robimy ukradkiem, bo od razu usłyszeliśmy „zdjęć nie wolno”. Nowy nóż w czarnej pochwie ze swastykami – 120 euro, przy medalach karteczka – 10 euro, korkociąg z łuski po naboju – 80 euro, sygnety ze swastyką po 15 euro.

Uliczkę dalej przy „antykwariacie” stoliki z esesmańskimi czapkami i bibelotami, witryna pełna książek z tytułami stylizowanymi na frakturę – krój pisma używany w wydaniach „Mein Kampf”. W środku pachnie prawdziwym antykwariatem. W pudełkach na ladzie kilkadziesiąt legitymacji ze swastykami – trudno osądzić: podróbki czy oryginały.

Po pięciu minutach w kawiarni obok telefon podaje lokalizację: „The Church of Christ Pantocrator” – Cerkiew Chrystusa Pantokratora.

SWASTYKA NA CERKWI

Nesebyr to dwa miasta. Nowe – hotele, park wodny, deptaki pełne turystów. Stare leży na półwyspie wcinającym się w Morze Czarne. Założone ok. 510 r. p.n.e. przez greckich kolonistów jako Mesembria. Potem byli tu Rzymianie, Bułgarzy i Turcy. Na cyplu o powierzchni dwudziestu kilku hektarów przez stulecia stłoczono fortyfikacje, domy i cerkwie. Do dziś zachowało się kilkanaście świątyń.

Jedna z nich, Cerkiew Chrystusa Pantokratora, stoi niedaleko wejścia na półwysep. Zbudowano ją w XIII-XIV wieku z kamienia i cegły. Jest niewielka. Ale gdy już zauważy się fryz ze swastykami, trudno patrzeć na nią inaczej.

To starożytny symbol solarny – znak słońca, płodności i ochrony. W kulturze słowiańskiej nazywa się go kołowrotem. W Bułgarii archeolodzy znaleźli swastykę na fragmentach ceramiki sprzed 7000 lat, we wsi Altimir niedaleko Wracy. Widać ją też na mozaikach wczesnochrześcijańskich bazylik z IV-VI wieku, na przykład w Ochrydzie.

I kiedy 19 kwietnia 2026 roku patrzymy na cerkiew w Nesebyrze, przypominamy sobie, że w polskich Tatrach, w schronisku Murowaniec, na poręczy schodów też jest ten symbol. Tam ramiona skręcają w lewo, jak w słowiańskim kołowrocie. Tu, na ścianie Pantokratora, układają się na przemian: raz w prawo, jak w wersji hitlerowskiej, raz w lewo, jak w Murowańcu.

To oczywiście nie jest usprawiedliwieniem dla straganów z nazistowskimi gadżetami. Przeciwnie – dla nas staje się motywacją. Symbol został w XX wieku przejęty przez nazizm, naznaczony piętnem Holokaustu, a później, w XXI wieku, zamieniony w towar i turystyczny bibelot. I właśnie próbujemy zrozumieć – jak to się stało.

CHRONOLOGIA OBURZENIA

W Nesebyrze Andrzej był pierwszy raz w 2004 roku. Już wtedy na straganach leżały papierośnice, popielniczki, sztućce i zastawa z hitlerowską symboliką. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś opróżnił niemiecką kantynę z czasów II wojny światowej. Działo się to w najgorętszym momencie wakacji, kramy z tymi przedmiotami otwierały się po południu i pozostawały czynne do północy. To potęgowało atmosferę tajnego handlu, jakby chodziło o rzeczy zakazane i łatwiej było uwierzyć, że ma się do czynienia z oryginałami. Turyści alarmowali od lat. Media regularnie wracały do sprawy. Reakcja władz pozostawała taka sama: słowa, słowa, słowa.

Rok 2013, Nesebyr. Izraelscy turyści wchodzą do sklepu z pamiątkami. Na półkach kubki i budziki z Führerem. Chcą wezwać policję. Handlarze czują się zagrożeni. Jeden z nich odmawia sprzedaży budzika, gdy dowiaduje się, że kupujący jest Izraelczykiem. Turysta mówi potem: „Nesebyr jest piękny, ale nie wrócę do miejsca, gdzie sprzedaje się takie pamiątki”. Relację pokazuje bułgarska telewizja BTV Novinite 24 czerwca 2013 roku.Dwa dni później przed kamerą TV7 handlarz z Nesebyru, niejaki Mitko, mówi: „Sprzedajemy to, na co jest popyt. Większość rzeczy tutaj to kopie. A izraelscy turyści są najgorsi. Niczego nie kupują. Tylko się targują”.

Rok 2014, Bansko. Izraelska turystka Janna Kushnir, córka ocalałego z Holokaustu, przyjeżdża z trzynastoletnim synem Rafim na wycieczkę z okazji Bar Micwy. Wchodzi do lokalnego sklepu, na półkach kubki ze swastykami i Hitlerem. Cena: sześć lewów, około dwunastu złotych. Kushnir pyta ekspedientkę, czy to legalne. Słyszy: „Co w tym złego? Hitler jest dobry”. Relację publikuje izraelski portal Ynetnews.

> Wygląda na to, że Polacy produkują nazistowskie gadżety, dostarczają je Bułgarom, którzy je zamawiają, a Rosjanie kupują

Rok 2017, Słoneczny Brzeg. Brytyjski dziennik „The Sun” opisuje największy bułgarski kurort. Asortyment przy plaży: koszulki z napisem „Adolf Hipster”. Izraelski turysta zgłasza sprawę ambasadorowi Bułgarii. Wiceminister spraw zagranicznych Georgi Georgiew odpowiada: „Samo istnienie i rozpowszechnianie takich przedmiotów podważa autorytet Bułgarii i szkodzi jej pozytywnemu wizerunkowi”. Solomon Bali, wiceprezes europejskiego oddziału B’nai B’rith, apeluje: „Domagamy się, aby państwowe instytucje zrobiły wszystko, co konieczne, by położyć kres tej tendencji, aby nie okazało się, że Bułgaria jest jedynym krajem Unii Europejskiej, który promuje tę ideologię poprzez brak działań instytucjonalnych”.

Rok 2018, Nesebyr. Mieszkanka Glasgow o nicku Gabriellec pisze na TripAdvisor: „Popłynęłam łodzią do Nesebyru [...]. Piękne stare miasto. Interesuję się antykami i ucieszyłam się na widok kilku sklepów, ale zatrzymałam się jak wryta, bo zobaczyłam nazistowskie pamiątki. Opuściłam Nesebyr ze ściśniętym żołądkiem”.

BUŁGARSKI KONTEKST

Zapytaliśmy ekspertów, skąd to się wzięło. Ich odpowiedzi układają się w opowieść o bułgarskim XX wieku.

Profesor Naum Kajczew z Uniwersytetu Sofijskiego przypomina: – Po I wojnie światowej Bułgaria doświadczyła katastrofy narodowej. Traktat z Neuilly odebrał jej dostęp do Morza Egejskiego, Trację, Macedonię i południową Dobrudżę. Dziesiątki tysięcy etnicznych Bułgarów przybyły jako uchodźcy do okrojonej Bułgarii, zmieniając jej strukturę społeczną. W latach trzydziestych gospodarka Bułgarii silniej związała się z Niemcami, car Borys III rządził coraz twardszą ręką, a ruchy pronazistowskie rosły w siłę. Generał Christo Łukow, minister wojny w latach 1935-1938 i otwarty sympatyk Trzeciej Rzeszy, zorganizował Związek Bułgarskich Legionów Narodowych na wzór faszystowski.

Kajczew podkreśla jednak, że sojusz z nazistowskimi Niemcami był „sytuacyjny, a nie ideologiczny”. W bułgarskim społeczeństwie nie przyjęły się postulaty narodowego socjalizmu, a reżim skupiony wokół cara Borysa III miał cechy autorytarne, ale nie totalitarne. I dodaje zastrzeżenie ważne dla naszego reportażu: „Nie jestem wcale pewien, że specyficznie bułgarski kontekst z lat 1941-1944 ma jakiś bezpośredni, głęboki związek ze zdjęciami” – tymi, które mu wysłaliśmy. Zamiast prostego wskazywania winnych proponuje rozmowę o warunkach, które spowodowały, że takie zjawiska są możliwe i przypomina zdanie Zygmunta Baumana: „Kiedy mówimy »nigdy więcej«, nie mówimy niczego, jeśli nie analizujemy i nie rozumiemy warunków, które uczyniły zło możliwym”.

W tej historii największy ciężar ma jednak mit ocalonych Żydów. Bułgaria uratowała około pięćdziesięciu tysięcy swoich Żydów z tzw. starego królestwa. W marcu 1943 roku car Borys III, mimo niemieckich nacisków, sprzeciwił się deportacjom. Część historyków przypisuje to jego oporowi, inni – presji Kościoła prawosławnego i protestom elit. Faktem jest, że Żydzi z głównej Bułgarii, zbliżonej kształtem do dzisiejszej, nie trafili do obozów zagłady. Borys III zmarł niespodziewanie kilka miesięcy później, po spotkaniu z Hitlerem – co do dziś rodzi spekulacje o otruciu. Ta historia z czasem przekształciła się w fundament narodowej dumy i element tożsamości.

Raport Departamentu Stanu USA z 2023 roku przypomina jednak drugą stronę medalu: „Bułgaria uratowała swoich Żydów, ale deportowała 11 343 Żydów z terenów administrowanych (Tracja, Macedonia) do obozów śmierci”. W marcu 1943 roku transporty z tych ziem pojechały do Wiednia, a stamtąd do Treblinki. Przeżyło dwanaście osób. Organizacja Shalom, reprezentująca bułgarskich Żydów, wielokrotnie protestowała przeciwko zniekształcaniu tej historii. W 2023 roku krytykowała rządowy program upamiętniający 80. rocznicę „Ratowania bułgarskich Żydów”, bo – jak wskazywała – „prezentuje [on] antysemickie prawa z lat 40. i obozy pracy jako »pro forma«, »nierealne« i mające chronić ludność żydowską”.

Mit ocalonych działa więc jak tarcza, ale jako opowieść historyczna pozostaje niepełny.

NORMALIZACJA NIEDOPUSZCZALNEGO

Po 1989 roku Bułgaria nie przeprowadziła głębokiej lustracji ani szerokiej rewizji historii. W dużej mierze to właśnie ludzie związani z dawnym systemem zachowali wpływy i współtworzyli nowe elity. Nie byli zainteresowani otwieraniem debaty o czasach komunizmu, a tym bardziej rozliczaniem wcześniejszych dekad – lat 30. i 40. Dyskusja o przeszłości toczyła się więc niemrawo i przez długi czas nie wychodziła poza wąski krąg historyków, intelektualistów i ekspertów.

Profesor Maria Todorova z Uniwersytetu Illinois, bałkanistka, opisuje ten stan jako „cichą normalizację niedopuszczalnego”. Mieści się w tym „całkowita rehabilitacja okresu międzywojennego, w tym faszystów skazanych po II wojnie światowej przez bułgarski odpowiednik procesów norymberskich, niszczenie komunistycznych pomników [...] i coroczny marsz Łukowa w Sofii”. Jednocześnie podkreśla, że stragany z nazi-gadżetami nie muszą być ani wyłącznie „bazarowym bałkanizmem”, ani wyłącznie normalizacją zła – „mogą być jednym i drugim”.

Marsz Łukowa, organizowany ku czci antysemickiego i pronazistowskiego generała, formalnie jest zakazywany, ale w praktyce odbywa się od lat. W 2018 roku Balkan Investigative Reporting Network odnotował, że „nigdy nie został zatrzymany z powodów ideologicznych, częściowo dlatego, że nigdy nie był formalnie uzgadniany z władzami, [a] nietłumiąc go przez lata, władze milcząco przyzwoliły na jego istnienie”. W 2023 roku, mimo zakazu, przemaszerowało około 200 osób, w tym – jak podaje raport Departamentu Stanu USA – „uczestnicy z Czech, Francji, Niemiec, Węgier, Polski, Hiszpanii i Szwecji”.

Polski akcent był dla nas zaskoczeniem. Jedynym pośrednim potwierdzeniem udziału polskich nacjonalistów okazał się wpis na Twitterze z 4 marca 2017 roku – użytkownik „WolnaPolskaInfo” pisał wtedy o „sojuszu przeciwko chazarskiej supremacji – Marsz Łukowa 2017 – za Bułgarię”. Źródło jest wątpliwe, ale ślad pozostał i będzie jeszcze potrzebny na samym końcu.

URYNKOWIONE TOŻSAMOŚCI

Wróćmy jednak do mechanizmu handlu. Prawo istnieje, lecz nie jest egzekwowane. Raport Departamentu Stanu

eprasa.pl 742b61cb94

USA z 2023 roku stwierdza wprost: „Mimo prawnego zakazu propagowania faszyzmu lub innych ideologii antydemokratycznych władze rzadko egzekwowały prawo, a pamiątki z nazistowskimi insygniami były dostępne w obszarach turystycznych w całym kraju". Ale nie chodzi wyłącznie o komercję. W 2019 roku w Burgas, przed sądem, rozlepiono kolorowe plakaty z wizerunkiem Hitlera i swastykami. Prokuratura umorzyła sprawę, uznając ją za „drobne chuligaństwo".

Ogólniejszy mechanizm tego przyzwolenia opisał profesor Dimitar Vatsov z Uniwersytetu Sofijskiego:

„Ekspresyjny indywidualizm – przekonanie, że możesz wyrażać swoją wyjątkową indywidualność – został już dawno skomercjalizowany. Do tego stopnia, że każdy może teraz kupić i zawiesić na rynku dowolną tożsamość. Nawet totalitarne ideologie – nazistowska i komunistyczna – oraz ich »bohaterowie« są sprzedawani jako pamiątki. Urynkowienie tożsamości prowadzi do społecznej amnezji: nawet fakty o potwornych zbrodniach z przeszłości przestają mieć znaczenie. Granica między tym, co dozwolone, a tym, co fundamentalnie niedopuszczalne, ulega zatarciu".

W kolejnym mailu Vatsov dodał, że jest zszokowany zdjęciami z Nesebyru, które mu wysłaliśmy. Widział wiele pamiątek z symbolami komunistycznymi, ale nigdy bezpośredniej nazistowskiej propagandy. I przypomina: „Zgodnie z bułgarskim kodeksem karnym (art. 108) propagowanie faszystowskiej i innej antydemokratycznej propagandy podlega odpowiedzialności karnej. Jednak nie ma nikogo, kto by egzekwował prawo".

I to w dużej mierze wyjaśnia, dlaczego handel nazistowskimi gadżetami wygląda w Nesebyrze tak naturalnie. Bułgarzy nie tyle zapomnieli o Zagładzie, ile nie rozliczyli się z własną przeszłością. W efekcie symbol – pozbawiony społecznego oporu – stał się produktem. Nie wyjaśnia to jednak jeszcze ekonomii tego zjawiska, czyli strony podaży i popytu: kto to produkuje, a kto kupuje?

MADE IN POLAND

Zegarek nie miał żadnego „made in", a na legitymacji z „antykwariatu" widniało „druk w Berlinie" i rok 1941. Jeśli jednak to była podróbka, to informacja została sfałszowana. Założyliśmy więc, że większość nowych przedmiotów pochodzi z masowej produkcji – zapewne z Turcji albo Chin. Postanowiliśmy się jednak upewnić.

I tak trafiliśmy na blog Edgara Haustera, niezależnego badacza i podróżnika. W 2015 roku pisał on o nazistowskich „suwenirach" z Nesebyru i zwracał uwagę, że wiele z nich oznaczono „Made in Poland". Wysłaliśmy maila – odpisał: „Niestety, nie pamiętam już dokładnie, czy widziałem »Made in Poland« na opakowaniu, czy słyszałem to od sprzedawców. Prawdopodobnie na opakowaniu". Dołączył też linki do artykułów.

W 2006 roku agencje Reuters i Associated Press opisały poznańskiego przedsiębiorcę Andrzeja Frankowskiego, który prowadził jedną z nielicznych w Polsce firm produkujących kopie nazistowskich mundurów i akcesoriów. „To mój pomysł na biznes i na dawanie ludziom pracy" – mówił wtedy Frankowski. Firma sprzedawała około pięciu tysięcy sztuk rocznie do klientów z Polski, Belgii, Holandii, Wielkiej Brytanii i Czech. Rzecznik prokuratury w Poznaniu, Mirosław Adamski, komentował: „Wytwarzanie i sprzedaż mundurów nie jest przestępstwem. Jeśli ktoś używa produktu do innych celów niż zamierzone, nie można winić producenta – tak jak w przypadku noży czy benzyny użytej do podpalenia".

Dwa lata później, 1 sierpnia 2008 roku, niemiecka stacja informacyjna n-tv zatytułowała artykuł „Polen ist Nazi-Powerseller" („Polska jest nazistowskim potentatem"). Czytamy tam m.in.: „Polscy producenci zaopatrują nie tylko krajowych handlarzy, ale także neonazistów w Niemczech i krajach skandynawskich". Podobne teksty ukazały się wtedy w austriackim dzienniku „Die Presse" i niemieckim „WAZ".

Sprawę odnotował także Marcin Kornak, założyciel i prezes Stowarzyszenia „Nigdy Więcej". W „Brunatnej Księdze" („Nigdy Więcej" nr 16, 2008) przytoczył wypowiedź Joerga Schoenbohma, ministra spraw wewnętrznych Brandenburgii: „Tylko w sąsiadującej z Brandenburgią Wielkopolsce ponad dwadzieścia zakładów produkowało mundury Wehrmachtu i SS oraz odznaczenia Adolfa Hitlera. [...] Niemiecka policja stale konfiskuje u niemieckich neonazistów mundury i odznaczenia z napisem »Made in Poland«".

W tych doniesieniach przewijają się ci sami producenci. Jest wśród nich Nestof Militaria, który jako dostawcę wymienia markę Sturm. Pod poznańskim adresem Sturm działa nie kto inny, jak Frankowski, a jego firma „Mundury Historyczne" już w 2006 roku szyła tysiące nazistowskich mundurów rocznie. Sam Frankowski co jakiś czas pojawia się w prasie – przykładowo w 2023 roku „Głos Wielkopolski" pisał, że kupił jeżdżącą replikę niemieckiego czołgu Panther.

I oto z Nesebyru lądujemy w Poznaniu. To właśnie tu, jak się zadaje, bije serce europejskiego rynku nazistowskich replik.

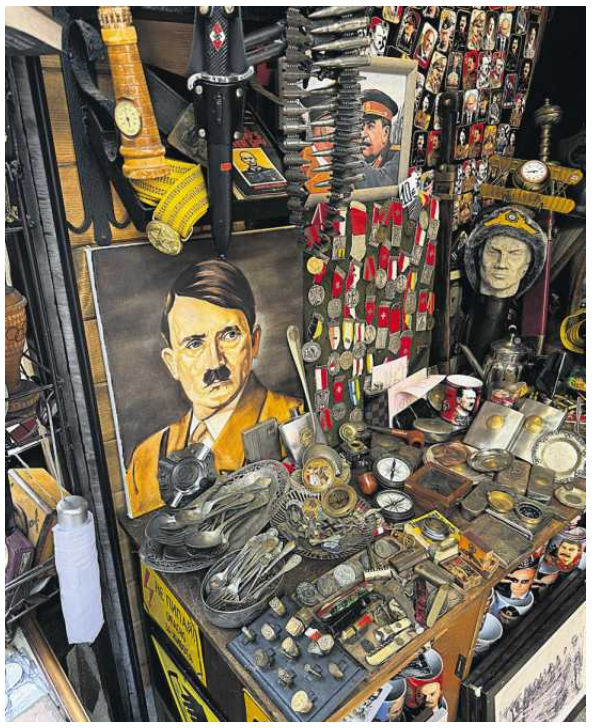

• **Hitler obok Stalina, kubek z Putinem i Todorem Żiwkowem, do tego sygnety ze swastyką i portret szefa SS Heinricha Himmlera. W komunistyczne i nazistowskie gadżety można się na bułgarskich targowiska obficie zaopatrzyć, niekoniecznie po okazyjnych cenach. Na górze po lewej Cerkiew Chrystusa Pantokratora, na której również można odnaleźć swastyki, ale średniowieczne.**

FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

MUNDUR ESESMANA BEZ BUTÓW

Na stronie Nestof Militaria (nestof.pl), w kategoriach „Germany >1933" oraz „Paperwork and dog tags", znajdujemy legitymacje, Ausweise, Soldbuchy, książeczki wojskowe, , które widzieliśmy w bułgarskim „antykwariacie" – cena do 20 euro. Zaglądamy do wybranych: jako producent widnieją Czechy. Poznańska firma robi tu więc za pośrednika.

Klikamy w Dienstbuch Organisation Todt (książeczkę służbową Organizacji Todt) – zamiast zdjęcia, puste miejsce. Druki w Nesebyrze miały wklejoną fotografię i pieczątkę. Można więc założyć, że istnieje jeszcze końcowy realizator. Ale dokumenty to tylko ułamek oferty. Na stronie znajdziemy: stalową skorupę hełmu M40 w wersji niepomalowanej (43,80 euro),

naszywkę „Weissruthenien", czyli białoruskich ochotników walczących w szeregach hitlerowskich (7,30 euro), skórzany pas do manierki Hitlerjugend (22,30 euro).

Podstawowy komplet munduru SS dla szeregowca, bez butów, odznak i opasek, kosztowałby ok. 300-360 euro. W jego skład wchodzą: bluza polowa, spodnie polowe, koszula, sweter, czapka polowa i pas. Wersja oficerska (gabardyna, lepsze wykończenie) z czarnym płaszczem skórzanym to już wydatek rzędu 600-700 euro. Do tego buty (100-150 euro), paski, odznaki i wyposażenie polowe. Wtedy pełny strój z wyposażeniem może przekroczyć 1000 euro.

Przeglądając ofertę Nestof, znajdziemy również mundury Armii Czerwonej, wyposażenie wojsk amerykańskich i brytyjskich, repliki broni, a nawet akcesoria dla rekonstruktorów z okresu I wojny światowej. Jednak to niemieckie przedmioty z czasów hitlerowskich stanowią zdecydowaną większość. Jako producent najczęściej pojawia się oznaczenie „Exclusively for Nestof" (wyłączność firmy), rzadziej zdarzają się podwykonawcy z Czech lub Wielkiej Brytanii.

Zaglądamy też na portal z opiniami konsumentów Trustpilot z lat 2024-2026 i tam szukamy Nestof.

Renzo B. z Holandii (20 lutego 2026) pisze: „Nestof to dobry sklep, który sprzedaje głównie dobrej jakości reprodukcje w dobrych cenach, ale czasami rozmiary są błędne.

Roland M. z Niemiec (24 grudnia 2025): „Opaska z tworzywa sztucznego nie przypomina oryginału. Jakość była dobra, ale szybko się zużywa, szkoda".

Andrew W. z Wielkiej Brytanii (13 grudnia 2025): „Okropna obsługa i jakość towaru... Fałszywa reklama. Unikajcie tych oszustów, [...] wysyłają towar niskiej jakości".

Z drugiej strony Frank L. z Niemiec (4 października 2025): „Dobry sklep dla rekonstruktorów! Rzadkie i bezbłędnie odtworzone militaria i umundurowanie!". Robert z Irlandii (18 października 2025): „Wybitna obsługa i jakość – gorąco polecam!" (chwalił replikę Colta 1911). Iris B. z Francji (3 lipca 2024): „Legendarny sklep [...] prawdziwa instytucja!".

MAŁA MOSKWA NAD MORZEM CZARNYM

Oczywiście Nesebyr ani nawet Bułgaria nie są jedynymi miejscami, gdzie można kupić nazistowskie czy stalinowskie gadżety. Nasz znajomy opowiadał, że we Lwowie w latach 90. można było trafić na całe stragany oryginalnego niemieckiego wyposażenia z II wojny światowej. My sami w Bielsku Podlaskim – też w latach 90. – widzieliśmy na targowisku sprzęt Armii Czerwonej, w tym noktowizor i mundury. Tam jednak chodziło o oryginały, demobil i resztki po prawdziwych wojskach. W Nesebyrze jest inaczej: to repliki i przedmioty, które nie mogą udawać artefaktów z epoki: kubki, magnesy na lodówkę, drobne pamiątki.

Takie rzeczy sprzedają się także gdzie indziej. W 2019 roku w Rimini brytyjska turystka znalazła w supermarkecie wino z Hitlerem na etykiecie. Na portalu Reddit użytkownik z Macedonii Północnej dzielił się zdjęciami podobnych bibelotów ze sklepów w Ochrydzie. Inny internauta wspominał, że widział sklep w Warszawie, gdzie na półkach stały obok siebie

eprasa.pl 742b61cb94

kubki ze Stalinem i Hitlerem. „Niemcy i Austriacy jeżdżą do wschodniej Europy, żeby to kupować, bo u nich [tj. w Zachodniej Europie] to nielegalne” – czytamy w jednym z komentarzy. Ktoś inny pisał: „Widziałem takie sklepy w Chorwacji i na Słowacji”. To jednak relacje osób, które są raczej oburzone niż skłonne do zakupu.

Kto to kupuje? Andrzej zapytał o to sprzedawcę w „antykwariacie”. „Polacy, Węgrzy, Czesi” – odpowiedział i wskazał na książki na półce – „ci mówią: o, więcej niż dwa euro to nie kupimy. Dla nich tylko znaczki na lodówki się liczą”.

Więc kto? I znów ta sama odpowiedź: „Polacy i Czesi chcą tylko płacić 1-2 euro”. W końcu udało się wydusić bardziej jednoznaczną odpowiedź: „U mnie kupują tylko i wyłącznie Bułgarzy i Rosjanie”.

Skąd Rosjanie w Bułgarii? Przed 2022 rokiem stanowili drugą co do wielkości, po Bułgarach, grupę zagranicznych gości na bułgarskim wybrzeżu. Drugim językiem – zaraz po bułgarskim – wciąż pozostaje tu rosyjski. Sami bez problemu dogadaliśmy się po rosyjsku: w sklepie, w urzędzie, na stacji benzynowej i na granicy z Rumunią. A pierwsze, co usłyszeliśmy pod naszą kwaterą w Nesebyrze, to rozmowy po rosyjsku, choć jak się okazało, byli to Ukraińcy z Zaporoża, którzy właśnie wyjeżdżali. Sądziliśmy więc, że ruszczyzna to ślad niedawnych, ale minionych czasów. Okazuje się, że po wybuchu wojny w Ukrainie właśnie tutaj, na bułgarskim wybrzeżu Morza Czarnego, Rosjanie zaczęli wykupywać mieszkania. Nie wiadomo dokładnie, ilu ich może tu być teraz. Przywoływany wielokrotnie prof. Kajczew napisał w mailu: „W samym Pomorie [13,5 tys. mieszkańców] na stałe mieszka ok. 4 tys. Rosjan, a latem ich liczba dochodzi do 7 tys. Mówi się nawet o »Małej Moskwie« nad Morzem Czarnym. To oni są główną grupą klientów na straganach z »nostalgicznymi« pamiątkami”. I jak można sądzić po asortymencie, kupują gadżety nazistowskie.

Wygląda więc na to, że Polacy dostarczają Rosjanom talerze ze swastyką. I tu wróćmy do śladu z marszu Łukowa. Polacy – jak odnotowano m.in. w raporcie Departamentu Stanu USA – pojawili się w Sofii na marszu ku czci pronazistowskiego generała. Dziś, mając przed oczami szlak z Poznania na stragany Nesebyru, możemy tylko odnotować tę zbieżność: Polacy produkują nazistowskie gadżety, Bułgarzy je zamawiają, a Rosjanie kupują. Rodzi się pytanie, czy te światy czasem się nie przenikają? I czy udział Polaków w marszu Łukowa nie jest w istocie formą konferencji biznesowej – kiedy w marcu, przed sezonem, ustala się, jakie produkty będą latem sprzedawane w Nesebyrze.

PODEJMIEMY DZIAŁANIA

Wysłaliśmy pytania o handel nazistowskimi gadżetami m.in. do bułgarskich Ministerstwa Kultury, Ministerstwa Turystyki, Gminy Nesebyr oraz Muzeum „Stariennen Nesebar” (Starożytny Nesebyr). Zwróciliśmy się również do Simeona II Saksońskiego-Coburskiego-Gotha oraz do otoczenia prezydenta Rumena Radewa. Odpowiedział tylko Todor Markow, dyrektor Muzeum „Stariennen Nesebar”: „Muzeum wie, że na straganach w Starym Mieście czasami oferowane są, najłagodniej mówiąc, nieadekwatne artykuły. Kategorycznie nie aprobujemy, aby w Starym Mieście rozpowszechniane były podobne artykuły. W Bułgarii jest to również karalne zgodnie z Kodeksem Karnym. Regulacja handlu w Starym Mieście leży poza prawnymi kompetencjami Muzeum. Niemniej jednak ponownie podejmiemy działania (zgłoszenie do organów ścigania), aby zaprzestano oferowania towarów o takim charakterze. Symbole nazistowskich Niemiec nie mają miejsca na obiektach handlowych w mieście Nesebyr”.

Pozostali adresaci na razie milczą. Nie będziemy pisać do producentów tych gadżetów. Na samą myśl o ich działalności robi nam się niedobrze. ●

1 RP

Jasne strony dziejów

Pierwszorzędny w drugim szeregu

Zmarły przed rokiem Piotr Nowina-Konopka to jeden z ojców sukcesu Polski w latach 90. XX wieku. Warto o nim pamiętać.

Brzeziecki

Dziś pewnie jego postać kojarzy niewielu. Z polskiej polityki odszedł w 2001 r., po klęsce Unii Wolności. Potem jeszcze w latach 2013-2016 był Ambasadorem RP w Watykanie, ale realizował się głównie w strukturach UE. Warto jednak pamiętać o ludziach, którzy w kluczowym momencie naszej transformacji, dbali o to, by wszystko szło we właściwym kierunku.

W latach 80. XX w. PNK – jak w skrócie nazywali go znajomi – był jednym z najbliższych współpracowników Lecha Wałęsy i to na polecenie szefa „Solidarności” trafił – jako minister – do kancelarii prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Miał tam pilnować, czy solidarnościowe reformy nie są sabotowane przez ludzi dawnego systemu. Szczęśliwie Jaruzelski nie chciał czynić ze swojego urzędu żadnej Wandei komunizmu. Odszedł, gdy uznano, iż Polska powinna mieć prezydenta wybranego w wolnych wyborach.

Wtedy Piotr Nowina-Konopka zrobił coś, co wielu zaskoczyło i co na lata skłóciło go z Wałęsą. Zaraz przed wyborami prezydenckimi opowiedział się, za Tadeuszem Mazowieckim. Jeśli jednak przyjrzeć się bliżej całej dotychczasowej drodze życiowej PNK, to widać wyraźnie, że pod względem światopoglądu, ale też temperamentu politycznego, bliżej mu było do Mazowieckiego. Nic dziwnego, że szybko stał się jedną z czołowych postaci Unii Demokratycznej. Ponieważ znał języki obce (wtedy nie było to wśród polityków częste) i miał jakie takie – a jak na, do niedawna, obywatela PRL całkiem spore – obycie w świecie, odpowiadał w Unii za kontakty międzynarodowe. Wyrabiał sobie kontakty w Brukseli, ale też w Berlinie i innych stolicach, a dzięki tym kontaktom rozmiękczał opory polityków ze Starej Europy wobec biedniejszych kuzynów ze Wschodu.

To właśnie integracja europejska stała się jego konikiem na wiele lat. Czy to w Fundacji Schumana, czy w UKIE, albo w Kolegium w Natolinie, a także, gdy pełnił już dyrektorskie funkcje w Brukseli po naszym wejściu do UE – wszędzie dokładał starań, by Polska zajmowała w Unii należne jej miejsce. To za jego kadencji Kolegium Europejskie w Natolinie przeżywało swe najlepsze chwile.

PNK nie miał takiej charyzmy czy politycznego autorytetu jak Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, nie przyciągał dziennikarzy jak Władysław Frasyniuk i nie zaszedł w polityce tak daleko jak Donald Tusk – jego o kilka lat młodszy znajomy z Gdańska. Był trochę szorstki w obyciu, jego polityczne wystąpienia nie skrzyły się bon motami. Miał wszystkie cechy charakterystyczne dla Unii Demokratycznej i Unii Wolności – także jej wady. Ale jak w przypadku całej formacji – zalety przeważały.

W polskiej polityce był Piotr człowiekiem drugiego szeregu – ale w tym drugim szeregu był człowiekiem pierwszorzędnym. Dla niego nasze państwo to była poważna sprawa, tak samo własne słowo traktował poważnie. Rzetelny, punktualny, wiarygodny, pracowity – miał wszystkie te cechy, których nieraz brakuje innym politykom.

Szczególnie udanym jego projektem była Polska Fundacja im. Roberta Schumana. To właśnie Piotr namówił w 1991 roku Tadeusza Mazowieckiego do stworzenia organizacji, która będzie przybliżać Polakom Wspólnoty Europejskie, a zachodnim Europejczykom tłumaczyć sens rozszerzenia na Wschód. PNK w samej Fundacji i wokół niej zebrał świetne grono ludzi i zaraził ich entuzjazmem do pracy, nawet jeśli czasem zgrzytali oni zębami na jego sposób wyrażania próśb – tak jakby były niecierpiącymi sprzeciwu poleceniami, a może nawet rozkazami...

W Fundacji Schumana pracuje już kolejne pokolenie ludzi, z których pewnie nawet nie wszyscy znali PNK. Przez lata imprezy organizowane przez tę fundację, na czele ze słynnymi paradami, były świętem euro-realistów. Właśnie tak – bo to ci, którzy opowiadają za członkostwem Polski w UE, są eurorealistami, oceniającymi racjonalnie, że Polska na tym po prostu korzysta politycznie, ekonomicznie i kulturowo. Bajki o wynarodowieniu Polski się nie potwierdziły, a wizje silnej Polski poza UE to urojenia.

Jeśli dziś cieszymy się niespotykanym nad Wisłą dobrobytem, jeśli Polska wciąż stawiana jest za przykład wykorzystanej szansy, to sukces ten zawdzięczamy, między innymi, takim ludziom jak zmarły 13 czerwca 2025 roku Piotr Nowina Konopka. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

eprasa.pl 742b61cb94

CZY Woland BYŁ POLAKIEM

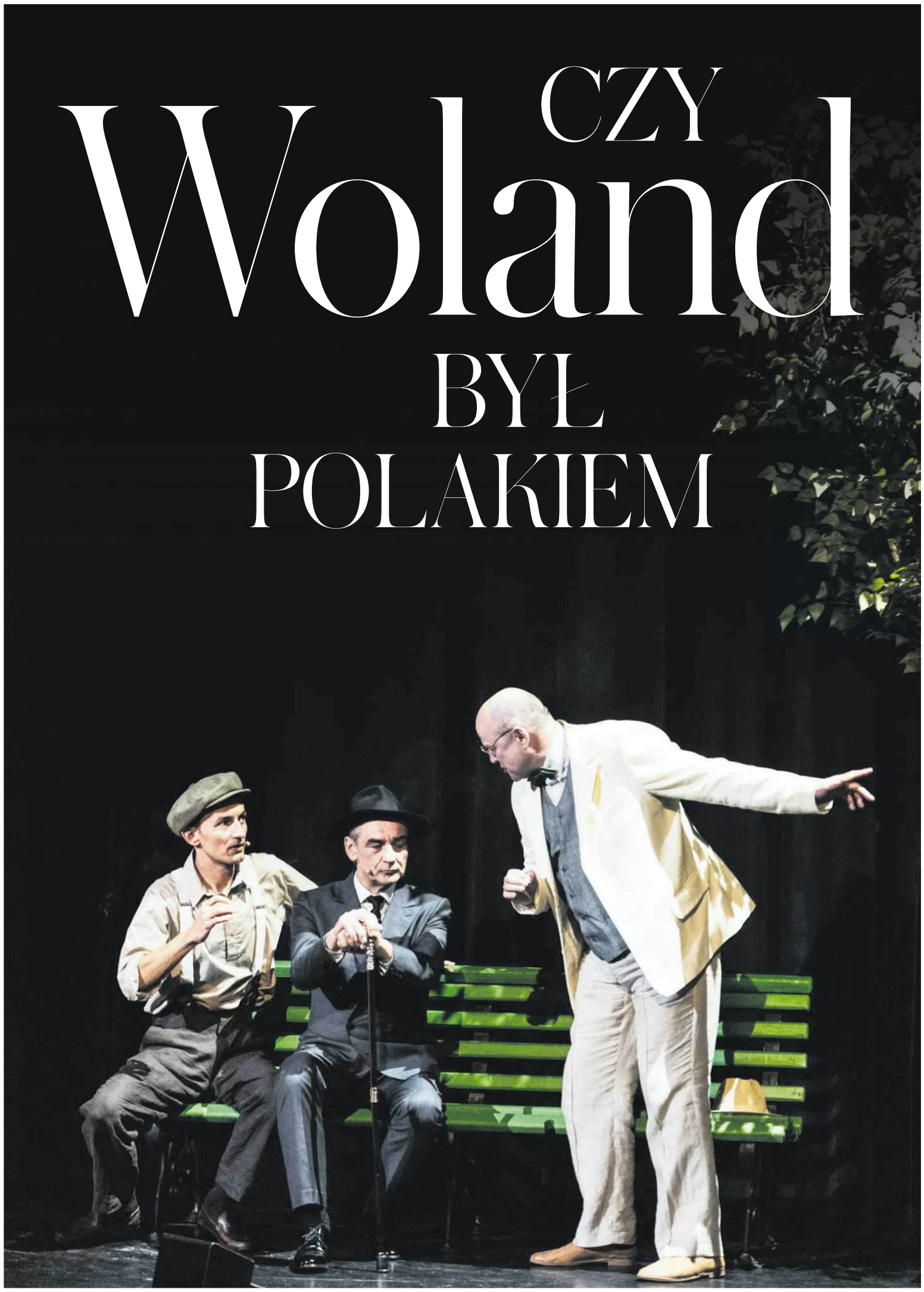

• **„Mijając ławkę, którą zajmowali redaktor i poeta, cudzoziemiec spojrzał na nich z ukosa, zatrzymał się i przysiadł...". Każdy, kto zna „Mistrza i Małgorzatę" wie, że chodzi o Wolanda. Spektakl według powieści Michaiła Bułhakowa wystawiony w 2021 roku przez Teatr Muzyczny im. Baduszkowej w Gdyni**
FOT. XX

Jak czytać i jak nie czytać Michaiła Bułhakowa w czasie wojny

Grzegorz Przebinda

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

Na facebookowym profilu polskiego pisarza Jacka Dehnela odbyła się niedawno quasi-debata o Dostojewskim, której uczestnicy zastanawiali się, czy ten rosyjski pisarz drugiej połowy XIX wieku poparłby dziś wojnę Rosji przeciwko Ukrainie. Trafiłem na nią przypadkiem – *mea culpa*, z Facebooka nie korzystam – gdyż wywołał ją mój niedawny artykuł o autorze „Biesów” w „Gazecie Wyborczej”. Lwia część komentarzy i odpowiedzi formułowanych przez osoby raczej niesprawiające wrażenia, by kiedykolwiek głębiej czytały Dostojewskiego, brzmiała oczywiście: „Trzy razy tak!!!”.

Jedna z uczestniczek dyskusji zauważyła, skądinąd nie bez racji, że skłonności do imperializmu przejawiała masa rosyjskich pisarzy, dodajmy – że od połowy XVIII wieku. Niestety zaraz dodała, że nawet Michaił Bułhakow w „Mistrzu i Małgorzacie” miał zawrzeć „wątki antypolskie”. Gdy ktoś zapytał kontrująco, czy rzeczywiście Bułhakow – i to w „Mistrzu i Małgorzacie”! – mógł być antypolski, osoba owa przytoczyła fragment z pierwszego rozdziału (podaję go w wersji rozszerzonej, w rodzinnym tłumaczeniu Przebindów):

„Mijając ławkę, którą zajmowali redaktor i poeta, cudzoziemiec spojrzał na nich z ukosa, zatrzymał się i przysiadł nagle na ławce sąsiedniej (...).

»Niemiec...« – pomyślał Berlioz.

»Anglik...« – pomyślał Bezdomny. (...)

– Proszę wybaczyć – zaczął z cudzoziemskim akcentem nieznajomy, nie kalecząc jednak słów – że, nie mając przyjemności znać panów osobiście, pozwalam sobie podejść... Wszelako przedmiot waszej uczonej dysputy jest tak interesujący... (...)

»Nie, raczej Francuz...« – pomyślał Berlioz.

»Czyżby Polak?«– pomyślał Bezdomny”.

Każdy, kto zna powieść, od razu się domyśli, że chodzi tu o Wolanda, który w pierwszym rozdziale „Mistrza i Małgorzaty” zjawia się znienacka na Patriarszych Prudach, gdzie wdaje się z Bezdomnym i Berliozem w dysputę teologiczną dotyczącą istnienia tudzież nieistnienia Boga i diabła, przepowiadając Berliozowi rychłą – i rzeczywiście nieuchronną – śmierć pod kołami tramwaju.

Woland niewątpliwie był cudzoziemcem – „chyba jestem Niemcem”, jak sam mówił – a to już wystarczało, by w stalinowskim ZSRR traktowano go podejrzliwie. Także „Francuz”, „Anglik” czy „Polak” należeli w porewolucyjnej mitologii sowieckiej do narodów kojarzonych z interwencją ententy przeciw Rosji bolszewickiej podczas wojny domowej lat 1918–1921. Po wojnie polsko-bolszewickiej Polaków nazywano tam zresztą „białopolakami”, czyli domniemanymi sprzymierzeńcami antykomunistycznej Białej Armii.

Nieprzypadkowo też Małgorzata – gdy Azazello zaprasza ją na Wielki Bal u Wolanda – reaguje początkowo nieufnie: „Z cudzoziemcami się nie zadawałam i nie mam zamiaru”. Była przecież żoną „wybitnego specjalisty”, człowieka młodego, uczciwego i zakochanego w niej bez pamięci, z którym mieszkała dostatnio przy Arbacie: „Święta nie jestem, to fakt (...) Mam przecież męża. (...) Nie będę mu rujnować życia, to byłoby podłe, bo nigdy mnie nie skrzywdził”.

Ale i tak poszła za głosem serca i porzuciła go dla biednego Mistrza. W obecnej – udającej purytańską – Rosji bywa to często powodem odrzucenia całej powieści. Na szczęście Bułhakow zrezygnował z fragmentu, jaki napisał dla wstępnej, drugiej z kolei redakcji utworu, gdzie Małgorzata – która, jak wiemy, przyjęła jednak zaproszenie na bal u szatana, bawi się tam całkiem nieźle, pomimo że Mistrza wcale jeszcze nie odzyskała: „Na stoliku przed Małgorzatą pojawiły się kiście winogron, a ona roześmiała się, bo patera zamiast na nóżkach wspierała się na złotym fallusie. Śmiejąc się, Małgorzata lekko go trąciła, a on natychmiast ożył w jej dłoni. Parskając śmiechem i spluwając, cofnęła rękę”.

Gdyby powyższe – co nie daj Boże – pozostało w ostatecznej redakcji powieści, to do naszych patriotycznych oskarżeń Bułhakowa o antypolskość i obwinień bohaterki o porzucenie męża doszłaby jeszcze obsceniczność... Osobliwa to koalicja krytyków: polscy „patrioci” obrażeni o „Polaka”, prawosławni neofici oburzeni na „cudzołożnicę” i postsowieccy, putinowscy purytanie zgorszeni fallusem w ręku Małgorzaty – wszyscy razem przeciw Bułhakowowi, choć z zupełnie innych, wzajemnie wykluczających się powodów. „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się – przeciw Bułhakowowi”.

Tym bardziej że istnieje jeszcze ku temu tysiąc innych powodów. Inteligentny, antywojenny pisarz na emigracji Dmitrij Bykow – dziś w putinowskiej Rosji skazany zaocznie na sześć i pół roku łagru – napomina mnie w naszych kontaktach bezustannie,

bym nie zachwycał się „Mistrzem i Małgorzatą”, gdyż powieść ta „pisana była dla Stalina”, a „sam Woland to szatan z tych najniebezpieczniejszych”.

Z kolei prawosławni ortodoksi oskarżają Bułhakowa o to, że w „Mistrzu i Małgorzacie” „sfałszował Ewangelię”, każąc Wolandowi zniekształcać ją w wieczornej opowieści na Patriarszych Prudach w obecności Berlioza i Bezdomnego. Rzesza innych czytelników odrzuci zapewne opowiadanie „Morfina” jako utwór zachęcający do narkomanii. Wiadomo, że w czasie wojny muzy milczą, ale jako żywo, nawet w czasie stanu wojennego, gdy po „Mistrza i Małgorzatę” stało się nocą w kolejce, w najgorszych nawet snach nie przeczuwałem, że nadejdzie chwila, gdy staną się uprawnione na przeróżnych forach tak arcyprymitywne popisy „rozumienia” literatury.

PRZEKLEŃSTWO WOJNOM I ZABIJANIU

Wojenne i rewolucyjne motywy w twórczości Bułhakowa są dziś mniej znane, choć pisarz – wcześniej lekarz frontowy i praktykujący na Smoleńszczyźnie i w Wiaźmie – właściwie od takich utworów zaczynał. Opowiadanie „Niezwykłe przygody doktora” (1922), jeden z pierwszych opublikowanych utworów pisarza z ogromnym już bagażem życiowym, przedstawia dramatyczne doświadczenia lekarza podczas wojny domowej na północnym Kaukazie i kończy się wymowną frazą: „Przekleństwo wojnom – teraz i na wieki!”. Trzy inne krótkie, acz niesłychanie przejmujące utwory związane z doświadczeniem wojny domowej i moralnym dramatem zabijania to niesłusznie dziś u nas zapomniane: „Noc z drugiego na trzeciego” i „Czerwona korona” (oba z 1922 roku) oraz „Zabiłem” (1926).

Pierwsze z nich nawiązuje do przeżyć samego Bułhakowa z nocy z 2 na 3 lutego (stary styl) 1919 roku, podczas odwrotu wojsk petlurowskich z Kijowa, gdy został przez nie zmobilizowany jako lekarz wojskowy. Widział wówczas straszliwe zabójstwo Żyda przez żołnierzy Petlury przy Moście Łańcuchowym w Kijowie, następnie zdołał porzucić petlurowców i – ryzykując rozstrzelanie za dezercję – dotarł resztkami sił do domu, zachowując w pamięci to straszne wspomnienie jeszcze przez długie lata. W późniejszym opowiadaniu – pisanym już w Moskwie – oddał to następująco:

„Pierwsze zabójstwo w życiu doktor Bakalejnikow ujrzał w środku nocy z drugiego na trzeciego... (...) Dwaj hajdamacy wlekli po śniegu człowieka w rozdartym czarnym palcie, z siną od krwi twarzą, a pan kurennyj biegł obok, bijąc go wyciorem po plecach. – A-a, żydowska mordo! – wrzeszczał. – Pod ścianę go! (...) Zakrwawiony człowiek już nie krzyczał, wydawał tylko dziwne pomruki: „Uch... a...”. (...) Wtedy pan kurennyj zamachnął się wyciorem. Coś chrupnęło i człowiek runął w śnieg, wyciągając rękę tak, jakby chciał zagarnąć dla siebie jak najwięcej tej zdeptanej białej ziemi”.

Opowiadanie ujrzało światło dzienne jako fragment zapowiadanej powieści „Szkarłatny rozmach”, która przekształciła się w „Białą gwardię” (1923–1924). Już w niej znajduje się przetransponowana literacko – być może jeszcze bardziej wstrząsająca – scena zamordowania drobnego kupca żydowskiego Jakowa Feldmana przez żołnierzy Petlury na ulicach Kijowa.

Feldman wychodzi nocą na ulicę Miasta, aby sprowadzić akuszerkę do rodzącej żony. Przemyka się wzdłuż murów, gdy zatrzymuje go konny dowódca petlurowski Hałanba i pada okrzyk: „Stij!”. Feldman tłumaczy spokojnie, że jest zwykłym mieszkańcem – ale dostaje nahajką w szyję, po czym słyszy rozkaz: „Dokumenty!”. Sięga drżącymi rękami do portfela i dopiero w tej chwili uświadamia sobie swój tragiczny błąd. W pośpiechu i przerażeniu zapomniał, co ma przy sobie. Papier, który wręcza hajdamakowi, okazuje się przepustką wystawioną przez sztab hetmana Skoropadskiego – proniemieckiego reżimu o barwach ukraińskich, który hajdamacy Petlury właśnie obalili. Dokument, mający być zwykłym administracyjnym zaświadczeniem, w oczach sezonowych zwycięzców staje się dowodem współpracy z pokonanym wrogiem. Feldman błaga, oferuje wszystko, co ma – jedenaście tysięcy karbowańców – i woła do Boga słowami najstarszej żydowskiej modlitwy. Bóg jednak nie odpowiada. Sotnik Hałanba nie ma czasu. Jednym cięciem szabli kończy sprawę:

„Feldman dostarczał generałowi Kartuzowowi słoninę i wazelinę-półsmar do dział. Boże, uczyńże cud! – Panie sotniku, to nie ten dokument!... Pozwólcie... – Nie, właśnie ten – odparł z diabelskim uśmiechem Hałanba. – Nie martw się, sami jesteśmy piśmienni, przeczytamy. »Boże! Uczyń cud. Jedenaście tysięcy karbowańców... Bierzcie wszystko. Tylko darujcie życie! Daruj! Szma Israel!«. Nie darował. Dobre i to, że Feldman umarł lekką śmiercią. Sotnik Hałanba nie miał czasu. Dlatego po prostu ciął Feldmana szablą w głowę”.

Przekształconą, ale rozpoznawalną wersję tej strasznej sceny zawarł Bułhakow we fragmentach biblijnych swego arcydzieła „Mistrz i Małgorzata”... Oto Juda z Kiriatu, który zdradził Jeszuę, naraził się tym samym na zemstę Piłata, wysyłającego nań – z pomocą swego sługi Afraniusza – skrytobójców. Scena rozgrywa się w Ogrodzie Oliwnym, gdy zwabiony przez swą zdradziecką ukochaną, Greczynkę Nisę, Juda zaczyna już ostro widzieć, że umrze. Ale nadzieja, jak to zwykle bywa, umiera ostatnia:

„Promyk nadziei zaświtał w sercu Judy i odkrzyknął rozpaczliwie: – Trzydzieści tetradrachm! Trzydzieści tetradrachm! Wszystko, com dostał, mam z sobą. Tu są pieniądze! Bierzcie je, ale życie mi darujcie! Człowiek z przodu wyrwał mu mieszek z ręki. W tej samej sekundzie za plecami Judy błysnął nóż, który jak wąż wślizgnął mu się pod łopatkę. Juda poleciał do przodu i wyrzucił ręce w górę, rozcapierzając palce. Wtedy człowiek z przodu nadział go na swój nóż, zatapiając ostrze w sercu zakochanego aż po samą rękojeść”.

Feldman ginie całkowicie niewinnie, podczas gdy Juda zostaje ukazany jako zdrajca, który płaci za zdradę własnym życiem. A jednak sposób opisania śmierci obu pozostaje podobnie cielesny, okrutny, a zarazem chwytający za serce i współczujący. To bardzo charakterystyczne dla Bułhakowa – moralna ocena postaci nie unieważnia fizycznego i etycznego wymiaru zabijania.

> Inteligentny, antywojenny pisarz na emigracji Dmitrij Bykow napomina mnie bezustannie, bym nie zachwycał się „Mistrzem i Małgorzatą”, gdyż powieść ta „pisana była dla Stalina”

BEZ PRZERWY PIŁOWAŁ NOGI

Niewiele wiedzielibyśmy – a może nawet nic – o służbie Michaiła Bułhakowa na froncie południowo-zachodnim latem i jesienią 1916 roku w charakterze lekarza wojskowego Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, gdyby nie późniejsze wspomnienia jego pierwszej żony, Tatiany Łappy (1892–1982). Był z nią związany – jako z jedyną ze swych trzech żon ślubem cerkiewnym – od 1913 do 1924 roku i to właśnie z nią spędził czas swej frontowej służby lekarskiej w Kamieńcu Podolskim i Czerniowcach.

Dwa miasta – dziś oba należące do zachodniej Ukrainy – w epoce rozbiorów Rzeczypospolitej podzieliły odmienne losy, o czym Bułhakow, rzecz jasna, nie miał zielonego pojęcia: Czerniowce

eprasa.pl 742b61cb94

• **Symon Petlura (widoczny w centrum na podwyższeniu) i Mychajło Hruszewski (w czarnym płaszczu i kapeluszu), historyk i przewodniczący Ukraińskiej Centralnej Rady, podczas proklamacji Ukraińskiej Republiki Ludowej. Kijów, 20 listopada 1917**

FOT. XX

w 1775 roku znalazły się pod panowaniem habsburskim, gdy Austria zajęła północną część hospodarstwa mołdawskiego, nazwaną później Bukowiną; Kamieniec Podolski zaś po drugim rozbiorze Polski (1793) przeszedł pod panowanie imperium rosyjskiego. W 1916 roku austriackie Czerniowce zostały na krótko zajęte przez Rosję po wielkiej ofensywie generała Aleksieja Brusiłowa, a Kamieniec Podolski, położony niedaleko strefy działań wojennych, pozostał przez całą wojnę w rękach rosyjskich.

W Czerniowcach – gdzie Bułhakow pracował w szpitalu Rosyjskiego Czerwonego Krzyża – znajdowało się później popiersie pisarza, usunięte już po rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie w ramach ukraińskiej „polityki derusyfikacyjnej".

Tatiana Łappa – która, porzucona w Moskwie przez męża, obiecała mu nie wyciągać wydarzeń ze wspólnego życia na światło dzienne – długo już po śmierci Michaiła Afanasjewicza (1891–1940) przypominała we wspomnieniach nagrywanych w latach siedemdziesiątych przez Leonida Parszyna ich lata kijowskie, te spędzone później na froncie, a ostatecznie także na Smoleńszczyźnie, Wiaźmie i w słynnym moskiewskim mieszkaniu przy Wielkiej Sadowej, utrwalonym później jako miejsce, gdzie odbywa się Wielki Bal u szatana w „Mistrzu i Małgorzacie".

Tatiana, niczym żona dekabrysty, podążyła za mężem latem 1916 roku na front i na równi z nim opiekowała się rannymi, pracując jako siostra miłosierdzia. O tamtych dniach w Czerniowcach mówiła bez ogródek:

„Było tam bardzo wielu chorych z gangreną, a on bez przerwy piłował nogi. Amputował. A ja te nogi trzymałam. Och! Tak mi się robiło słabo, myślałam, że zaraz upadnę. Potem odchodziłam na bok, wąchałam amoniak i wracałam. Z czasem się przyzwyczaiłam. (...) On się tak nauczył amputować nogi, że nie nadążałam... Trzymam jedną, a on już drugą piłuje. Nawet starsi chirurdzy się dziwili, bo ich wyprzedzał".

CZERWONA KORONA

Rewolucje – zarówno lutowa, jak i październikowa – zastały ich we Wiaźmie, gdzie Michaił Bułhakow był lekarzem rejonowym, tak że niemal nie zdali sobie sprawy, jak fundamentalnie zmienia się Rosja. Potem wrócili do Kijowa, lecz pod koniec 1919 roku Bułhakow znajdował się już we Władykaukazie, gdy jego ukochany brat Nikołaj, student medycyny, został zmobilizowany przez wycofujących się białych denikinowców i wywieziony – już na zawsze – z ukochanego Miasta. Przez dwa lata, aż do 1922 roku, Michaił żył w rozpaczy, przekonany, że Nikołka został zabity. Kiedy opowiadanie „Czerwona korona" zostało opublikowane, Bułhakow wiedział już, że Nikołaj (1898–1966) żyje – później osiadł on w Paryżu i pracował naukowo jako bakteriolog w Instytucie Pasteura.

Mimo to ten rodzinny ból znalazł bezpośrednie odbicie w opowiadaniu, gdzie matka wysyła starszego syna na front, by odszukał brata Kolę, lecz ten ostatecznie widzi go już tylko śmiertelnie okaleczonego, ze strzępami zamiast głowy: „Odjechał w szarej czapce, wrócił w czerwonej. Dzień się już kończył i widać było ciemną sylwetkę w barwnym nakryciu głowy. Bez włosów i czoła. Zamiast nich był czerwony wieniec strzępiastych cierni" (przeł. Andrzej Drawicz). Stąd tytuł – „Czerwona korona".

Gdy Mistrz w arcydziele Bułhakowa mówi w szpitalu psychiatrycznym do Iwana Bezdomnego, że „nie znosi przemocy, hałasu, awanturowania się", a „szczególnie nienawidzi ludzkich krzyków, nieważne, czy są to krzyki bólu, gniewu czy inne", również stanowi to nawiązanie do „Czerwonej korony", gdzie starszy brat – już po powrocie z frontu – także trafia do lecznicy psychiatrycznej i zwierza się na samym początku:

„Najbardziej ze wszystkiego na świecie nienawidzę słońca [w „Mistrzu i Małgorzacie" piekące słońce Jeruszalaim również jest niemal metafizycznie wrogie – G.P.], donośnych ludzkich głosów i uporczywego stuku. Bardzo boję się ludzi; tak bardzo, że słysząc wieczorem w korytarzu obce kroki i głosy, zaczynam krzyczeć".

Krew przelewana przez ludzi budziła bojaźń, drżenie i sprzeciw Michaiła Bułhakowa, niezależnie od barw tych, którzy ją przelewali – białych carskich, czerwonych bolszewickich czy petlurowskich hajdamackich z zielonymi galonami, gdy łopoczące „ogony" błyskają złowrogo w oczach umierającego Feldmana. W „Czerwonej koronie" starszy brat wspomina jeszcze białego generała w Berdiańsku nad Morzem Azowskim (dziś okupowanym przez Rosję ukraińskim portem), który kazał powiesić na latarni miejscowego robotnika:

„Wiele było wypadków, kiedy ludzie zostawali przy życiu tylko dlatego, że w ich kieszeni znaleziono papierek z okrągłą pieczęcią. Co prawda tego robotnika wsadzono na policyjny wóz i powieszono na latarni w Berdiańsku właśnie wtedy, gdy znaleziono w jego bucie zmięty papierek z pieczęcią. Był bolszewickim przestępcą, a niebieska pieczęć była dowodem. To ona zaprowadziła go na latarnię, a latarnia stała się przyczyną mojej choroby".

Stąd też dramatyczny okrzyk bohatera: „Panie generale, pan jest bestią. Nie wolno panu wieszać ludzi".

CZY LEKARZ MOŻE WZIĄĆ ODWET?

W późniejszym opowiadaniu „Zabiłem" (1926) Bułhakow przesuwa motyw moralnej granicy przemocy jeszcze dalej. Wszystko zaczyna się od pozornie spokojnej rozmowy: chirurg, pod którego nożem umiera pacjent, nie może być przecież mordercą – i trudno w ogóle wyobrazić sobie lekarza zabijającego kogoś strzałem z pistoletu... Doktor Jaszwin obala jednak ten „aksjomat" własnym wyznaniem. Dokładnie oto siedem lat wcześniej – w nocy z drugiego na trzeci lutego 1919 – los rzucił go do oddziałów Petlury, wycofujących się z miasta. Od pierwszego postoju wisiało nad nim widmo sądu polowego za próbę dezercji – co oznaczało rozstrzelanie. Bohater, zmuszony rozkazem, leczył żołnierzom Petlury odmrożone nogi, a jednocześnie był świadkiem krzyków więźniów katowanych przez tychże petlurowców.

Punkt zwrotny przychodzi obok łóżka rannego petlurowskiego pułkownika Leszczenki. Gdy Jaszwin opatruje tego oficera, do pokoju wpada kobieta – wdowa po jednym z rozstrzelanych przez Leszczenkę – i rzuca Jaszwinowi w twarz, że leczy takich ludzi. Za ten jeden okrzyk rozpaczy i za splunięcie pułkownikowi w twarz zostaje skazana przez tegoż na dwadzieścia pięć uderzeń wyciorem. Wtedy coś w doktorze pęka, Jaszwin zabija pułkownika Petlury i ucieka:

„Jedną kulę wpakowałem mu chyba do ust: pamiętam, że kiwał się na taborecie i krew płynęła z warg, potem natychmiast ukazały się zacieki na piersi i brzuchu, oczy mu zgasły i z czarnych zrobiły się mlecznobiałe, potem spadł na podłogę. Pamiętam, że strzelając, bałem się stracić rachubę i wypuścić siódmą kulę, ostatnią. »Oto i moja śmierć« – myślałem, a z rewolweru wydobywał się przyjemny zapach dymiącego prochu. Drzwi zatrzeszczały, ale ja, wybijając nogami szybę, wyskoczyłem przez okno. Los okazał się dla mnie łaskawy. Trafiłem na podwórko i, mijając sągi, wybiegłem na czarną ulicę" (przeł. Ałła Sarachanowa).

Tacy bliscy Bułhakowowi ludzie zdolni byli do podobnego odwetu jedynie w literaturze. Co nie przeszkadza temu, że również i za podobne sceny – choćby nawet całkowicie logiczne i moralnie usprawiedliwione w obrębie samej akcji utworu – dziś Bułhakow bywa powszechnie oskarżany o ukrainofobię.

ECH, POLACY, POLACY, A FE!

Nic na to nie poradzimy, że Michaił Bułhakow postrzegał Symona Petlurę jako symbol zniszczenia dawnego życia i domu, rozpadu wszelkiego ładu, chaosu oraz „diabelskiej siły" podczas lat wojny domowej na Ukrainie. W powieści „Biała gwardia" Petlura został ukazany jako wroga siła oblegająca Kijów, przy czym jego żołnierze przedstawieni tam zostali jako uosobienie buntu mas – zawsze pisarzowi nienawistnego, niezależnie od narodowości czy ideologicznego sztandaru. Ponieważ zaś Kijów został zawładnięty przez bolszewików później aniżeli Petersburg i Moskwa, tym bardziej stanowił dla urodzonego tu Bułhakowa ostatni bastion dawnego, monarchicznego – a zarazem i domowego – porządku.

Kijów – w „Białej gwardii" wymieniany zawsze jedynie jako Miasto, czyli wzorzec wszelkiej kultury i ładu – w okresie wielkiej zawieruchy wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Lata 1917–1920 to jeden z najbardziej burzliwych rozdziałów w historii Kijowa – miasto zmieniało władcę kilkanaście razy w ciągu zaledwie trzech lat, stając się areną ścierania się co najmniej sześciu sił: Centralnej Rady, hetmanatu generała Pawło Skoropadskiego, Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej, bolszewików, białogwardzistów Denikina, a wreszcie sprzymierzonych wojsk Petlury i armii polskiej, które zdobyły miasto w maju 1920 roku, lecz już miesiąc później zostały ostatecznie wyparte przez bolszewików.

Cały ten kołowrót wydarzeń Bułhakow ujął ironicznie w jednym fragmen-

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

cie szkicu „Miasto Kijów”, napisanego w 1923 roku – a więc w czasie powstawania ostatecznej redakcji „Białej gwardii”:

„Jak obliczyli sami kijowianie, władza zmieniała się u nich osiemnaście razy. Niektórzy ze wspominaczy-uciekinierów naliczyli tych zmian dwanaście, ja zaś stwierdzam z całą stanowczością, że czternaście, przy czym dziesięć przeżyłem na własnej skórze. (...) Wszystkie rekordy pobił osławiony buchalter, a następnie urzędnik samorządu miejskiego Siemion Wasiljewicz Petlura. Czterokrotnie zjawiał się w Kijowie i czterokrotnie go wyrzucano. Jako ostatni, już w finale spektaklu (scena czternasta) przybyli, nie wiedzieć po co, polscy panowie z dalekosiężną francuską artylerią. Spacerowali po Kijowie przez półtora miesiąca. Doświadczeni kijowianie przyjrzeli się ciężkim armatom i malinowym grządkom, po czym orzekli z przekonaniem: – Niedługo wrócą bolszewicy.

I wszystko sprawdziło się, jak w świętej przepowiedni. W połowie drugiego miesiąca, pod bezchmurnym niebem, radziecka kawaleria Budionnego zajechała Bóg wie gdzie i panowie w ciągu kilku godzin porzucili zaczarowane miasto” (przeł. Andrzej Drawicz).

A im dalej, tym ciekawiej:

„Wszyscy ci, którzy odwiedzali Kijów wcześniej, opuszczali miasto w sposób przyzwoity, ograniczając się do stosunkowo nieszkodliwej kanonady sześciocalówek spod Swiatoszyna, natomiast nasi zeuropeizowani kuzyni postanowili się widać pochwalić swymi materiałami wybuchowymi, bo wysadzili trzy mosty na Dnieprze, przy czym most wiszący [ów Most Łańcuchowy – G.P.] zniszczyli doszczętnie. I po dziś dzień zamiast tej wspaniałej konstrukcji, która była dumą Kijowa, sterczą z wody szare, ponure filary.

Ech, Polacy, Polacy, a fe! Naród rosyjski podziękuje wam za to z głębi serca. Ale nie martwcie się, mili kijowianie, przyjdzie czas, kiedy Polacy przestaną się na nas gniewać i zbudują nam nowy most, jeszcze lepszy niż tamten, i w dodatku za własne pieniądze. Bądźcie spokojni, tylko trochę cierpliwości”.

W KIJOWIE NASTAŁA GROŹNA HISTORIA

W tym samym szkicu pisarz wspominał Kijów z niezwykłą czułością graniczącą z bólem – wiosenne ogrody kwitnące białym kwieciem, zieleń Ogrodu Carskiego, słońce rozpalające okna, Dniepr i jego zachody, oświetlony elektrycznie krzyż świętego Włodzimierza zawieszony wysoko nad czarnogranatowymi nocami. Miasto piękne, miasto szczęśliwe – matka grodów ruskich, w której beztroskie młode pokolenie żywiło przekonanie, że całe życie upłynie cicho i spokojnie. A wyszło – jak z bólem konkludował mieszkający już wtedy w Moskwie Bułhakow – zupełnie odwrotnie: czasy legendarne urwały się gwałtownie, a na ich miejsce nastała nagle groźna historia.

W szkicu „Miasto Kijów” czytamy jeszcze: „Kiedy grom z jasnego nieba (bo nawet niebiańska cierpliwość ma swój kres) zniszczy wszystkich co do jednego współczesnych pisarzy i za jakieś pięćdziesiąt lat zjawi się nowy, prawdziwy Lew Tołstoj, powstanie fascynująca księga o wielkich kijowskich bojach”.

Nie kryję, że dla mnie takim „nowym Tołstojem” pozostaje Bułhakow – także jako autor „Białej gwardii”. A również jako ten, który w 1923 roku w szkicu „Miasto Kijów” napisał: „Kijowskie władze komunalne wykazują objawy przypływu energii. Jeśli Bóg da, wszystko będzie dobrze i z biegiem czasu odbuduje się, co trzeba. Już teraz w kijowskich

• **Michaił Bułhakow (1891-1940), pisarz, dramaturg, lekarz, kijowianin i moskwianin**
FOT. XX

• **Tatiana Łappa (1892-1982), pierwsza z trzech żon Bułhakowa**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

mieszkaniach płonie światło elektryczne, z kranów płynie woda, przeprowadza się remonty, ulice są czyste i jeżdżą po nich wspomniane już, dzwoniące tramwaje”.

Tyle że lista najazdów na Kijów, którą Bułhakow uznał za zamkniętą w czternastej scenie, doczekała się niestety dalszych, bardzo krwawych aktów. Najpierw jesienią 1941 roku, gdy weszli Niemcy, ze swastykami, a obecnie – po 24 lutego 2022 roku – gdy dobijali się do miasta Rosjanie z literą Z na czołgach. Jednak doświadczeni Kijowianie i tym razem wiedzą, czym to się skończy.

•

Warto przypomnieć, że jeszcze u początków obecnej wielkiej wojny, w wywiadzie udzielonym 27 marca 2022 roku rosyjskim antywojennym dziennikarzom, prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski opowiadał o potwornym rozłamie kulturowym i historycznym między Ukrainą a Rosją – i o tym, że będzie on trwał jeszcze bardzo długo, i że dopiero dzieci i wnuki obu narodów będą musiały kiedyś na nowo budować porozumienie. Roztropnie zauważył – odwołując się przy tym do profesora Preobrażeńskiego z „Psiego serca” Bułhakowa – że *razrucha* (zamęt) istnieje przede wszystkim w głowach... A najbardziej oczywiście w tej jednej, najwyższej głowie – którą los, jak uczy Bułhakow, zawsze w końcu dopadnie, choćby się wydawała najpotężniejsza na świecie.

Może wystarczy zwykły spacer z Kremla ulicą Małą Bronną na ciągle te same Patriarsze Prudy? ●

Grzegorz Przebinda

• rusycysta i historyk idei, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, współautor (wraz z Leokadią Anną Przebindą i Łukaszem Przebindą) najnowszego przekładu „Mistrza i Małgorzaty” Michaiła Bułhakowa.

Antypolityka historyczna

Spowiedź z cudzych grzechów

Prezydent Karol Nawrocki i jego współpracownicy demonstrują – nie wiem, czy w pełni świadomie – bardzo starą i bardzo niebezpieczną postawę wyższościową wobec Ukrainy.

Janowski

Publikujemy powtórnie felieton Macieja Janowskiego, ponieważ z powodu błędu technicznego tydzień temu ukazał się omyłkowo z podpisem „Andrzej Brzeziecki”. Obu autorów oraz Czytelników przepraszamy.

Ogłoszony przez prezydenta Karola Nawrockiego zamiar odebrania prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego, nawet gdyby ostatecznie nie został zrealizowany, jest jednym z najszkodliwszych posunięć obecnego prezydenta RP (wziąwszy pod uwagę weto w sprawie SAFE, konkurencja jest duża). Odebranie orderu jest afrontem tak niesłychanym, że może być wykonane chyba tylko wobec notorycznego przestępcy. Jak to wpłynie na stosunki polsko-ukraińskie, szkoda gadać.

Słowa Karola Nawrockiego były reakcją na nadanie przez prezydenta Ukrainy jednostce wojskowej nazwy bohaterów UPA. Pewnie, że lepiej, gdyby tej nazwy nie nadano, jednak również nasi bohaterowie mogą budzić sprzeciw u innych narodów i trzeba z tym żyć.

Tymczasem Ukraińcy nadal stoją – trudno wciąż powtarzać te banały, ale widać trzeba – przed groźbą unicestwienia narodu. W tej sytuacji potrzeba symboli narodowych jest paląca i przy ich ocenie nie wolno nam, w bezpiecznej Polsce, stosować normalnych pokojowych kryteriów. Te zaś polskie ugrupowania polityczne, co gloryfikują Narodowe Siły Zbrojne, szczególnie kolaborancką Brygadę Świętokrzyską, powinny trzy razy ugryźć się w język, zanim zaczną pouczać inne narody, które organizacje można czcić, a których nie.

Duch Stańczyka u Wyspiańskiego w „Weselu” (akt II, scena VII) wyrzuca Dziennikarzowi demagogię i ironizuje, jak łatwo i przyjemnie jest „za swojego bliskiego uczynić publiczną spowiedź” – „spowiedź [...] cudzych grzechów” (słabszym z teologii przypominam, że spowiedź z definicji dotyczy jedynie występków własnych, nie cudzych).

Otóż pouczanie Ukraińców, jak mają się rozliczyć ze zbrodnią wołyńską, to jest właśnie spowiedź z cudzych grzechów. Każdy naród ma w swej historii rzeczy dobre i złe i każdemu narodowi potrzebni są ludzie, którzy zwracają na te złe uwagę. Ale to muszą być przedstawiciele danego narodu, nie sąsiedzi. Wskazywanie na zło w ukraińskiej historii jest naturalnym zadaniem ukraińskiej inteligencji, podobnie jak wskazywanie na zło w historii Polski jest zadaniem inteligencji polskiej.

Prezydent Karol Nawrocki i jego współpracownicy demonstrują – nie wiem, czy w pełni świadomie – bardzo starą i bardzo niebezpieczną postawę wyższościową wobec Ukrainy. Okazują niezachwiane przekonanie, że my w stosunkach z Ukrainą jesteśmy stroną pokrzywdzoną, że Ukraińcy muszą nas przeprosić, a wtedy my, ewentualnie, z naszej pańskiej łaski, Ukraińcom wybaczymy, opatrując to wybaczenie tysiącem warunków, i ciągle stawiając nowe, tak aby nigdy do końca Ukraińcy nie mieli poczucia, że sprawa jest już zamknięta; by ciągle można było stawiać nowe żądania.

Innymi słowy, postawa polskiej prawicy buduje w społeczeństwie polskim przekonanie, że historyczne stosunki polsko-ukraińskie są mniej więcej takie jak historyczne stosunki polsko-niemieckie, tj. że Ukraińcy, podobnie jak Niemcy, są narodem, który Polaków prześladował, i że winni są Polakom choćby symboliczne – a może i nie tylko, choć o odszkodowaniach od Ukrainy na razie się nie mówi – zadośćuczynienie.

Otóż chciałbym przypomnieć, i to nie po raz pierwszy, rzecz banalną: przez kilkaset lat to Rusini byli pod panowaniem polskim, nie odwrotnie. Oczywiście jest tysiąc niuansów – Rzeczpospolita była państwem wielonarodowym, nie tylko polskim, a ruska szlachta zachowywała swą kulturę (o czym mówią świetne prace ukraińskich historyczek Natalii Jakowenko i Natalii Starczenko). Jednak przecież nie była to rzeczpospolita równouprawnionych wolnych narodów (być może stałaby się taką, gdyby ugoda hadziacka doszła do skutku). Była krajem polskiej dominacji, nie bezwzględnej, nie całkowitej, ale wyraźnej. W efekcie duża część historii stosunków polsko-ukraińskich (polsko-ruskich, polsko-kozackich itp.) jest dla Ukraińców dziedzictwem upokorzenia. Przerażająco zapadło w świadomość zbiorową obu narodów przekonanie, że Polacy to panowie, Rusini to chamy.

O tym, jak strasznie takie spojrzenie utrudniało jakikolwiek kompromis w okresie międzywojennym, możemy wyczytać w świetnej książce prof. Włodzimierza Mędrzeckiego o inteligencji polskiej na międzywojennym Wołyniu. Teraz, kiedy Ukraińcy mają niepodległe państwo, kiedy z powodzeniem walczą z Rosją – bohatersko oddając życie również za nas wszystkich – te stereotypy się powoli zacierają. Wyższościowa postawa Karola Nawrockiego budzi je ponownie. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl 742b61cb94

weekendówka

NIE PRÓBUJ, ROZWIĄŻ „WEEKENDÓWKĘ”

Rób coś lub nie rób, nie ma próbowania” – takie słowa słyszy Luke Skywalker od mistrza Yody w filmie „Imperium kontratakuje”, gdy następują ewidentne problemy z podniesieniem myśliwca z bagien planety Dagobah. Potem Yoda podniesie pojazd siłą Mocy, a na słowa zaszokowanego Luke’a „Nie wierzę”, odpowie: „I dlatego ci się nie udaje”.

„Pamiętaj, czego się nauczyłeś! Ocalić cię to może” – to znów Yoda w tej samej części sagi „Gwiezdnych wojen” instruuje Luke’a, kiedy ten zdecydował się ruszyć na pomoc swoim przyjaciołom w Mieście w Chmurach, gdzie Land Carlissian ugiął się pod groźbami Dartha Vadera i wydał mu Hana Solo, Leię, Chewbaccę i C-3PO.

„Ostrożny bądź Anakinie, gdy przyszłość wyczuwasz. Strach przed stratą to ścieżka na Ciemną Stronę. Naturalną częścią życia śmierć jest. Ciesz się z tych wokół ciebie, którzy przemieniają się w Moc. Nie opłakuj ich, nie tęsknij za nimi. Przywiązanie prowadzi do zazdrości. Cieniem chciwości jest ono.” („Zemsta Sithów”) to Yoda do Anakina Skywalkera, ojca Luke’a i Lei, przyszłego Dartha Vadera, który targany jest wątpliwościami dotyczącymi przyszłości i tym, co może stać się z jego żoną Padme.

„Naucz się porzucać wszystko to, co boisz się utracić (Zemsta Sithów) – Yoda poucza Anakina, dręczonego ponurymi wizjami śmierci Padme. Nie namawia go, by nie kochał i nie dbał o innych, ale by nauczył się akceptować rzeczy, na które nie ma wpływu.

Mądry mistrz Zakonu Jedi, chowający w zanadrzu rady na każdą okoliczność i czas, to jedna z najważniejszych postaci „Gwiezdnych Wojen”, choć w sumie w oryginalnej trylogii pojawia się raptem przez kilkanaście minut. W pierwszej części nie ma go wcale, w „Powrocie Jedi” ma krótką scenę na Dagobah i moment, w którym umiera, głównie widzimy go w „Imperium kontratakuje” (nie tylko dlatego uważam, że to najlepsza część). Mimo to stał się ikoną, a w nowych częściach dostał już znacznie więcej czasu antenowego.

Twórca sagi, George Lucas chciał, by w filmach pojawił się mędrzec przypominający Dalaj Lamę i reprezentujący wschodnie mądrości. Trudno dziś uwierzyć, że początkowo, w roboczych scenariuszach nazywany był Buffy (sic!). Skąd ostatecznie Yoda? Być może tropem jest sanskryckie słowo yodha oznaczające wojownika tudzież hebrajskie yodea – „ten, który wie”. Bo Yoda rzeczywiście wiedział sporo, a wojownikiem też był wybitnym – zresztą jego niepozorna postać też była radą, by nie sądzić nikogo po pozorach.

A skąd dziś Yoda w „Weekendówce”? Otóż dlatego, że dziś przypada Święto Dobrych Rad. Uważne oko naszych Czytelników pewnie spostrzeże, że temat ów eksplorowaliśmy już tutaj, ale uznaliśmy go za wyjątkowo wdzięczny, a sam diagram i określenia (poza dwoma) są zupełnie nowe. A zatem, powodzenia i niech Moc będzie z Wami!

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

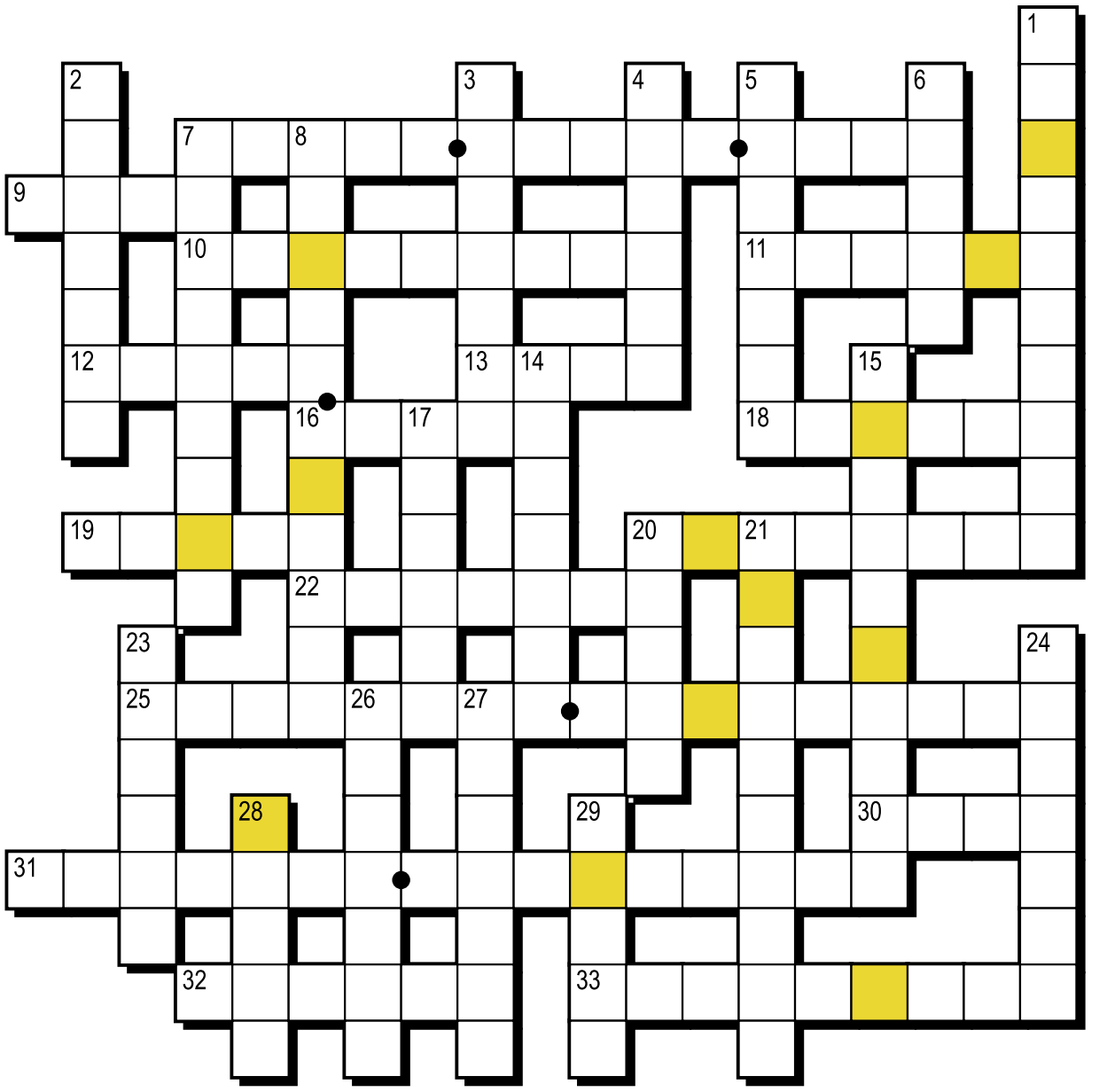

DASZ RADĘ!
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) milicjant Lech Ryś, epizodyczna postać z komedii „Miś”
9) ... doradczy (prawo zgłaszania uwag, ale bez podejmowania decyzji)
10) o radach – właśnie się z nią mierzysz
11) pierwszy ..., wspiera kapitana statku i służy mu radami
12) śpiewa piosenkę „Brooklyńska rada Żydów”
13) potocznie: dobre przyjaciółki (poplotkują, poradzą)
16) wsparcie kogoś, czynem albo dobrą radą
18) członek rady starców w starożytnej Sparcie
19) ... wyborczy, tu oddamy głos na kandydata do rady miasta
20) serialowy bohater, kreatywnie radził sobie w najgorszych opałach
22) „Dobre rady Johna Wilsona” i „Szkolny poradnik przetrwania”
25) Rada ..., decyduje o wysokościach stóp procentowych (wpisujemy w mianowniku)
30) „... rządzi, ... radzi, ... nigdy was nie zdradzi!” („Seksmisja”)
31) nazywano go Krajem Rad
32) państwo młodzi radzi, goście radzi – czyli udane!
33) poradziła klientce, które tabletki kupić

Pionowo:
1) udziela rad kursantowi
2) nie oceniaj po niej książki (życiowa porada)
3) szwankuje u tych, co czekają w poradni na wizytę (zdrobniale)
4) ... doradcze, grupy osób wspierające decydentów
5) rada państwowa w starożytnych Atenach
6) ... prawny, sprawdzi projekt umowy, przygotuje pismo procesowe
7) rada
8) Rada ..., wprowadziła reformę zasad pisowni od 1 stycznia 2026 r.
14) podjęta przez radę gminy podczas sesji
15) naradzają się, czy oskarżony jest winny (ława ...)
17) służą radą z racji wielkiej wiedzy i doświadczenia; tęgie głowy
20) Rada ... Narodowych (RMN, w mianowniku)
21) przebiegły typek, zawsze sobie poradzi, nawet czyimś kosztem; spryciarz
23) sporządzona przez biegłego sądowego
24) ma swoją radę, która wspiera proboszcza
26) na kartach jego powieści miała miejsce narada u Elronda
27) ... Neo-Nówka, zaprasza na skecz „Rada pegagogiczna”
28) ... Dobrych Rad – 13 czerwca
29) naradzające się dowództwo wojsk

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 208 z 6.06:

Poziomo: 3) Astrid Lindgren 9) ryba 12) Mara 13) Komitet Noblowski 14) niewola 15) Olandia 17) narty 18) rytmy 20) muppet 22) okna 25) uczony 27) Alban 29) Oscary 30) tor 31) prom 32) most 33) Casablanca 35) Hanks 37) Riksdag 38) Anders 39) Martin

Pionowo: 1) cieśnina 2) kryminały 4) Sztokholm 5) rakieta 6) domek 7) drabinka 8) Nilsson 10) Bornholm 11) Roxette 16) drewno 17) nakładanie 19) terb 21) poziomki 23) asy 24) botanik 25) Uppsalka 26) Ystad 27) Armand 28) aktor 34) Lars 36) fan

Hasło: AMBITNE KINO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34426992

Słówko
Wybierz słowo, sprawdzaj litery i kombinuj, aż skończą Ci się próby

Literówka
Kilka liter i jedno zadanie: ułożyć jak najwięcej słów

Jeszcze więcej rozrywki w Aplikacji Wyborczej
Szukaj w aplikacji

Zakreślanka

Skojarzenia

1 RP

eprasa.pl 742b61cb94

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

Silne i sprawcze

– z Krystyną Komosą i Izabelą Dembińską, matką i córką, położnymi, rozmawia Magdalena Karst-Adamczyk

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 24 (1395) SOBOTA – CZWARTEK, 13-18 CZERWCA 2026

Tak czy siak

KATARZYNA PAWŁOWSKA

Tak czy tak pani urodzi, czy będzie przy tym położna, czy nie" – powiedział mi kiedyś minister zdrowia Bolesław Piecha. Przyszłam do niego na wywiad w zaawansowanej ciąży, na tydzień przed porodem, porozmawiać o opłatach, których szpitale wymagały, jeśli kobieta chciała urodzić po ludzku – z bliską osobą, z zaufaną położną, w jednoosobowej sali itp.

Ale nie o opłatach chciałam dziś napisać. Zacytowałam ministra Piechę, bo jego zdanie świetnie obrazuje podejście kolejnych decydentów do tego, co wiąże się z obsługą porodów, albo, szerzej, ze zdrowiem kobiet. Teraz doszli do wniosku, że zaoszczędzą na położnych. I tak mało dzieci się rodzi, a jak już któraś będzie chciała, to tak czy tak urodzi, jak chciał pan minister.

A to, co się wiąże z opieką nad rodzącą? To, co może im dać tylko dobra położna – fachową opiekę, obecność, zrozumienie? W końcu chodzi o jedno z najważniejszych doświadczeń w naszym życiu. O to, czy stanie się dla nas koszmarnym wspomnieniem, czy wprost przeciwnie, momentem, który nas wzmocnił i poczułyśmy się sprawcze.

Niedawno Ministerstwo Zdrowia przedstawiło projekt nowej ustawy o zawodzie pielęgniarki i położnej. Jeśli wejdzie w życie, zmieni sposób kształcenia położnych. Będzie on, niestety, słabszy, bo znacznie krótszy.

O tym, jak wygląda praca położnych, co dają kobietom w czasie porodu i nie tylko, opowiadają w tym wydaniu „Wysokich Obcasów" matka i córka, Krystyna Komosa i Izabela Dembińska. W rozmowie z Magdaleną Karst-Adamczyk opisują tę ciężką, ale jednocześnie tak potrzebną i dającą wiele satysfakcji pracę. Za którą kobiety są położnym bardzo wdzięczne.

Ale politycy myślą inaczej. „W tym kraju ciągle liczy się porody, a nie kobiety. I Ministerstwo Zdrowia zdaje się w ogóle nie wiedzieć, czym zajmuje się położna" – mówi Izabela Dembińska.

„Położna zajmuje się nie tylko ciążą, okresem okołoporodowym i połogiem, ale też okresem dojrzewania, okresem prekoncepcyjnym, później menopauzalnym" – dopowiada Krystyna Komosa, matka Izabeli. „Towarzyszymy kobiecie przez całe życie".

Ale o tym, że kobieta w menopauzie może pójść do położnej i uzyskać pomoc, to już naprawdę niewiele osób wie. Albo o tym, że istnieją położne – fizjoterapeutki ginekologiczne, które pomagają, gdy pojawia się np. nietrzymanie moczu albo inne dolegliwości związane np. z dnem miednicy. O tym też mało kto wie.

Oczywiście, tak czy tak urodzimy, z położną czy bez, z niedokształconą pomocą czy bez. Tak czy tak jakoś tego noworodka wykarmimy. Tak czy tak jakoś przez tę menopauzę przejdziemy, nawet jeśli nikt nam objawów nie zdiagnozuje i nie powie, jak sobie z nimi poradzić.

Ale czy o to chodzi w cywilizowanym świecie, żeby było „tak czy tak"? Czy jednak o to, żeby było dobrze, fachowo, z troską?

Chyba nie ma zawodu bardziej nastawionego na zdrowie i dobrostan kobiet niż położna. Zadbajmy o nie, póki jeszcze jest czas. ▲

Katarzyna Pawłowska – zastępczyni redaktorki naczelnej „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE: Michelle Pfeiffer:** Aktorka wszechstronna • **Agnieszka Żulewska:** Z piaskiem w butach ■ **TEMAT NUMERU:** Gaslighting to manipulacja. Anna Wendzikowska, Ania Rusowicz, Joanna Racewicz, dr Małgorzata Gamian-Wilk ■ **TWARZE:** David Attenborough, Lisa Kudrow, Anna Starmach, Wojciech Tochman, Dawid Ogrodnik, Maria Przybyłko-Potocka
■ **PSYCHOLOGIA:** Powrót do matki - reportaż. Felietony: Katarzyna Kucewicz, Olga Woźniak
■ **KULTURA:** Agnieszka Drotkiewicz, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Boćkowska
■ **MODA:** Koreańskie inspiracje ■ **PODRÓŻE:** Austria ■ **KUCHNIA:** Pastaman

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Katarzyna Pawłowska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 24 (1395)
NA OKŁADCE:
KRYSTYNA KOMOSA I IZABELA DEMBIŃSKA
FOT. ANNA WIBIG

LIST TYGODNIA

AI a sprawa polska

To już trochę spóźniony głos, ale myślę, że debata na temat AI wcale się nie skończyła. Będzie się toczyła coraz intensywniej, biorąc pod uwagę fakt, że jesteśmy przedostatnim krajem w Europie, jeśli chodzi o wykorzystanie AI na co dzień.
Mnie burza wokół wypowiedzi Olgi Tokarczuk powiedziała o nas kilka rzeczy. Zauważyłam przede wszystkim, że sporo osób nie poznało żadnych narzędzi AI, oprócz chata GPT czy asystenta Google. I stąd też ich oburzenie – nie wiedzą, jak się pracuje z AI, więc projektują na te narzędzia wizje z filmów S-F. A przecież AI nie napisze zamiast nas książki, nie tylko na poziomie Tokarczuk, ale nawet na znacznie niższym. Bo stylistycznie nadal nie pisze najlepiej. To się na pewno będzie zmieniać, ale nie wiem, czy osiągniemy stan, w którym nie będzie można odróżnić stylu Clauda od naszego własnego stylu pisania.
Po drugie, wzburzenie na to, że generatywna sztuczna inteligencja karmi się za darmo treściami, które stworzyli pisarze, dziennikarze, artyści. Też uważam, że to oburzające, ale wydaje mi się, że w tej chwili już nic na to nie poradzimy. Warto pomyśleć, jak korzystać z AI, żeby nasze utwory lepiej docierały do ludzi.
Za każdym razem, gdy następowała rewolucja techniczna czy technologiczna, ludzie się oburzali. Stereotypowi już są luddyści niszczący maszyny, potem było wiele takich zmian. Schemat jest zawsze podobny. Nowe rozwiązania zmieniają nasze życie, a my uczymy się z tymi zmianami żyć.
Oburzenie nic nam nie da. Albo się nauczymy z AI mądrze korzystać, albo inni się tego nauczą, a my będziemy się oburzać w kąciku. ▲ **Eliza R.**

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw dermokosmetyków Sesderma REPASKIN – krem i spray, oraz książkę „Samotność Sonii i Sunny'ego" Kiran Desai, Wydawnictwo Literackie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE

ZAWÓD: POŁOŻNA

Jaka matka, taka

W tym kraju ciągle liczy się porody, a nie kobiety. I Ministerstwo Zdrowia zdaje się w ogóle nie wiedzieć, czym zajmuje się położna

córka

Z **KRYSTYNĄ KOMOSĄ** I **IZABELĄ DEMBIŃSKĄ**,
MATKĄ I CÓRKĄ, POŁOŻNYMI,
ROZMAWIA **MAGDALENA KARST-ADAMCZYK**
ZDJĘCIA **ANIA WIBIG**

j

Jak wspominasz swój pierwszy poród, Izo?

IZABELA: Córkę urodziłam pod siebie, bo był to poród na stojąco. Gdy spojrzałam na nią po raz pierwszy, pomyślałam: ma oczy ojca. To było piękne doświadczenie. Na tyle piękne, że pod jego wpływem zmieniłam zawodowe plany – byłam wówczas na piątym roku psychologii, a po porodzie poszłam na położnictwo.

Co spowodowało tę zmianę?

IZABELA: Poczułam się silna i sprawcza jak nigdy wcześniej. Pomyślałam, że każda kobieta ma prawo w taki sposób doświadczyć porodu. I ma prawo do takiej opieki, jaką ja dostałam.

Pani Krystyno, jak to wyglądało z pani perspektywy?

KRYSTYNA: Miałyśmy rodzić w domu, więc to było podwójne wyzwanie: po pierwsze, własna córka, po drugie, środowisko domowe.

Córka rodziła szybko, szczególnie jak na pierwiastkę. Najpierw, koło czwartej, zadzwoniła, że się zaczęło, po godzinie było jasne, że poród mocno przyspiesza. Mieszkałyśmy blisko siebie, więc pobiegłam do niej, zbadałam i zabrałam do swojego mieszkania, bo zaplanowałyśmy, że poród odbędzie się u mnie. I tak do pewnego momentu było – Iza rodziła, aż doszła do ośmiu czy dziewięciu centymetrów rozwarcia. Nie miałyśmy jednak dodatkowej osoby do asysty na drugi okres porodu, poza tym w międzyczasie zadzwoniła do mnie pacjentka z informacją, że zaczyna rodzić. Tamten drugi poród dopiero się rozkręcał, nie było żadnego pośpiechu, ale ostatecznie – już na samą końcówkę – pojechałyśmy z Izą do szpitala.

IZABELA: Gdyby to działo się dziś, pewnie nie wyszłabym z domu, ale wtedy sama do końca nie wiedziałam, jak chcę urodzić. Oddałam tę decyzję mamie.

Zresztą mama jako położna nie tylko przyjmowała mój poród, ale też prowadziła ciążę – do lekarza chodziłam tylko na badania USG. 20 lat temu to nie była zbyt popularna praktyka.

Czy decyzja o tym, że to mama będzie towarzyszyła ci w czasie ciąży i porodu, była oczywista, czy była okupiona rozterkami?

IZABELA: To była oczywista decyzja oparta na zaufaniu. Zależało mi na jak najbardziej naturalnym i jak najmniej zmedykalizowanym porodzie. Ale gdyby np. mama zdecydowała, że robimy cesarskie cięcie, poszłabym za nią, bo to oznaczałoby, że naprawdę trzeba ciąć.

Pani Krystyno, jakie emocje towarzyszą położnej, która przyjmuje poród własnej córki? I co zadecydowało, że poród jednak odbył się w szpitalu?

KRYSTYNA: Z jednej strony byłam spokojna, z badań USG i przebiegu ciąży wynikało, że dziecko powinno się urodzić zdrowe. Z drugiej – dopiero po narodzinach wiemy to na pewno. W swojej praktyce zawodowej widziałam wiele. No i 80 proc. mojego doświadczenia to praca przy porodach w szpitalu, sporadycznie przyjmowałam porody w domu. Pamiętajmy też, że działo się to 19 lat temu. Gdzieś tam dręczyła mnie myśl: co powiem córce, jeżeli coś pójdzie nie tak?

IZABELA: Moje wspomnienia są takie, że mama, gdy przyjmowała mój poród, nie występowała w roli mamy, lecz w roli położnej. Potem jej koleżanki, które widziały kulisy, opowiadały: Krysia cały czas trzymała się sztywno, ale jak już mała się urodziła, wyszła z sali i się rozpłakała.

KRYSTYNA: Podczas porodu Izy koncentrowałam się na zadaniu. Emocje przyszły później. Dziś uważam, że narodziny Nadii, a potem moich kolejnych wnuków – Leona i Wiktora – to najpiękniejsze wspomnienia z mojej pracy jako położnej.

Izo, dlaczego, będąc córką położnej, przez wiele lat nie myślałaś, by pójść w ślady mamy?

IZABELA: Jako dziewczynka i nastolatka widziałam przede wszystkim koszty tej pracy, tzn. widziałam zmęczoną mamę, której brakuje siły, by spędzać z nami czas.

Dziś widzę więcej. Wiem, że praca położnej jest bardzo ciężka fizycznie i psychicznie, bo na porodówce położna jest odpowiedzialna za dwa życia i bywa, że towarzyszy kobiecie w traumatycznej chwili, jaką jest urodzenie martwego dziecka lub śmierć dziecka tuż po porodzie. Sama jako położna tego doświadczyłam i uważam, że położne powinny mieć zapewniony systemowo dostęp do superwizji, do psychologa, bo to wszystko bardzo obciąża głowę i łatwo się w tej pracy wypalić.

Poza tym praca na porodówce często jest pracą na telefon, szarpaną, nigdy nie wiadomo, kiedy się zacznie, a kiedy skończy.

KRYSTYNA: Nie zliczę, ile razy przekładaliśmy urodziny, bo sprawy pacjentek były dla mnie ważniejsze. Prawda jest taka, że przez pracę byłam często w życiu dzieci nieobecna. Dbałam, żeby miały ugotowane, wyprane, żeby zeszyty były sprawdzone, ale jak się przewróciły albo koleżanka czy kolega powiedzieli coś przykrego, to mnie przy nich nie było.

IZABELA: Myślę, że na dziecko działa to destrukcyjnie i bardzo zaburza jego poczucie bezpieczeństwa. W dorosłym życiu nauczyłam się z tego żartować i mówiłam np., że dlatego tak wcześnie zaszłam w ciążę – a urodziłam Nadię w wieku 22 lat – bo wiedziałam, że mama znajdzie dla mnie czas dopiero wtedy, gdy zostanę jej pacjentką.

Zabawne. I smutne.

KRYSTYNA: Iza, gdy była młodsza, często powtarzała, że takiej pracy na pewno nie będzie wykonywać.

IZABELA: A kiedy ostatecznie zostałam położną, po pewnym czasie zdecydowałam, że nie będę pracować w szpitalu, w trybie zmianowym, bo chcę, żeby moje dzieci miały stabilny dom, czyli coś, czego ja nigdy nie miałam.

mgr IZABELA DEMBIŃSKA

położna, specjalistka pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego, psycholożka, bodyworkerka, szkoleniowiec, Spinning Babies Certtifited Parent Educator, autorka poradników dla rodziców. Prowadzi na Instagramie popularny ekspercki profil, który śledzi blisko 120 tys. osób. Prywatnie żona, mama nastolatków, pasjonatka sportów sylwetkowych i nurtu longevity

mgr KRYSTYNA KOMOSA

położna, specjalistka opieki okołoporodowej, pielęgniarka. Czynnie pracuje w szpitalu od 1977 roku, w tym ponad 30 lat przepracowała na salach porodowych. Prywatnie mama, babcia i pasjonatka jogi

I muszę przyznać, że dziś zdecydowanie lepiej porozumiewamy się z mamą na gruncie położna–położna niż na gruncie matka i córka. Pewnych rzeczy jednak nie da się odzyskać.

Pani Krystyno, czy w tamtym czasie, gdy Iza była mała, miała pani poczucie straty?

KRYSTYNA: Dostrzegam to dopiero z pewnego dystansu, wtedy tego nie widziałam – zostawiałam serce w pracy. Dziś widzę, że dokonała się pewna zmiana pokoleniowa – położne dużo wcześniej odchodzą od pracy na porodówce. Ja przepracowałam na niej prawie całe zawodowe życie. Zaczynałam w latach 70., a w latach 90. – przede wszystkim za sprawą Fundacji Rodzić po Ludzku – podejście do porodów w Polsce zaczęło się zmieniać. Chciałam być częścią tej zmiany.

Fundacja Rodzić po Ludzku, która obchodzi w tym roku 30-lecie, dokonała prawdziwej rewolucji, a my, polskie matki, mamy wobec niej wielki dług. Wiem z opowieści, jak wyglądały porody mojej mamy i jej koleżanek, w latach 70. czy 80. Mój był już zupełnie inny.

KRYSTYNA: W Polsce przez lata obowiązywał jeden wzorzec: rodzisz na łóżku, ogolona przez sanitariusza, z naciętym kroczem, masz nabrać powietrza i przeć. Rodząca kobieta przez lata składała się dla personelu ze skurczy, rozwarcia i tętna płodu. Obecność partnera czy męża była zabroniona, bo uznawano, że jest „zakaźny". Zaś noworodek po porodzie był myty i zabierany matce.

Oczywiście, zaraz po wojnie, gdy śmiertelność noworodków była bardzo wysoka, takie praktyki miały sens. Ale wiedza z czasem się zmieniała, a polskie porodówki – nie. Do nas, położnych, dochodziły szczątkowe informacje z Zachodu. Próbowałyśmy tę wiedzę przenosić do polskich szpitali, tworzyć jakieś podziemie, ale nasze możliwości były mocno ograniczone. Za wszelkie odstępstwa od przyjętej normy trafiało się na dywanik do dyrektora.

Pierwsza rewolucja, jakiej dokonała Fundacja Rodzić po Ludzku, to ściągnięcie rodzących z łóżka, wprowadzenie aktywnych porodów. Pamiętam, jak doszkalałyśmy się z różnych pozycji. To był krok milowy. Potem pojawiły się porody rodzinne.

Pamiętam też, jak własnoręcznie szyłyśmy zasłony z tkaniny w misie do pierwszych pojedynczych sal porodowych.

Mentalność ludzi zmienia się trudniej niż wystrój sal. Co na to przełożeni?

KRYSTYNA: Często byli przeciwni zmianom. A my, położne, które niosłyśmy te zmiany, lądowałyśmy a to na dywaniku, a to byłyśmy karnie przenoszone na inny oddział, np. za to, że nie nacięłyśmy krocza u pierwiastki. Zdarzało się też, że neonatolog obniżał punktację Apgar u dziecka urodzonego do wody, bo takie dziecko później zaczyna krzyczeć.

I takie historie wciąż się zdarzają, choć oczywiście skala jest znacznie mniejsza. Ale byłoby kłamstwem, gdybym powiedziała, że dziś wszystkie kobiety trafią na wspaniałą opiekę. I nie mówię tylko o czynniku ludzkim, ale też o tym merytorycznym, związanym z wiedzą.

No właśnie! Przemoc położnicza to wciąż doświadczenie wielu kobiet w Polsce. Choć trzeba przyznać, że umiejętność rozpoznania przemocy doświadczonej na porodówce to też dowód zmiany. Pokolenie mojej mamy tego nie widziało.

IZABELA: Raport Fundacji Rodzić po Ludzku i raport NIK jasno pokazują, że dziś już nie ma problemu z warunkami lokalowymi czy nawet z dostępnością różnych metod łagodzenia bólu porodowego, dużym problemem pozostaje natomiast komunikacja. I ja to obserwuję w całej ochronie zdrowia. Jedna ważna zmiana jednak się dokonała – dziś nie mamy już wątpliwości, że lekarz, położna czy jakikolwiek medyk w białym kitlu nie jest autorytetem ponad wszystko, jest tylko autorytetem w danym obszarze. Wiemy też, że rozwijanie się pod kątem wiedzy medycznej to jedno, ale równie ważna w przypadku personelu medycznego jest empatia i kompetencje komunikacyjne, bo ostatecznie właśnie to kobieta będzie pamiętała z porodu. Może się zdarzyć, tak jak było w moim przypadku, że nie wszystko pójdzie zgodnie z planem, że kobieta np. urodzi w innej pozycji,

niż sobie wymarzyła, albo że pojawiają się obiektywne wskazania do nacięcia krocza, kluczowe jest jednak, jak to zostanie jej zakomunikowane i czy w ogóle, oraz czy ona przy tym wszystkim zostanie wysłuchana.

KRYSTYNA: Ważne jest zaopiekowanie kobiety na poziomie emocjonalnym. Trzeba też mieć na uwadze, że każda kobieta ma prawo wiedzieć i rozumieć, co się dzieje i dlaczego.

Niestety, wciąż zdarza się, że kobiety wychodzą z porodu, i tu przywołam ich słowa, z poczuciem, że zostały na porodówce zgwałcone lub że doświadczyły na niej tortur.

KRYSTYNA: Pamiętajmy też, że my nic nie wiemy o przeszłości seksualnej tych kobiet, o ich inicjacji seksualnej, o relacjach z obecnym partnerem. Bywa, że patrzy się na kobietę przedmiotowo, a ona na tę porodówkę przyjeżdża z bagażem doświadczeń.

IZABELA: Jest wiele rzeczy, których kobiety nie mówią, bo się wstydzą, np. o sprawach z obszaru zdrowia psychicznego. Ale otwarte, empatyczne położne są w stanie dostrzec, że coś kobietę blokuje. Spotykamy ją w chwili niezwykle intymnej, na przełomowym etapie jej życia, i od podejścia położnej w dużej mierze zależy, czy zbuduje w kobiecie siłę – czego ja właśnie doświadczyłam od mamy podczas swojego pierwszego porodu – czy też jej tę siłę odbierze. Bywa, że kobiety z szybkich, lekkich fizjologicznych porodów – jeśli zabrakło dobrej komunikacji – wychodzą z poczuciem traumy, ale bywa też – i to jest piękne – że z trudnych porodów wychodzą z prawdziwym poczuciem sprawstwa, bo personel był uważny i empatyczny.

Tymczasem Fundacja Rodzić po Ludzku wypunktowała realne, choć pozamaterialne, koszty takiego rozwiązania. Oprócz obniżenia standardów kształcenia są to: niższa jakość opieki, bezpośrednie zagrożenie zdrowia, likwidacja zawodu położnej oraz – co też ważne – lekceważenie głosu kobiet.

IZABELA: Ministerstwo ocenia wartość nas, położnych, pod kątem opłacalności, a powinno traktować jak inwestycje w obywateli, zwłaszcza w kobiety.

Ministerstwo wciąż szafuje też argumentem spadającej dzietności. To tak, jakby ktoś wpadł na pomysł: obniżmy poziom kształcenia nauczycieli, bo mamy mniej uczniów.

IZABELA: Podobnie by było, gdyby liczono strażaków w Polsce liczbą pożarów. A przecież strażak to nie tylko gaszenie pożaru. Zaś położna to nie tylko poród.

W USA czy w Hiszpanii funkcjonuje podobny system jak ten zaproponowany aktualnie przez Ministerstwo Zdrowia. I oba te kraje mają duży problem z przemocą położniczą.

IZABELA: Jeżeli zrobiliby z nas, tak jak proponuje projekt ustawy, pielęgniarko-położne, to my nie wykształcimy położnych, ale osoby z wykształceniem medycznym, które będą medycznie obsługiwać poród. Łatwo sobie wyobrazić skutki i rzeczywiście Stany Zjednoczone są tu dobrym przykładem.

Zależy mi, żeby wybrzmiała jeszcze jedna rzecz – polskie położne są dziś zatrudniane w minimalnej liczbie godzin, tzn. takiej, która pozwala jedynie zabezpieczyć pracę oddziału. Czasem kobiety mówią, że położna była niemiła, bo do nich nie przychodziła. Nie mają świadomości, jak wygląda obsługa szpitalna i że np. położna czasem ma pod sobą dwie czy trzy rodzące i jedyne, co może zrobić, to skupić się na tętnie i rozwarciu. Ideałem byłaby jedna położna opiekująca się w danym czasie jedną rodzącą.

Rodząca kobieta przez całe lata składała się dla personelu ze skurczy, *rozwarcia i tętna płodu*

Kompetentna, wrażliwa położna jest gwarantem przestrzegania wypracowanych przez lata standardów opieki okołoporodowej. Tymczasem Ministerstwo Zdrowia w połowie maja przedstawiło projekt nowej ustawy o zawodzie pielęgniarki i położnej, która, gdyby weszła w życie, zupełnie zmieniłaby sposób kształcenia położnych. W tej chwili są trzyletnie studia położnicze, które kończą się licencjatem, po nich można dalej się kształcić na studiach magisterskich. Projekt zaś zakłada trzyletnie studia pielęgniarskie wspólne dla pielęgniarek i położnych, a następnie osiemnastomiesięczne szkolenie uzupełniające z położnictwa. Położne edukowałyby się dłużej, ale do pracy w swoim fachu wchodziłyby z mniejszą wiedzą.

IZABELA: Gdy ministerstwo ogłosiło ten projekt, oniemiałam. Opublikowałam w reakcji wpis na Instagramie i powiem szczerze, że nigdy nie miałam tak wysoko zasięgowego postu, z tak merytoryczną dyskusją i komentarzami. Bardzo aktywnie wypowiadały się tam także osoby ze środowiska pielęgniarskiego, które pisały, że przy całym swoim doświadczeniu nie wyobrażają sobie, by w ciągu osiemnastu miesięcy mogły zdobyć wiedzę z zakresu porodu. A przecież to jest nie tylko poród, ale też ciąża, połóg, laktacja, noworodek i… cała kobieta.

KRYSTYNA: Podejrzewam, że pomysł ministerstwa może mieć związek z nową siatką płac i że w takim rozwiązaniu dopatrzono się zapewne jakichś oszczędności.

Mówisz, że położnych jest za mało, tymczasem ministerstwo uważa, że jest was za dużo.

IZABELA: Bo w tym kraju ciągle liczy się porody, a nie kobiety. I Ministerstwo Zdrowia zdaje się w ogóle nie wiedzieć, czym zajmuje się położna.

KRYSTYNA: A położna zajmuje się nie tylko ciążą, okresem okołoporodowym i połogiem, ale też okresem dojrzewania, okresem prekoncepcyjnym, później menopauzalnym. Towarzyszymy kobiecie przez całe życie.

W czasach ministry Izabeli Leszczyny byłyśmy o krok od wprowadzenia porady menopauzalnej do koszyka gwarantowanych świadczeń. I trzeba przyznać, że to byłaby niezła spuścizna.

IZABELA: Nowa ministra idzie w zupełnie inną stronę. A do zaopiekowania przez położne jest naprawdę wiele obszarów. Wielkim tematem są dojrzewające dziewczynki, ale też dojrzewający chłopcy. Proszę mi wierzyć, kobiety w cią-

ży przychodzą dziś do nas często z bardzo ubogą wiedzą. Tyle się mówi o edukacji zdrowotnej w szkołach, a przecież położne mogłyby doskonale merytorycznie zaopiekować ten temat i to jest wspólna sprawa nas wszystkich, bez względu na poglądy. Dalej jest niepłodność, edukacja z nią związana i przygotowywanie par do leczenia niepłodności, czyli do zabiegów inseminacji bądź in vitro. Tu też położne mają do odegrania swoją rolę. Dalej – wspomniana menopauza i perimenopauza, która rozpoczyna się u kobiet nawet 35-letnich. I w końcu – okres senioralny. Jest co robić, naprawdę, my się o brak pracy nie martwimy.

A wracając do tematu porodów i początku macierzyństwa – uważam, że należy wydłużyć czas opieki przez położne nad noworodkami – dziś zajmujemy się nimi do 8. tygodnia życia, a to powinien być cały pierwszy rok. I kolejny temat – na oddziałach neonatologii są zatrudnione pielęgniarki, a to są oddziały, na których powinny pracować położne. Pielęgniarki powinny być przesunięte tam, gdzie ich brakuje – takich obszarów jest wiele.

Od problemu spadku dzietności jednak nie uciekniemy. Co z porodówkami?
IZABELA: To jest rzeczywiście problem. Trudno oczekiwać, że szpital będzie utrzymywał porodówkę dla pięciu czy nawet dziesięciu porodów w miesiącu. Jednak położna może z powodzeniem pracować w szpitalu bez porodówki i powiem nawet, że w małych ośrodkach, z dala od dużych miast, może mieć do odegrania szczególną rolę. Jeżeli będzie znała swoją pacjentkę od wczesnej ciąży, będzie w stanie ocenić ryzyko i np. w pewnym momencie powie: słuchaj, to jest ten czas, gdy musisz jechać do szpitala do Rzeszowa. A w przypadku zdrowych ciąż może bezpiecznie przeprowadzić poród w warunkach domowych Z jednym zastrzeżeniem – w tej chwili porody domowe są usługami komercyjnymi i to powinno zostać zmienione. Warto też rozważyć powrót izb położniczych czy centrów narodzin. W przypadku kobiet z fizjologicznym okresem okołoporodowym to naprawdę dobre rozwiązanie.

KRYSTYNA: Są sytuacje, gdy poród wymaga medykalizacji, ale w większości przypadków wszystko dzieje się bardzo naturalnie. W czasie porodu ujawnia się nasz gadzi mózg, dlatego chociażby lubimy rodzić po ciemku, a wiele dzieci przychodzi na świat w nocy.

Jest jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że wiedza i kompetencje położnych są dziś bardzo potrzebne. Opisujemy w „Wysokich Obcasach" przerażające historie ze świata, gdy niekompetentne osoby zdobywają w serwisach społecznościowych gigantyczne zasięgi, a następnie udzielają kobietom w ciąży i połogu bardzo niebezpiecznych rad, które mają czasem śmiertelne skutki. Przykładem są tzw. dzikie porody.
IZABELA: Uważam, że potrzebujemy więcej ekspertów w sieci, bo dziś właśnie tam wiele osób szuka wiedzy. Czasami ktoś się oburza, bo jakiś medyk wygłupia się w rolce, ale tak skonstruowane są algorytmy. Jeżeli tylko pod spodem jest merytoryczna wiedza, uważam, że warto, a wręcz należy to robić.

Jakie są pań najpiękniejsze wspomnienia z porodów?
IZABELA: Poród domowy, który przyjmowaliśmy razem z tatą dziecka, na cztery ręce. Właściwie to tata przyjmował poród, moje ręce były potrzebne tylko po to, by dodać mu pewności i wiary w siebie.

KRYSTYNA: Tak jak wspomniałam, były to narodziny moich wnuków. To, że córka, ale też synowa mi zaufały, to dla mnie największe wyróżnienie. Poród mojego najmłodszego wnuka, Wiktora, czyli syna mojego syna, był ostatnim, jaki przyjęłam w życiu. Wiktor urodził się naturalnie, z wagą 4850, choć ostatnie USG wcale na to nie wskazywało. Poród jednak odbył się bez komplikacji.

IZABELA: Bo przyjmowała go doskonale przygotowana do swojej pracy położna. To chyba mówi wszystko. ▲

Dziękujemy Warszawskiemu Szpitalowi Południowemu za możliwość zorganizowania sesji okładkowej

OGŁOSZENIE

REBIS

Wstrząsająca i szczera historia miłosna autorki bestsellera *Jedz, módl się, kochaj*

Wypełniona emocjami powieść pełna pasji, rywalizacji i tajemnic.

16 kobiet. 16 historii. 16 rozmów o życiu, które rzadko bywa proste, jednak potrafi być piękne.

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

www.rebis.com.pl FB/DWREBIS

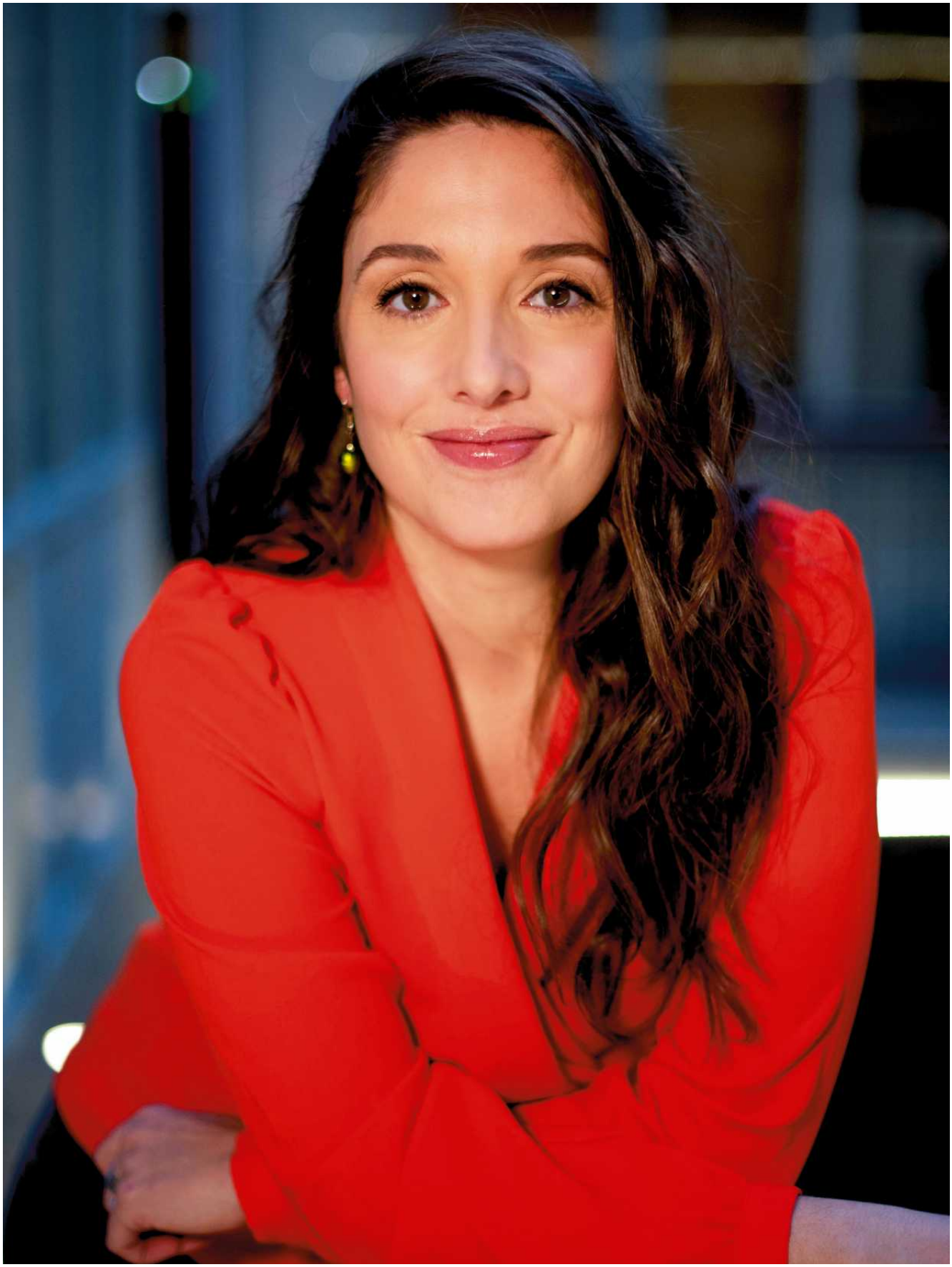

FOT. ASTRID DI CROLLALANZA

Nie chcę być pisarką *elitarną*

AI może sprawić, że przestanę zarabiać na pisaniu, bo nikt nie będzie mnie chciał wydać. Ale będę pisać dalej

Marie Vareille jest autorką kilkunastu powieści, tłumaczonych na ponad 20 języków. Sprzedały się łącznie w blisko milionie egzemplarzy, z czego ponad pół miliona we Francji. W Polsce ukazały się dotąd dwa tytuły – „Rozczarowane" i „Ostatnia zapałka". Oba tytuły łyknęłam podczas trzech długich nocy. Nie mogłam się oderwać! Czyta się je jak thrillery, ale stawką nie jest zagadka, tylko życie kobiet, ich wybory, lęki i granice wolności.

Książki Vareille mieszczą się w nurcie literatury popularnej, czasem pogardliwie nazywanej „literaturą kobiecą", ale tematycznie wchodzą w obszary, które przez lata pozostawały na marginesie: przemoc domowa widziana oczami dziecka, doświadczenie aborcji czy gwałtu. Vareille nie daje łatwych odpowiedzi, ale pokazuje, że prywatne doświadczenie kobiet nie jest „prywatne", że jest uwikłane w system, prawo, kulturę. Dlatego jest mi bliska.

Z **MARIE VAREILLE**, FRANCUSKĄ PISARKĄ, AUTORKĄ POWIEŚCI „OSTATNIA ZAPAŁKA", ROZMAWIA **ANNA PAMUŁA**

Przełożyła pani nasze spotkanie, bo zadzwonili ze szkoły i musiała pani iść z córką do lekarza. Dlatego chciałabym rozpocząć ten wywiad od pytania: jak radzi sobie pani z byciem pisarką i mamą?

– Z trudem, bo mam poczucie, że i pisanie książek, i wychowywanie dzieci, szczególnie w wieku wczesnoszkolnym, wymagają od człowieka stu procent zaangażowania. Jestem wrażliwa na hałas, chaos mnie przytłacza, więc pojawienie się moich córek było dla mnie jak pewnego rodzaju eksplozja w świecie, który wcześniej znałam i kontrolowałam. Przez pewien czas byłam przekonana, że macierzyństwo i pisarstwo się wykluczają. Ale potem się dostosowałam, jak wszyscy rodzice – w końcu uczymy się funkcjonować w tej nowej rzeczywistości.

Dziś jest już łatwiej, choć to nie znaczy, że napięcie znikło. Kiedy piszę, nie jestem mamą, a kiedy jestem mamą, nie potrafię pisać. Mój mózg nie jest w stanie robić tych dwóch rzeczy jednocześnie. To oznacza, że bardzo często pojawia się frustracja, zwłaszcza wtedy, kiedy jestem w „historii", pisanie idzie gładko, i nagle muszę przerwać, bo jest piątek, szesnasta, trzeba iść po dzieci, a potem zaczyna się weekend i wiem, że wrócę do tego dopiero w poniedziałek. A to już nigdy nie jest ten sam moment.

Jak pani pisała przed pojawieniem się dzieci?

– Mogłam pracować do drugiej w nocy, w weekendy, bez żadnych ograniczeń, i dziś czasem za tym tęsknię. Bywa, że muszę ustawiać alarm w telefonie, bo zdarza mi się stracić poczucie czasu i zapomnieć, że powinnam odebrać dzieci.

Ale to działa też w drugą stronę: są momenty, gdy czuję frustrację jako matka, zwłaszcza w czasie promocji książek, kiedy dużo podróżuję i mam poczucie, że nie jestem wystarczająco obecna, nie tylko fizycznie, ale też mentalnie. Macierzyństwo ogromnie wzbogaciło moje pisanie i mnie samą. Nie byłabym dziś tą autorką, którą jestem, gdybym nie była także matką.

Co takiego rozwinęło w pani pisarstwie macierzyństwo?

– Zaczęłam zastanawiać się nad tym, co właściwie chcę przekazać czytelniczkom i jakie są moje wartości. To pytanie o swego rodzaju dziedzictwo, ono dotyczy dzieci, ale i mojej twórczości. Takie rozważania skłoniły mnie do zadawania sobie wielu pytań o sens życia, o to, po co tu jesteśmy.

Odebrały mi pewną beztroskę, ale też zaprowadziły na ścieżkę artystyczną, której być może w ogóle bym nie obrała, gdybym nie miała tego doświadczenia.

To nie jest w żadnym razie ocena czy osąd, bo całkowicie rozumiem, że ktoś może nie chcieć mieć dzieci. Ale ja piszę moje powieści właśnie dzięki tej drodze.

Mówi się, że pisarstwo matek jest inne, bo nie może być totalne. Ktoś zawsze nam włazi do pokoju i przeszkadza, a my nie zamykamy drzwi na klucz. Toni Morrison pisała powieści na kolanie, czekając w samochodzie na dzieci, które woziła na zajęcia pozaszkolne.

– Właśnie z tego powodu, by uniknąć frustracji, piszę w godzinach szkolnych, od poniedziałku do piątku. O ósmej trzydzieści siadam przy biurku, a po siedemnastej staram się naprawdę być z dziećmi. Unikam sytuacji, w której one są w domu, a ja próbuję pracować. Mam osobny pokój, mogę zamknąć drzwi, ale i tak dochodzi do mnie hałas, ruch, życie, ale przede wszystkim ta świadomość, że one są obok i że to ja za nie odpowiadam. Przez to nie jestem w stanie osiągnąć tego samego poziomu koncentracji co w samotności. Na początku kariery pisałam równolegle z pracą zawodową. Wieczorem byłam zbyt zmęczona, więc wstawałam o piątej rano i pisałam do siódmej trzydzieści. Bardzo lubiłam ten moment dnia, sam jego początek, kiedy umysł jest jeszcze świeży, jakby „oczyszczony" przez noc, kiedy człowiek jest wypoczęty i nie niesie jeszcze ze sobą tych wszystkich drobnych frustracji i napięć, które pojawiają się później. I z tego było mi chyba najtrudniej zrezygnować. Bo oczywiście, kiedy masz niemowlę, o piątej rano albo się nim zajmujesz, albo śpisz – pisanie nie wchodzi w grę. Musiałam się z tym pogodzić.

Skoro wstawała pani wtedy o piątej rano, żeby pisać, to już od początku pisanie było dla pani czymś absolutnie niezbędnym?

– Moja pierwsza powieść została odrzucona przez wszystkich wydawców, a mimo to napisałam kolejną. Czułam, że muszę to robić. Myślałam wtedy: jeśli nie znajdę wydawcy, wydam książkę sama. Ostatecznie druga powieść została przyjęta, ale tak naprawdę to nie miało aż takiego znaczenia. Dziś często słyszę pytania, czy rozwój

AI oznacza, że nie będę mogła już pisać. A ja odpowiadam: nie, nic nie sprawi, że przestanę pisać.

Mam wrażenie, że w dyskusjach o AI nie mówi się o tym, co pisanie daje nam, pisarkom i pisarzom, o tej radości, o procesie tworzenia. Przecież to nie zniknie.
– W moim przypadku pisanie ma wymiar egoistyczny. Piszę, bo próbuję coś zrozumieć, uporządkować własne emocje i doświadczenia. Piszę o tym, co mnie zastanawia, niepokoi, przeraża. Zaczęłam pisać już w szkole podstawowej, nie były to powieści, tylko wiersze, ale po prostu musiałam przelewać myśli na papier. AI może sprawić, że przestanę zarabiać na pisaniu, bo nikt nie będzie mnie chciał wydać. Ale będę pisać dalej. Pisałam długo przed tym, zanim zostałam opublikowana, i będę pisać zawsze.

W pani powieściach, zwłaszcza w „Rozczarowanych" i „Ostatniej zapałce", zauważyłam ogromną pracę nad strukturą i napięciem, które potrafi zaskoczyć nawet pod koniec książki. „Ostatnią zapałkę" czytałam do trzeciej nad ranem! Jak wygląda to od strony warsztatowej?
– Najpierw daję żyć bohaterom, którzy zaskakują nawet mnie, autorkę. Nie piszę linearnie, od początku do końca, bo w moich powieściach często pojawia się kilka głosów narracyjnych. Mogę więc napisać trzy czy cztery rozdziały o jednej postaci, potem się zablokować i przejść do innej, a później dopiero układać je względem siebie. Dopiero na etapie porządkowania zaczynam się zastanawiać nad strukturą: co jest ujawnieniem tajemnicy, w którym momencie powinno się pojawić i jaki efekt ma wywołać u czytelnika. Czasem intuicyjnie wszystko od razu trafia na właściwe miejsce, ale bywa też, że wracam i przesuwam pewne elementy.

W pani powieściach wracają bardzo konkretne, mocne tematy, jak aborcja i gwałt w „Rozczarowanych" czy przemoc wobec kobiet i kobietobójstwo w „Ostatniej zapałce". W Polsce to są tematy kontrowersyjne, obciążone tabu i realnymi ograniczeniami prawnymi, więc tym bardziej uderzyło mnie, jak swobodnie mogą o nich rozmawiać pani bohaterki. Skąd te tematy się u pani biorą?
– Z natury jestem osobą niezależną i każda próba ograniczenia mojej wolności – na poziomie indywidualnym – jest dla mnie nie do zniesienia. Zresztą nie ma lepszego sposobu, żeby skłonić mnie do zrobienia czegoś, niż powiedzieć mi, żebym tego nie robiła. Dorastałam z trzema braćmi, jako dziewczynka mogłam robić co chciałam i bardzo silnie reaguję na wszelką dyskryminację, zwłaszcza gdy widzę, że wynika ona z płci, z narzuconych ograniczeń. To mnie naprawdę doprowadza do wściekłości, co wyraźnie pojawia się w moich książkach.

Chciałabym, żeby kobiety mogły żyć tak samo niezależnie jak mężczyźni wszędzie na świecie. A tak po prostu nie jest. I nawet jeśli we Francji jesteśmy pod tym względem w uprzywilejowanej sytuacji, to trzeba pamiętać, że Francja to tylko niewielki kawałek świata. Naiwnością jest myślenie, że prawa kobiet i szerzej, prawa mniejszości, zawsze będą się rozwijać w jednym kierunku, że jest stały postęp. Historia pokazuje, że to nieprawda. Dziś widzimy wyraźny regres, i to nie tylko w Afganistanie czy Iranie, ale także w Stanach Zjednoczonych.

Ktoś, kto cię kocha, jest dla ciebie dobry, nie rani cię, nie obraża, tylko cię wspiera.

Dla mnie właśnie to jest miłość

Prawa kobiet, w tym prawo do aborcji, to dla mnie bardzo ważny temat, ale nie podchodzę do niego w ten sposób, że świadomie postanawiam: teraz napiszę książkę właśnie o tym. To po prostu ze mnie wypływa i ostatecznie zawsze znajduje miejsce w moich bohaterkach, w ich decyzjach i w tym, co im się przydarza.

A jak wygląda u pani proces dokumentacji?
– To nie jest bardzo uporządkowany proces, raczej ciągłe czytanie, słuchanie, szukanie. W pewnym momencie czuję, że mogę już zacząć pisać.

Przy pracy nad „Ostatnią zapałką" spędziłam godziny na forach dyskusyjnych, wpisując w wyszukiwarkę: „tata bije mamę", „jak złożyć skargę na męża", „jak wycofać skargę", „żona złożyła na mnie doniesienie – co robić". Chciałam sprawdzić, jak naprawdę ludzie to przeżywają. W przypadku tej książki trafiłam na idealną rozmówczynię. Była to sędzia zajmująca się sprawami rodzinnymi, specjalizująca się w przemocy domowej, dla której ten temat stał się czymś w rodzaju życiowej misji, bo dorastała w domu, w którym ojciec był bardzo brutalny. Dzięki niej trafiłam na wiele książek, artykułów i podcastów.

Ale czy fikcja może realnie coś zmienić? Czy może pomóc, coś rozwiązać? Jakie są reakcje czytelniczek?
– Mnie samej fikcja pomogła zrozumieć wiele rzeczy i otworzyć się na doświadczenia, których nigdy nie przeżyłam osobiście. Uświadomiłam to sobie szczególnie wtedy, kiedy napisałam książkę o depresji poporodowej – „Un si j'avais eu du savon". Minęło już kilka lat od jej publikacji, a ja wciąż dostaję setki wiadomości od kobiet, które piszą: „dziękuję, że pani o tym napisała", „czuję się mniej samotna", „nie wiedziałam, że ktoś jeszcze czuł to samo po narodzinach dziecka".

Mówiłyśmy wcześniej o aborcji w Polsce, o tym, że nie da się o niej rozmawiać tak swobodnie. Tymczasem w literaturze pojawia się coś w rodzaju sekretnej rozmowy między autorką a czytelniczką. Można podejść do trudnych tematów pod pretekstem tego, że „to nie jest prawdziwe", że to tylko historia; jak mówią dzieci: „to na niby". Fikcja daje ogromną wolność, możemy mówić o wszystkim, bo w razie czego zawsze można powiedzieć: to nie ja, to mój bohater. Są takie rzeczy, które jestem w stanie napisać w książce, ale nigdy nie powiedziałabym ich przy stole, w rozmowie.

Na przykład?
– Choćby w książce o depresji poporodowej są zdania typu: „nie powinnam była mieć dziecka", „to nie jest dla mnie". To były myśli, które naprawdę przeszły mi przez głowę i uznałam, że ważne, żeby je nazwać. Skoro na świecie żyje trzy i pół miliarda kobiet, to nie jest możliwe, żebym była jedyną, która to czuje. A jednocześnie to są rzeczy, których nigdy nie powiedziałabym tak po prostu, w zwykłej rozmowie.

Jestem przekonana, że właśnie te zdania najmocniej wybrzmiały u czytelniczek i pozwoliły im poczuć ulgę, pozbyć się poczucia winy. Bo można mieć różne natrętne myśli i to nie znaczy, że nie kocha się

swoich dzieci ani że jest się złą matką. To znaczy raczej, że jesteśmy wychowywane i kształtowane przez bardzo silny społeczny obraz macierzyństwa.

Jakie były reakcje czytelniczek i czytelników na „Ostatnią zapałkę"? Dostała pani dużo wiadomości?
– Tak. Najbardziej poruszyły mnie świadectwa osób, które jako dzieci dorastały w domach, gdzie była przemoc. Dostawałam też wiadomości od kobiet, które pisały: „Rozpoznaję się w tym, co pani opisuje ,i nie wiem, jak się z tego wyplątać". To są bardzo trudne słowa, bo pokazują, jak blisko rzeczywistości są te historie.

Zdarzyło się też coś jeszcze – dostałam wiadomość od mężczyzny, który napisał: „To jestem ja, to ja jestem tym mężczyzną". I to też bywa trudne, bo żeby napisać tę książkę, spędziłam tygodnie, miesiące, czytając i słuchając wszystkiego, co dotyczy przemocy. W pewnym momencie to stało się obsesyjne. Siedziałam potem przy stole na kolacji u znajomych i myślałam: statystycznie ktoś tutaj bije swoją partnerkę, ktoś ją gwałci. Kto? I zaczynałam analizować każde zachowanie, każde zdanie, próbując wychwycić, kto może poniżać swoją partnerkę za zamkniętymi drzwiami. To bardzo mroczne doświadczenie. I po pewnym czasie, po zetknięciu się z tyloma historiami, to naprawdę zaczyna wpływać na sposób, w jaki widzi się świat.

A jak rozmawia pani o swoich książkach z córkami, z dziećmi?

MARIE VAREILLE

– popularna powieściopisarka francuska. Jej sześć pierwszych powieści sprzedało się w nakładzie ponad 400 tys. egzemplarzy, a w 2024 roku przekroczyła próg miliona czytelników. W Polsce ukazały się jej powieści „Rozczarowanie" i „Ostatnia zapałka". Ma dwie córki

– Opowiadam im po prostu, że piszę historię, w której dzieje się to, i to, ale bez wchodzenia w szczegóły. One są jeszcze małe. Bardziej zależy mi na tym, jak je wychowuję. Staram się, żeby przemoc była dla nich czymś absolutnie nieakceptowalnym. Kiedy opowiadają mi o sytuacjach, które mogą mieć związek z jakąś formą przemocy – nawet bardzo subtelną, nieuświadomioną, na przykład ze strony innego dziecka czy chłopca – reaguję od razu.

Jest taki schemat, który często słyszałam jako dziecko: że jeśli chłopiec dokucza dziewczynce, to dlatego, że się w niej zakochał. Ja bardzo pilnuję, żeby nigdy tego nie powtarzać. Jeśli ktoś cię źle traktuje, to znaczy, że jest niemiły i nie jest twoim przyjacielem. Mówię im jasno: ktoś, kto cię kocha, jest dla ciebie dobry, nie rani cię, nie obraża, tylko cię wspiera. Dla mnie właśnie to jest miłość.

Staram się im to przekazać, ale nie odnoszę tego bezpośrednio do moich książek. Zawsze mówię, że jeśli będą chciały, mogą je kiedyś przeczytać, kiedy będą starsze, ale to nie jest obowiązek.

Pani książki są tłumaczone na wiele języków. Czy widzi pani różnice w reakcjach czytelniczek i czytelników w zależności od kraju, albo czy wydawcy przekazują pani takie sygnały? Na przykład w Polsce temat aborcji jest kontrowersyjny, więc rozmowy wokół książek takich jak pani mogą wyglądać zupełnie inaczej niż we Francji. Podobnie z przemocą wobec kobiet; w Polsce nie wiemy nawet, ile rocznie jest kobietobójstw. Mam wrażenie, że kobiety mogą szukać w tych historiach podobnych rzeczy, ale mówić o nich w zupełnie inny sposób.
– Na co dzień dostaję dziesiątki wiadomości od czytelników i czytelniczek z Francji, natomiast z zagranicy tych reakcji jest bardzo niewiele. I właśnie dlatego to, co pani mówi o Polsce i o aborcji, jest dla mnie tak interesujące – nie miałam pełnej świadomości tych różnic.

Zresztą ja bardzo lubię czytać literaturę zagraniczną właśnie dlatego, że pozwala wyobrazić sobie, jak wygląda życie gdzie indziej. Rzeczy, które dla nas są oczywiste, w innych miejscach wcale takie nie są. A czasem odwrotnie, odkrywamy gdzieś coś i myślimy: dobrze byłoby, gdyby u nas też tak było.

Powieści dotykają bardzo realnych emocji, doświadczeń i przeżyć. I w tym sensie bywają nawet silniejsze niż inne formy wypowiedzi. Ja nie chcę tworzyć literatury elitarnej. Bardzo zależy mi na tym, żeby moje książki były dostępne dla wszystkich, którzy ich potrzebują. ▲

OGŁOSZENIE

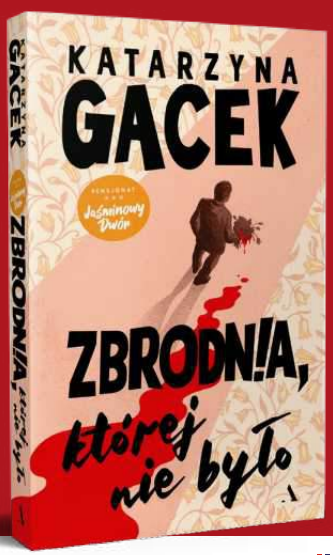

CIEPŁY, PEŁEN HUMORU KRYMINAŁ,
W KTÓRYM MNOŻĄ SIĘ TAJEMNICE, A PRAWDA JEST UKRYTA TAM, GDZIE NIKT JEJ NIE SZUKA.

DLA FANÓW CZWARTKOWEGO KLUBU ZBRODNI RICHARDA OSMANA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora

My też mamy swój *kryzys*

Tak, kobiety potrafią się ranić i bywają dla siebie nawzajem okrutne. Ale potrafią też pięknie sobie pomagać i dmuchać sobie w skrzydła

Z **ALDONĄ DYBUK**, PSYCHOTERAPEUTKĄ, ROZMAWIA **AGNIESZKA URAZIŃSKA**
RYSUNEK **MAGDALENA PANKIEWICZ**

Coraz częściej spotykam kobiety, które mówią: „Jestem silna". A ty mówisz, że kobiety są w kryzysie.
– To się nie wyklucza. Przeciwnie – ma ze sobą wiele wspólnego. Ten kryzys kobiecości, który obserwuję, jest związany ze zmianami, które w ostatnim czasie widać bardzo wyraźnie. Mamy do czynienia z rewolucją kobiet wchodzących odważnie w niedostępny przez lata świat – już nie tylko na bardzo wysokie szczeble w biznesie, polityce, ale we wszystkich obszarach życia społecznego. Wchodzą i odnoszą sukcesy. Ale widzę też, że kobiety zaczynają się gubić. Społeczne przemiany wyprzedzają naszą gotowość.

Wiemy, że mamy się zmienić, ale nie do końca wiemy jak?
– Bo wciąż żywe jest w nas wychowanie. Nosimy w sobie wzorce kulturowe od naszych babek, matek. To nie tylko przekaz werbalny, ale przede wszystkim to, co obserwowałyśmy od małego i co widzimy w swoich domach i rodzinach do dziś. Ta rola, jaka przypada kobiecie – opiekunki, ogarniaczki, mocno zależnej od mężczyzny, to rola tej, która wstaje w nocy do dziecka z gorączką, bo mężczyzna musi się wyspać i iść do pracy; tej, która jest na urlopie macierzyńskim, czyli „siedzi w domu", czyli odpoczywa. To rola żony i matki, tej, która gotowała obiady, zajmowała się dziećmi, całą tą logistyką i krzątaniem, bez których nie da się prowadzić domu, a które bywają przez mężczyzn niedostrzegane i niedoceniane.

Czas teraźniejszy czy przeszły, bo używasz obu?
– To się miesza i właśnie o to chodzi. Wciąż wiele kobiet osadzonych jest w rolach wyrosłych z patriarchatu. A jednocześnie, na przestrzeni jednego pokolenia, doszło do diametralnej zmiany. I myśmy się, paradoksalnie, znalazły w pułapce.

Pułapce możliwości chyba?
– A żebyś wiedziała. Z ucieleśnionymi w sobie wzorcami weszłyśmy w świat tego, co kiedyś było niedostępne. Zdajesz sobie sprawę, że możesz wybierać. Możesz osiągnąć bardzo wysokie funkcje w firmie. Nikt ci nie powie, że uczelnie techniczne nie są dla dziewczyn. Coraz cichszy, coraz bardziej stłumiony jest głos tych, którzy powiedzą, że albo kariera, albo dziecko. Lub że miejsce kobiety jest w kuchni.

> Jest w nas siła, ta dziedziczona od pokoleń – do znoszenia bólu, do dawania miłości, do przetrwania, do radzenia sobie *w trudnych chwilach*

Tylko się cieszyć.
– Dobrze, że z odwagą sięgamy po to, czego chcemy. Nie siedzimy w kącie, czekając, aż nas znajdą. Jednak wchodząc w świat mężczyzn – świat osiągnięć, sprawczości, siły, a nawet władzy wynikającej z rywalizacji, przejmujemy wzorzec męskiej siły. Siłę traktujemy jako strategię przetrwania, a nie jako balans.

Sukces kojarzy się z tą męską siłą – obniżamy więc głos, bo nam mówią, że wysoki brzmi mniej poważnie, energicznie podajemy rękę i silnie ściskamy podaną, bo słyszymy, że tak okażemy pewność siebie. A na spotkanie służbowe chętniej wybieramy garnitur niż sukienkę w kwiaty.

Wszystko to raczej męskie atrybuty, bo siłę zwyczajowo utożsamiamy z tym, co męskie. I chociaż świat jest pełen silnych kobiet, stanowczo za mało się o tym mówi. Nie uczymy się, jak być silną. A dokładniej – nie uczymy się, jak szukać siły w tym, co kobiece. Kobiety osiągają sukcesy, chcą więcej i spełniają marzenia, zaczynają czuć presję perfekcjonizmu. Tylko, że to jest pułapka – bo odwzorowujemy męski kawałek świata.

Czyli kobieta w kryzysie nie jest słaba.
– Słaba nie, tylko trochę pogubiona. Ja bym to zagubienie opisała jako etap przejściowy między patriarchatem a nową jakością. Pojawia się sporo presji. Nawet samorozwój bywa związany z presją, bo albo jest go zbyt mało, albo za dużo.

Część kobiet nie wierzy, że może osiągnąć to, czego pragnie, wycofują się, ustępują miejsca innym. A te, które bez kompleksów wyznaczają sobie cele i krok po kroku dążą do swego, mają kłopot, jak odnaleźć się w męskim świecie, nie rezygnując ze swej kobiecości, nie przejmując męskich wzorców siły.

Do tej pory słyszałam raczej o kryzysie męskości.
– On jest między innymi efektem zaburzonego status quo – kobiety wyszły z kuchni

prosto do męskiego świata, w którym coraz odważniej sobie poczynają. Mężczyźni są zdezorientowani: to w końcu chłopaki płaczą czy nie płaczą? Mają utrzymywać rodzinę czy dzielić się ogarnianiem domu? Zmieniać pieluchy czy wkręcać śrubki? Patriarchat wszystkim dał się we znaki, a wychodzenie z tego wzorca obie płci zostawia w niepewności, bo czego w końcu oczekuje od nas świat? Czego – partner lub partnerka? Czego sami mamy od siebie chcieć?

A jeśli na domiar wszystkiego kobieta osiąga większy sukces zawodowy i zarabia więcej niż partner, to doprawdy trudno się dziwić, że mamy do czynienia z kryzysem. Ale on nie dotyczy tylko męskiego świata. Mamy do czynienia z kryzysem kobiecości i nie ma się co oszukiwać.

Gdzie go obserwujesz?

– Przez 12 lat pracowałam w obszarze public relations w przemyśle stoczniowym, w męskim świecie. Później zajęłam się kobietami – dziesięć lat temu wymyśliłam projekt, który wspierał je w odkrywaniu własnej mocy; stworzyłam grupę, z którą organizowałyśmy wspólne treningi, ale też spotkania z inspirującymi osobami – kobietami i mężczyznami. Oba te światy były dla mnie inspiracją, z czasem zaczęłam kształcić się w dziedzinie psychoterapii i tym się aktualnie zajmuję.

Mój background i wykształcenie pozwalają mi pomagać ludziom. Poruszam się w świecie biznesu i w świecie ludzi, którzy próbują przy mojej pomocy rozwiązać swoje problemy. Żyjemy w ciekawych, dynamicznych czasach, w świecie szybkich zmian. Kobiety i mężczyźni są w kryzysie. I to wcale nie musi być powód do zmartwienia.

Pod warunkiem, że wykorzystamy go do zmian na dobre.

– Wierzę w ludzi – są mądrzy, czasem wystarczy impuls, aby odnaleźli drogę. Sytuacja może się wydawać niełatwa: pamiętamy z dzieciństwa, że kazali nam być grzeczną, a teraz świat oczekuje, że będziemy silne. Sprzeczność? Wcale nie. Grzeczna też może być silna.

Ale czy grzeczna wie, jaką ma siłę? Czy w nią wierzy? Bardzo dużo dzieje się na poziomie emocjonalnym – biegnąc za sprawczością, wyłączamy cechy, które w naszym odczuciu mogą nam przeszkadzać. Ale czy biegnąc za sprawczością, musimy rezygnować z kwiecistej sukienki i delikatności?

Możesz nie mieć silnego głosu, bo głos wcale nie świadczy o profesjonalizmie. Nawet *niezależność nie jest obowiązkowa*

Przecież to nie są oznaki słabości. Jesteśmy cieleśni, człowiek to nie tylko umysł, ale też ciało i emocje – chodzi o to, aby te części były spójne, no i żeby nie trzeba było przy tym rezygnować z siebie.

Podpowiedz, jak zacząć.

– Rozejrzeć się i sprawdzić, gdzie jesteśmy. Słyszę na przykład, że kobieta nie chce sobie odpuszczać, że musi dotrzymać kroku kolegom. Ale gdy człowiek jest zmęczony, powinien po prostu odpocząć. To nie brak siły, tylko mądrość.

Kobieta jest cykliczna, o czym świadczy cykl miesięczny. Są momenty, gdy potrzebujemy się zregenerować, żeby z nowymi siłami ruszyć podbijać świat. Jesteśmy w konflikcie, bo istnieje dysonans między tym, jak nas wychowano, tym, co już możemy osiągnąć, a tym, co podpowiadają nam emocje i ciało. Nawet pięcioletnie dziewczynki odczuwają presję, żeby być jakieś, że mają dążyć do ideału.

Młode kobiety mogą osiągać wszystko – odczuwają to przedstawicielki pokolenia, które wchodzi na rynek pracy. I one mają przekonanie, że powinny być niezłomne. Patrzą na swoje matki, te, które jedną nogą pozostały w starych czasach. I nie chcą być takie.

A wzorca nowoczesnej, silnej kobiety jeszcze nie stworzyły?

– Spotykam wiele kobiet, które są świadome, że mogą góry przenosić, ale to rodzi silne napięcia. Słyszę o szybkim wypaleniu. Widzę rozdarcie między tym, co dała nam biologia – możliwością rodzenia dzieci, predyspozycją do opiekowania się, dbania o relacje – a chęcią skorzystania z szans, jakie daje nam nowoczesne społeczeństwo. I to jest trochę tak, że kobieta wspina się po drabinie i dopiero na szczycie orientuje się, że ta drabina jest przystawiona do jakiejś obcej ściany. Że nie tam się chciała znaleźć.

Jak się odbić od tej ściany?

– Namawiam do tego, aby nie fiksować się na tym, co widzimy i słyszymy. Czasem, by przełamać schemat nawykowego myślenia, warto odwołać się do tego, co w ciele – jak nasze ciało reaguje na to, co robimy. Przydaje się szukanie rozwiązań nie przez głowę, tylko przez ciało właśnie. Takie wyjście z procesu myślowego, z nawyku, ze schematu, może pomóc nam odnaleźć środek.

Teraz, w tym niełatwym procesie, który nazywam kryzysem kobiecości, jeste-

śmy jak wahadło, które przemieszcza się między wpajanym nam przez lata wzorcem kobiety zależnej i grzecznej, a tym odkrytym niedawno zjawiskiem niezależnej kobiety sukcesu.

Kobieta jest w napięciu, bo nie znalazła środka. Rozmawiam z tymi, które odkryły, że ich przysłowiowa drabina przystawiona jest do męskiej ściany, o tym, jak nie szukać obcego wzorca, nie rezygnować z siebie. Jak szukać kobiecej siły.

Jak? A właściwie – gdzie?
– W sobie. We wrażliwości, która tak pięknie otwiera nas na innych. W intuicji, która wskazuje drogę. W czułości, której nie sposób się nauczyć. Można być w kontakcie z własną siłą, nie rezygnując z kobiecości. W tym kierunku powinnyśmy dążyć.

Dobrze sobie uświadamiać, że ciąża i macierzyństwo to nie jest nasza słabość, tylko siła. Że możesz przyjść na męskie spotkanie w kwiecistej sukience i nie oznacza to, że jesteś kokietką. Możesz nie mieć silnego głosu, bo to nie głos świadczy o profesjonalizmie. Nawet ta niezależność nie

ALDONA DYBUK

– psychoterapeutka, HR business partner, trenerka pracy somatycznej

jest obowiązkowa. Bo przecież zależność oznacza, że mogę się na kimś oprzeć. Dobrze wiedzieć, że potrafię sobie poradzić sama, ale nie trzeba rezygnować ze wsparcia bliskiego człowieka.

Namawiam, byśmy sobie przypomniały, jaka w nas jest siła, ta dziedziczona od pokoleń – do znoszenia bólu, do dawania miłości, do przetrwania i radzenia sobie w bardzo trudnych chwilach. Tak, kobiety potrafią się ranić i bywają dla siebie nawzajem okrutne. Ale potrafią też pięknie sobie pomagać i dmuchać sobie w skrzydła.

Tak sobie myślę, że sporo możemy zrobić, żeby nasze córki o kryzysie kobiecości mogły tylko czytać.
– Pewnie, bo dzieci uczą się przez obserwację. Dlatego warto, żeby widziały, jak matki szukają kobiecej siły w sobie i w innych kobietach. Niech dostaną od nas informację, że nie muszą naśladować mężczyzn, żeby osiągać sukces.

No i absolutnie nie muszą z nimi walczyć – ani o pozycję, ani o to, kto silniejszy czy lepszy. Nie będzie szczęśliwych kobiet bez szczęśliwych mężczyzn. Patriarchat zranił i kobiety, i mężczyzn – facetom zabrał wrażliwość, a kobietom – siłę. A właściwie – próbował zabrać, bo przecież czujemy na każdym kroku, że te przymioty mamy w sobie i umiemy z nich korzystać.

Nie mam wątpliwości, że już tworzymy nowe wzorce. Patrzę na bardzo młode dziewczyny, które wchodzą w świat bez kompleksów i z wdziękiem. Wiem, że to zasługa ich matek. Albo lepiej – rodziców, którzy wiedzą, że przyszedł czas na zmiany. ▲

FOT. DAWID LINKOWSKI

OGŁOSZENIE

FOTOFESTIWAL

Londyńskie lisy, amerykańskie ulice i AI

Świnia! Według najprostszej definicji to gatunek udomowionego między VII a VI tysiącleciem p.n.e. ssaka parzystokopytnego. Ma śmieszny ryjek i na ogół jest tak brudna, że trudno dostrzec jej różową skórę. W wielu kulturach symbolizowała dostatek i bogactwo, bo gwarantowała, że będzie co jeść przez cały rok. Niemcy mawiają „Schwein haben", co dokładnie oznacza „mieć świnię", a w przenośni – „mieć szczęście". Na pewno szczęściem jest mieć wypchaną świnkę-skarbonkę, albo takiego przyjaciela, jakim Prosiaczek był dla Kubusia Puchatka.

W 1971 – Roku Świni według chińskiej astrologii – urodził się Feng Li, chiński fotograf mieszkający w Chengdu, i tak się złożyło, że to inteligentne zwierzę towarzyszy mu w życiu przy różnych okazjach. Być może właśnie dlatego w jednym ze swoich fotograficznych projektów, który będzie można oglądać podczas jubileuszowej, 25. edycji łódzkiego Fotofestiwalu, postanowił przyjrzeć się bliżej i z bardzo osobistej perspektywy granicy między tym, czym jest dla nas zwierzę hodowlane a czym towarzysz życia.

Dziadek Li pracował w zakładzie przetwórstwa mięsnego, świnia była więc dla niego przez lata raczej produktem, ogniwem łańcucha pokarmowego, z którego nie ma ucieczki. Sytuacja diametralnie się jednak zmieniła, kiedy w 2017 roku jego żona uratowała małe prosię porzucone przy kontroli bezpieczeństwa na lotnisku. Urocza świnka szybko dorosła, osiągając wagę 100 kg i stając się członkiem rodziny, obok pięciu kotów i papugi. Mieszkając z nią pod jednym dachem, Feng Li odkrył, jak bardzo jest inteligentna, pedantyczna i społeczna, co z kolei skłoniło go do refleksji nad więzią, jaką człowiek potrafi zbudować ze zwierzętami nieludzkimi.

Temat tych relacji jest motywem przewodnim tegorocznej edycji Fotofestiwalu. „Czy to my patrzymy na zwierzęta, czy one na nas? Jak nasze spojrzenie zmienia się z czasem?" – pytają organizatorzy imprezy. – Zmierzymy się z najważniejszymi wyzwaniami współczesności: od kryzysu demokracji i katastrof klimatycznych, przez wpływ sztucznej inteligencji na obraz, po złożoną relację człowieka ze światem zwierząt – zapowiada Krzysztof Candrowicz z kolektywu programowego Fotofestiwalu.

W programie głównym zobaczymy debiutującą w naszym kraju wystawę, zwanego kronikarzem Ameryki, Philipa Montgomerego – „American Cycles", czyli „Cykle Ameryki". To historia ostatniej dekady w Stanach Zjednoczonych pokazująca momenty kryzysów, ale i narodowej jedności. W części „My, zwierzęta" pokazane zostaną m.in. fotografie podwórkowych kotów Nikity Teryoshina, rude lisy, które w nocy przejmują londyńską dzielnicę finansową autorstwa Carlosa Alby, czy projekt Maiji Tammi, który łączy materiał wideo dokumentujący mamę ośmiornicę z czułością poświęcającą swoje życie dla dzieci z własnym autoportretem wykonanym tuż po narodzinach dziecka. Marta Bogdańska zastanowi się, jak mówić o oporze i sprawczości zwierząt.

Organizatorzy zapraszają też do dyskusji na temat wykorzystania sztucznej inteligencji w sztuce, czemu poświęcą nie tylko wystawę, ale i cykl debat oraz warsztatów. Fotofestiwalowi będzie tradycyjnie towarzyszyć też część muzyczna. Gratką będzie na pewno wspólny projekt Hani Rani i sir Johna Akomfraha – „Listening All Night To The Rain".

Wystawy programu głównego i programu otwartego będzie można oglądać tradycyjnie w Art_Inkubatorze przy ul. Tymienieckiego 3. Główne Centrum Festiwalowe przenosi się natomiast do Pałacu Biedermanna. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

FOTOFESTIWAL, 18-28 czerwca, Łódź.
Więcej informacji na fotofestiwal.com

FOT. ANG SIEW CHING; FENG LI; WATCH DOGC

MUZYKA

Pożegnanie Lykke Li

Szwedzka gwiazda alternatywnego popu, której piosenka „I Follow Rivers" weszła na dobre do kanonu współczesnej muzyki, już od dawna zapowiadała, że ma zamiar zakończyć karierę. W wywiadach mówiła, że coraz trudniej jest jej łączyć sprawne funkcjonowanie we współczesnym show-biznesie z wychowywaniem dwójki dzieci i że coraz bardziej przytłacza ją świat pełen zagrożeń i traum. Koniec końców, jak się wydaje, zrealizowała ten zamiar: uparcie twierdzi, że „The Afterparty", materiał, który właśnie ujrzał światło dzienne, będzie jej ostatnim dziełem, co więcej: w otwierającym go utworze buńczucznie deklaruje, że „nie uroni ani jednej łzy". Szwedzka artystka żegna się z publicznością w sposób urzekający i bardzo godny: płytą, na której po mistrzowsku łączy niemal liryczną emocjonalność z popową wrażliwością, przebojowymi melodiami i nowoczesnymi, klubowymi rytmami. Ta płyta, zgodnie ze swoim tytułem, jest jak afterparty po długiej, bardzo kolorowej i pełnej najróżniejszych emocji imprezie – bo tym przecież w gruncie rzeczy była trwająca niemal dekadę kariera tej artystki. Słuchając jej szóstego albumu, bez trudu można odnieść wrażenie, że jest ostatni moment nocy, tuż przed świtem, w głowie jeszcze nadal huczy, przed oczami przesuwają się powidoki z ostatnich wydarzeń, ale na horyzoncie już widać nowy dzień, nowy etap.
Piosenki na tej płycie wciąż mieszczą się w formule, którą Lykke Li zaproponowała już kilka lat temu: są „so sad and so sexy". Pop łączy się tu z niemal soulową żarliwością, wpadające w ucho refreny brzmią niezwykle bogato, zaaranżowane na siedemnastoosobową orkiestrę. Znalazło się tu nawet miejsce na samplowany cytat z mistrza przejmującej muzycznej melancholii, Maksa Richtera – tak, tak, emocjonalne napięcie sięga wtedy niemal tego samego poziomu, co przy oglądaniu ilustrowanego przez niego pod względem muzycznym filmu „Hamnet". Zwłaszcza że także teksty na tej płycie poruszają najczulsze struny: artystka śpiewa o mrocznych stronach swej duszy, o emocjach tak silnych, że aż destrukcyjnych, o sytuacjach, z którymi nie sposób sobie poradzić. Ani samemu, ani nawet z kimś ważnym u boku.
Na sam koniec albumu Lykke Li udowadnia, że ma mistrzowskie wyczucie stylu i dramaturgii: zamyka ten materiał liryczną, minimalistyczną pod względem brzmieniowym balladą o sugestywnym tytule „Euphoria". Trudno sobie wyobrazić piękniejsze pożegnanie. ▲
LYKKE LI, The Afterparty, Neon Gold Records

FILM

Kto się lubi...

Film dokumentalny Emilii Śniegoskiej o przyjaźni dwóch bardzo charakternych, bardzo zabawnych starych kobiet, które odchowały dzieci, pochowały mężów i teraz żyją same, wspierając się nawzajem jak mogą, z miejsca stał się filmem kultowym i ulubieńcem widzów festiwalu Watch Docs. Decyzja, by wprowadzić go do kin, jest ze wszech miar słuszna – to obraz, którego potrzebujemy. Historia tych dwóch kumpelek podnosi na duchu i rozgrzewa serce. Ich relacja jest bardziej intensywna, wzruszająca i zabawna niż relacje przyjaciółeczek z „Seksu w wielkim mieście", ich rozmowy równie szczere – dotyczące życia z mężczyzną u boku lub bez, wychowywania dzieci i żałoby, gdy dziecko umrze, młodości i starości.
A wszystko to dzieje się w wymierającej polskiej wsi w rumuńskich Karpatach – miejscu przepięknym, pełnym tradycji, rozbrzmiewającym ludową muzyką, ale wyludniającym się, bo bez perspektyw dla młodych, którzy pouciekali do miast i za granicę. Hanka i Bronka żyją tam całe życie i wiele widziały. Dziś mają już mało siły i muszą sobie pomagać. Te dwie kumotry, które całe życie mieszkały obok siebie i teraz są całym swoim światem, skradną wasze serca. Ich poczucie humoru jest niepodrabialne. Lubią się i czubią z werwą, której pozazdrości im wiele z nas. ▲
(Paulina Reiter)
„KUMOTRY", reż. Emilia Śniegoska, w kinach

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Sen o wiklinie

akcja toczy się na innej planecie

jest tam samotną staruszką
wspomina kochanków
sprzed pięćdziesięciu lat
mylą jej się imiona
nie było ich wcale tak wielu
może trzech

głośno przełyka ślinę
chociaż przecież nie musi
relacja z odbiciem w szybie jest skomplikowana
w zeszycie który trzyma na kolanach
zapisuje że istnieje prawo do posiadania
i prawo do odkładania na bok

EMILIA KONWERSKA publikuje poezję i prozę. A powyższy wiersz ma premierę na naszych łamach i pochodzi z książki, która ukaże się w tym roku w wydawnictwie j.

MAGDALENA KILARSKA RYSUJE

Jak zamieszkałam w Mieście Kwiatów

Wynajęłam domek w Andaluzji, żeby zobaczyć, jak wygląda codzienność w małym mieście pod zwrotnikiem. I zachłysnęłam się hiszpańskim życiem

TEKST **ANGELIKA SWOBODA**

Droga z Malagi do mojej ulubionej Estepony zajmuje niewiele ponad godzinę. Choć doskonale tę trasę znam, nie potrafię się oprzeć widokom. Po jednej stronie Góry Betyckie, po drugiej – malownicze wybrzeże Costa del Sol z turkusem Morza Alborańskiego w roli głównej. – Miałaś naprawdę dobry pomysł – mruczę sama do siebie i uśmiecham się do sąsiadki w autobusie. Hiszpanka odwzajemnia uśmiech, ale na tym nasza interakcja się kończy.

To pierwsza zasada, której uczę się w Andaluzji. Ludzie na siebie nie patrzą, a jeśli już zawiesisz na kimś wzrok – co mnie, ciekawskiej, często się zdarza – wypada się przywitać krótkim „¡Hola!". Nie należy jednak mylić niegapienia się na innych z obojętnością. Gdy kiedyś przystanęłam na kilka minut pod murkiem na słońcu, żeby rozmasować skurcz łydki, od razu zatrzymał się starszy pan i po hiszpańsku zapytał, czy wszystko w porządku.

Plaza Antonia Guerrero to miejsce, gdzie wieczorami odbywają się koncerty. W ciągu dnia toczy się tu życie towarzyskie

Zwyczajowe pytanie: „¿qué tal?", czyli „co słychać?" – i to jest zasada numer dwa. Zadaje się je sąsiadowi, wchodząc do sklepu czy lokalnego baru. Andaluzyjczycy, trochę jak Amerykanie, odpowiadają zazwyczaj, że „todo bien". I ja mówię więc, że „wszystko dobrze", bo nie wypada mi narzekać. Zresztą jak mogłabym narzekać, skoro jestem w miejscu, gdzie słońce świeci przez ponad 320 dni w roku, a zimą, nawet gdy pada, temperatura na zewnątrz sięga 15 stopni C.

MURY GRUBE NA METR

A w domu? W domu w zimowe miesiące jest w Andaluzji niewiele cieplej. Ale o tym przekonuję się dopiero w styczniu, gdy za oknem całymi dniami leje jak z cebra. Elektryczny kaloryfer co prawda żarłocznie pochłania prąd, ale ciepła daje niewiele. Zamiast więc zrobić pranie, które i tak nie wyschnie, ścieram wilgoć ze ścian i patrzę, czy nie pleśnieją. Wynajęłam domek w samym sercu starówki, żeby mieszkać wśród miejscowych. Biała mauretańska zabudowa wygląda bajecznie. Każda uliczka ma pełne kwiatów doniczki w takim samym kolorze. Mojej Calle San Antonio przypadły niebieskie. Codziennie rano kwiaty podlewa miejski traktorek i gdy wychodzę przed dom, żeby spojrzeć w niebo, widzę już tyko strużki płynącej w dół wody.

Domki w andaluzyjskich miasteczkach są zbudowane tak, by wpuszczać do środka jak najmniej ciepła. Mają grube na prawie metr ściany, małe okratowane okna oraz patia, które zaprojektowano tak, by nie wpadał na nie żaden promień słońca. Właśnie dlatego w środku jest tak zimno.

Wyposażenie domku pozostawia sporo do życzenia. Kamienna posadzka (aj, ale marzną stopy!), sofa, stół, jakieś małe szafki, bujany fotel i zwykle duży telewizor. Kuchnia też jest raczej skromna: zlew, piekarnik, mikrofalówka, lodówka, parę szafek. Nie ma zmywarki, termomiksa ani air fryera. Żadnych drogich baterii, wymyślnych lamp ani luksusów. Po prostu zwyczajnie.

JESTEM SENIOREM Z ANDALUZJI

Do Estepony, nazywanej Miastem Kwiatów, przyjeżdżam od ponad czterech lat. Od pierwszego dnia poczułam się na swoim miejscu. Pewnie dlatego, że nie lubię spędzać czasu w czterech ścianach, a tu żyje się przede wszystkim na zewnątrz. Rytm dnia

Każdą uliczkę starego miasta zdobią kolorowe doniczki z kwiatami

Puerto Deportivo, czyli port w Esteponie, jest w zasięgu spaceru z centrum
Poniżej: Plaza de las Flores - serce starego miasta

wyznaczają zakupy w małych lokalnych sklepikach, spacery nadmorską promenadą i, przede wszystkim, spotkania w lokalnych barach. Jeden z bardziej uroczych odkryłam przypadkiem, pędząc jak koń z klapkami do kawiarni dla turystów. O mało go nie przeszłam, jak niemal codziennie, gdy nagle moją uwagę zwróciło czterech seniorów w eleganckich czarnych spodniach i białych koszulach. Ledwie minęła jedenasta, a oni zajadali się tapasami i pili wino. Przystanęłam, by popatrzeć na nich z podziwem i zazdrością. I nagle uderzyła mnie myśl – w głębi duszy jestem 65-latkiem z Andaluzji! Chcę tak jak oni spędzać przedpołudnia, popołudnia również.

Odpuszczam kawiarnię dla turystów i rozglądam się za wolnym stolikiem w lokalnym barze. Kiepsko to wygląda, bo Estrella, czyli Gwiazda, jest wypełniona do ostatniego miejsca. Zdecydowana większość gości to odświętnie ubrane seniorki i seniorzy. Wszyscy ufryzowani. Przy stolikach parkują swoje chodziki i kładą kule. A potem zamawiają typowe lokalne śniadanie, czyli kawę i tostadę – bagietkę z pastą pomidorową, oliwą i awocado. Jedzą, gawędzą, żartują. Przyglądam im się ukradkiem, czekając, aż coś się zwolni. Pół godziny później, z poczuciem sukcesu, siadam wreszcie przy stoliku na słońcu. Zainspirowana miejscowymi zamawiam zestaw śniadaniowy. Kosztuje 3 euro; sama kawa 1,60, kieliszek wina lub piwo z tapasami – 2 euro. Tortilla, oliwki, kanapki z serem i jamon są wyborne. Oblizuję palce po pysznej oliwie, zamawiam jeszcze coś do picia. I wyobrażam sobie, jak to jest być seniorką w Andaluzji...

NIKT SIĘ NIE PCHA

Średnia emerytura w Hiszpanii wynosi między 1,5 a 2 tys. euro. Ceny jedzenia i ciuchów są nieco niższe albo podobne jak w Polsce. Jeśli więc nie trzeba płacić miesięcznie około 800-950 euro za wynajęcie mieszkania – większość seniorów na swoje domki – można wieść całkiem przyjemne życie. W piekarni zawsze jest czas, by pogawędzić ze sprzedawczynią. I co z tego, że kolejka

robi się coraz dłuższa a przed wejściem tłoczą się kolejni chętni na świeże grahamki? Trzeba wymienić się nowinkami, zapytać o rodzinę i na koniec nieśpiesznie spakować pieczywo. W kolejce, poza mną, nikt nie wzdycha, nikt się nie niecierpliwi. Przecież za chwilę i on utnie sobie ze sprzedawczynią dłuższą pogawędkę.

Przy stoisku z mięsem w pobliskim supermarkecie czas też płynie powoli. Ekspedientka na życzenie klienta kroi na gulasz wybrany kawałek wołowiny albo mieli jagnięcinę. Na rybnym z kolei można poprosić o wyczyszczenie ryb z łusek, wypatroszenie ich i poodcinanie płetw. Ja również o to proszę i zadowolona idę do kasy. – Kurczę, ale czemu tylko jedna jest czynna – mamroczę do siebie zniecierpliwiona. Tymczasem miejscowi w ogóle się tym nie przejmują. Ktoś spotkał sąsiada, ktoś zaczyna pogawędkę z nieznajomym stojącym najbliżej. Ja przestępuję z nogi na nogę i podrywam się, gdy tylko otwiera się druga, pusta kasa. Już mam zacząć biec, ale widzę, że miejscowi powoli ustawiają się jeden za drugim, wedle kolejności z kasy obok. Nikt nie biegnie przed innymi, nikt się nie pcha. Czuję się głupio, że chciałam wyprzedzić kolejkę, i cieszę się, że tego nie zrobiłam. Cierpliwości, moja droga, cierpliwości! Jesteś w Andaluzji!

Eleganckie seniorki chętnie zachodzą też na zakupy do sklepów z ubraniami przy dwóch handlowych uliczkach w mieście.

Domy w Esteponie nawiązują do stylu mauretańskiego. Mają grube mury, niewielkie okna i patia zdobione kafelkami

Plaza de las Flores. Warto tu spróbować andaluzyjskich przysmaków

Kupują błyszczące bluzki i kolorowe szale. Następnego dnia dwie z pań z butiku spotykam w Estrelli, która szybko staje się moim ulubionym barem. Zza słonecznych okularów przyglądam się znanym z widzenia stałym gościom. Jest siwowłosy pan w granatowym garniturze ze złotymi orderami na piersi, są jego dwie znajome w starannie ułożonych fryzurach. A przy stolikach jak zwykle chodziki i kule.

MAŁO ICH OBCHODZĄ UTARGI

Wkrótce odkrywam coś jeszcze – seniorzy, podobnie jak ja, wychodzą na słońce, żeby nie zamarznąć w swoich zimnych domkach. Niektórzy siadają na chodzikach przy wejściach i zagadują do znajomych. Ale znakomita większość idzie do lokalnych barów, takich jak Estrella. Grając na nosie samotności, tworzą mikrospołeczność, bo przecież tak naprawdę nie chodzi tylko o śniadanie za 3 euro.

W Estrelli obsługują wspólnie Joaquin i Miquel. Ja po hiszpańsku znam ledwie kilka zdań, a oni nie mówią w żadnym innym języku, ale mimo to udaje nam się złapać nić porozumienia. Może naprawdę powoli staję się seniorką z Andaluzji? Szybko dostrzegam, że Joaquin i Miquel świetnie się znają ze stałymi gośćmi. Przy rachunku częstują ich anyżówką, paniom wręczają po kwiatku. Są uroczy, a do tego raczej mało obchodzą ich rekordowe utargi. Zawsze rozstawiają siedem stolików od strony promenady. Bar zamykają teoretycznie o szesnastej, ale praktycznie już o przed piętnastą zaczynają składać puste krzesła i zsuwać wolne stoliki. – Ciężko pracujemy od rana i jesteśmy zmęczeni – tłumaczy mi Miquel. Joaquin zbiera brudne naczynia i dopowiada: – Chcę dzisiaj popracować w ogródku, hasta mañana! (do jutra)

Ruszam więc na krótki spacer, podczas którego przekonuję się, że przerwa w najgorętszych godzinach, czyli między 14 a 17, nawet zimą to rzecz święta. Zamykają się bary, restauracje i sklepy. Ich pracownicy i właściciele przemykają zacienioną stroną chodnika do domu, niewiele się przejmując rozczarowanymi klientami. Bo w Andaluzji praca to nie jest największy sens życia, a jedynie jego część. Ważniejszy jest obiad z rodziną, spacer z psem albo nawet dwoma, pogaduszki z sąsiadem z naprzeciwka. Samochód? Niekoniecznie. Jeśli już, to żaden wielki SUV, wystarczy skuterek albo małe auto, bo wiadomo, że uliczki wąskie. Telefon? Taki z przyciskami, po co od razu smartfon? Drukarka w domu? Przy ulicy handlowej jest punkt poligraficzny, gdzie można wydrukować, co tylko się chce. Co ciekawe, niedaleko mojego domku jest też punkt naprawy maszyn do szycia, w którym właściciel codziennie przywraca do życia zepsute sprzęty. Każdego razu, gdy koło niego przechodzę, żałuję, że nie udało mi się opanować sztuki szycia.

Zwykle podczas spaceru Terazzą, czyli głównym deptakiem, albo nadmorską promenadą, spotykam znaną z widzenia charakterystyczną postać. Mężczyzna z farbowanym włosem, prosty jak struna, przechadza się po mieście w stroju stylizowanym na torreadora. Zdarza się, że zmienia ubranie nawet trzy razy dziennie. Czy jest prawdziwym torreadorem? Antonio, który mieszka w Esteponie od wielu lat, z niedowierzaniem kręci głową.

W Esteponie, jak przystało na andaluzyjskie miasteczko, jest oczywiście arena byków. Plaza de Toros to pierwsza na świecie asymetryczna arena zaprojektowana tak, by widzowie mieli jak najwięcej cienia. Obecnie służy jako centrum kulturalne, miejsce koncertowe i siedziba trzech muzeów, w tym Muzeum Korridy.

ONI ZDAJĄ SIĘ NIE SYPIAĆ

Estepona ma wszystko, czego potrzeba do wygodnego, niespiesznego życia. Sklepy, bary, restauracje i przychodnie. Nie ma jedynie kina, na co mocno narzeka moja znajoma Nieves, ale poza Plaza de Toros jest centrum kultury, które nazywa się Auditorio Felippe VI. Działa niezwykle prężnie. Odbywają się w nim koncerty i spektakle. Żeby dostać bilet, trzeba się pospieszyć. Na „Traviatę" i koncert noworoczny kupuję go bez problemu, ale już na „Jezioro Łabędzie" czy wieczór flamenco mi się nie udaje. Trudno się dziwić, skoro atrakcje kulturalne kosztują 30-40 euro. Oczywiście większość widzów w Auditorio Felippe VI to eleganccy seniorzy, którzy zdają się naprawdę nie sypiać.

Przechadzam się wieczorami deptakiem, wzdłuż którego rosną drzewka pomarańczowe. Kwitną, więc nad ulicą unosi się cudny aromat przypominający jaśmin, który można wdychać latem w Sopocie.

Wdycham ten zapach pomarańczy, a po głowie kołacze mi natrętna myśl: Im dłużej tu jestem, tym dłużej chcę tu być. ▲

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS; JOHN JAMES WOOD / ALAMY STOCK PHOTO; ZU SANCHEZ PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES; GORDON BELL PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES; JOSE DANIEL RAMIREZ VIGO/ GETTY IMAGES; SHUTTERSTOCK (2)

Matka na pustej *sawannie*

Macierzyństwo nigdy nie było zadaniem dla jednej kobiety. Matka w mieszkaniu na nowym osiedlu jest jednym z najbardziej nienaturalnych wynalazków współczesności

TEKST **OLGA WOŹNIAK**
RYSUNEK **MACIEJ SIEŃCZYK**

Trzecia rano. Kuchnia, korytarz, salon, okno, znowu kuchnia – tę ścieżkę znam już tak dobrze, że mogę dreptać nią z zamkniętymi oczami, nie obijając się o meble. Próbuję uspokoić córkę, która płacze tak, jak potrafią płakać tylko niemowlęta. Nie dzieje się nic dramatycznego. Nikt nie umiera. Za ścianą śpi mąż, który rano wstanie do pracy. W lodówce jest mleko. W aplikacji można zamówić pieluchy, probiotyk, konsultację z położną i lampkę z białym szumem. Mieszkanie jest ciepłe, osiedle monitorowane, świat teoretycznie bezpieczny.

A jednak moje ciało tego słucha. Serce bije za szybko. Szczęka boli od zaciskania. W głowie pojawia się wstyd, ciężki i lepki: że nie daję rady, że powinnam być spokojniejsza, czulsza, bardziej wdzięczna. Że inne matki jakoś to robią. Że we mnie musiał zepsuć się ten legendarny mechanizm, który podobno od prawieków bezszelestnie napędza każdą matkę.

Znacie to? Ja, choć moja córka ma dziś 13 lat, pamiętam to uczucie bardzo dobrze.

Psychologia nazwie to przeciążeniem ról. Medycyna wspomni o deprywacji snu, kortyzolu i układzie nerwowym pracującym bez przerwy na alarmie. Ale antropologia ewolucyjna ma dla nas wszystkich inną diagnozę, prostszą i bardziej wywrotową: to nie my jesteśmy źle skonstruowane, to świat, w którym próbujemy wychowywać nasze dzieci, jest biologiczną anomalią.

STRACH SZYMPANSICY, SPOKÓJ CZŁOWIEKA

Żeby zrozumieć, co poszło nie tak, porzućmy na chwilę obraz samotnej, „naturalnej" matki. Bo taka figura wcale nie jest naszym gatunkowym ideałem. Tak, widzimy je wśród naszych krewnych: samica szympansa jest matką absolutnie samotną. Przez pierwsze miesiące życia młode jest dosłownie przyklejone do jej futra. Szympansica nie odda noworodka nikomu – ani siostrze, ani partnerowi. Gdyby inna samica spróbowała wyciągnąć łapę po jej dziecko, doszłoby do jatki. Matka szympansa żyje w ciągłym napięciu, w stanie permanentnej, neurotycznej czujności.

Przez lata łatwo było sobie wyobrażać, że u ludzi też tak właśnie wyglądała „natura": kobieta w głębi jaskini, dziecko przy piersi, mężczyzna na sawannie z dzidą i poczuciem misji.

Tyle że to fałszywa opowieść.

Sarah Blaffer Hrdy, antropolożka i autorka książki „Mothers and Others", pisze wprost: gdyby ludzkie matki miały być samotnymi szympansicami, nasz gatunek najpewniej nie zaszedłby zbyt daleko. Ludzkie dziecko rodzi się bowiem skrajnie niesamodzielne. Jego mózg jest wielki, kosztowny energetycznie i jego dojrzewanie trwa długo po urodzeniu. Opieka nad takim niemowlęciem przekracza możliwości jednej osoby – nawet najbardziej kochającej, zdeterminowanej i odpornej na brak snu. Dlatego w wychowaniu ludzi od początku naszego gatunku działało allorodzicielstwo – system kooperatywnej opieki. Widać to także dzisiaj w tradycyjnych społecznościach zbieracko-łowieckich: noworodek zaledwie kilka godzin po porodzie zaczyna wędrować z rąk do rąk. Noszą go ciotki, karmią sąsiadki, zabawiają starsze dzieci, tulą dziadkowie. Statystyki antropologiczne pokazują, że w naturalnym dla nas środowisku matka odpowiadała za mniej niż połowę bezpośredniej opieki nad dzieckiem. Resztę robiła sieć wsparcia. Byliśmy gatunkiem, w którym bliskość oferowano hurtowo.

> Ludzkie dziecko rodzi się skrajnie niesamodzielne. Opieka nad nim przekracza możliwości *jednej osoby*

BABCIE I EWOLUCYJNY PAKT

Kogo bardziej kochasz – babcię Kazię czy babcię Zosię? Większość z nas, zapytana o to w dzieciństwie, czuła lekki skurcz w żołądku. To ewolucyjnie i biologicznie uzasadniony dylemat. Bo choć z matematycznego punktu widzenia współczynnik pokrewieństwa genetycznego między dziadkami a wnukami wynosi dokładnie $r = 0,25$, to w realnym życiu te ćwiartki rzadko ważą tyle samo.

„Babcia" to rdzennie ludzki wynalazek. Jak zauważa antropolog prof. Bogusław Pawłowski, prawdziwym, unikalnym dla naszego gatunku fenomenem jest menopauza. Małe szympansiątka, foczki czy wróbelki babć nie mają, bo ich matki na wolności rzadko dożywają utraty płodności. Ewolucja ukształtowała menopauzę po to, by kobieta miała czas odchować swoje ostatnie, skrajnie niesamodzielne dziecko, zamiast ryzykować kolejny, śmiertelny w starszym wieku poród. Z czasem, gdy zaczęliśmy żyć dłużej, ten bezpłodny okres stał się przestrzenią dla nowej instytucji: babci – ewolucyjnego buforu bezpieczeństwa.

We wszystkich kulturach starsze kobiety po okresie przekwitania zaczynają inwestować czas i energię w dzieci swoich dzieci. W Papui-Nowej Gwinei istniał nawet kulturowy zakaz rodzenia przez kobiety, które już zostały babciami. Jeśli starsza ko-

bieta złamała to tabu, musiała zabić noworodka, by nie odbierać zasobów wnukom. W społecznościach zbieracko-łowieckich babcie dostarczają ponad 50 proc. pokarmu spożywanego przez dzieci.

Ale ewolucja nie jest ślepa na szczegóły. Jest pragmatyczna aż do bólu. Bo oto na scenę wkracza dramat pod nazwą „niepewność ojcostwa".

W przyrodzie tylko matka jest w 100 proc. pewna swojego pokrewieństwa z dzieckiem. Mężczyzna ewolucyjnie zawsze zmagał się z cieniem wątpliwości, czy nie hoduje cudzych genów. Ta podejrzliwość, ciągnąca się za nami od setek tysięcy lat, stworzyła uderzającą asymetrię.

NAJPEWNIEJ PO KĄDZIELI

Babcia ze strony matki (nasza hipotetyczna Zosia) wie na pewno: to jest dziecko mojej córki, a więc nosi moje geny. Może inwestować bez obaw. Ale babcia ze strony ojca (Kazia)? Cóż. Jej syn mógł zostać oszukany. Z biologicznego punktu widzenia inwestowanie czasu i energii w nieswojego wnuka to ewolucyjna katastrofa.

Ta teoria brutalnie potwierdza się w badaniach. Dr Harald A. Euler z University of Kassel przepytał blisko dwa tysiące Niemców o ich relacje z dziadkami. Wyniki? Ponad połowa badanych jako ukochaną wskazała babcię ze strony matki. Tę ze strony ojca wybrało zaledwie 12-14 proc. Co ciekawe, nawet ojcowie matek (dziadkowie ze strony mamy) inwestują we wnuki więcej niż matki ojców! Wszystko przez to, jak bardzo pewna jest nitka pokrewieństwa po kądzieli. Euler pisał później z rozbrajającą szczerością, że te badania pozwoliły mu wreszcie wybaczyć własnej matce jej oschłość wobec jego dzieci. To nie był zły charakter. To była ewolucyjna ostrożność wpisana w geny.

Badania brytyjskich antropolożek dr Ruth Mace i dr Rebecci Sear prowadzone w Gambii oraz podobne analizy z Indii i Afryki pokazują, że obecność babci ze strony matki drastycznie zwiększa przeżywalność dzieci. Mało tego – jej rola jest dla przetrwania malucha ważniejsza niż wkład... rodzonego ojca. Kiedy w badanych społecznościach umierał ojciec, dla przeżywalności dziecka nie zmieniało się prawie nic. Gdy umierała babcia ze strony matki – śmiertelność dzieci gwałtownie rosła.

Oczywiście, biologia spotyka się tu z psychologią. Jak zauważa dr Martin Kohli, badacz procesów starzenia z Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego, matki po prostu znacznie chętniej proszą o pomoc własne mamy niż teściowe. Znamy je lepiej, bardziej im ufamy. Francuskie badania prowadzone przez Arnaud Régnier-Loiliera, wybitnego francuskiego socjologa i demografa, pokazują smutną prawidłowość: babcie ze strony ojców często chcą pomóc, ale wycofują się, bo czują się w domu synowej nieproszonymi gośćmi.

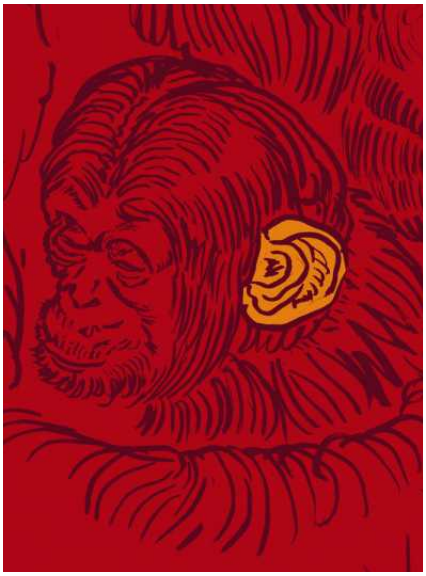

Rodzina nuklearna, model: mama, tata i dwójka dzieci to ryzykowny *eksperyment społeczny*

WIELKI EKSPERYMENT

No dobrze, to wiemy już, że w powiedzeniu „do wychowania dziecka potrzebna jest cała wioska" tkwi głęboka ewolucyjna prawda. A teraz weźmy ten mechanizm – matkę, dziecko, babki, ciotki, starsze rodzeństwo, sąsiadki, ludzi zaglądających do garnka i do kołyski – i zamknijmy go w mieszkaniu na czwartym piętrze.

Nazwijmy to normalnością. Rodzina nuklearna – model: mama, tata i dwójka dzieci zamknięci w czterech ścianach – to nie żaden uświęcony tradycją ideał. To bardzo świeży, niezwykle ryzykowny eksperyment społeczny. Narodził się zaledwie chwilę temu, wraz z rewolucją przemysłową i powojennym boomem na amerykańskich przedmieściach w latach 50. XX wieku.

Odcięliśmy matki od ich biologicznego habitatu. Zabraliśmy babcie, które mieszkają teraz w innych miastach, oddaliliśmy siostry robiące kariery, zamknęliśmy drzwi przed sąsiadkami, z którymi co najwyżej mijamy się w windzie. Zmusiliśmy kobietę, by stała się jednoosobową instytucją ratunkową: ma być jednocześnie czułą szympansicą, efektywną babcią z plemienia Hadza, animatorką zabawy, strażniczką domowego ogniska i – najlepiej – aktywną zawodowo profesjonalistką.

Kiedy współczesna matka zostaje sama w pustej kuchni o trzeciej rano, jej pierwotny mózg nie rozumie pojęcia „urlop macierzyński" ani „bezpieczne osiedle monitorowane". Jej biologiczna tożsamość rejestruje tylko jeden fakt: „jestem sama na sawannie z bezbronnym młodym. Nie ma stada. Zaraz zginie ono, a potem ja". Mózg przełącza się w tryb chronicznego stresu bojowego. Wypalenie macierzyńskie to nic innego jak biologiczne wycieńczenie systemu, który pracuje na skrajnie wysokich obrotach w warunkach permanentnego zagrożenia.

BŁĄD KONSTRUKCJI

Kiedy więc następnym razem usłyszysz, że współczesne matki są „zbyt delikatne", że „kiedyś kobiety rodziły w polu i nie narzekały", warto dopowiedzieć jedno: w tym polu najpewniej nie były same.

Były obok nich inne kobiety. Starsze dzieci. Krewne. Sąsiadki. Ludzie, którzy widzieli, że dziecko płacze, że garnek pusty, że matka słania się ze zmęczenia. Macierzyństwo nie było prywatnym projektem jednej osoby, tylko wspólną sprawą grupy. Gdy dzisiejsze matki mówią: „nie daję rady", to nie jest to kaprys, lenistwo ani depresja wynikająca ze słabości charakteru. To jest racjonalna, głęboka diagnoza błędu w konstrukcji współczesnego świata. To biologiczny protest organizmu, który został uwięziony w nienaturalnej izolacji. Dlatego zdanie „nie daję rady" nie musi być dowodem porażki. Może być najtrzeźwiejszą diagnozą sytuacji.

Że dziecka nie powinno się wychowywać samotnie.

Że matka potrzebuje nie tylko miłości do dziecka. Potrzebuje stada. ▲

TRZY W JEDNYM

Jestem fanką hybrydowych formuł. Nowy krem do twarzy CC Skin-Perfecting SPF 30 Inglota wyrównuje koloryt skóry, subtelnie wygładza skórę, zapewnia rozświetlające wykończenie i ochronę, dzięki filtrom mineralnym. Zawiera ceramidy i prebiotyk. ***(30 ml/119 zł)***

WANILIA Z KIRGISTANU

Inpiracją do stworzenia zapachu Atmah był dla Olivii Rothschild, dyrektorki artystycznej marki Caron, dziki krajobraz Kirgistanu. Powstała drzewno-bursztynowa kompozycja, czysta i eteryczna z mineralną wanilią. Parfums Caron istnieją od 1904 r. ***(100 ml/1319 zł, Douglas)***

KAPSUŁOWA PIELĘGNACJA

Polska marka SKN Hour debiutuje kapsułową pielęgnacją. Trzy wielozadaniowe kosmetyki m.in. z ceramidami pomagają szybko uzyskać efekt świeżej, wypoczętej skóry. Nowością jest krem pod oczy na noc z probiotykami i mikroalgami. ***(8 g/229 zł)***

LEKKO I PRZYJEMNIE

Szczotki Olivia Garden Fingerbrush są teraz w nowych pastelowych kolorach. Nylonowe igiełki z włosiem dzika wygładzają włosy i świetnie masują skórę głowy. Szczotka jest lekka i ergonomiczna. ***(79 zł)***

ALGOWA UCZTA

Nowe balsamy do ciała marki Barwa zawierają czerwone algi; to naturalne antyoksydanty bogate w minerały, aminokwasy i przeciwutleniacze o działaniu rewitalizującym, nawilżającym i chroniącym skórę. ***(200 ml/17,99 zł)***

ŚWIEŻY OGIEŃ

Świece zapachowe Diptyque powstały w 1963 r. W 2026 r. przeszły ewolucję. Projekt naczynia wykonała Julie Richoz. Zmienione kontury nadały wizualną równowagę, owalny rant podkreślił linię etykiety. Typografia tworzy zagadki. Powstało też pięć nowych zapachów, np. Rabarbar. ***(190 g/299 zł, Galilu.pl)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (8); OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

GASLIGHTING, czyli manipulacje w naszych relacjach
Rodzice to robią dzieciom, kobiety kobietom,
mężczyźni kobietom, i na odwrót

PSYCHOLOGIA: Powrót do matki

URODA: Rytuały w menopauzie

DAVID ATTENBOROUGH kończy 100 lat

DWIE OKŁADKI DO WYBORU!